

GABRIEL GARCIA MARQUEZ

**OPOWIADANIA**

Przełożyli

ZOFIA CHĄDZYŃSKA i CARLOS MARRODAN CASAS

## DIALOG LUSTRA

### Trzecia rezygnacja

Znowu ten sam hałas. Ów hałas zimny, twardy, pionowy, który znał tak dobrze, a który teraz wydał mu się ostry i bolesny, jakby z dnia na dzień odzwyczaił się od niego.

Kołował w jego pustej głowie głuchy i przeszywający. Coś jakby ściany, jakby woskowe plastry, znajdujące się po czterech bokach jego czaszki, unosiły się spiralnie w górę, z każdą chwilą mocniej uderzały w nią od środka i z tępą wibracją wstrząsały kręgami, zakłócając normalny rytm jego ciała. Coś się rozpręgåło w jego fizycznej strukturze uformowanego człowieka. Coś, co kiedy indziej funkcjonowało normalnie, a co teraz rozwalało mu głowę od środka uderzeniami suchymi, twardymi, uderzeniami jakiejś kościstej, pozbawionej ciała ręki, które przypominały mu wszystkie gorycze życia. Impuls, pochodzący z samej głębi rozpaczliwego bólu, pchał go, by zacisnąć pięści i zdusić sobie skronie o niebieskawosinych żyłach. W dłoniach swych wrażliwych rąk pragnął zamknąć ten hałas, diamentowym ostrzem wwiercający się w mózg. Gdy wyobraził go sobie, ścigany przez udręczone zakamarki swojej płonącej, rozgorączkowanej głowy, wyprężył się niby kot. Już miał go pochwycić. Nie. Hałas miał skórę śliską, wymykającą się. Ale on był zdecydowany dosięgnąć go za pomocą wystudiowanej strategii i dusić długo, do ostatka, całą siłą swej rozpacz, nie pozwolić, by raz jeszcze miał wwiercić mu się do mózgu przez uszy, wyjść przez usta, przez pory, przez oczy, które wypchnąłby z orbit, które w końcu by oślepyły śledząc jego ucieczkę pośród poszarpanej ciemności. Nie pozwolił, by nadal grzechotał tym pokruszonym szkłem, gwiazdeczkami lodu o wewnętrzną stronę jego czaszki. Bo taki był ten hałas: nie kończący się, niby walenie główką dziecka o twardy mur, niby tłuczenie wszystkim o to, co przyroda zrobiła twardym. Ale nie pozwoli męczyć się więcej, o ile uda mu się otoczyć go, wydzielić. I schwycić. I zdusić teraz już ostatecznie; wyrznąć nim z całych sił o bruk i deptać z okrucieństwem, dopóki sam będzie miał siłę się ruszać, dopóki jeszcze będzie w stanie wycharczeć, że zamordował ten hałas, który go zamęczał, od którego wariował, a który te-

raz leży rozciągnięty na ziemi jak każda rzecz, która nagle zmieniła się w śmierć.

Ale nie mógł ścisnąć sobie skroni. Jego ręce skróciły się, były to teraz rączki karła, małe, maleńkie, tuściutkie rączki. Zrobił wysiłek, by potrząsnąć głową. Potrząsnął nią. A wtedy hałas wybuchł ze zwojoną siłą w głębi czaszki, która jakby jeszcze bardziej odczuwała siłę przyciągania ziemi. Hałas ten był ciężki, był twardy. Tak twardy i tak ciężki, że gdyby udało się dosięgnąć go i zniszczyć, miałyby się wrażenie, że odziera się z liści ołowiany kwiat.

Słyszał go już "kiedy indziej" z równą siłą. Na przykład tego dnia, kiedy umarł po raz pierwszy, kiedy - widząc trupa - zrozumiał, że to jego własny trup. Popatrzył na niego, a potem sam się pomacał. Poczuł, że jest nieuchwytny, pozaprzestrzenny, nie istniejący. Rzeczywiście był trupem i już teraz czuł, jak śmierć przepływa przez jego chore, młode ciało. Wszystko dokoła usztywniło się, jakby dom wypełniono cementem, zaś wewnątrz tego bloku - w którym przedmioty nadal tak stały, jakby był pełen powietrza - tkwił on, starannie ułożony w trumnie również cementowej, acz przezroczystej. Wtedy w jego głowie również był "ów hałas". Jakże dalekie, jakże zimne miał stopy tam, w drugim końcu trumny, gdzie położono poduszeczkę, bo trumna była zbyt długa i trzeba ją było skrócić, by przystosować nieżywe ciało do tego nowego, ostatniego stroju. Nakryto go czymś białym, a szczęki podwiązano mu chustką. Poczuł się piękny w swoim całunie, śmiertelnie piękny.

Leżał w trumnie, czekając, aż go złożą do ziemi, a mimo to wiedział, że nie umarł. Ze gdyby zdecydował wstać, udałoby mu to się z największą łatwością. W każdym razie "duchowo". Ale nie było po co. Lepiej było pozwolić sobie umrzeć tutaj, umrzeć śmiercią, którą niosła w sobie jego choroba. Dawno już lekarz doniósł sucho jego matce:

- Pani syn jest ciężko chory: nie żyje. Niemniej zrobimy, co w naszej mocy, by przeciągnąć jego życie poza śmierć. Skomplikowany system samożywienia sprawi, że jego funkcje fizjologiczne będą trwałe. Zmieniają się tylko siły napędowe, odruchy spontaniczne. O tym, że żyje, będzie świadczył fakt, że nie przestanie

normalnie rosnać. To po prostu "żywa śmierć". Chociaż całkowicie rzeczywista.

Jakkolwiek niejasno - ale zapamiętał te słowa. Może zresztą nigdy ich nie słyszał, może były wytworem jego mózgu, kiedy temperatura podnosiła mu się w czasie ataków tyfusu, kiedy się pogrążał w malignie; kiedy czytał o zabalsamowanych faraonach, kiedy gorączka wzrastała, a on sam stawał się jej protagonistą. W ten sposób powstała w jego życiu jakaś pustka. Od wtedy przestał rozróżniać i nie mógł przypomnieć sobie, jakie wydarzenia są częścią delirium, a jakie realnego życia. Dlatego teraz wątpił. Może doktor nigdy nie wspomniał o tej dziwacznej "żywej śmierci"? To przecież nielogiczne, paradoksalne, wprost samo sobie zaprzeczające. I to sprawiło, że teraz podejrzewał, iż rzeczywiście nie żyje. Iż nie żyje od osiemnastu lat.

Już wtedy to - bowiem umarł mając siedem lat - matka kazała zrobić małą trumienkę z zielonego drzewa, dziecinną trumienkę, ale doktor powiedział, żeby mu zrobiono dużo większą, jak dla dorosłego, bo ta, malutka, mogłaby przeszkadzać mu rosnać, tak że w końcu stałby się zniekształconym trupem lub żyjącym potworkiem. Albo zatrzymanie procesu wzrastania nie pozwoliłoby zauważyć polepszenia. Na skutek której to przestrogi matka kazała mu zbić wielką trumnę, taką jak dla zwłok dorosłego, a żeby ją zmniejszyć, w nogi włożyła mu trzy poduszki.

Od pierwszej chwili zaczął rosnać w trumnie, tak że co rok można było ujmować trochę wełny z ostatniej poduszki, zostawiając w dalszym ciągu margines luzu. Tak przeżył połowę życia. Osiemnaście lat (teraz miał dwadzieścia pięć). I tak doszedł do swego ostatecznego, normalnego wzrostu. Zarówno stolarz jak i lekarz pomylili się w swoich pomiarach i zrobili trumnę o pół metra za długą. Przypuszczali, że osiągnie wzrost ojca, na wpół dziukiego olbrzyma. Ale tak się nie stało. Jedyłą rzeczą, jaką po nim odziedziczył, była gęsta broda. Broda tak czarna, że aż niebieska, gęsta, którą matka przywykła mu cesać, aby przyzwoicie prezentował się w trumnie. W upalne dni broda ta straszliwie mu zawadzała.

Ale było coś, co denerwowało go bardziej niż "ów hałas". Były to szczury. Od kiedy był dzieckiem, nie było dla niego na świecie nic gorszego, nic, czego by się bał bardziej niż szczurów. I właśnie te obrzydliwe zwierzęta przyciągał zapach gromnic palących się u jego nóg. Zaczęły gryźć jego ubranie i czuł, że niedługo zabiorą się do niego. Któregoś dnia udało mu się zobaczyć je: piątka błyszczących, gładkich szczurów, które po nodze stołowej drapały się do trumny, by go pożreć. Kiedy matka zauważyła je, z niego zostaną już tylko szczątki, twarde i zimne kości. Ale tym, co mierziło go najbardziej, nie był sam fakt, że zostanie pożarty przez szczury: w końcu mógł być żyć nawet jako szkielet. Najgorszy był wrodzony strach i obrzydzenie do tych zwierząt. Skóra mu się jeżyła na samą myśl o włochatych stworach biegających po całym ciele, wślazających w załamki skóry, muskających wargi swymi lodowatymi łapkami. Jeden z nich wspiał się aż do brwi, usiłując dostać się do rogówki. Widział go potwornie wielkiego, rozpaczliwie walczącego, by mu się wgryźć w źrenicę. Uwierzył wtedy w nową śmierć i całym sobą poddał się nadchodzącemu zawrotowi głowy.

Przypomniawszy sobie, że doszedł do pewnego wieku. Miał dwadzieścia pięć lat i to znaczyło, że więcej nie będzie rósł. Jego rysy spoważniały, utrwaliły się. Ale nawet zdrów nie mógłby mówić o swoim dzieciństwie. Nie miał go. Przeżył je martwy.

Podczas gdy z dzieciństwa wchodził w wiek dojrzały, matka specjalnie o niego dbała, uważała na higienę pomieszczenia, trumny. Często zmieniała w wazonach kwiaty i co dzień otwierała okna, aby weszło jak najwięcej powietrza. Z jaką radością obserwowała drewniany metr, wtedy gdy za każdym razem pokazywał, że syn urosł o parę centymetrów. Macierzyństwo jej było uszczęśliwione tak oczywistym objawem, że syn jej żyje. Pilnowała również, by w domu nie pojawiali się obcy. W sumie nie była miła, ale raczej tajemnicza, wieloletnia obecność zmarłego we wspólnym mieszkaniu. Rezygnowała wtedy z wielu rzeczy, ale optymizm jej nie trwał zbyt długo. Ostatnio patrzyła na metr z coraz większym smutkiem. Jej dziecko przestało rosnąć. W czasie minionych miesięcy nie przybył mu nawet milimetr. Czowała więc,

że teraz będzie trudno o oznaki życia u jej drogiego zmarłego. Obawiała się, że pewnego ranka okaże się istotnie nieżywy, i może dlatego owego dnia zauważył, że podchodzi do trumny i dyskretnie wacha jego ciało. Ogarnęło ją silne uczucie pesymizmu i ostatecznie zaniedbała się w staraniach, nawet nie nosiła już ze sobą drewnianej miarki. Zrozumiała, że nie urośnie więcej.

On także wiedział, że teraz "naprawdę" już umarł. Czuł to po owym łagodnym spokoju, jaki stopniowo ogarniał jego organizm. Wszystko się powoli zmieniło. Niewyczuwalne uderzenia serca, które on tylko wyczuwał, zniknęły. Czuł się bezwładny, przez jakąś przyzywającą go potężną moc siłą ciężkości ciągniony ku najistotniejszym substancjom ziemi. Ciężki jak autentyczny, nie podlegający dyskusji trup. Ale w ten sposób był też mniej zmęczony. Nie musiał nawet oddychać, by przeżywać własną śmierć.

Nie dotykając ich przebiegł myślą wszystkie swoje członki. Tu, na twardej poduszce, spoczywa jego głowa, z lekka zwrócona w lewo. Wyobraził sobie, że ma rozchylone usta, czuł bowiem delikatny powiew chłodu wypełniający mu gardło żwirem. Był rozłupany niby pień dwudziestopięcioletniego drzewa. Może chciał zamknąć usta. Chusta, którą mu podwiązano szczęki, była zbyt luźna. Nie mógł ułożyć się ani poruszyć, ani przyjąć żadnej pozy, w której wyglądałby na przyzwoitego nieboszczyka. Członki jego, mięśnie, muskuły teraz nie przybiegały na każde wezwanie jego systemu nerwowego. Już nie był tym sprzed osiemnastu lat, normalnym dzieckiem mogącym dowolnie się poruszać. Czuł swe opuszczone, zwieszane na zawsze ramiona ściśnięte trumną. Czuł swą skórę twardą niby dębowa kora. A niżej swe nogi, prawidłowo, dokładnie uzupełniające jego szkielet dorosłego człowieka. Ciało jego spoczywało ciężko, lecz spokojnie, nie czuło się źle, jak gdyby nagle zatrzymał się świat, jakby nikt nie mącił ciszy. Jakby wszystkie płuca ziemi przestały oddychać, by nie przerywać łagodnego spokoju powietrza. Był szczęśliwy jak dziecko leżące na wznak w trawie świeżej i gęstej, zapatrzone w wysoką chmurę oddalającą się po południowym niebie. Był szczęśliwy, chociaż wiedział, że jest martwy, że już na zawsze spoczywa w tej trumnie wyściełanej sztucznym jedwabiem. Był absolutnie przytomny. Nie

tak jak przedtem, po swej pierwszej śmierci, po której czuł się otumaniony, ogłupiały. Cztery gromnice, które postawiono wokół niego, odnawiane co trzy miesiące, znów się dopalały, właśnie teraz, gdy miały stać się niezbędne. Poczł blisko świeżość wilgotnych fiołków, które matka przyniosła z rana. Poczł ją w liliach, w różach. Ale cała ta straszliwa rzeczywistość nie niepokoila go ani trochę. Przeciwnie, czł się szczęśliwy sam w swej samotności. Czyżby potem miał poczuć strach?

Kto wie. Ciężko było myśleć o chwili, w której młotek zacznie wbijać gwoździe w zielone drewno, zaś trumna zaskrzypi przeświadczona, że niezadługo znów stanie się drzewem. Ciało jego, teraz z większą siłą pociągane ku ziemi, zostanie złożone w dole wilgotnym, gliniastym i miękkim, a tam w górze na czterech metrach sześciennych będą zacichały ostatnie uderzenia karawaniarskich łopat. Nie. Wtedy również nie złęknie się. To będzie tylko przedłużeniem jego śmierci, najnaturalniejszym przedłużeniem tej nowej sytuacji.

W jego ciełe nie pozostanie już najmniejszy nawet okrucieństwa, mlecz pacierzowy wystygnie na zawsze, gwiazdeczki lodu przenikną wprost do szpiku kości. Jakże łatwo przyzwyczai się do swego nowego życia w śmierci. A jednak pewnego dnia poczuje, że jego solidny pancerz pęka. A kiedy będzie usiłował wymienić, przypomnieć sobie swe członki - już ich nie odnajdzie. Poczuje, że nie ma masywnej, określonej formy, i z rezygnacją zrozumie, że stracił wspaniałą kondycję dwudziestopięcioletniego młodzieńca, że zmienił się w sypką garść pozbawionego określonej formy prochu.

W biblijny proch śmierci. Może poczuje wtedy coś jakby lekki smutek; tęsknotę za tym, że nie jest konkretnym, określonym nieboszczykiem, a tylko imaginacyjnym, abstrakcyjnym trupem istniejącym jedynie w mglistym wspomnieniu rodziny. Wiedział, że wtedy zacznie być wchłaniany przez naczynia włoskowate jakiejś jabłoni, a jesiennego poranka zbudzi go ugryzienie głodnego dziecka. Będzie wiedział wtedy - i to jednak smuciło go - że stracił swą integralność, że już nie jest nawet zwykłym trupem, jakimś określonymi zwłokami.

Ostatnia noc minęła mu w zadowoleniu, w samotnym towarzystwie własnego ciała.

Ale następnego dnia, kiedy pierwsze promienie letniego słońca wniknęły przez otwarte okno, poczuł, że ciało zaczyna mięknąć. Przez chwilę obserwował się, napięty, bez ruchu. Przestał. Pozwolił, by go obiegło powietrze. Nie było wątpliwości: poczuł "zapach". Podczas nocy dzieło śmierci postąpiło naprzód. Jego zwłoki zaczynały się rozkładać, gnić, tak jak zwłoki innych umarłych. Bez wątpienia był to ten nie do pomylenia zapach rozkładających się zwłok, który znikał, po czym pojawiał się jeszcze bardziej intensywny. Ciało jego zepsuło się podczas upału minionej nocy. Gnił. W krótkim czasie przyjdzie matka, by zmienić kwiaty, i już od progu uderzy w nią ten smród gnijącego mięsa. Wtedy zawiodą go, by swą drugą śmierć przespał pośród innych zmarłych.

Nagły strach dał mu kułakiem w plecy. Strach - słowo tak głębokie, tak znaczące! Teraz rzeczywiście czuł strach, prawdziwy, fizyczny strach. Dzięki czemu? Rozumiał to doskonale i wstrząsał się przed tym: widać jednak nie był umarły. Wpakowano go tutaj, do tej trumny, którą teraz czuł doskonale, miękką, pikowaną niby kołdra, niezwykle wygodną. I dopiero strach otworzył mu oczy na rzeczywistość: pochowają go żywcem!

Nie mógł być nieżywy, skoro tak dokładnie ze wszystkiego zdawał sobie sprawę, ze wszystkiego - z tego życia, które szmerząc toczyło się wokół niego, z delikatnego zapachu heliotropów wchodzącego przez uchylone okno i mieszającego się z tym drugim zapachem. Najdokładniej słyszał powolne kapanie wody do baseniku i świerszcza, który ukryty w kącie nadal ćwierkał, myśląc, że jeszcze trwa świt.

Wszystko zaprzeczało jego śmierci. Wszystko poza zapachem. Chociaż skąd można było mieć pewność, że to jego zapach? Może po prostu matka zapomniała ostatniego dnia zmienić wodę w kwiatkach, których łądyżki zaczęły gnić? A może szczur schwytny w jego pokoju przez kota zaczął rozkładać się pod wpływem gorąca? Nie. To nie mógł być zapach pochodzący z jego ciała.

Tak niedawno jeszcze był szczęśliwy z powodu tej śmierci, przekonany, że rzeczywiście nie żyje. Bowiem zmarły może być



szczęśliwy, o ile jest już nieodwołalnie umarły. Ale żywy nie może zgodzić się na to, by go pochowano żywcem. A jednak jego członki nie były mu posłuszne. Nie mógł wypowiadać się i to właśnie napawało go lękiem. Najstraszliwszym lękiem w życiu i w śmierci. Pogrzebią go żywcem. Będzie to czuł. Będzie wiedział, kiedy zaczną zabijać trumnę. Odczuje próżnię ciała niesionego na ramionach przyjaciół, podczas gdy jego lęk i rozpacz będą powiększały się z każdym krokiem tej procesji.

Nadaremno będzie usiłował powstać, wołać ze wszystkich swych omdlewających sił, walić od środka w ciemną, wąską trumnę, aby dać im znać, że żyje, że oto go chowają żywego. Wszystko nadaremnie: wtedy również członki jego nie odpowiadały na rozpaczliwy zew jego nerwów.

Dosłyszał w sąsiednim pokoju hałasy. Czyżby spał? Czyżby to całe pośmiertne życie było tylko koszmarem sennym? Ale szcęk naczyń nie powtórzył się więcej. Posmutniał, a nawet poczuł coś w rodzaju niesmaku do samego siebie. Byłby chciał, żeby wszystkie naczynia z całej kuli ziemskiej stłukły się od jednego uderzenia tam obok, aby coś z zewnątrz przebudziło go teraz, gdy jego wola zawiodła.

Ale nie. To nie był sen. Był pewien, że gdyby to był sen, nie zawiódłby go ten ostateczny wysiłek powrotu do rzeczywistości. Nie przebudzi się więcej. Czuł miękkość trumny, zapach zaś wrócił teraz ze wzmożoną siłą, z taką siłą, że znowu zwątpił, czy to może być jego własny zapach. Byłby chciał zobaczyć rodzinę, zanim jeszcze zacznie się rozkładać, zanim obraz gnijącego ciała wzbudzi w nich obrzydzenie. Przerażeni sąsiedzi będą uciekali przed trumną, przyciskając chusteczki do ust. Będą pluli. Nie. Byłby nie to. Już lepiej zostać pogrzebanym. Niechby się to wszystko jak najprędzej skończyło. Teraz już sam chciał pozbyć się własnego trupa. Teraz wiedział już, że naprawdę jest nieżywy, a jeżeli nie nieżywy, to w każdym razie nie żywy. Co na jedno wychodzi. W każdym razie zapach nie ustawał.

Zrezygnowany wysłucha ostatnich modlitw, ostatnich egzekwii, źle odmawianych przez obecnych. Zimno pełne prochu i cmentarnych kości przeniknie do jego kości i może odrobinę rozrzedzi ów

zapach. A może - któż wie - podniosłość momentu wyrwie go jakoś z tego letargu. Kiedy poczuje, że tonie we własnym pocie, w tym płynie śliskim, gęstawym, podobnym do tego, w którym przed urodzeniem pływał w matczynej macicy - może wtedy ożyje.

Ale będzie już tak zrezygnowany, iż pewno umrze z samej rezygnacji.

## **Drugie żebro śmierci**

Obudził się raptownie, sam nie wiedząc, dlaczego. Kwaśny zapach fiołków i formaliny wchodził szeroką, mocną falą z sąsiedniego pokoju, łącząc się z płynącą z ogrodu wonią kwiatów otwierających się o poranku. Usiłował uspokoić się, odzyskać ducha nagle straconego we śnie. Już chyba świtało, bo słychać było wodę spryskującą jarzyny w warzywniku, a przez otwarte okno wlażyło błękitne niebo. Rozejrzał się po ciemnym pokoju, chcąc wytłumaczyć sobie to gwałtowne, choć oczekiwane przebudzenie. Miał wrażenie, niejako fizyczną pewność, że podczas gdy spał, ktoś wszedł do pokoju. A jednak był sam i na zamkniętych od środka drzwiach nie było śladu, by ktoś chciał je otworzyć. Za oknem w powietrzu budziła się jakaś gwiazda. Przez chwilę leżał spokojnie, usiłując rozluźnić owo napięcie nerwowe, które wypchnęło go na powierzchnię snu, i leżąc na wznak z zamkniętymi oczami, powoli szukał przerwanej nitki błogostanu. Wykrztusił skrzepniętą krew, która zaschła mu w gardle, podczas gdy poniżej, w piersiach, rozbudzone serce wybijało rytm mocno, wyraźnie i szybko, jakby po jakimś oszalałym wyścigu. Przypomniawszy sobie minione minuty. Może mu się coś dziwnego przyśniło, może to był koszmar senny. Ale nie. Nie zdarzyło się nic szczególnego, nic, co by usprawiedliwiało takie przebudzenie.

Jechali pociągiem - teraz to sobie przypominam - wokół rozciągał się jakiś krajobraz - ten sen często mi się powtarzał - pełen martwych natur i sztucznych drzew owocujących brzytwami, nożyczkami i różnymi innymi (teraz przychodzi mi na myśl, że powinienem się ostrzec) fryzjerskimi narzędziami. Ten sen miał często, ale nigdy nie wzbudził w nim takiego przestachu. Za

drzewem stoi jego brat, bliźniak, którego pochowano tego popołudnia - usiłując gestami - to zdarzyło mi się kiedyś w rzeczywistości - zatrzymać pociąg. Przeświadczony o daremności swych wysiłków, zaczyna biec za wagonem, aż wreszcie upada, dysząc, z ustami pełnymi piany. Zapewne był to sen absurdalny, bezsensowny, ale w żadnym razie nie usprawiedliwiał tak niespokojnego przebudzenia. Ponownie zamknął oczy, czując, jak ku skroniom napływa krew, niby wznosząca się zaciśnięta pięść. Pociąg wjechał w mapę jałową, pustą, znudzoną, a ból, który poczuł w lewej nodze, oderwał jego uwagę od pejzażu. Zauważył, że ma - nie powinienem używać tych ciasnych butów - tumor na środkowym palcu u nogi. Zwyczajnie, jakby to stale robił, wyjął z kieszeni śrubokręt, za pomocą którego oderwał mu główkę. Starannie schował ją do niebieskiego pudełeczka - czy we śnie widzi się kolory? - i zobaczył, jak z ranki wyłania się czubek brudnego, żółtego sznurka. Nie zdziwiony, jakby czekał na pojawienie się tego sznurka, pociągnął go powoli, dokładnie. Była to długa, bardzo długa tasiemka, która wyłaziła samorzutnie, bez kłopotu ni bólu. W sekundę potem podniósł wzrok i zobaczył, że wagon opustoszał, a w sąsiednim przedziale siedzi jedynie jego przebrany za kobietę brat i patrząc w lustro usiłuje nożyczkami wydlubać sobie lewe oko.

Nie podobał mu się ten sen, ale nie rozumiał, dlaczego tak dalece wzburzył w nim krew, podczas gdy uprzednio zachowywał spokój nawet podczas najgorszych koszmarów. Poczuł, że ma lodowate ręce. Zapach fiołków i formaliny trwał nadal, już teraz żenujący, niemal agresywny. Z zamkniętymi oczami, usiłując wrócić do miarowego oddechu, szukał w myślach jakiegoś codziennego tematu, który by pozwolił mu znowu pogрузić się w przerwany przed chwilą śnie. Mogłem na przykład myśleć, że za trzy godziny muszę iść do biura pogrzebowego opłacić koszty. W kącie jakiś zapóźniony świerszcz znów zaczął ćwierkać, napełniając pokój swym ostrym, rwanym głosem. Napięcie nerwowe zaczęło ustępować powoli, ale skutecznie, i znowu zauważył wiotkość, zmęczenie swych mięśni. Poczuł, że leży na miękkiej, grubej kołdrze, podczas gdy jego ciało lekkie, nieważkie, przepojone słodkim

uczuciem szczęścia i zmęczenia powoli traci świadomość własnej materialności, tego czegoś ziemskiego, ciężkiego, co je definiowało, precyzyjnie umieszczając w określonym punkcie zoologicznej systematyki, zawierającej w swojej trudnej architekturze całą masę systemów, geometrycznie określonych organów, które ją wznoszą do poziomu zwierząt obdarzonych rozumem. Powieki, teraz posłuszne, opadały na rogówkę z tą samą naturalnością, z jaką ręce i nogi dołączały do członków, które powoli traciły niezależność, jakby cały organizm wzburzył się, zamienił w jeden wielki organ, a on - człowiek - porzucił swe śmiertelne korzenie, aby wniknąć w inne korzenie, głębsze i silniejsze: w wieczne korzenie całkowitego, ostatecznego snu. Usłyszał, że hen, po drugiej stronie świata, śpiew świerszcza słabnie i wreszcie opuszcza jego zmysły, które zwróciły się do wewnątrz, pogrążając go w nowej, skomplikowanej świadomości czasu i przestrzeni, wymazując obecność świata materialnego, fizycznego i bolesnego, świata pełnego robactwa i kwaśnych zapachów fiołków i formolu.

Łagodnie otulony w ciepły klimat tak pożądanego spokoju poczuł lekkość swojej sztucznej, codziennej śmierci. Pogrążył się w miłą geografiją, w jakiś idealny, łatwy świat, świat z dziecinnego rysunku, pozbawiony działań algebraicznych, miłosnych pożegnań i siły ciężkości.

Nie mógł określić, ile czasu pływał tak pomiędzy powierzchnią szlachetnych snów a rzeczywistością, ale pamięta, że nagle zerwał się, jakby ktoś mu podrzynał gardło, bo poczuł, że na brzegu posłania siedzi jego bliźniak, jego umarły brat.

Znów, tak jak przedtem, serce niby pięść skoczyło mu do gardła i kazało poderwać się. Wschodzące słońce, świerszcz w dalszym ciągu mielący samotność swym nieuchwytnym smyczkiem, świeże powietrze płynące z wszechświata ogrodu, wszystko to zwróciło go w stronę realnego życia. Ale tym razem wiedział, czemu zawdzięczał ten wstrząs przy przebudzeniu. Podczas krótkich chwil drzemania i - teraz to widzę - podczas całej nocy, gdy myślał, że śpi spokojnie, po prostu, bezmyślnie, jego pamięć była przygwożdżona do jednego jedyne obrazu, do trwałego autonomicznego obrazu, który narzucał się jego myślom niezależnie

od woli, niezależnie od oporu, jaki te myśli stawiały. Tak. Niemal niezauważalnie "ta" myśl zaczynała brać go w swe posiadanie, wypełniać go całego, przemieniając się w tło, stałe i niezmiennie dla innych myśli, stanowiące podporę, kręgosłup psychicznego dramatu jego nocy i dni. Myśl o trupie brata bliźniaka wbiła się w sam środek jego życia. I teraz, kiedy z powiekami drżącymi od deszczu już go pozostawiono na tym małym kawałku ziemi, teraz bał się go.

Nigdy nie myślał, że cios będzie tak silny. Przez uchylone okno powrócił zapach pomieszany już teraz z innymi, z zapachem wilgotnej ziemi, zatopionych kości, a węch jego wyczuł go na odległość, z rozkoszą, pełen dzikiej radości człowieka-zwierzęcia. Wiele godzin upłynęło już od chwili, gdy widział, jak skręca się pod prześcieradłami niby zraniony pies, wyjąc, gryząc ten ostatni krzyk, wypełniający mu solą gardło, usiłując paznokciami rozszarpać ten ból wspinający mu się po plecach do korzeni nowotworu. Nie mógł zapomnieć tego konającego zwierzęcia, zbuntowanego przeciw owej prawdzie, która stanęła przed nim, która przyczepiła się do jego ciała z uporem tak nieodwołalnym jak sama śmierć. Widział tamtego w czasie chwil jego straszliwej agonii, gdy łamał paznokcie o ściany, wyszarpując z nich ostatnie strzępy życia, które uciekało mu pomiędzy palcami, które wykrwawiało się, podczas gdy gangrena wchodziła mu w bok, nieubłagana niczym kobieta. Potem zobaczył, jak wali się na rozburzone łóżko, zrezygnowany, zmęczony, spocony, podczas gdy zęby całe w pianie wyszczerzają się do świata w ohydny, potwornym uśmiechu, zaś śmierć zaczyna płynąć mu przez kości niby rzeka z popiołu.

Dokładnie wtedy pomyślałem o nowotworze, który właśnie przestał mu dokuczać w brzuchu. Wyobraziłem sobie, że jest okrągły - teraz i on odczuł coś podobnego - spuchnięty niby wewnętrzne słońce, nie do zniesienia, niby żółty owad, wyciągający swe złośliwe macki ku głębiom kiszek. Poczuł, że wnętrzności kurczą mu się jak przy nadchodzącej potrzebie fizjologicznej. Może i ja będę miał kiedyś taki nowotwór, najpierw małą kulkę, która będzie się rozrastała w brzuchu niby płód. Pewno poczuję

go, gdy zacznie się ruszać, zmieniać miejsce, szamocząc się jak somnambuliczne dziecko, wędrując po moich wnętrznościach, ślepy - schwycił się rękami za brzuch, by powstrzymać ostry ból - z mackami niespokojnie wysuniętymi w stronę cienia, szukający cieplej, gościnnej macicy, której nie znajdzie nigdy, a jego sto nóg fantastycznego stworu wplącze się w długą, żółtą pępowinę. Tak. Może ja - żołądek... - tak jak mój zmarły brat, będę miał tumor w brzuchu. Zapach z ogrodu, mocny, odpychający, wracał teraz w mdlącej otoczce. Było tak, jakby czas zatrzymał się na samym brzegu świtania. Jutrzenka za szybko wydawała się zwarzona, a z sąsiedniego pokoju, gdzie całą poprzednią noc leżały zwłoki, dochodził silny zapach aldehydu formaliny. Był to bez wątpienia inny zapach niż ten, który wpływał z ogrodu. Bardziej niepokojący, bardziej charakterystyczny niż tamta pomieszana woń różnorodnych kwiatów. Zapach, który od czasu gdy go poznał, potem już zawsze łączył mu się ze śmiercią. Był to lodowaty, a zarazem bujny zapach prosektorium. Wspomnił wnętrzności przechowywane w spirytusie, preparowane ptaki. Królik przesiąknięty formaliną staje się twardy, odwadnia się i traci swą miękką elastyczność, zmieniając się w królika nieustającego, wieczystego. Aldehyd formaliny. Skąd bierze się ten zapach? Jedyne sposoby na powstrzymanie rozkładu. Gdybyśmy my, ludzie, mieli w żyłach formalinę, byłibyśmy jak preparaty zanurzone w spirytusie.

Usłyszał z zewnątrz uderzenia nasilającego się deszczu, który stukał o szyby uchylonego okna. Świeże powietrze, radosne i nowe, wpłynęło pełne wilgoci. Chłód rąk jeszcze się wzmógł, i poczuł, że ma formalinę w żyłach. Jakby wilgoć z patia przeniknęła mu aż do kości. Wilgoć. Tam jest bardzo wilgotno. Z pewną niechęcią pomyślał o zimowych nocach, gdy deszcz wsiąknie w trawę, zaś wilgoć zacznie krążyć po ciele jego brata niby prawdziwy prąd. Wydało mu się, że zmarli potrzebują obiegu czegoś innego zamiast krwi, czegoś, co by popychało ich ku jakiejś śmierci nieodwracalnej i ostatecznej. W tym momencie byłby pragnął, by już więcej nie padało, by lato było ciągłą, wieczną porą roku. W związku z tymi myślami drażnił go uporczywy szelest deszczu o szyby. Byłby chciał, by glinka cementarna była sucha, zawsze su-

cha, niepokoiła go myśl, że za piętnaście dni, gdy wilgoć zacznie przenikać do nerwu pacierzowego, już nie będzie pod ziemią człowieka identycznie do niego podobnego.

Tak. Oni byli bliźniakami. Byli identyczni. Na pierwszy rzut oka nie do odróżnienia. Dawniej, kiedy każdy z nich żył swoim własnym życiem, byli tylko dwoma podobnymi do siebie braćmi bliźniakami, oddzielnymi, różnymi ludźmi. Duchowo nie mieli z sobą nic wspólnego. Ale teraz, gdy ta straszliwa rzeczywistość wdrapywała mu się na plecy niby bezkostne zwierzę, coś się rozplynęło w jego integralności, coś, co dawało o sobie znać pustką, jakby u jego boku otwarta się przepaść albo jakby nagle odrąbano mu połowę ciała, nie tego ciała określonego, anatomicznego, podlegającego dokładnym geometrycznym definicjom, nie tego ciała fizycznego, które teraz czuło strach, a tego drugiego ciała, poza nim, tego które wraz z nim tonęło w płynnej nocy matczynej łona, które wraz z nim sięgało skomplikowanych głębi genealogii, które wraz z nim istniało we krwi wszystkich czterech par pradziadów, które przyszło z dala, z początków świata, podtrzymując swym ciężarem, swą tajemniczą obecnością równowagę świata. Może on właśnie był z krwi Izaaka i Rebeki, był tym, co piętę brata trzymał ręką i pojawił się skacząc z generacji w generację, z nocy w noc, z pocałunku w pocałunek, z miłości w miłość, schodząc - niby w czasie nocnej podróży - poprzez żyły i jądra aż do łona ostatniej swej matki. Dopiero teraz tajemnicza ciągłość pokoleń ukazywała mu się bolesna i prawdziwa, teraz, gdy równowaga pękła i równanie stało się definitywne. Czuł, że czegoś brak w jego osobistej harmonii, w jego codziennej, pełnej integralności: Jakub definitywnie uwolnił się od niego i od jego kości.

Podczas choroby brata nie czuł tego, bo zmizerowana, zarośnięta twarz, zmieniona przez ból i gorączkę, przestała być podobna do jego własnej.

Ale gdy znieruchomiał na śmiertelnym łożu, wezwano cyrulika, aby "oporządził" zmarłego. On, wciśnięty w jakiś kąt, był obecny, gdy nadszedł biało ubrany człowiek z całym swoim "sprzętem". Z precyzją mistrza pokrył pianą brodę zmarłego - spienione usta; tak go zobaczyłem przed śmiercią - i powoli, jak ktoś, kto ma uchylić

niebывalej tajemnicy, zaczął go golić. Wtedy przyszła mu do głowy ta straszliwa myśl. W miarę wyłaniania się spod brzytwy bladego, ziemistego oblicza brata bliźniaka zaczynał czuć, że to coś nie jest mu obce, że ten trup jest z tej samej gliny, że jest jego powtórzeniem. Miał dziwne uczucie, że rodzina wyjęła z lustra jego podobiznę, tę, którą widywał, kiedy się golił, i że teraz, gdy odzwierciedlał wszystkie jego ruchy, obraz ten uniezależnił się od niego. Przecież co rano na niego patrzył, ale teraz był świadkiem dramatycznego doświadczenia, że oto ktoś goli jego podobiznę w lustrze, nie zwracając uwagi na jego obecność. Miał pewność, że gdyby zbliżył się do lustra, pozostałoby czyste, mimo że fizyka nie potrafiłaby wyjaśnić tego zjawiska. Była to świadomość rozdwojenia. Jego odbicie było trupem. Zrozpaczony, usiłując jakoś się wyzwolić, oparł się o twardą ścianę, odczuł jej uspokajający prąd. Cyrulik skończył swe zadanie i końcem nożyczek zamknął zmarłemu powieki. Rozedrgana noc zawarła się w nieodwracalnej samotności rozdartego ciała. Teraz byli jednakowi. Dwaj identyczni bracia, niepokojąco powtórzeni.

Dopiero wówczas gdy ogarnął ściśle powiązanie tych dwóch natur, przyszło mu do głowy, że musi zdarzyć się coś niezwykłego, nieoczekiwanego. Wyobraził sobie, że rozdzielenie w przestrzeni tych dwóch ciał jest tylko pozorne, że w rzeczywistości mają jedną wspólną, nierozłączną naturę. Może gdy organizm zmarłego zacznie się rozkładać, on, żywy, również zacznie rozkładać się wewnątrz swego ożywionego świata.

Usłyszał, że deszcz zaczyna z większą siłą bić o szyby, świerszcz zamilkł, jakby nagle pękła jego struna. Ręce miał teraz zimne wiecznym, odczłowieczonym zimnem. Nasilająca się woń formaliny sprawiła, że zaczął myśleć o włączeniu się w zgniliznę, którą stamtąd, z lodowatego dołu w ziemi, ofiarowywał mu brat. Co za absurd! A może jest odwrotnie? Może wpływ będzie wywierał ten, co pełen energii, pełen żywotności pozostał przy życiu? Może - na tej płaszczyźnie - tak on, jak brat pozostaną nieknięci, w ten sposób dowodząc równowagi pomiędzy życiem a śmiercią, broniąc się przed rozkładem. Ale któż mógł go o tym



zapewnić? Czyż nie było możliwe, by pogrzebany brat pozostał nienaruszony, a rozkład objął jego swymi błękitnymi mackami?

Uznał, że ostatnia hipoteza jest najprawdopodobniejsza, i zdecydował czekać na nadejście straszliwej swej godziny. Ciało jego zmiękło, wydelikatniało, wydało mu się, że całe pokrywa się jakąś błękitną substancją. Obwąchując się oczekiwał znaku ze strony własnego ciała, ale doszedł go tylko mocniejszy zapach formaliny z sąsiedniej izby i jego powonieniem wstrząsnął lodowaty, nieomylny dreszcz. Potem wszystko przestało go interesować. W kątku świerszcz usiłował podjąć zerwaną nić swego śpiewu, zaś wielka kropla zaczęła zbierać się na suficie nad samym środkiem pokoju. Wiedział, że w tym miejscu drzewo jest zmurszałe, więc bez zdziwienia usłyszał, że spada, ale wyobraził sobie, że to kropla czystej, dobrej, przyjaznej wody, idąca prosto z nieba, z lepszego życia, pełniejsza i nie obciążona idiotyzmami w rodzaju miłości, trawienia, bliźniaczości. Może ta kropla wypełni pokój w ciągu godziny, a może w ciągu tysiąca lat, i roztopi tę śmiertelną zbroję, tę daremną substancję, która może - bo dlaczegoż by nie? - w ciągu paru chwil nie będzie już niczym więcej niż gęstą zawiesiną białka i serum. Teraz wszystko było już obojętne. Między nim a jego grobem leżała tylko jego śmierć. Zrezygnowany posłyszał kroplę dużą, ciężką, celną, uderzającą o inny świat, o pomyłony, absurdalny świat zwierząt obdarzonych rozumem.

### **Ewa w środku kota**

Nagle zauważyła, że załamała się jej piękność, że zaczęła boleć ją fizycznie niby wrzód czy rak. Jeszcze pamiętała ciężar tego przywileju, który nosiła na swym ciele w okresie dorastania, a któremu teraz pozwoliła opaść - Bóg wie gdzie - ze zmęczoną rezygnacją, z ostatnim ruchem padającego zwierzęcia. Nie można było dłużej unosić tego ciężaru. Należało porzucić byle gdzie ów zbyteczny atrybut; ów kawałek imienia, które w miarę nabierania rozgłosu zaczynało ciążyć. Tak. Należało pozbyć się piękności w jakimkolwiek miejscu, za rogiem, na jakimś przedmieściu. Albo zostawić ją w szatni jakiejś drugorzędnej restauracji niby stare, bezużyteczne okrycie. Zmęczyło ją, że stale była ośrodkiem nie koń-

czących się uprzejmości, że była ścigana pożądaniem męskich spojrzeń. Kiedy noc wbijała w jej powieki szpileczki bezsenności, byłaby chciała być kobietą zwykłą, pozbawioną wszelkiej atrakcyjności. W czterech ścianach pokoju, w którym mieszkała, wszystko było jej wrogiem. W rozpaczy czuła, jak brak snu rozłazi jej się pod skórą, jak płynie przez głowę, pędząc temperaturę ku górze, ku korzonkom włosów. Miała uczucie, jakby jej arterie wypełniły się maleńkimi ciepłymi robaczkami, które budziły się przed świtem i w jakiejś podskórnej przygodzie ruchliwymi łapkami przebiegały ten kawałek owocującej gliny, która była siedliskiem jej piękności. Nadaremnie usiłowała umknąć tym straszliwym insektom. Nie było sposobu. Były częścią niej samej. Tkwiły tam, żywe, na wiele lat przedtem, zanim zaistniała jej fizyczna egzystencja. Pochodziły wprost z serca jej ojca, który karmił je boleściwie podczas swych rozpaczliwych, samotnych nocy. A może dostały się do jej arterii przez pępowinę łączącą ją z matką na samym początku stworzenia. Pewne było, że nie narodziły się spontanicznie wprost w jej ciele... Wiedziała, że pochodzą z dawnych czasów, że wszyscy noszący jej nazwisko znosili je niegdyś, że cierpieli przez nie tak jak ona, gdy bezsenność dawała im się we znaki aż do świtu. To były te same robaczki, które naznaczały gorzkim grymasem, nieutulonym smutkiem oblicza jej pradziadków. Znała te spojrzenia, te przygaszone oczy patrzące ze starych portretów, ich - ofiar tej samej nostalgii. Jeszcze pamiętała niepokojące oblicze prababki; ze starego płótna błagała ona te owady, które tkwiły w kanalikach krwi i dręczyły ją bez chwili przerwy, wciąż bezlitośnie ją upiększając, choć o chwilę spoczynku, choć o sekundę spokoju. Nie, te robaczki nie poczęły się w niej. Przenosiły się z pokolenia w pokolenie, podtrzymując swymi małymi pancierzami prestiż wybranej, boleśnie wybranej klasy. Zaległy się w brzuchu pierwszej matki mającej piękną córkę. Ale było konieczne, nieodzowne, natychmiastowe powstrzymanie tego dziedzictwa. Ktoś musiał zrezygnować z przenoszenia tej sztucznej piękności. Kobietom z ich gatunku do niczego nie służył własny podziw, kiedy przeglądały się w lustrach, skoro nocą te zwierzęta, pracując powoli, skutecznie i bez wypoczynku, niszczyły je z upo-

rem. To już nie była piękność, to była choroba, którą należało powstrzymać, raz na zawsze energicznie przeciąć.

Wciąż miała w pamięci nie kończące się godziny w łożu pełnym gorących igiełek, noc, gdy usiłowała popychać czas, aby doczekać nadejścia dnia, chwili, gdy te bestyjki przestawały się nad nią znęcać. Do czego służyła tak drogo opłacana piękność? Noc w noc pogrążona w rozpacz myślała, że zamiast tej urody niepotrzebnej, żywionej odziedziczonymi, zbliżającymi tylko nadejście nieuchronnej śmierci robaczkami, lepiej było być przeciętną kobietą, a może nawet mężczyzną. Byłaby może szczęśliwsza z brakiem wdzięku i rozpaczliwą brzydota swjej przyjaciółki, Czeszki o niewymawialnym nazwisku. Lepiej być brzydką, a za to cieszyć się spokojnym snem sprawiedliwych.

Przeklinała swych przodków. To oni byli winni jej bezsenności. To oni przekazali jej tę niezmienną idealną piękność, jakby po śmierci matek czyścili i odnawiali ich głowy, aby przeszczepić je na kadłuby córek. Jakby te głowy same przenosiły się wraz z identycznymi uszami, nosami, ustami, z pozbawioną polotu inteligencją na wszystkie kobiety, które musiały natychmiast przyjmować tę bolesną schedę urody. I tam to właśnie, w tych transmitowanych głowach, ukrywał się odwieczny mikroby, który poprzez pokolenia zaznaczył się, wyodrębnił, posiadał siłę, w końcu zmieniając się w to coś niezwykłego, w tę nieuleczalną, odziedziczoną w skomplikowanym procesie chorobę, która stała się nie do zniesienia, tak gorzka była i bolesna... Niby wrzód lub rak.

W czasie bezsennych godzin same rzeczy niemile narzucały się jej wrażliwości. Wspominała sentymentalny wszechświat, na którym niby na pożywce wyhodowały się te rozpaczliwe mikroby. W nocy, podczas gdy jej okrągłe zdumione oczy były szeroko otwarte, znosiła ciężar ciemności spadającej na skronie niby płynny ołów. Wokół niej (wszystkie przedmioty spały. Leżąc w swym kącie - aby jakoś się rozerwać - zanurzała się w swoje dziecięce wspomnienia. [ Ale te wspominki zawsze kończyły się lękiem przed czymś nieznanym. Myśl jej błądząca po ciemnych kątach domu stawiała twarzą w twarz ze strachem. Wtedy zaczynała się walka. Prawdziwa walka przeciw trzem niewzruszonym wrogom.

Nie mogłaby - nie, nie mogłaby nigdy w życiu - strząsnąć z siebie strachu. Musiała znosić (strach wszczepiony w gardło. A wszystko dlatego, że mieszkała w tym starym domu, że sama sypiała w tym kącie, oddzielona od reszty świata. Myśl jej stale błądziła po ciemnych, śliskich korytarzach, otrzepując ze starych portretów suchy, pokryty pajęczynami kurz. Ten kurz niepokojący, okropny, padający z góry, z miejsca, gdzie rozsypywały się kości jej przodków. Nieodmiennie zaczynała myśleć o "dziecku". Wyobrażała je sobie tam, •somnambulicznie uśpione pod trawą na patio, obok pomarańczowego drzewa, z garścią wilgotnej ziemi w buzi. •Wydawało się jej, że widzi je w gliniastym dole, orzące w górę paznokciami, zębami, by uciec od zimna gryzącego >je w plecy, szukające wyjścia na patio tym wąskim tunelem, przez który je wepchnięto wraz ze ślimakami. Zimą słyszała jego szloch cichutki, ubłocony, przemoczony deszczem. Wyobrażała je sobie nie- tknięte, takie, jakim położono je pięć lat temu do tej wypełnionej wodą dziury. Nie mogła myśleć o tym, że zgniło. Przeciwnie, musiało wyglądać prześlicznie, pływające w tej gęstej wodzie, w podróży bez kresu. Albo też widziała je żywe, lecz przestraszone, wylęknione, że zostało samo, pogrzebane na tym ciemnym patio. Ona nie chciała, by je pozostawiono tam, pod drzewem pomarańczowym, tak blisko domu. Bała się go. Wiedziała, że podczas bezsennych nocy ono to odgadnie. Powróci przez szerokie korytarze, prosząc, by dotrzymała mu towarzystwa, prosząc, by je broniła od tych robaków, które zjadają korzonki jego fiołków. Powróci, prosząc, by pozwoliła mu spać u swego boku, tak jak za życia. Ale ona bała się czuć je znowu u swego boku, po tym jak przekroczyło mur śmierci. Bała się tych rączek, które będzie zaciskało w piąstki, chcąc je w ten sposób ogrzać. Ona zaś, po tym jak je zobaczyła zamienione w cement, niby w posąg strachu w otchłani, chciała, by zabrano je gdzieś daleko, aby nie przypominało jej się nocą. A jednak zostawiono je tutaj, gdzie teraz trwa niewzruszone, nędzne, żywiąc swą krew błotem pełnym glist. Ona zaś musiała się godzić na to, że zobaczy je, powracające z ciemności. Bowiem zawsze, nieodmiennie, gdy sen uciekał, zaczynała myśleć o "dziecku", któ-

re niechybnie woła do niej ze swego kawałka ziemi, by pomogła umknąć mu z tej absurdalnej śmierci.

Ale teraz, w swoim nowym życiu, pozaczasowym i pozaprze-strzennym, była jakaś spokojniejsza. Wiedziała, że tam, za granicami jej świata, wszystko i tak idzie dawnym trybem, że jej pokój jeszcze ogarnięty jest świtem, a jej rzeczy, meble, trzynaście ukochanych książek, pozostają na miejscu. I że z jej opustoszałego łóżka zaczyna ulatniać się zapach jej ciała, zajmujący teraz puste miejsce żywej kobiety. Chociaż jak się "to" zdarzyło? Jak ona, uprzednio będąca piękną kobietą z krwią pełną robaczek, kobietą przez całe noce dręczoną strachem, pozbyła się olbrzymiego koszmaru bezsenności i wniknęła w jakiś dziwny, nieznany, pozawymiarowy świat? Przypomniała sobie. Owej nocy - owej nocy przemiany - było chłodniej niż zazwyczaj, ona była w domu, udręczona bezsennością. Nic nie przerywało ciszy, a zapach dochodzący z ogrodu był zapachem lęku. Pot oblewał jej ciało, jakby krew uchodziła z jej żył pod naporem robaczek. Pragnęła, by ktoś przeszedł po ulicy, ktoś, kto by krzyczał, kto by przełamał ten stojący niby woda nastrój. Pragnęła, żeby coś poruszyło się w naturze, by Ziemia zaczęła się kręcić dookoła słońca. Ale nadaremnie. Nawet ci idioci, którzy spali pod jej uchem ukryci w poduszce, nawet ci nie przebudzą się teraz. Ona także leżała nieporuszona. Ze ścian dobywał się mocny zapach świeżej farby, ten gęsty zapach, który odczuwa się nie w nosie, lecz w żołądku. A na stole jedyny zegarek przerywał ciszę swą śmiertelną maszynką. "Czasie., och, czasie...", westchnęła, wspomniawszy śmierć. A tam na patio, pod pomarańczowym drzewkiem, "dziecko" płakało nadal swym cichym, pozagrobowym płaczem.

Spięła się wewnątrz. Dlaczego nie zacznie świtać w tym momencie, dlaczego ona nie umrze raz wreszcie? Nigdy nie myślała, że piękność będzie wymagała od niej aż takich ofiar. W tej chwili - jak zwykle - ponad lękiem czuła ból, a pod lękiem dręczyły ją te nieubłagane robaczki. Śmierć przywarła do życia niby jadłowity, zdecydowany zabić pająk. Ale ostatni moment nie nadchodził. Jej ręce, te ręce, które ludzie bezsensownie zaciskają z widoczną zwierzęcą nerwowością, były nieruchome, sparaliżowa-

ne strachem, tym irracjonalnym wewnętrznym przerażeniem, pozabawionym innej przyczyny prócz tej, że czuła się opuszczona i samotna w tym starym domiszczu. Usiłowała jakoś zareagować, ale nie była w stanie. Strach całkowicie ją pochłonął i tkwił nadal nieporuszony, uparty, niemal cielesny, jak niewidoczna osoba, zdecydowany nie opuszczać jej pokoju. Najbardziej niepokoił ją fakt, że strach ten nie miał najmniejszego wytłumaczenia, że był to strach bezmyślny, po prostu strach.

Poczuła, jak jej na języku gęstnieje ślina. Męcząca była ta guma między zębami, przylepiająca się do podniebienia i cieknąca niezależnie od woli, ale nie mogła jej powstrzymać. Nie było to pragnienie. Coś wyższego, coś, czego doznawała po raz pierwszy w życiu. Na chwilę zapomniała o swej piękności, o swej bezsenności, o swym irracjonalnym strachu. Poczuła, że w ogóle nie zna samej siebie. Przez chwilę pomyślała, że może mikroby opuszczają jej ciało. Czuła, że kleją się do jej śliny. Tak, i to było dobrze. Robaczki opuściły ją, teraz będzie mogła spać, tylko koniecznie trzeba znaleźć sposób na rozpuszczenie tej żywicy oklejającej język. Gdybyż mogła iść do spiżarni i... O czym myślała? Zdumiała się. Takiego życzenia nie miała jeszcze nigdy. Gwałtowna potrzeba tego kwasu dosłownie osłabiła ją, niwecząc dyscyplinę, którą narzuciła sobie od tyłu lat, od dnia, kiedy pochowano "dziecko". To było głupie, ale od tego czasu czuła obrzydzenie na myśl o pomarańczy. Wiedziała, że dziecko przeniknęło do kwiatów, że owoce w jesieni nabrzmiały są jego ciałem, ochłodzone zimnem jego śmierci. Nie. Nie. Nie mogła ich jeść. Wiedziała, że pod każdym drzewem pomarańczowym na całym świecie pogrzebane jest jakieś dziecko, które osładza owoce wapnem swych kości. A jednak teraz chciała zjeść pomarańczę. To było jedynym lekarstwem na tę gumę, która ją dławiła. Cóż za bzdura myśleć, że "dziecko" tkwi w owocu. Skorzysta z chwili, w której piękność przestanie ją boleć, ażeby pójść do spiżarni. Chociaż... czyż to nie dziwne, że pierwszy raz w życiu czuje ochotę na pomarańczę? Zrobiło jej się wesoło, wesoło. Co za przyjemność... zjeść pomarańczę! Nie wiedziała, dlaczego nigdy żadne pragnienie nie narzuciło jej się z taką siłą. Wstanie, szczęśliwa, że znowu jest normalną kobietą, nucąc

dojdzie aż do sklepiku, wesola niby nowa, nowo narodzona kobieta. Dojdzie do patia i...

Jej wspomnienie nagle załamywało się. Pamiętała, że usiłowała wstać, że już nie była w swym łóżku, że ciało jej znikło, że nie było już jej trzynastu ulubionych książek, że nie była już sobą. Teraz była bezcielesna, unosiła się w powietrzu, ponad całkowitą nicością, zamieniona w amorficzny, maleński, bezkierunkowy punkt. Nie mogła określić tego, co się stało. Wszystko jej się myliło. Miała uczucie, że ktoś pchnął ją w pustkę z brzegu nad przepaścią, miała uczucie, że jest zmieniona w abstrakcję, w wymaginowany stwór. Czuła się przemieniona w bezcielesną kobietę, jakby niespodziewanie wniknęła nagle w wysoki, nieznaną świat czystego ducha.

Znowu zaczęła się bać. Ale był to strach inny od poprzedniego. Teraz już nie bała się "dziecka". Teraz bała się tego czegoś nieznanego, tajemniczego, dziwnego, swego nowego świata. I pomyśleć, że wszystko to stało się tak niewinnie, z taką naiwnością z jej strony! Co powie matce, gdy ta po powrocie do domu zobaczy, co się stało? Zaczęła myśleć o tym, jak dalece to zdarzenie zaalarmuje sąsiadów, którzy otworzą drzwi do jej pokoju i odkryją, że łóżko jest puste, a zamki nietknięte, że nikt nie wszedł ani nie wyszedł, a jej już nie ma. Wyobraziła sobie rozpaczliwy wyraz twarzy matki szukającej jej po całym pokoju, wysuwającej przypuszczenia, pytającej samą siebie: "Co też się stało z córką?". Widziała to bardzo jasno. Nadbiegną sąsiedzi, zaczną snuć komentarze - niektóre nawet złośliwe - na temat jej zniknięcia. Każdy będzie myślał na swój sposób. Każdy będzie usiłował wysuwać najlogiczniejsze, a w każdym razie najłatwiejsze do przyjęcia hipotezy. Zrozpaczona matka będzie biegła po korytarzach, po zakamarkach tego wielkiego domu, wołając ją po imieniu.

A ona będzie tutaj. Będzie dokładnie obserwowała to, co się dzieje, z kącika, z dachu, z pęknięć w ścianach, byle skąd, z najdogodniejszego miejsca, osłonięta swą bezcielesnością, swym nieistnieniem. Myśl o tym niepokoiła ją. Teraz już widziała swój błąd. Nie będzie w stanie niczego wyjaśnić, niczego wytłumaczyć, nikogo pocieszyć. Żadna żywa istota nie zostanie poinformowana

o jej przeobrażeniu. Teraz - chyba jeden jedyny raz, kiedy ich potrzebowała - nie ma ust ani ramion, aby wszystkim powiedzieć, że jest tu, w swoim kącie, od trójwymiarowego świata oddzielona przestrzenią nie do przebycia, w swym nowym życiu tak izolowana, że niezdolna odbierać żadnych wrażeń. Ale przez cały czas coś się w niej zmieniało, ciało jej zalewało jakieś drzenie, coś nakazywało jej odczuwać ten fizyczny wszechświat, który porusza się poza jej wszechświatem. Nie słyszała, nie widziała, ale wiedziała o tych dźwiękach i o tych obrazach. I tam, w swoim wyższym świecie, zaczynała już wiedzieć, że tu również ogarnia ją niepokój.

Zaledwie sekunda upłynęła - sekunda obliczona zgodnie z naszym, ziemskim czasem - od chwili przemiany, tak że dopiero teraz zaczynała poznawać maniery, cechy charakterystyczne tego nowego świata. Dookoła niej panowała całkowita, absolutna ciemność. Jak długo będą trwały te ciemności? Czy ma się do nich przyzwyczaić na zawsze? Jej niepokój jeszcze się skoncentrował, gdy poczuła, że sama tonie w tej głębokiej, nieprzeniknionej mgłę. Czyżby była w Otchłani? Wzdrygnęła się. Przypomniała sobie wszystko to, co niegdyś słyszała o Otchłani. Jeżeli rzeczywiście tam była, obok niej fruwały duchy dzieci od tysięcy lat umierających bez chrztu. W ciemnościach usiłowała odczuć sąsiedztwo tych istot, o ileż czyściejszych, o ileż mniej skomplikowanych niż ona. Oddzielona całkowicie od fizycznego świata, skazana na życie lunatyczne i wieczne. Może było tu i "dziecko", szukające jakiegoś sposobu połączenia się ze swym ciałkiem?

Chociaż nie. Dlaczegoż by miała być w Otchłani? Czyż umarła? Nie. Po prostu zmienił się jej stan, nastąpiło normalne przejście ze świata fizycznego do innego, łatwiejszego, mniej skomplikowanego, pozbawionego wymiarów. i Teraz nie będzie już cierpieć od tych podskórnych robaczków. Jej piękność zaczęła nikać. Teraz, w tej elementarnie prostej sytuacji, będzie mogła być szczęśliwa. Chociaż... nie całkowicie, bo właśnie teraz jej największe pragnienie, jej pragnienie, by zjeść pomarańczę, stało się nie do spełnienia. Był to jedyny powód, dla którego byłaby chciała tkwić jeszcze w swym poprzednim życiu. Ażeby móc ustąpić przed tą gwał-



towną potrzebą kwasu, która trwała w niej nawet po przemianie. Usiłowała rozejrzeć się, jakoś dojść do spiżarni i chociaż poczuć, obok siebie te świeże, kwaśne pomarańcze. Wtedy odkryła nową cechę swego świata: wszechobecność; znajdowała się we wszystkich częściach domu, na patio, na dachu, nawet pod drzewkiem pomarańczowym "dziecka". Była w całym fizycznym świecie - a jednak nie była nigdzie. Znowu zaniepokoiła się. Straciła samokontrolę. Teraz podlegała jakiejś wyższej woli, była stworzeniem niepotrzebnym, absurdalnym, bezużytecznym. Sama nie wiedząc czemu, posmutniała. Zaczęła niemal tęsknić za swą pięknnością, za tą pięknnością, którą tak głupio zmarnowała.

Ale ożywiła ją inna myśl. Czyż nie słyszała, jak mówiono, że czyste duchy mogą dowolnie wnikać w każde ciało? W końcu, co mogła stracić, próbując? Usiłowała sobie przypomnieć, którego z mieszkańców domu można by poddać tej próbie. Jeżeli uda się jej zrealizować swój zamiar, będzie zadowolona, będzie mogła zjeść wymarzoną pomarańczę. Przypomniała sobie, że o tej porze służby zazwyczaj nie ma w domu. Matka jeszcze nie nadeszła. Ale potrzeba zjedzenia pomarańczy, teraz połączona z ciekawością wcielenia się w cudze ciało, zmuszała ją do jak najszybszego działania. Nie było jednak nikogo, w kogo by można się wcielić, przyczyna była wręcz rozpaczliwa: dom był pusty. A więc będzie musiała być zawsze oddzielona od świata zewnętrznego, żyć w swym pozawymiarowym świecie, nie mogąc zjeść swej pierwszej pomarańczy. A wszystko przez takie głupstwo. Już chyba lepiej było znosić jeszcze parę lat tę wrogą pięknność, niż zostać unicestwioną na zawsze, niepotrzebną, jak zabite zwierzę. Lecz było za późno.

Zdecydowała wycofać się w jakieś odległe regiony wszechświata, gdzieś, gdzie będzie mogła zapomnieć o wszystkich swych ziemskich pragnieniach. Ale coś nagle ją wstrzymało. W tej nieznannej okolicy otwarła się obietnica lepszej przyszłości. Bo oto znalazł się w domu ktoś, w kogo będzie można się wcielić: kot! Tu zawahała się: niełatwo zdecydować się na to, by ożyć w zwierzęciu. Będzie miała futerko miękkie, białe, w mięśniach ukrytą potęgę skoku. Nocą będzie czuła, jak w ciemnościach błyszczą jej oczy niby dwa zielone płomienie. Będzie miała zęby ostre, spicza-

ste, białe, aby uśmiechać się do matki z głębi swego kociego serca szerokim, poczciwym zwierzęcym uśmiechem. Ale nie. To niemożliwe. Nagle wyobraziła sobie siebie w ciele kota, biegającą po zakamarkach domu, używającą aż czterech zawadzających nóg i tego ogona, który będzie ruszał się sam, bez rytmu, niezależnie od jej woli... Jakie będzie życie widziane przez te oczy zielone i świetliste? Nocą miauczałyby do nieba, prosząc, by nie rozlewało swego księżycowego cementu na buzię "dziecka", leżącego na wznak, pijącego rosę. Może jako kot również czułaby lęk... A wreszcie może nie byłaby w stanie swym mięsożernym pyszczkiem zjeść pomarańczy? Jakieś zimno stamtąd, zimno zrodzone "r samych korzeniach jej ducha, zadrżało na tę myśl. Nie. (Niemożliwe jest wcielić się w kota. Bała się, że któregoś dnia na podniebieniu, w gardle, w całym swym czworonożnym organizmie poczuje nieopanowaną ochotę, by pożreć mysz. Może gdy jej duch zacznie zamieszkiwać kocie ciało, już nie będzie miała ochoty na pomarańczę, •tylko poczuje obrzydliwą, dziką chęć pożarcia myszy. .. Wzdrygnęła się na myśl trzymania jej w zębach zaraz po schwyceniu. Poczula, jak ściska ją, podczas gdy tamta mocije się w ostatnich próbach, usiłowaniach ucieczki, chcąc się uwolnić, wrócić do norki. Wszystko byle nie to. Już lepiej zostać tu na zawsze w tym dalekim, tajemniczym świecie czystych duchów.

Ale niełatwo jest zdecydować się na życie w wiecznym ^zapomnieniu. Dlaczegoż miałyby koniecznie chcieć złapać mysz? Kto wie, co przeważyłyby w tej syntezie kobiety i kota. Instynkt zwierzęcy, prymitywny instynkt ciała, czy też kobieca wola? Odpowiedź była przejrzysta, jasna. Nie należało niczego się obawiać. Wcieli się w kota i zje swoją wymarzoną pomarańczę. W dodatku będzie dziwnym stworem: kotem o inteligencji pięknej kobiety. Znowu będzie w centrum uwagi... Wtedy po raz pierwszy zrozumiała, że nad wszystkimi cechami przeważa metafizyczna kobieca próżność.

Tak jak owad, który nastawia swe czułki, tak ona całą swą energię skierowała na szukanie po domu kota. O tej porze powinien był jeszcze spać na piecu, śniąc, że zbudzi się z łodyżką waleriany w zębach. Ale nie było go tam. Gdy znowu zaczęła go

szukać, me znalazła już pieca. Kuchnia także była odmieniona Nie poznawała domowych kątów. To już nie były te znane ciemne zakamarki pełne pajęczyny. Kota nigdzie nie było. Szukała go na dachu, na drzewach, w kanałach, pod łóżkiem, w spiżarni. Wszystko było jakieś pomieszane. Tam gdzie powinny były być portrety jej przodków, znalazła tylko flaszeczkę arszeniku. Od tej chwili natykała się w całym domu na arszenik, ale kot znikł. Dom już nie był ten sam. Co się stało z jej rzeczami? Dlaczego jej trzysta ulubionych książek pokrywała teraz gęsta warstwa arszeniku? Pomyślała o drzewie pomarańczowym na patio i poszła go szukać, chcąc również odnaleźć dziecko we wgłębieniu pełnym wody. Ale nie znalazła na swoim miejscu drzewka, a "dziecko" było już tylko garstką arszeniku i popiołem pod ciężką platformą z cementu. Teraz naprawdę spało już snem wiecznym. Wszystko było odmienione. Zapach arszeniku bił z domu w noc, drażniąc powonienie tak jak zapach z apteki.

Dopiero wtedy zrozumiała, że już trzy tysiące lat upłynęło od dnia, kiedy poczuła ochotę, by zjeść pierwszą pomarańczę.

### **Gorycz dla trzech lunatyków**

Teraz mieliśmy ją tu tkwiącą w kącie domu. Zanim przynieśliśmy jej rzeczy - ubranie pachnące świeżym drzewem, lekkie kalosze - ktoś powiedział nam, że nie mogła przyzwycząić się do tego powoli płynącego życia, pozbawionego słodkich zapachów, pozbawionego wszelkich innych atrakcji prócz tej samotności twardej, solidnej, tuż za plecami. Ktoś nam powiedział - a wiele czasu miało upłynąć, zanim sobie o tym przypomniał - że i ona miała dzieciństwo. Może wtedy w ogóle nie uwierzyliśmy w to. Ale teraz, widząc ją w kącie, z zamyślonymi oczami i palcem na wargach, uznaliśmy, że i ona miała kiedyś dzieciństwo, że kiedyś miała dotyk wrażliwy na świeżość zapowiadającą deszcz i profil zawsze wystawiony na nieoczekiwany cień.

We wszystko to - i w wiele więcej - uwierzyliśmy tego popołudnia, kiedy zrozumieliśmy, że gdzieś poza swym straszliwym światkiem jest całkowicie ludzka. Zrozumieliśmy to, gdy niespodziewanie - jakby nagle w środku pękła jakaś szyba - zaczęła wy-

dawać okrzyki przerażenia, wołać każde z nas po imieniu, mówiąc coś przez łzy aż do chwili, gdy usiedliśmy obok niej; zaczęliśmy wtedy śpiewać i klaskać w dłonie, jakby nasze okrzyki mogły skleić to rozbite szkło. Dopiero wtedy jednak uwierzyliśmy, że kiedyś miała dzieciństwo. To było tak, jakby jej krzyki miały w sobie coś z objawienia. Jakby miały w sobie coś z pamiętanego drzewa, z głębokiej rzeki, kiedy pochylając się ku przodowi wstała i jeszcze nie zasłaniając twarzy fartuszkami, jeszcze nie wytarłszy nosa, jeszcze wśród łez powiedziała:

- Już się nigdy nie uśmiechnę.

Wszyscy troje wyszliśmy na patio bez słowa, tak jakbyśmy byli pewni, że mamy wspólne myśli. Może myśleliśmy, że nie należy zapalać w domu wszystkich świateł. Może chciała być sama, może chciała siedzieć w ciemnym kącie, zaplatając ostatni warkocz, który był chyba jedyną rzeczą mającą przetrwać dłużej.

Na zewnątrz, na patio, zagłębieni w głębokim oddechu owadów, usiedliśmy, by pomyśleć o niej. Robiliśmy to już uprzednio. Mogliśmy rzec, że robimy to, co robiliśmy każdego dnia przez całe życie.

Ale tego wieczoru było inaczej: powiedziała, że nie uśmiechnie się więcej, a my, którzyśmy tak dobrze ją znali, mieliśmy pewność, że koszmar stał się prawdą. Siedząc, wyobrażaliśmy ją sobie w środku między nami, abstrakcyjną, nie słyszącą już nawet nieskończonego tykania zegarów odmierzających wyraźnie, dokładnie tempo, z jakim zmieniała się w proch: "Gdybyśmy chociaż mieli dość odwagi, by życzyć jej śmierci", myśleliśmy chórem. Ale kochaliśmy ją taką właśnie: brzydką i lodowatą, niby maleńki przyczynek do naszych ukrytych defektów.

Byliśmy dorośli od dawna, od bardzo długiego już czasu. Ona jednak była najstarsza w domu. Tej nocy mogła być tutaj, siedzieć wraz z nami, otoczona zdrowymi dziećmi, czując łagodny puls gwiazd. Gdyby była żoną porządnego mieszczanina lub konkubiną jakiegoś akuratnego pana, byłaby czcigodną panią domu. Ale przyzwyczaiła się żyć w jednym jedynym wymiarze, niby linia prosta, dlatego może jej wad ani zalet nie byto widać z profilu. Już od wielu lat to wszystko wiedzieliśmy. Nawet nie zdziwiliśmy się,

gdy pewnego ranka znaleźliśmy ją leżącą na patio na brzuchu, gryzącą ziemię w jakiejś upartej ekstazie. Uśmiechnęła się, popatrzyła na nas; spadła z okna drugiego piętra na twardą glinę patia i pozostała tam sztywna, brzuchem w wilgotnym błocie. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że jej jedynym nienaruszonym uczuciem był lęk przestrzeni, naturalny lęk przed próżnią. Podnieśliśmy ją za ramiona. Nie była tak twarda, jak nam się na początku wydawało. Przeciwnie, rozpadła się, niezależnie od swej woli, niaby nieboszczyk jeszcze ciepły, jeszcze nie zaczynający sztywnieć.

Oczy miała otwarte, usta brudne od tej ziemi, która tworzyła już osad trumienny, kiedy położyliśmy ją twarzą do słońca, a było to tak, jakbyśmy ją postawili przed lustrem. Obrzuciła nas po kolei zgaszonym, bezpłciowym spojrzeniem, które ukazało nam - mimo że ją trzymałem w ramionach - bezmiar jej nieobecności. Ktoś powiedział, że nie żyje: a ona pozostała już z tym uśmiechem zimnym i spokojnym, z jakim nie śpiąc przechadzała się po domu. Powiedziała, że nie ma pojęcia, jak znalazła się na patio. Powiedziała, że zrobiło jej się gorąco, że usłyszała głos świerszcza, przenikliwy, ostry, który - tak powiedziała - chciał obalić ścianę jej pokoju, więc zaczęła sobie przypominać niedzielne modlitwy z policzkiem przytulonym do cementowej podłogi.

A mimo to wiedzieliśmy, że nie mogła przypomnieć sobie żadnych modlitw, tak jak potem dowiedzieliśmy się, że straciła poczucie czasu, kiedy powiedziała, że zasnęła podtrzymując od środka ścianę, którą świerszcz popychał z zewnątrz, i że spała, gdy ktoś, biorąc ją za ramiona, odsunął ścianę i postawił ją twarzą do słońca.

Tego wieczoru, siedząc na patio, wiedzieliśmy już, że więcej się nie uśmiechnie. Może z góry zabolęła nas jej uporczywa powaga, jej ciemna, dobrowolna decyzja, tak jak zabolęła nas inna decyzja w dniu, kiedy zobaczyliśmy, że zasiada w kącie (w którym i teraz się znajduje), i kiedy usłyszeliśmy, jak mówi, że nie będzie się więcej ruszała z domu. Z początku nie byliśmy w stanie uwierzyć. Przez całe miesiące widzieliśmy ją łażącą z pokoju do pokoju o każdej porze, z głową sztywną i opadniętymi ramionami, nigdy nie zatrzymującą się, nigdy nie zmęczoną. Nocami słyszeliśmy

szelest jej ciała ciężko poruszający się pośród ciemności i nieraz nie zasypialiśmy, by leżąc w łóżkach słuchać jej milczącego stąpania, by słuchem towarzyszyć jej w wędrówkach po całym domu. Kiedyś powiedziała nam, że zobaczyła świerszcza w tafli lustra, zatopionego w skrzepłej przejrzystości, i że wniknęła w lustro, żeby do niego się dostać; nie wiedzieliśmy, co w gruncie rzeczy chciała nam powiedzieć, ale wszyscy zobaczyliśmy, że to, co ma na sobie, jest mokre, przyklepione do ciała, jakby dopiero co wyszła ze stawu. Nie usiłując zrozumieć tego zjawiska, postanowiliśmy skończyć z robactwem w domu: zniszczyć to, co powodowało jej obsesję.

Kazaliśmy umyć ściany, wyciąć krzaczki na patio i było tak, jakbyśmy do ostatka oczyścili nocną ciszę. Ale już nie słyszeliśmy, jak chodzi ani jak przemawia do świerszczy, aż do dnia, gdy po ostatnim posiłku spojrzała na nas, usiadła na cementowej podłodze i wciąż jeszcze na nas patrząc, powiedziała: "Będę tutaj siedziała". A myśmy się wzdrygnęli, bo zobaczyliśmy, że zaczyna upodabniać się do czegoś, co było właściwie śmiercią.

To było już dawno i nawet w końcu przyzwyczailiśmy się do jej widoku, siedziała z nigdy nie zaplecionym do końca warkoczem, jakby się rozpływała w swej samotności, jakby straciła, chociaż było ją widać, zdolność obecności. Dlatego teraz zrozumieliśmy, że więcej się nie uśmiechnie. Bo oznajmiła to w sposób zdecydowany i nieugięty, jak kiedyś powiedziała, że nie będzie więcej chodziła. To było tak, jakbyśmy byli przekonani, że trochę później powie nam: "Nie będę więcej widziała" albo "Nie będę więcej słyszała", a wiedzieliśmy, że jest dostatecznie ludzka i że dobrowolnie będzie eliminowała zmysł za zmysłem aż do dnia, gdy zastaniemy ją opartą o ścianę, tak jakby po raz pierwszy w życiu zasnęła. Może nieprędko to nastąpi, ale wszyscy troje, siedząc owej nocy na patio, bylibyśmy pragnęli usłyszeć jej szloch, ostry, nagły głos tłukącego się szkła, chociaż po to, by móc łudzić się, że w tym domu narodziła się dziewczynka. A żeby wierzyć, że na nowo się narodziła.

## **Dialog lustra**

Po długich godzinach snu, w którym nareszcie zapomniał o wszystkich kłopotach i przykrościach nadchodzącego ranka, zbudził się, kiedy słońce było już wysoko, a hałas miasta wypełniał półotwarty pokój. Musiał pomyśleć z troską - będąc w takim, a nie innym stanie ducha - o śmierci, o związanym z nią strachu, o kawałku błota - a może gliny - który brat z pewnością ma pod językiem. Ale rozkoszne słońce zalewające ogród zwróciło jego uwagę ku innemu życiu, zwykłemu, bardziej ziemskiemu, zresztą może i mniej prawdziwemu niż jego straszliwa wewnętrzna egzystencja, ku życiu zwykłego człowieka - tego pospolitego zwierzęcia - które to życie, zupełnie się nie licząc z jego systemem nerwowym, z jego wrażliwą wątrobą, przypominało mu, że nie może sobie pozwolić na długie spanie jak zwykły mieszczuch; wspominał - i z pewnością było w tym coś z burżuazyjnej matematyki opierającej się na sztucznych cyfrach - finansowe łamigłówki w biurze.

Ósma dwanaście. Murowanie się spóźni. Czubkami palców przesunął po policzkach. Chropowata skóra, pokryta jakby rżyskiem, zostawiła mu na opuszkach dotyk ostrych włosów. Potem ze spokojem chirurga, który zna jądro nowotworu, otwartą dłońią pomacał się starannie po policzku i nagle uświadomił sobie, że czuje twardą substancję prawdy, którą czasem zacierał w nim strach: tam, pod opuszkami palców (a potem wręcz kość o kość) jego anatomia nieodwracalnie ukryła porządek składników, ciasny świat tkanek - mniejszych, wspierających go światów t- czyniący z jego szkieletu coś mniej trwałego niż naturalne ostateczne ułożenie kości.

Tak. Gdy głowę ma się zatopioną w miękkości poduszki, a wszystkie organy w stanie spoczynku, "poziome" życie lepiej przystosowuje się do swych zadań. Wiedział, że przy minimalnym wysiłku opuszczenia powiek ta długa, męcząca praca, która je czeka, zacznie dokonywać jjię w klimacie prostym, wyzwolonym z czasu i przestrzeni, a przy końcu chemicznej przygody, będącej jego ciałem, nie zdarzy się żadne uchybienie. Przeciwnie, w ten sposób, z opuszczonymi powiekami, można zachować pełną ekonomię sił żywotnych, całkowicie unikając wszelkich organicznych

strat. Jego ciało zanurzone w wodzie snu będzie mogło poruszać się, żyć, ewoluować ku innym formom egzystencji, które sprawiają, że jego realny świat Qsiągnie dla swoich osobistych potrzeb takie samo - o ile nie większe - natężenie przeżyć, a witalne potrzeby będą zaspokojone bez uszczerbku dla jego fizycznej integralności. Wtedy współzycie z istotami i przedmiotami będzie o wiele łatwiejsze, a mimo to podobne do współzycia w świecie realnym. Obowiązki golenia się, jazdy autobusem, załatwiania spraw biurowych będą we śnie proste i nieskomplikowane, a w rezultacie dadzą mu to samo zadowolenie. i Tak. Lepiej było robić to w tej sztucznej formie, w jakiej robił to dotąd, szukając w oświetlonym pokoju trapezu lustra. Tak jakby to robił dalej, gdyby w owej chwili ciężka, brutalna i absurdalna machina nie zrujnowała cieplej tkanki początków jego snu. Teraz, skoro wraca do konwencjonalnego świata, zagadnienie to nabiera poważniejszego charakteru. Niemniej ciekawa teoria, jaką nasunęła mu jego apatia, ułatwiła mu zrozumienie i z samej głębi swego człowieczeństwa poczuł, że kąciki ust rozsuwają mu się w mimowolnym uśmiechu. Troszkę zdenerwowany, w głębi duszy jednak się uśmiechał. "Musieć się golić, kiedy za dwadzieścia minut powinien mieć nos w papierach". Kąpiel osiem, no w pośpiechu pięć, śniadanie siedem. Niedobre stare kiełbaski. Buda Mabel - mydło i powidło, rozmaitości, śruby, leki i likiery, zupełnie jak puszka tej... zaraz, czyja ona była? Bóg jeden wie, zapomniałem. (Autobus psuje się we wtorki i jedzie siedem). Pendora. Nie. Peldora. Nie. Jakoś inaczej. Razem pół godziny. Nie ma czasu. Zapomniałem tego słowa, no, taka puszka, gdzie można wszystko znaleźć. Pendora. Zaczyna się na "p".

Z lustra na wprost umywalki ktoś w szlafroku, zaspany, roztarzany, nie ogolony, rzucił na niego znudzone spojrzenie. Wzdrygnął się, niteczka zimna przebiegła mu po plecach, gdy odkrył w swej twarzy obraz zmarłego brata. To samo zmęczenie, to samo spojrzenie ciągle jakby nie dobudzone.

Przy nowym ruchu wraz z miłym uśmiechem w lustrze pojawiło się światło, gdy jednak znikło, równocześnie, wbrew jego woli, na twarzy ukazał się groteskowy grymas. Woda. Gorący strumień



stał się zbyt mocny, wprost ulewny, fala białej i gęstej pary oddzieliła go od lustra. W ten sposób szybkim ruchem, korzystając z przerwy, udało mu się jakoś pogodzić z własnym czasem i z wewnętrznym czasem rtęci.

Chmura pary, już rozwiana, ukazała mu nowe oblicze, mętne z powodu dolegliwości, matematycznych praw, za pomocą których geometria wynalazła nowy rodzaj objętości, konkretną formę światła. Tam, naprzeciw niego, twarz pulsowała jego własną obecnością, odmieniona wyrazem powagi równocześnie uśmiechniętej i kpiącej, pochylona nad innym wilgotnym lustrem, które wyłoniło się spoza gęstej pary.

Uśmiechnął się (uśmiechnął się). Pokazał - sobie samemu język (pokazał temu rzeczywistemu język). Ten w lustrze miał biały, obłożony. "Masz niestrawność", zawyrokował robiąc grymas. Znowu się uśmiechnął (znowu się uśmiechnął). Ale teraz mógł zauważyć, że w uśmiechu, który do niego powracał, jest coś głupiego, sztucznego, fałszywego. Przygłodził włosy (przygłodził włosy) prawą ręką (lewą ręką), aby natychmiast rzucić mu zawstydzone spojrzenie (i zniknąć). Dziwiło go własne zachowanie: stawanie naprzeciw lustra i wygłupianie się jak kretyn. Ale pomyślał, że w sumie wszyscy jednakowo reagują na lustra, i skonstatował (zły), że wobec tego wszyscy są idiotami, on również po prostu składa daninę pospolitości. Ósma osiemnaście.

Wiedział, że jeżeli nie chce się narazić na wymówienie, musi się spieszyć. Spieszyć do tej agencji, która od pewnego czasu stała się miejscem jego codziennych pogrzebów.

Mydło w kontakcie z pędzlem spieniło się niebieskawo, co ode-rwało go od tych rozmyślań. Była to chwila, gdy płynne mydliny rozchodziły się po jego ciele, po siatce żył, ułatwiając funkcjonowanie całej życiowej maszyny. Z powrotem na łonie normalności łatwiejsze wydało mu się szukanie w namydlonym mózgu słowa, do którego chciał przyrównać kramik Mabel. Paldora. Sklepik, knajpka, mydlarnia, czy też to wszystko razem. Albo nie: Pendor.

Jego twarz tonęła w pianie, mimo to nieustannie, niemal namiętnie mydlił pędzel. Widok tworzących się mydlanych baniek

napełniał go dziecięcą radością, uparcie podchodząc do serca niby tani likier. Nowy wysiłek w poszukiwaniu sylaby wydał się wystarczający, aby wybuchła dojrzała i brutalna, aby całe słowo wypłynęło na tę ciężką, mętną wodę umykającej pamięci. Ale i tym razem, tak jak poprzednio, oddzielne cząsteczki nie zaskoczyły dość prawidłowo, aby złączyć się w organiczną całość, więc postanowił zarzucić już poszukiwania owego słowa. Pendoro!

A był już czas, aby je zarzucić, bowiem - obaj podnieśli wzrok i spojrzenie ich spotkało się - bliźniak z pędzlem namydlonym lewą ręką - którą tamten naśladował prawą - począł pokrywać zarost świeżą, błękitną bielą łagodnie i dokładnie, aż namydlił całą ostrą strefę. Odwrócił oczy i geometria wskazówek wydała mu się pochłonięta rozwiązywaniem nowego teorematu: ósma osiemnaście. Golił się zbyt powoli. Więc teraz, z mocnym postanowieniem szybszego zakończenia, lepiej ujął brzytwę.

Obliczywszy, że zadanie będzie skończone w ciągu trzech minut, podniósł prawą (lewą) rękę do wysokości prawego (lewego) ucha, mimochodem zauważając, że nie ma nic trudniejszego niż golenie się tak, jak to robi ten w lustrze. Stąd cała seria skomplikowanych obliczeń szybkości światła, niemal równocześnie przebiegającego tam i na powrót, aby odtworzyć każdy jego ruch. Ale po zmaganiach podobnych do wyciągania pierwiastka kwadratowego z szybkości, którą mógł był obliczyć, tkwiący w nim esteta zwyciężył matematyka i myśl artysty skierowała się ku ruchom brzytwy, której ostrze zależnie od rozmaitych kątów padania światła mieniło się zielenią, błękitem, bielą. Nagle - a teraz tak matematyk, jak i esteta już byli spokojni - ostrze brzytwy zjechało w dół po prawym (lewym) policzku aż do równoleżnika wargi, a on z zadowoleniem skonstatował, że lewy policzek odbicia w pienistym obramowaniu jest już całkowicie gładki.

Jeszcze nie strzepnął brzytwy, gdy z kuchni doszła fala dymu, połączona z zapachem duszonego mięsa. Poczł mrowienie w języku i strumyk śliny, łatwej, płynnej, wypełnił mu usta, łącząc się z energicznym zapachem roztopiającego się masła. Duszone cynadarki. Nareszcie jakaś zmiana w przeklętej budzie Mabel. Pendoro. Też nie. Bulgotanie podrobów w sosie odbito się w jego uszach

boleśnie, przypominając uderzenie deszczu, który padał o świcie. Duszone cynadry. Nie ma wątpliwości.

Ze wszystkich zmysłów do powonienia odnosił się najbardziej sceptycznie. Ale nawet gdyby ten apetyt był tylko optymizmem jego śliny, potrzebami pięciu zmysłów zawładnęła w tej chwili konieczność pośpiechu. Lekko i precyzyjnie - matematyk i artysta wyszczerzyli się do siebie - przejechał ostrzem z przodu (tyłu) do tyłu (przodu), równocześnie prawą (lewą) ręką gładząc skórę, ułatwiając w ten sposób drogę metalowemu ostrzu z tyłu (przodu) do przodu (tyłu) i z góry (z góry) na dół, kończąc - obaj już byli zdyszani - równoczesną pracę.

Ale już na końcu, kiedy wygładzał lewy policzek prawą ręką, zobaczył w lustrze własny łokieć. Wydał mu się wielki, dziwaczny, nieznany i wzdrygając się, zauważył, że nad nim inne oczy, wielkie i nieznane, podobnie wyłazące z orbit, także śledzą poruszający się metal. Ktoś chce zadusić mego brata. Jakieś silne ramię. Krew! Zawsze to samo, kiedy się spieszę.

Poszukał na twarzy odpowiedniego miejsca. Ale jego palec pozostał czysty, nie zdradzając zetknięcia z płynną lepkością. Wzdrygnął się. Jego skóra nie była nawet drażnięta, ale tamten lekko krwawił. W duszy poczuł niepokój, by nie powtórzyło się zdenerwowanie z poprzedniej nocy. By znowu na wprost lustra nie doznać tego samego uczucia - świadomości rozdwojenia. Ale zobaczył tylko brodę (okrągłą - identyczne twarze); zarost we wgłębieniu podbródka wymagał brzytwy ze spiczastym końcem.

Wydało mu się, że jakiś opar niepewności zasłania spieszne gesty jego podobizny. Czyż to możliwe, by dzięki pośpiechowi, z jakim się golił - matematyk opanował całkowicie sytuację - szybkość światła nie mogła pokonać odległości rejestrującej jego ruchy? Czyżby on mógł wyprzedzić obraz w lustrze i zakończyć działania o ruch przed nim? Byłoby możliwe - tu artysta po krótkiej walce wyrugował matematyka - że obraz posiadał własne życie i zdecydował - by przez jakiś czas żyć bez komplikacji - wolniej kończyć niż jego pozostający na zewnątrz podmiot?

Przejęty otworzył kran z gorącą wodą i poczuł, jak wznosi się para letnia i gęsta, podczas gdy spłukiwanie twarzy czystą wodą

wypełniało mu uszy gardłowym bulgotem. Na skórze miła szorstkość świeżo upranego ręcznika pozwoliła mu odczuć głębokie zadowolenie higienicznego zwierzęcia. Pandora! Nareszcie znalazł to słowo: Pandora.

Ze zdziwieniem popatrzył na ręcznik i zamknął oczy speszony, podczas gdy tam, w lustrze, ktoś identyczny (z nim samym) patrzył na niego wielkimi głupimi oczami i całą twarzą, przeciętą siłą nitką.

Otworzył oczy i uśmiechnął się (uśmiechnął się). Już nic nie miało znaczenia. Buda Mabel była puszką Pandory.

Gorący zapach duszonych cynaderek coraz gwałtowniej drażnił mu nos. Poczł zadowolenie - pozytywne zadowolenie - że w jego duszy wielki pies zaczyna machać ogonem.

## **Oczy niebieskiego psa**

Wtedy na mnie spojrzała. Wydało mi się, że patrzy na mnie po raz pierwszy, ale potem, kiedy obeszła dookoła lichtarza, a ja w dalszym ciągu czułem na ramionach

plecach jej ześlizgujące się, oleiste spojrzenie, zrozumiałem, że to ja patrzę na nią po raz pierwszy. Zapaliłem papierosa i zanim obróciłem się wraz z krzesłem, zaciągnąłem się mocnym, ostrym dymem. Potem zobaczyłem ją jak podczas innych nocy, stojącą obok lichtarza i patrzącą na mnie. Przez chwilę nie robiliśmy nic innego, tylko patrzyliśmy na siebie. Ja na nią z krzesła, utrzymując równowagę na jednej z jego tylnych nóg, ona stojąc, wyciągnąwszy ponad lichtarzem długą, spokojną rękę. Jak : o noc widziałem jej oświetlone powieki. Wtedy dopiero przypomniałem sobie to, co zawsze, i powiedziałem: "Oczy niebieskiego psa". A ona, nie cofając ręki sponad lichtarza: "Tak. Już nigdy nie zapomnimy". Wysunęła się i westchnieniem z orbit mego wzroku: "Oczy niebieskiego psa. Pisałam to wszędzie".

Zobaczyłem, jak podchodzi ku toaletce; zobaczyłem ją w okrągłej tafla lustra znowu patrzącą na mnie. Widziałem, jak obraca za mną swe oczy koloru nie wygaszonego popiołu i jak patrzy na mnie, równocześnie otwierając pudełeczko z różowej perłowej masy, i jak pudruje nos. Kiedy skończyła, zamknęła puderniczkę,

wstała i znowu obeszła dookoła lichtarz, mówiąc: "Boję się, żeby komuś nie przyśnił się ten pokój i żeby mi nie porobił nieporządków". Teraz ponad płomieniami wyciągnęła tę samą rękę, długą i drżącą, którą grzała, zanim podeszła do lustra. I powiedziała: "Nie czujesz zimna". A ja powiedziałem: "Czasami". A ona powiedziała: "Teraz powinieneś je czuć". Wtedy zrozumiałem, dlaczego nie mogłem wytrzymać sam na moim krześle: zimno przekonywało mnie o mej samotności. "Tak, teraz je czuję - powiedziałem. - To dziwne zresztą, bo noc jest łagodna. Może mi się zsunęło prześcieradło". Nie odpowiedziała. Znowu skierowała się do lustra, a ja odwróciłem się na krześle, tak żeby siedzieć do niej tyłem. Nie patrząc na nią, wiedziałem, co robi. Wiedziałem, że znów siedzi naprzeciw lustra i patrzy na moje plecy, które zdążyły już umieścić się w głębi odbicia i tam spotkać się z jej spojrzeniem, a to spojrzenie akurat zdążyło zagłębić się w lustrze i wrócić - zanim ręka zaczęła swą następną podróż - do ust teraz powleczonej różem, jeszcze od pierwszej wędrówki ręki w kierunku lustra. Naprzeciw siebie widziałem gładką ścianę, jakby inne ślepe lustro, w którym nie widząc jej - siedzącej tyłem do mnie - wyobrażałem ją sobie tam, gdzie by się odbijała, gdyby na miejscu ściany postawiono lustro. "Widzę cię", powiedziałem. I na ścianie zobaczyłem ją tak, jakby podniosła oczy i jakby mnie zobaczyła od tyłu w fotelu, w głębi lustra, z głową zwróconą ku ścianie. Potem zobaczyłem, jak raz jeszcze opuszcza powieki i jak wpatruje się we własny stanik, nie mówiąc nic. Wtedy powtórzyłem: "Widzę cię". A ona oderwała oczy od stanika. "To niemożliwe", powiedziała. Zapytałem, dlaczego. "Bo masz głowę zwróconą do ściany". Więc obróciłem się wraz z krzesłem. W ustach trzymałem papierosa. Kiedy znalazłem się na wprost lustra, ona znowu siedziała przed toaletką obok lichtarza. Teraz dłonie trzymała rozwarte nad płomieniami, niby rozpostarte skrzydła kury, i ogrzewała je, a na jej twarz padał cień palców. "Boję się, żebym się nie zaziębiła - powiedziała. - To jakieś lodowate miasto". Odwróciła się profilem i jej twarz z rozpalonej do czerwoności miedzi posmutniała. "Zrób coś przeciwko temu", powiedziałem. A ona zaczęła się rozbierać sztuka po sztuce, poczynając od góry, od stanika. Powiedziałem: "Odwrócę się

do ściany". Odpowiedziała: "Nie, i tak mnie zobaczysz, tak jak mnie zobaczyłeś, kiedy byłam odwrócona tyłem". Zanim skończyła mówić, już była całkowicie rozebrana, a płomień lizał jej miedzianą skórę. "Zawsze chciałem zobaczyć cię tak, zobaczyć twój brzuch cały w dziurach, jakby obsunął się młotek rzeźbiarza". I zanim zdałem sobie sprawę, że słowa moje brzmią tępo wobec jej nagości, stanęła nieruchomo, grzejąc się w zasięgu świec, i powiedziała: "Czasem wydaje mi się, że jestem z metalu". Przez chwilę było cicho. Pozycja rąk nad ogniem lekko się zmieniła. Powiedziałem: "Czasami, w innych snach, wydawało mi się, że nie jesteś brązowym posążkiem stojącym w rogu jakiegoś muzeum. Może dlatego ci zimno". A ona na to: "Czasami, jak zasypiam leżąc na sercu, mam uczucie, że jestem jakby wydrążona, a skórę mam cienką jak kartka papieru. Jak wtedy krew tłucze się we mnie, to jest tak, jakby ktoś wołał mnie pukając palcami w brzuch i słyszę dźwięk brązu w łóżku. Tak samo jest, jakbym była - jak mówisz - z cienkiego metalu". Zbliżyła się do lichtarza. "Chciałbym cię usłyszeć", powiedziałem. A ona na to: "Jak się jeszcze kiedy spotkamy, przyłóż ucho do moich żeber, kiedy będę spała na lewym boku, i usłyszysz rezonans. Zawsze pragnęłam, żebyś kiedyś to zrobił". Podczas gdy mówiła, słychać było jej głęboki oddech. I powiedziała, że przez lata nie robiła nic innego. Jej życie było poświęcone szukaniu mnie w świecie rzeczywistym, poprzez to wiodące zdanie: "Oczy niebieskiego psa". A na ulicy mówiła głośno, w taki sposób zwracała się do jedynej osoby, która mogła ją zrozumieć:

"Jestem tą, która pojawia się w twych snach co noc i która ci mówi: "Oczy niebieskiego psa"". I powiedziała, że chodziła po restauracjach i zwracała się do kelnerów, jeszcze przed zamówieniem: "Oczy niebieskiego psa". A kelnerzy kłaniali jej się z szacunkiem, lecz nie przypominali sobie, by kiedykolwiek coś podobnego słyszeli w snach. Potem pisywała na serwetkach lub nożem grawerowała na politurowanych blatach stołów: "Oczy niebieskiego psa". I na brudnych szybach w hotelach, na stacjach, w miejscach publicznych pisywała palcem wskazującym: "Oczy niebieskiego psa". Powiedziała, że kiedyś weszła do drogerii, w

której zapach był taki sam jak nocą w jej pokoju, po tym kiedy jej się śnię. "Musi być blisko", pomyślała patrząc na nowe, czyściutkie kafelki podłogi. Więc zbliżyła się do ekspedienta i powiedziała: "Stale śnię o człowieku, który mówi do mnie: "Oczy niebieskiego psa"". A wtedy sprzedający spojrzął jej w oczy i powiedział: "Po prawdzie to pani ma takie oczy". Na co ona: "Muszę spotkać człowieka, który by mi to powiedział we śnie". Na co sprzedawca zaczął się śmiać i odszedł na drugi koniec lady. A ona w dalszym ciągu patrzyła na czyste kafelki podłogi i czuła zapach. Więc otworzyła torebkę, uklękła i wielkimi czerwonymi literami napisała na podłodze pomadką do ust: "Oczy niebieskiego psa". Sprzedawca zawrócił i powiedział: "Pani pobrudziła podłogę". Po czym podając jej mokrą szmatę dodał: "Proszę wytrzeć". A ona, stojąc obok lichtarza, mówiła, że całe popołudnie spędziła na czworakach myjąc podłogę i powtarzając: "Oczy niebieskiego psa", aż do chwili gdy we drzwiach zebrał się tłum i zaczęli wołać, że zwariowała.

Teraz, kiedy skończyła mówić, ja nadal siedziałem w kącie, łapiąc równowagę na krześle. "Codziennie staram się sobie przypomnieć zdanie, jakim mam cię powitać - powiedziałem. - I teraz już myślę, że jutro go nie zapomnę. Chociaż zawsze tak mówiłem i zawsze zapominałem po przebudzeniu, jakimi słowami powinienem cię przywitać". A ona powiedziała: "Sam przecież wymyśliłeś je pierwszego dnia". A ja odpowiedziałem: "Wymyśliłem je, jak zobaczyłem twoje oczy z popiołu. Ale następnego rana nigdy nic nie pamiętam". A ona, zaciskając pięści obok lichtarza, westchnęła głęboko: "Gdybym chociaż mogła sobie przypomnieć, w jakim mieście pisałam te słowa".

Jej zaciśnięte zęby błysnęły w płomieniu. "Chciałbym cię teraz dotknąć", powiedziałem. Podniosła twarz zwróconą ku światłu, podniosła oczy płonące, żarzące się tak jak ona, jak jej ręce. A ja poczułem, że widzi mnie w kącie, gdzie nadal siedziałem moszcząc się na siedzeniu. "Nigdy mi tego nie powiedziałeś", zauważyła. "Teraz ci to mówię, i to prawda", powiedziałem. Stojąc z drugiej strony świecznika poprosiła o papierosa. Niedopałek znikł w moich palcach. Zapomniałem, że pali. Powiedziała: "Nie wiem,

dlatego zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, gdzie ja to pisałam". "Tak samo jak ja nie będę mógł jutro przypomnieć sobie tych słów". Na co ona, smutno: "Nie. Tylko czasem wydaje mi się, że to także mi się śniło". Podniosłem się i podszedłem do świecznika. Stała trochę dalej, ja zaś zacząłem się przechadzać, trzymając papierosy i zapalki po tej stronie świecznika. Wyciągnąłem do niej papierosa. Wzięła go w usta i pochyliła się nad płomieniem, zanim zdążyłem potrząsnąć zapalką. "W jakimś mieście, na wszystkich ścianach, muszą być wypisane te słowa: "Oczy niebieskiego psa" - powiedziałem. - Jeżeli jutro rano będę je pamiętał, pójdę cię szukać". Znowu podniosła głowę, ognek już żarzył się na jej ustach. "Oczy niebieskiego psa", westchnęła z papierosem zwisającym z jej warg, z przymkniętym jednym okiem. Potem z papierosem w palcach wciągnęła dym i krzyknęła: "To jest co innego, robi mi się gorąco". A powiedziała to ciepłym, gasnącym głosem, jakby nie powiedziała tego w rzeczywistości, tylko jakby to napisała na papierze, i przysunęła papier do ognia, czytając: "Zaczyna mi być - stała, nadal obracając między palcami papier, który powoli się pali, ja zaś czytałem dalej - strasznie gorąco", skończyłem, zanim papier spalił się do końca i spadł na ziemię małej, kruchy, zmieniony w lekki popiół. "Tak lepiej - powiedziałem. - Nieraz boję się czegoś, patrząc, jak marzniesz tuż obok płomienia".

Widywaliśmy się od wielu lat. Nieraz, jak już byliśmy razem, ktoś upuszczał łyżeczkę i budziliśmy się. Powoli zaczęliśmy rozumieć, że nasza przyjaźń jest zależna od pewnych rzeczy, od najzwyklejszych wydarzeń. Nasze spotkania zawsze tak się kończyły, że rankiem upadała łyżeczka.

Teraz, stojąc obok lichtarza, patrzyła na mnie. Pamiętam, że dawniej tak samo na mnie patrzyła, z tego dalekiego snu, w którym obracałem krzesło na tylnych nóżkach i znajdowałem się na wprost nieznajomej o oczach z popiołu. To we śnie po raz pierwszy ją zapytałem: "Kim pani jest?", a ona odpowiedziała: "Nie pamiętam". Więc powiedziałem: "Ale mam wrażenie, żeśmy się już kiedyś widzieli". A ona, obojętnie: "Kiedyś śnił mi się pan, w tym samym pokoju". A ja: "Tak, tak. Zaczynam sobie przypomi-



nać", a ona: "Ciekawe. Z pewnością spotykaliśmy się i w innych snach". i Pociągnęła dwa razy papierosa. Jeszcze stałem na wprost lichtarza, kiedy nagle zacząłem na nią patrzeć. Patrzyłem od góry do dołu i ciągle była miedziana. Ale to już nie był twardy i żółty metal, to była żółta miedź, (mięka, plastyczna. "Chciałbym cię dotknąć", powtórzyłem. A ona powiedziała: "Wszystko zmarnujesz". A ja: -Teraz to już nie ma znaczenia. Wystarczy przewrócić poduszkę na drugą stronę, żebyśmy się spotkali". I wyciągnąłem rękę ponad lichtarzem. Nie drgnęła. "Wszystko ^marnujesz", powtórzyła, zanim udało mi się jej dotknąć. ^Może jeżeli obejdiesz lichtarz dookoła, obudzimy się . raptownie, zaskoczeni, Bóg wie w jakiej części świata". Ale ja się upierałem: "To nie ma znaczenia". A ona powiedziała: "Jeżeli przewrócimy poduszkę na drugą stronę, spotkamy się. Ale jak się obudzisz, i tak zapomnisz". Zacząłem posuwać się w stronę kąta. Została za mną, grzejąc sobie ręce w ciepłe płomienia. Jeszcze nie doszedłem do krzesła, kiedy usłyszałem, jak mówi za moimi plecami: "Kiedy budzę się o północy, przewracam się w łóżku bez końca, materiał poduszki parzy mnie w kolana i do rana powtarzam: "Oczy niebieskiego psa"".

Stałem w dalszym ciągu twarzą do ściany. "Już dnieje - powiedziałem nie patrząc na nią. - Obudziłem się, gdy biła druga, to było już bardzo dawno". Podeszedłem do drzwi; kiedy wziąłem za klamkę, usłyszałem po raz drugi jej głos, nie zmieniony, taki sam: "Nie otwieraj tych drzwi - powiedziała. - Na korytarzu pełno jest trudnych snów". Na co ja: "Skąd wiesz?". Odpowiedziała: "Bo byłam tam przed chwilą i musiałam wrócić, jak zobaczyłam, że śpię, leżąc na sercu". Drzwi były uchylone, poruszyłem nimi i weszło świeże powietrze, wnosząc zapach ziemi, roślin, wilgotnej wsi. Ona znowu zaczęła mówić. Poruszałem drzwiami, których zawiasy nie skrzypiały, i powiedziałem: "Tam chyba nie ma żadnego korytarza. Czuć świeży zapach pól". Skrzyżowała ręce nad płomieniem. "To ta kobieta, co zawsze chciała mieć dom na wsi - powiedziała - a nigdy nie mogła opuścić miasta". Przypomniałem sobie, że widziałem tę kobietę w jakimś dawnym śnie, ale wiedząc - drzwi były otwarte - że za pół godziny muszę zejść na śniadanie.

Powiedziałem więc: "W każdym razie muszę stąd wyjść, żeby się obudzić".

Na dworze przez chwilę wiał wiatr, potem uspokoił się i było słychać oddech kogoś śpiącego, kto odwrócił się na łóżku. Wiatr ustał. Nie dochodził już żaden zapach. "Jutro poznam cię po tym - powiedziałem. - Poznam cię, jak zobaczę na ulicy jakąś kobietę piszącą na murach: "Oczy niebieskiego psa"". A ona ze smutnym uśmiechem - uśmiechem poddania się temu, co nieuniknione - rzekła: "Ale w dzień i tak nie będziesz nic pamiętał". Znowu wyciągnęła ręce nad lichtarzem, z twarzą przesłoniętą mgłą goryczy: "Jesteś jedynym człowiekiem, który kiedy się budzi, nie pamięta nic z tego, co mu się śniło".

### **Kobieta, która przychodziła o szóstej**

Wahadłowe drzwi otwały się. O tej porze w restauracji Josego nie było nikogo. Właśnie wybiła szósta, a Jose wiedział, że dopiero o wpół do siódmej zaczną schodzić się pierwsi goście. Jego klientela była tak konserwatywna i punktualna, że jeszcze zegar nie wybił szóstego uderzenia, kiedy jak co dzień o tej porze weszła kobieta i bez słowa usiadła na wysokim obrotowym stołku. W ustach trzymała nie zapalonego papierosa.

- Cześć, królowo - powitał ją Jose, gdy tylko usiadła. Po czym odszedł w drugi koniec bufetu, aby przetrzeć ściereczką szkło. Zawsze to robił, gdy ktoś wchodził do restauracji. Nawet z tą kobietą, z którą osiągnęli już pewien stopień intymności, tęgi i jasnowłosy oberżysta odgrywał swą codzienną komedię człowieka pracowitego. Z drugiego końca bufetu zapytał:

- Na co dziś masz ochotę?

- Przede wszystkim na to, żeby nauczyć cię eleganckich manier - odparła kobieta. Siedziała na najdalszym z obrotowych stołków, oparta łokciami o bar, ze zgaszonym papierosem w ustach. Mówiąc zaciskała wargi, aby Jose zobaczył, że papieros się nie pali.

- Nie zauważyłem - powiedział Jose.

- Ty w ogóle nic nie zdążyłeś zauważyć - powiedziała.

Mężczyzna odłożył ściereczkę na bufet, odwrócił się ku ciemnym, pachnącym smołą i zakurzonym drzewem szafkom i wrócił z

pudełkiem zapalek. Kobieta pochyliła się nad ogniem płonącym w jego chłopskich, owłosionych rękach. Jose widział obfitość jej włosów, spryskanych tłustą, tanią brylantyną. Ujrzał jej ramię ponad stanikiem w kwiatki. Ujrzał zaczątek starzejącej się piersi, gdy kobieta podniosła głowę z zapalonym papierosem między wargami.

- Śliczna dziś jesteś, królowo - powiedział.

- Daj mi spokój - odparła. - I tak ci nie zapłacę.

- Nie miałem tego na myśli, królowo - powiedział Jose. - Idę o zakład, że dzisiejsze śniadanie nie poszło ci na zdrowie.

Kobieta zaciągnęła się pierwszym gęstym dymem, założyła ręce na piersiach, łokcie oparła o bufet i pozostała tak, patrząc na ulicę przez szerokie restauracyjne okno. Miała melancholijny wyraz twarzy; melancholia wyrażała pełną niechęć i wulgarność.

- Zrobię ci porządny befsztyk - powiedział Jose.

- Wciąż jeszcze nie mam pieniędzy - powiedziała kobieta.

- Nie masz od trzech miesięcy i zawsze robię ci coś smacznego - powiedział Jose.

- Ale dziś to co innego - powiedziała ponuro, wciąż wyglądając na ulicę.

- Wszystkie dni są jednakowe - powiedział Jose. - Co dzień zegar pokazuje szóstą, wtedy wchodzisz, mówisz, że jesteś głodna jak pies, a ja daję ci coś smacznego. Z tą tylko różnicą, że dzisiaj nie powiedziałaś, tylko że dziś to co innego.

- Bo to prawda - powiedziała kobieta. Odwróciła się, by popatrzeć na mężczyznę, który z drugiej strony bufetu manewrował przy lodówce. Patrzyła na niego przez dwie,

trzy sekundy. Potem spojrzała na zegarek ponad szafką. ^Była szóstą trzy. - To prawda, Jose - powiedziała. - Dziś J to co innego.

- Wydmuchała dym, mówiąc dalej krótkimi, urywanymi słowami.

- Dziś nie przyszedłem o szóstej, dlatego właśnie, że dziś to co innego, Jose.

Z kolei on popatrzył na zegarek.

- Dam sobie uciąć rękę, jeżeli ten zegarek spóźnia się i chociaż o minutę - powiedział.

- Nie o to chodzi, Jose. Tylko dzisiaj nie przyszłam o szóstej - powiedziała kobieta. - Przyszłam kwadrans przed szóstą.

- Przecież dopiero co wybiła szósta, królowo - powiedział Jose.

- Kiedy wchodziłaś, zegar właśnie kończył bić.

- Jestem tu już od kwadransa - powiedziała kobieta.

Jose podszedł ku niej i zbliżył do jej twarzy swą wielką, zaczerwienioną gębę, równocześnie drugim palcem obciągając powiekę.

- Chuchnij na mnie - powiedział.

Kobieta odsunęła głowę do tyłu. Była poważna, podrażniona, jakby wypiękniona przez opar smutku i zmęczenia.

- Przestań, Jose. Przecież wiesz, że od przeszło sześciu miesięcy nie piję.

- Powiedz to komu innemu - odparł. - Ale nie mnie. Zakład, że we dwoje wydoiliście litra.

- Dwa łyki pociągnęłam z kolegą - powiedziała kobieta.

- Mhm. To teraz rozumiem - odpowiedział Jose.

- Nie masz co rozumieć - powiedziała kobieta. - Jestem tu od kwadransa.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Dobrze, skoro tak ci się podoba, to jesteś tu od kwadransa - powiedział. - W sumie dziesięć minut więcej czy dziesięć minut mniej nie ma znaczenia.

- Ma znaczenie, Jose - powiedziała kobieta. Wyciągnęła ręce ponad szkłem bufetu ruchem pełnym rezygnacji. - I to nie to, że mnie się tak podoba, po prostu jestem tu od kwadransa. - Popatrzyła na zegarek i sprostowała: - Co ja mówię. Od dwudziestu minut.

- W porządku, królowo - zgodził się mężczyzna. - Podarowałbym ci dzień, a nawet i noc, byleś była zadowolona.

Przez cały czas uwijał się za bufetem, porządkował coś, przedstawiał z miejsca na miejsce jakieś rzeczy. Grał swoją rolę.

- Chcę, byś była zadowolona - powtórzył. Nagle zatrzymał się i odwrócił ku niej. - Ty wiesz, że ja cię bardzo kocham, prawda?

Popatrzyła na niego zimno.

- Coś podobnego... Czy myślisz, że za milion pesos byłabym gotowa z tobą zostać?

- Nie to miałem na myśli, królowo - powiedział Jose. - Założę się jednak, że dzisiejsze śniadanie nie poszło ci na zdrowie.

- Nie dlatego to mówię - powiedziała i tym razem głos jej nie był już tak całkowicie obojętny. - Nie ma na świecie kobiety, która by wzięła sobie taki ciężar na głowę, nawet za milion pesos.

Jose zaczerwienił się. Odwrócił się do niej plecami i zaczął odkurzać butelki w szafie. Potem, nie odwracając głowy, powiedział: - Niemożliwa dziś jesteś, królowo. Najlepiej będzie, jak zjesz swój befsztyk i pójdziesz spać.

- Nie jestem głodna. - Znowu patrzyła na ulicę, na mętnych przechodniów zapóźnionego popołudnia. Przez chwilę w restauracji panowała niewyraźna cisza, spokój zaledwie macony porządkami Josego w szafie. Kobieta nagle przestała patrzeć na ulicę i odezwała się głosem cichym, czułym, odmienionym:

- Więc to prawda, że mnie kochasz, Pepillo?

- Prawda - odpowiedział krótko, nie patrząc na nią.

- Mimo tego, co ci powiedziałam?

- A co ty mi powiedziałaś? - Ciągle nie patrzył na nią, a głos jego wciąż był matowy.

- O tym milionie pesos - odparła.

- Już to zapomniałem - powiedział Jose.

- Więc mnie kochasz?

- Tak.

Nastąpiła cisza. Jose nadal działał z twarzą zwróconą ku szafie, nie patrząc na kobietę. Ona znów wydmuchwała dym; oparła się piersiami o bar, a potem, ostrożnie, żartobliwie, ugryzłszy się w język, zanim zaczęła mówić, tak jakby mówiła "na paluszkach":

- Mimo że nie sypiam z tobą? - zapytała.

Dopiero wtedy spojrzał na nią.

- Tak cię kocham, że nie przespałbym się z tobą - powiedział.

Podszedł do niej. Popatrzył na nią wprost, potężne łapy oparł o ladę. Potem spojrzał jej w oczy i dodał:

- Kocham cię tak, że nie ma popołudnia, żebym nie chciał zabić tego, z kim wychodzisz.

W pierwszej chwili wydało się, że to ją zmieszało. Potem spojrziała na niego uważnie, spojrzeniem, które oscyloowało pomiędzy współczuciem a kpina. Przez chwilę było cicho i nagle hałaśliwie się roześmiała.

- Zazdrosny jesteś, Jose. Cudowny kawał! Zazdrosny jesteś!

Jose znowu się zaczerwienił, z nieśmiałością nie ukrywaną, niemal bezwstydną, jaka mogłaby ogarnąć dziecko, którego wszystkie sekrety nagle zostałyby wydane. Powiedział:

- Dziś nic a nic nie rozumiesz, królowo. - Wytarł pot ścierką i dodał:

- Całkiem stępiełaś od takiego życia.

Ale teraz zmienił się wyraz jej twarzy.

- W takim razie nie - powiedziała. - Znowu popatrzyła mu w oczy, w spojrzeniu jej był jakiś zadziwiający blask, równocześnie pełny lęku i wyzwania.

- W takim razie nie jesteś zazdrosny.

- W pewien sposób tak - powiedział Jose. - Ale nie tak, jak myślisz.

Rozpiął kołnierzyk i nadal wycierał sobie szyję ściereczką.

- Więc? - zapytała.

- Po prostu kocham cię tak bardzo, że nie podoba mi się to, co robisz - powiedział.

- Co? - zapytała.

- To, że każdego dnia idziesz z kim innym - powiedział.

- I naprawdę zabiłbyś każdego, byle nie szedł ze mną?

- Nie żeby nie szedł - powiedział Jose - tylko dlatego, że poszedł z tobą.

- Na to samo wychodzi - powiedziała kobieta.

Rozmowa zageściła się podniecająco. Kobieta mówiła cicho, spokojnie, ale i z fascynacją, z twarzą tuż obok zdrowej, pogodnej twarzy mężczyzny, który nie poruszał się, niby zaczarowany oparem tych słów.

- To wszystko prawda - powiedział Jose.

- No więc - odparła kobieta, wyciągnęła rękę i pogłaskała szorstkie ramię mężczyzny. Drugą ręką odrzuciła niedopałek. - Więc jesteś zdolny zabić człowieka?

- Dla powodu, który ci podałem, tak - powiedział Jose. Głos jego zabrzmiał dramatycznie.

Kobieta wybuchnęła nerwowym śmiechem, jakby naprawdę chciała z niego zakpić.

- Co za koszmar - śmiała się. - Co za koszmar. Jose mordercą! Kto by pomyślał, że w takim tęgim, poczciwym niedźwiedziu, który nigdy nie bierze ode mnie grosza, i który co dzień smaży mi befsztyk i który bawi mnie aż do [chwili, gdy znajdę sobie jakiegoś faceta, siedzi morderca. ' Co za koszmar, Jose. Boję się ciebie.

Jose był zmieszany. Może i trochę zgorszony. Może, ;"gdy wybuchnęła śmiechem, poczuł się również i oszukany.

- Upiłaś się, głuptasie - powiedział. - Idź spać. Nawet nie masz apetytu.

Ale ona teraz przestała się śmiać, znów była poważna, [zamyślona, oparta o bufet. Zobaczyła, że Jose odchodzi. /Zobaczyła, że otwiera i zamyka lodówkę, nic z niej nie jwyjmując. Zobaczyła, jak idzie na drugi koniec bufetu. [Zobaczyła, że znów tak jak na początku przeciera czystą

już szybę. Wtedy znowu się odezwała, łagodnie i czule, takim samym głosem jak wcześniej, gdy spytała: "Więc to prawda, że mnie kochasz, Pepillo?".

- Jose - powiedziała.

Nie spojrzał na nią.

- Jose!

- Idź się położyć - powiedział. - A przedtem weź sobie kąpiel, to wytrzeźwiejesz.

- Kiedy naprawdę nie jestem pijana, Jose.

- Toś stępała - powiedział Jose.

- Chodź tu do mnie. Chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała kobieta.

Zbliżył się na pół nieufny, a na pół zadowolony.

- Chodź bliżej.

Podszedł i stanął przed nią. Pochyliła się do przodu i schwyciła go za włosy gestem bez wątpienia pełnym czułości.

- Powtórz to, co mi powiedziałaś na początku - rzekła.

- Co? - zapytał Jose. Usiłował spojrzeć na nią, ale trzymała go za włosy i nie mógł unieść głowy.

- Ze zabiłbyś tego, z kim bym się przespała - powiedziała.

- Zabiłbym każdego, z kim byś się przespała. To prawda, królowo - powiedział Jose.

Puściła jego czuprynę.

- Czyli że broniłbyś mnie, gdybym sama go zabiła - powiedziała, ruchem pełnym jakiejś gruboskórnej kokieterii przygarniając ogromny, ciężki łeb Josego. Nie odpowiedział. Uśmiechał się.

- Odpowiedz mi, Jose - powtórzyła. - Broniłbyś mnie, gdybym ja go zabiła?

- Zależy - powiedział Jose. - To łatwiej obiecać, niż dotrzymać.

- Policja do nikogo nie ma takiego zaufania jak do ciebie, Jose - powiedziała kobieta.

Jose uśmiechnął się godny, zadowolony. Ona znowu pochyliła się ku niemu ponad barem.

- To prawda, Jose. Mogłabym się założyć, że nigdy w życiu nie skłamałeś - powiedziała.

- To nic nie znaczy - powiedział Jose.

- Ale jednak. Policja też wie o tym i jak coś mówisz, to ci wierzą. Nie pytają dwa razy.

Jose zaczął uderzać ręką o bufet, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Ona znowu odwróciła się ku oknu wychodzącemu na ulicę. Potem popatrzyła na zegarek i zmieniła ton, jakby zamierzała skończyć tę rozmowę, zanim zaczną nadchodzić stali klienci.

- A dla mnie skłamałbyś, Jose? - zapytała. - Ale poważnie, skłamałbyś?

Wtedy on z kolei popatrzył na nią głęboko, jakby nagle jakaś straszliwa myśl przyszła mu do głowy. Jakaś myśl, która weszła przez jedno ucho, przez chwilę kręciła mu się po głowie niepewna, niejasna, a potem wyszła przez drugie, zostawiając zaledwie jakiś ślad zdumionego przerażenia. r

- W coś ty się wpakowała, królowo? - zapytał Jose.

Pochylił się ku przodowi, znów położywszy na barze rękę. Kobieta odczuła mocną, pachnącą amoniakiem falę jego oddechu, zahamowanego z powodu ucisku żołądka o bar.



- To nie żarty, królowo. Powiedz, w coś się wpakowała?

Kobieta odwróciła głowę w drugą stronę.

- W nic - powiedziała. - Tak gadam byle co, żeby się rozerwać. Ale potem znowu na niego spojrzała.

- Może nie będziesz musiał nikogo zabijać - mruknęła. .

- Nigdy nie miałem zamiaru zabijać nikogo - odparł. Był zmieszany.

- Nie rozumiesz - powiedziała. - Mówię, że nikogo, z kim bym sypiała.

- Aha. Nareszcie mówisz jaśniej. Zawsze uważałem, że nie musisz prowadzić takiego życia. Jakbyś je rzuciła, miałabyś co dzień u mnie befsztyk i nie brałbym od ciebie ani grosza.

- Dziękuję - powiedziała. - Ale nie o to chodzi. Chodzi o to, że nie będę z nikim sypiać

- Znowu coś kręcisz - zdenerwował się Jose. Zaczynał się niecierpliwić.

- Nic nie kręcę - powiedziała kobieta. Odwróciła się na Stołku i Jose zobaczył jej piersi, smutnie spłaszczone stanikiem.

- Jutro sobie pójdę i obiecuję ci, że nigdy więcej nie będę ci się naprzykrzała. Obiecuję ci też, że nigdy już z nikim nie pójdę do łóżka.

- A to niby co nowego? - zapytał Jose.

- Rozwiązałam tę sprawę przed chwilą. Dopiero przed chwilą zrozumiałam, że to świństwo.

Jose znowu złapał ściereczkę i zaczął nią pucować szkło w bufecie tuż obok niej. Potem, nie patrząc na nią, odezwał się:

- Pewno, że tak jak ty to robiłaś, to było świństwo. Już dawno powinnaś była to zrozumieć.

- Dawno to zrozumiałam - powiedziała. - Ale dopiero przed chwilą przekonałam się o tym naprawdę. Brzydzę się chłopów.

Jose uśmiechnął się. Jeszcze uśmiechnięty podniósł głowę, by na nią spojrzeć, zobaczył, że jest poważna, dziwna, napięta, że ma podniesione ręce. Kiwając się na obrotowym stołku, z ponurym wyrazem twarzy, na której widać było przedwczesne oznaki jesieni, mówiła teraz:

- Nie uważasz, że powinni dać spokój kobiecie, która zabiła mężczyznę dlatego, że po nim poczuła obrzydzenie i do niego, i do wszystkich innych?

- Może nie trzeba iść aż tak daleko - powiedział wzruszony, w głosie jego wyczuwało się nutę litości.

- A jeżeli kobieta, widząc, jak on się ubiera, mówi do mężczyzny, że się go brzydzi, bo ma w pamięci całe popołudnie, kiedy tarzała się z nim po łóżku, i teraz czuje, że nic, ani mydło, ani szczotka nie zmyją z niej jego zapachu?

- Zdarza się, królowo - powiedział już obojętniej, znowu czyszcząc bar. - Ale nie warto go za to zabijać. Zwyczajnie poczekać, aż sobie pójdzie.

Ale ona mówiła dalej, głos jej płynął nieprzerwanym strumieniem ściszonego napięcia.

- A jeżeli kobieta mówi mu, że się go brzydzi, a on przestaje się ubierać i znowu rzuca się, aby ją całować, i...

- Tak nie zachowują się przyzwoici mężczyźni - powiedział Jose.

- A jeżeli on tak zrobił? - zapytała ze straszliwym niepokojem. - Jeżeli on nie jest przyzwoity i tak robi, a kobieta czuje, że się go brzydzi, że wołałaby umrzeć, i wie, że nie ma innego sposobu, żeby z tym skończyć, tylko nóż?

- Coś straszego - powiedział Jose. - Ale na szczęście nie ma mężczyzny, który by się tak zachowywał, jak mówisz.

- Dobrze - powiedziała już zupełnie nieprzytomna. - Ale jeżeli? Wyobraź sobie, że ktoś tak się zachował.

- W każdym razie to jeszcze nie powód - powiedział Jose. Dalej czyścił bar, nie ruszając się, jakby mniej zainteresowany rozmową.

Stuknęła palcami o szybę. Teraz była już stanowcza, patetyczna.

- Bydlę z ciebie, Jose - powiedziała. - Nic nie rozumiesz. - Schwyciła go za rękaw. - No, odezwij się, powiedz, że wtedy kobieta powinna go zabić.

- W porządku - powiedział pojednawczo. - Niech ci będzie.

- Może to nie jest w obronie własnej? - mówiła szarpiąc go za rękaw.

Popatrzył na nią ciepło, współczująco.

- Tak jakby - powiedział i mrugnął do niej. Była w tym serdeczność, zrozumienie, a równocześnie i przerażająca zgoda na współnictwo. Ale ona była nadal poważna. Puściła go,

- Więc zaryzykowałbyś kłamstwo, żeby bronić kobiety, która to zrobiła? - zapytała.

- To zależy.

- Zależy od czego?

- Zależy od kobiety - powiedział Jose.

- Powiedzmy, że to jest kobieta, którą bardzo kochasz - powiedziała. - Nie po to, żeby być z nią, jak sam mówisz, tylko po prostu, bo ją kochasz.

- Niech ci będzie, królowo - zgodził się zmęczony, trochę niechętny.

Znowu odszedł, popatrzył na zegarek, zobaczył, że dochodzi wpół do siódmej. Pomyślał, że za chwilę restauracja zacznie się napełniać gośćmi, i z nowym zapalem zabrał się do czyszczenia szkła, zerkając przez okno na ulicę. Ona siedziała chwilę w milczeniu, skoncentrowana, z ustępującym smutkiem patrząc na jego ruchy, patrząc na niego tak, jakby była dogasającą lampą, która jeszcze wciąż patrzy. Nieoczekiwanie, bez przejścia, znowu zaczęła mówić głosem nasiąkniętym łagodnością.

- Jose.

Popatrzył na nią z czułością gęstą, smętną, niby wół pełen macierzyńskich uczuć. Nie patrzył po to, by słuchać. Może nawet nie po to, by ją widzieć. Po prostu by wiedzieć, że jest tutaj, że czeka na to spojrzenie, które nie ma powodu być ani solidarne, ani opiekuńcze, ot po prostu spojrzenie.

- Powiedziałam, że jutro wyjeżdżam, a ty nic mi na to me odpowiedziałeś.

- Tak - odparł Jose. - Ale nie powiedziałaś mi, dokąd jedziesz.

- Byle gdzie. Tam gdzie nie ma mężczyzn, którzy by mnie pchali do łóżka.

Jose znowu się uśmiechnął.

- Naprawdę wyjeżdżasz? - zapytał i nagle, jakby zrozumiał, zmienił wyraz twarzy.

- To zależy od ciebie - powiedziała kobieta. - Jeżeli będziesz umiał powiedzieć, o której przyszedłam, jutro sobie pojedę i nigdy więcej nie będę z tym miała nic wspólnego. Podoba ci się taka umowa?

Skinął potakująco głową, uśmiechnięty, rzeczowy. Pochyliła się ku niemu.

- Jeżeli kiedykolwiek tu wrócę, będę zazdrosna, widząc, że inna kobieta rozmawia z tobą o tej porze siedząc na tym samym stoiku.

- Jeżeli tu wrócisz, musisz mi coś przywieźć - powiedział Jose.

- Obiecuję ci, że będę wszędzie szukała nakręcanego misia - powiedziała kobieta.

Jose uśmiechnął się i zamachał ścierką w powietrzu między sobą a nią, jakby czyszcząc jakąś niewidoczną szybę. Ona także uśmiechnęła się teraz już serdecznie i jakby kokieteryjnie. Potem mężczyzna odszedł na drugi koniec baru, po drodze czyszcząc szkło.

- No i co? - zapytał nie patrząc na nią.

- Czy naprawdę każdemu, kto przyjdzie i zapyta, o której przyszedłam, powiesz, że kwadrans przed szóstą? - zapytała kobieta.

- A po co? - znowu nie patrzył na nią, tak jakby nie słuchał tego, co mówi.

- Nie o to chodzi. Chodzi o to, żebyś to zrobił.

Jose zobaczył, że pierwszy gość pojawił się w wahadłowych drzwiach i poszedł do stolika w kącie. Spojrzał na zegarek. Było punktualnie wpół do siódmej.

- W porządku, królowo - powiedział odruchowo. - Będzie, jak sobie życzysz. Zawsze robię wszystko tak, jak sobie życzysz.

- Dobrze - odparła. - To teraz usmaż mi befsztyk.

Mężczyzna skierował się do lodówki, wyjął półmisek z mięsem i postawił go na stole. Potem włączył maszynkę.

- Usmażę ci piękny pożegnalny befsztyk, królowo.

- Dziękuję, Pepillo.

Zamyśliła się, jakby nagle pogrążyła się w jakimś dziwnym mikrokosmosie pełnym nieznanymi mętnych form. Z tej strony ba-

ru, gdzie siedziała, nie było słycać skwierczenia, z jakim świeże mięso upadło na wrzący tłuszcz. Nie było słycać również suchego trzasku, kiedy Jose przewrócił befsztyk na drugą stronę, tylko smakowity zapach powoli zaczął rozchodzić się w całej restauracji. Siedziała skupiona aż do chwili, gdy podniosła głowę i zamruwała, jakby zmartwychwstała po jakiejś krótkotrwałej śmierci. Wtedy zobaczyła mężczyznę, który stał obok maszynki, oświetlony przez wesoło płonący ogień.

- Pepillo!

- Tak?

- O czym myślisz? - zapytała kobieta.

- O tym, czy uda ci się gdzieś znaleźć nakręcanego misia - powiedział Jose.

- No pewno, że mi się uda - powiedziała kobieta. - Ale chciałabym, żebyś mi powiedział, czy dasz mi na pożegnanie wszystko, o co cię poproszę.

Popatrzył na nią od kuchenki.

- Ile razy mam ci to powtarzać? Chcesz jeszcze coś więcej niż ten wspaniały befsztyk?

- Tak - powiedziała kobieta.

- A co? - zapytał.

- Chcę jeszcze jeden kwadrans.

Pochylił się do tyłu, żeby popatrzeć na zegarek. Rzucił okiem na gościa, który siedział w milczeniu w swoim kącie, a potem na rumieniące się w tłuszczu mięso. Dopiero wtedy odezwał się.

- Po prawdzie to nic już me rozumiem, królowo - powiedział.

- Nie bądź głupi, Jose - powiedziała kobieta. - Pamiętaj, że jestem tutaj od wpół do szóstej.

### **Nabo, Murzyn, który kazał czekać na siebie aniołom**

Nabo leżał brzuchem na zeschniętej trawie. Czuł, jak zapach moczu końskiego i stajni rozchodzi mu się po ciele, czuł na szarej błyszczącej skórze ciepłe dotknięcie ostatnich koni, ale nie czuł swej skóry. Nabo nie czuł nic. Tak jakby zasnął wraz z uderzeniem podkowy o czoło i jakby teraz pozostało mu to jedno odczucie. Rozdwojone odczucie, którym równocześnie odbierał zapach

wilgotnej stajni i jednostajne brzęczenie owadów ukrytych w trawie. Podniósł powieki. Potem znów je zamknął. Pozostał spokojny, wyciągnięty, sztywny, tak jakby rósł w ciągu tego popołudnia, poza czasem, aż do chwili, gdy ktoś powiedział za jego plecami: "Wstawaj, Nabo, dosyć się już naspiałeś". Odwrócił się i nie zobaczył koni, ale drzwi były zamknięte. Nabo wyobraził więc sobie, że muszą być gdzieś tam obok, w ciemnościach, mimo że nie słyszał ich niecierpliwego wierzgania. Wyobraził sobie, że ten ktoś mówi do niego spoza stajni, bo drzwi są zamknięte od wewnątrz i zasunięta zasuwka. Po raz drugi odezwał się głos za jego plecami: "Faktycznie, Nabo, dosyć się już naspiałeś. Już chyba ze trzy dni tylko śpisz i śpisz". Dopiero wtedy Nabo szeroko otworzył oczy i przypomniał sobie: "Leżę tutaj, bo kopnął mnie koń".

Nie wiedział, ile czasu minęło. Dni jakby pozostały za nim; było tak, jakby ktoś mokrą gąbką przeciągnął po tych dalekich sobotnich wieczorach, kiedy on chodził na plac. Zapomniał o swej białej koszuli. Zapomniał, że miał zielone sombrero, sombrero z zielonej słomki, i ciemne spodnie. Zapomniał, że nie miał butów. W każdą sobotę wieczorem Nabo chodził na plac; milcząco siadał w kącie, ale nie po to, żeby słuchać muzyki, tylko żeby oglądać Murzyna. Co sobotę go oglądał. Murzyn miał na oczach okulary w szylkretowej oprawce i grał na saksofonie przy jednym z tylnych pulpity. Nabo widział Murzyna, ale Murzyn nie widział Naba. W każdym razie gdyby ktoś, kto widział, że Nabo chodzi w każdą sobotę na plac, żeby oglądać Murzyna, zapytał - nie teraz, bo teraz nic z tego nie pamiętał - czy Murzyn jego widział chociaż raz, Nabo byłby odpowiedział, że nie. Ale to była jedyna rzecz, jaką robił po wyczyszczeniu koni: oglądał Murzyna.

Którejś soboty Murzyn nie siedział na swoim miejscu w orkiestrze. Z początku Nabo pomyślał, że nie będzie więcej grywał na tych popularnych koncertach, mimo że pulpit stał na swoim miejscu. Ale potem, właśnie dlatego, że pulpit stał na swoim miejscu, pomyślał, że może jednak Murzyn wróci w następną sobotę. Ale nie wrócił w następną sobotę, a i pulpit znikł ze swego miejsca.

Nabo odwrócił się na bok i zobaczył człowieka, który do niego mówił. Z początku nie poznał go w półmroku stajni. Człowiek

siedział na podwyższeniu podłogi i mówiąc, klepał się po kolanach. "Kopnął mnie koń - powtórzył Nabo, usiłując rozpoznać człowieka. "To prawda - powiedział człowiek. - Ale teraz nie ma tu koni, a my czekamy na ciebie w chórze". Nabo pokręcił głową. Jeszcze nie zaczął myśleć. Ale już miał wrażenie, że gdzieś widział tego człowieka. Człowiek mówił, że na niego, na Naba, czekają w chórze. Nabo nie rozumiał, ale również nie dziwiło go, że ktoś to mówi, bo codziennie, kiedy czyścił konie, śpiewał im, żeby je zabawić. Potem te same piosenki śpiewał w salonie, żeby rozewnać niemą dziewczynkę; dziewczynka była z innego świata, ze świata salonu, i siedziała z oczami wbitymi w ścianę. Ale gdyby mu ktoś powiedział, że go wezmą do chóru, nie zdziwiłoby go to. Teraz dziwiło go to jeszcze mniej, bo nie rozumiał. Był zmęczony, ogłupiały, tępy. "Chcę wiedzieć, gdzie są konie" - powiedział. A człowiek na to: "Już ci powiedziałem, że tu nie ma koni; nam idzie tylko o taki głos jak twój". I chyba teraz twarzą do twarzy Nabo słyszał go, tyle że nie mógł odróżnić bólu, który na czole pozostawiła mu podkova, od innych chaotycznych wrażeń. Wtulił głowę w trawę i usnął.

Nabo chodził jeszcze przez dwa czy trzy tygodnie na plac, mimo że Murzyn już nie grał w orkiestrze. Może gdyby był zapytał, co się stało z Murzynem, ktoś by mu odpowiedział. Ale nie zapytał, tylko w dalszym ciągu chodził słuchać muzyki, aż do chwili gdy inny człowiek z innym saksofonem zajął miejsce Murzyna. Wtedy Nabo zrozumiał, że Murzyn już nie wróci, i zdecydował, że on także nie pójdzie więcej na plac. Kiedy się obudził, myślał, że spał bardzo krótko. Jeszcze czuł w nosie zapach wilgotnej trawy. Jeszcze mu było ciemno przed oczami dookoła. A i człowiek jeszcze siedział w kącie. Słyszał cichy, łagodny głos człowieka, który klepał się po kolanach i mówił: "Czekamy na ciebie, Nabo. Już dwa lata tak sobie śpisz i nie chcesz wstać". Wtedy Nabo znowu zamknął oczy. Potem je otworzył. Popatrzył w kąt i znowu zobaczył tego człowieka, niepewny, zdziwiony. Dopiero wtedy go poznał.

Gdybyśmy my, ludzie z domu, wiedzieli, co robił Nabo w każdą sobotę wieczorem na placu, pomyślelibyśmy, że przestał tam

chodzić, bo miał już muzykę w domu. Zdarzyło się to właśnie wtedy, jak przynieśliśmy do domu gramofon, żeby rozerwać dziewczynkę. Kiedy trzeba było znaleźć kogoś, kto go będzie przez cały czas nakręcał, wydało się zupełnie naturalne, że to będzie Nabo. Mógł się tym zajmować wtedy, gdy nie miał roboty przy koniach. Dziewczynka siedziała sobie i słuchała płyt. Czasami, kiedy muzyka grała, podnosiła się i nie przestając patrzeć na ścianę, cała obśliniona, czołgała się do stołowego. Nabo podnosił igłę i zaczynał śpiewać. Z początku, jak przyszedł i jak pytaliśmy, co umie robić, powiedział, że umie śpiewać. Ale to nie zainteresowało nikogo. Potrzebny był chłopak do czyszczenia koni. Nabo został, ale nie przestał śpiewać, tak jakbyśmy go zgodzili do tego śpiewania, zaś szczotkowanie koni było tylko ułatwiającą pracą rozrywką. Tak trwało więcej niż rok, aż wreszcie kiedy my wszyscy przyzwyczailiśmy się do myśli, że dziewczynka nie będzie mogła chodzić, nikogo nie będzie poznawała, nie przestanie być umarłą dziewczynką, która tylko słucha gramofonu, zimno wpatrzona w ścianę, dopóki nie zanieśie jej się do pokoju. Wtedy przestało nas to boleć; ale Nabo pozostał wierny, punktualny i stale nakręcał jej gramofon. To działo się jeszcze w czasach, kiedy Nabo w każdą sobotę wieczorem chadzał na plac. Któregoś dnia, kiedy chłopak był w stajni, ktoś od strony gramofonu powiedział: "Nabo". Staliśmy w korytarzu, nie zastanawiając się nad tym, że nikt nie mógł tego powiedzieć. Ale kiedy po raz drugi usłyszeliśmy: "Nabo", podnieśliśmy głowy i zapytaliśmy: "Kto jest z dziewczynką?". A ktoś odpowiedział: "Nikt do niej nie wchodził". A ktoś inny dodał: "Na pewno słyszałem jakiś głos, który powiedział: "Nabo"". Ale kiedy poszliśmy zobaczyć, zastaliśmy w pokoju samą dziewczynkę; siedziała na ziemi, oparta o ścianę.

Nabo wrócił wcześniej i położył się spać. Następnej soboty nie poszedł już na plac, bo przekonał się, że Murzyn został zastąpiony, a w trzy tygodnie później, w poniedziałek, gramofon zaczął grać, kiedy Nabo znajdował się w stajni. Z początku nikt na to nie zwrócił uwagi. Dopiero później, jak zobaczyliśmy zbliżającego się Murzynka, rozśpiewanego i całego zalanego wodą, którą mył konie, zapytaliśmy go: "Którędy wyszedłeś?". A on na to: "Przez



drzwi. Siedziałem w stajni od południa". "Ale gramofon gra, nie słyszysz?" - zapytaliśmy. A Nabo odpowiedział, że słyszy. A my na to: "A kto go nakręcił?". A on wzruszając ramionami: "Dziewczynka. Już jakiś czas go sobie nakręca".

Tak to wszystko wyglądało, aż do dnia, kiedy znaleźliśmy go leżącego na brzuchu w zeschniętej trawie, zamkniętego w stajni, z podkową odznaczoną na czole. Kiedyśmy go unieśli pod ramiona, powiedział: "Leżę tutaj, bo mnie kopnął koń". Ale nikt się nie zainteresował tym, co gadał, zainteresowały nas te zimne, martwe oczy i usta pełne zielonej piany. Całą noc przepłakał, wstrząsany gorączką, bredząc, mówiąc o grzebieniu, który mu się zgubił w stajni w sianie. Tak było pierwszego dnia. Drugiego dnia otworzył oczy i powiedział: "Chce mi się pić" - więc przynieśliśmy mu wody, którą wypił jednym haustem, a potem jeszcze dwa razy poprosił o więcej i powiedział: "Tak się czuję, jakby mnie kopnął koń". I potem gadał bez przerwy, przez cały dzień i przez całą noc. W końcu usiadł na łóżku, wskazał drugim palcem w górę i powiedział, że tętent koni nie pozwolił mu ani na chwilę zasnąć w nocy. Ale już poprzedniego wieczoru nie miał gorączki, już nie bredził, tylko wciąż gadał, aż do chwili kiedy mu zatkali gębę chustką. Wtedy przez chustkę Nabo zaczął śpiewać coś takiego, że konie oddychają mu wprost w ucho i że mimo zamkniętych drzwi szukają wody. Kiedyśmy mu wyjęli chustkę z gęby, żeby coś zjadł, odwrócił się do ściany i wydało się nam, że zasnął; może faktycznie trochę się zdrzemnął. Ale kiedy się obudził, już nie był w łóżku. Miał nogi i ręce przywiązane do wideł. Uwiązany, Nabo zaczął śpiewać.

Kiedy go rozpoznał, Nabo zwrócił się do człowieka: "Ja już pana kiedyś widziałem". A człowiek odpowiedział: "Co sobotę wszyscy widzieli mnie na placu". A Nabo odpowiedział: "To prawda, ale ja myślałem, że tylko ja pana widzę, a pan mnie nie widzi". A człowiek odpowiedział: "Nigdy cię nie widziałem, ale potem, jak już przestałem tam chodzić, zrozumiałem, że ktoś przestał mnie co sobotę oglądać". A Nabo powiedział: "Pan już nie wrócił, ale ja chodziłem jeszcze ze trzy albo i ze cztery tygodnie". A człowiek, ciągle nie poruszając się, a tylko klepiąc się po kola-

nach: "Ja już nie mogłem wrócić na plac, mimo że to jedno miało jakiś sens". Nabo usiłował wstać, potrząsnął głową w trawie, nadal słyszał chłodny, uporczywy głos, aż do chwili, gdy nawet nie wiedząc kiedy, znowu zasnął. Od czasu kiedy go kopnął koń, wciąż mu się to zdarzało. I wciąż słyszał ten sam głos: "Czekamy na ciebie, Nabo. Bóg jeden wie, ile czasu tylko śpisz i śpisz".

Cztery tygodnie po tym, jak Murzyn przestał grać w orkiestrze, Nabo rozczesywał ogon jednemu z koni. Dotąd nigdy tego nie robił. Zawsze tylko czyścił je zgrzebłem, śpiewając. Ale we środę poszedł na targ, zobaczył grzebień i powiedział sobie: "To jak raz grzebień do końskich ogonów". Wtedy właśnie zdarzyło mu się, że koń go kopnął i ogłupił na całe życie, dziesięć, czy piętnaście lat przedtem. Ktoś powiedział w domu: "Byłoby lepiej, gdyby wtedy umarł, a tak to co z tego ma, ledwo dycha i tylko całe życie bredzi". Ale nikt nie widział go od tego dnia, cośmy go zamknęli. Wiedzieliśmy tylko, że jest tam, zamknięty, i że od tego czasu dziewczynka nigdy nie dotknęła gramofonu. Ale właściwie tośmy się tym nie interesowali. Zamknęliśmy go tak, jakby był koniem, jakby to kopnięcie zaraziło go końską głupotą, jakby wbito mu w czoło całą głupotę koni: ich zwierzęcość. Więc zostawiliśmy go samego wśród czterech ścian, jakbyśmy zdecydowali, żeby umarł w tym zamknięciu, bo nie mamy dosyć zimnej krwi, żeby go zabić inaczej. I tak minęło czternaście lat, aż do chwili gdy któreś z dzieci urosło i powiedziało, że chce go zobaczyć. I otworzyło drzwi.

Nabo znów popatrzył na człowieka. "Koń mnie kopnął", powiedział. A człowiek powiedział: "Od wieków powtarzasz to samo, a przez ten czas czekamy na ciebie w chórze". Nabo pokręcił głową, zranione czoło znowu zanurzył w trawie i wydało mu się, że sobie przypomina, jak się to wszystko stało. "Wtedy pierwszy raz czesałem koniowi ogon", powiedział. A człowiek powiedział: "Myśmy chcieli, żeby się tak stało, po to, żebyś śpiewał w chórze". A Nabo powiedział: "Niepotrzebnie kupiłem ten grzebień". A człowiek powiedział: "I tak byłbyś go znalazł. Myśmy zdecydowali, że znajdziesz grzebień i że będziesz rozczesywał koniom ogony". A Nabo powiedział: "Nigdy nie stawałem za końmi". A

człowiek wciąż jeszcze spokojnie, wciąż jeszcze nie okazując zniecierpliwienia: "Aleś stanął i koń cię kopnął. To był jedyny sposób, żebyś wstąpił do chóru". I ta niezmienna rozmowa powtarzała się codziennie aż do chwili, kiedy ktoś w domu powiedział: "Już piętnaście lat nikt tych drzwi nie otwierał". Dziewczynka nie urosła. Skończyła trzynaście lat i stawała się coraz smutniejsza, co widziało się po jej oczach; nadal siedziała wpatrzona w ścianę, kiedy otwarto drzwi. Odwróciła głowę wężąc coś w tamtej stronie. A kiedy zamknięto drzwi, ktoś powiedział: "Nabo leży spokojnie. Już się nic tam w środku nie rusza. A kiedy umrze, to tylko po zapachu to poznamy". A ktoś powiedział: "Poznamy po jedzeniu. Przecież nigdy nie przestał jeść. Dobrze mu tam w zamknięciu. Nikt mu nie przeszkadza. Przez tylne okno wchodzi mu ładne światło". I sprawy tak pozostały, tyle że dziewczynka w dalszym ciągu patrzyła ku drzwiom wciągając ciepłe powietrze, które wpływało przez szparę. Tak było aż do rana, kiedy doszedł nas z salonu metaliczny dźwięk i przypomniało nam się, że ten sam dźwięk słyszeliśmy piętnaście lat przedtem, kiedy Nabo nakręcał gramofon. Wstaliśmy, pozapalaliśmy lampy i usłyszeliśmy pierwsze takty zapomnianej piosenki, smutnej piosenki, która umarła na płytach już tyle lat temu. Dźwięk wciąż się wzmacniał, aż nagle usłyszeliśmy suchy trzask; w tym momencie weszliśmy do salonu i usłyszeliśmy, że płyta jeszcze dźwięczy, i zobaczyliśmy dziewczynkę w kącie przy gramofonie, wpatrzoną w ścianę, z korbą odłączoną od śpiewającego pudła w podniesionej ręce. Nie poruszyliśmy się. Dziewczynka też się nie poruszyła, siedziała na miejscu, spokojna, sztywna, wpatrzona w ścianę, z korbą w górze. Nie powiedzieliśmy nic, tylko wróciliśmy do pokoju, przypomnieliśmy sobie, że ktoś nam kiedyś mówił, iż dziewczynka umiała nakręcać gramofon. Myśleliśmy o tym i nie zasnęliśmy, wsłuchani w zniekształconą muzyczkę z płyty, która wciąż się jeszcze obracała, mimo przekręconej sprężyny.

Poprzedniego dnia, kiedy otwarto drzwi, ze środka doszedł zapach martwego ciała. Ten, kto otworzył, krzyknął: "Nabo! Nabo!". Ale nikt mu nie odpowiedział. Obok szpary stał pusty talerz. Trzy razy dziennie wsuwało się pod drzwi talerz i trzy razy dziennie ta-

lerz wracał, już opróżniony. Stąd wiedzieliśmy, że Nabo żyje. Ale tylko stąd.

Już nie kręcił się w środku, już nie śpiewał. I pewno dopiero wtedy, kiedy znowu zamknięto drzwi, Nabo powiedział do człowieka: "Nie mogę iść do chóru". A człowiek zapytał: "Dlaczego?". A Nabo odpowiedział: "Bo nie mam butów". A człowiek podnosząc nogi powiedział: "To me ma znaczenia. Tu nikt nie używa butów". I Nabo zobaczył żółtą, grubą podeszwę jego bosych stóp, które uniósł do góry. "Od wieków tu siedzę", powiedział człowiek. "Dopiero przed chwilą kopnął mnie koń - powiedział Nabo. - Teraz poleję sobie głowę wodą i wyprowadzę je na spacer". Ale człowiek powiedział: "Konie już cię nie potrzebują. Już nie ma koni, a ty masz pójść z nami". A Nabo powiedział: "Konie powinny tu być". Uniósł się trochę i zatopił ręce w trawie, a człowiek mówił: "Od piętnastu lat nikt się nimi nie zajmuje". Ale Nabo drapał ziemię wśród traw, mówiąc: "Tu gdzieś jeszcze musi być grzebień". A człowiek mówił: "Już piętnaście lat, jak zamknięto stajnię. Teraz tu wszędzie same odpadki". A Nabo mówił: "W jedno popołudnie nie zaśmieci się całej stajni. Dopóki nie znajdę grzebienia, nie ruszę się stąd".

Następnego dnia, kiedy zabezpieczyli drzwi, doszły ich ze środka jakieś pracowite ruchy. Ale nie poruszył się nikt. Nikt nie powiedział ani słowa, aż usłyszeli, że drzwi zaczynają trzeszczeć i ustępują pod wpływem jakiejś niebywałej siły. Ze środka dochodziło coś jakby chrapanie zamkniętego zwierzęcia. W końcu rozległ się trzask zardzewiałych zawiasów, a wtedy Nabo potrząsnął głową. "Dopóki nie znajdę grzebienia, nie idę do chóru - powiedział. - Musi tu gdzieś być". I zaczął przeszukiwać trawę, wyręwać ją, szarpać ziemię, aż człowiek powiedział: "Dobra, Nabo. Jeżeli do tego, żeby tu przyjść, tylko ci potrzeba grzebienia, to go szukaj". Pochylił się do przodu z twarzą pociemniałą od jakiejś cierpliwiej pychy. Oparł ręce o żłób i powiada: "Jazda, Nabo. Już ja biorę na siebie, że nikt cię nie zatrzyma".

Wtedy drzwi ustąpiły i dziki Murzyn z szorstką blizną na czole - mimo że upłynęło piętnaście lat - wyskoczył rozbijając się o meble, roztrącając przedmioty, pięści groźnie wzniesione do góry,

wciąż jeszcze związane liną, którą założono mu piętnaście lat przedtem - wtedy, kiedy był jeszcze małym czarnuszkim, który zajmował się końmi. Wyjąc, pędził przez korytarze, wypchawszy drzwi z dziką siłą i - zanim dobiegł na patio - przeleciał obok dziewczynki, która od poprzedniej nocy siedziała z korbą od gramofonu w podniesionej rączce; widząc tę oszalałą murzyńską siłę przypomniła sobie coś, co kiedyś widocznie było słowem, i wbiegła na patio, zanim tamten odnalazł stajnię wywaliwszy ramieniem wielkie zwierciadło w salonie, ale - nie widząc dziewczynki ani obok gramofonu, ani obok lustra - odwrócił się twarzą do słońca zamknawszy oczy, ślepy, podczas gdy wewnątrz nie ustawał huk tłuczonego szkła, i pobiegł bez kierunku, niby spętany koń nieświadomie szukający drzwi do stajni, którą piętnaście lat zamknięcia wymazało z jego pamięci, ale nie z jego instynktów; od tego odległego dnia, kiedy rozczesywał koniom ogony i został ogłupiony na całe życie, i zostawiwszy za sobą ruinę, rozpad, chaos, niby spętany byk w pokoju pełnym lamp dobiegł do tylnego patia, ciągle nie trafiając do stajni, i zaczął drapać ziemię z tą burzliwą gwałtownością, z jaką zwałił lustro, myśląc może, że jak będzie wyrywał ziemię, znowu poczuje zapach kobylego moczu, jeszcze zanim dobiegnie do drzwi stajni, silniejszy teraz od własnej ślepej siły, i wypchnie je, i upadnie wewnątrz brzuchem do ziemi, może konając, ale wciąż jeszcze we władzy tej dzikiej zwierzęcości, jaka pół sekundy przedtem nie pozwoliła mu dosłyszeć dziewczynki, która zobaczywszy go, podniosła korbę, śliniąc się i nie ruszając się z krzesła, nie poruszając ustami, tylko wywijając w powietrzu korbą, przypomniła sobie jedyne słowo, jakie udało jej się w życiu wymówić, i teraz krzyknęła je za nim z salonu: "Nabo! Nabo!".

### **Ktoś rozrzuca te róże**

Jako że to niedziela, a padać przestało, mam ochotę zanieść bukiet róż na mój grób. Czerwonych i białych róż, z tych, które ona przeznacza na ołtarze i wieńce. Ranek był zasmucony przez tę zimę ponurą i zaskakującą, więc przypomniła mi się dolina, gdzie ludzie z miasteczka pozostawiają swoich zmarłych. Jest to miejsce

nie zarośnięte, bez drzew; ale wobec tego że przestało padać i popołudniowe słońce wysuszyło rozmazane mydło zbocza, może mógłbym dojść aż do grobowca, na którego dnie spoczywa me dzieciinne ciało, teraz już rozkruszone i zmieszane ze skorupkami i korzeniami.

Ona jest całkowicie pogrążona w adoracji swoich świętych; trwa w zapamiętaniu, od kiedy siedzę spokojnie, po tym jak nie powiodła mi się pierwsza próba zabrania z jej ołtarzyka najpiękniejszych, najświeższych róż. Ale może dzisiaj mi się uda. Choć nie, lampka zamrugła, ona zaś na chwilę wyrwana z ekstazy podniosła głowę i od razu popatrzyła w kierunku krzesła. Musiała pomyśleć: "Znowu wieje wiatr", bo coś zaskrzypiało przy ołtarzyku, a pokój zakołysał się, jakby poruszono wspomnienia od dawna osiadłe na jego dnie. Więc zrozumiałem, że muszę czekać nowej okazji, bo ona wciąż pilnuje i zerka ku krzesłu, i mogłaby jak nic usłyszeć szelest mych rąk przy swojej twarzy. Teraz muszę znowu odczekać, aż wyjdzie stąd, pewnie za chwilę, i pójdzie do sąsiedniego pokoju, na odwieczną, niezmienną niedzielną drzemkę. Może wtedy uda mi się wymknąć po róże i być z powrotem, zanim ona wróci do pokoju i znowu zacznie obserwować krzesło.

W zeszłą niedzielę było jeszcze trudniej. Ze dwie godziny czekałem, zanim wpadła w ekstazę. Była niespokojna, zdenerwowana, jakby wzburzona poczuciem, że jej samotność w domu stała się mniej pełna, mniej napięta. Parę razy obchodziła pokój dookoła z bukietem w ręku, dopiero potem wyszła na korytarzyk i jeszcze się pokręciła, zanim weszła do sąsiedniego pokoju. Wiedziałem, że szuka lampki. A potem, jak zawróciła i znowu przeszła pod drzwiami, zobaczyłem ją w świetle korytarza w ciemnym żakietku i różowawych pończochach; wydała mi się wtedy zupełnie jak dziewczynka, która czterdzieści lat temu pochylała się nad moim łóżkiem w tym samym pokoju i mówiła: "Teraz, kiedy mu podstawiono zapalki, ma oczy otwarte i twarde". Było tak, jakby nie upłynął czas od tego sierpniowego popołudnia, kiedy to kobiety przyprowadziły ją do mieszkania, pokazały mojego trupka i powiedziały: "Płacz, dziewczyno. To tak jakby twój brat", a ona

położyła się pod ścianą, posłusznie płacząc, jeszcze cała przemoczona od deszczu.

Już ze cztery niedziele, jak usiłuję dobrnąć do tych róż, ale ona wciąż czuwa, modląc się przy ołtarzu. Pilnuje tych róż z jakąś pobudzoną inteligencją, której nie zauważyłem u niej przez te dwadzieścia lat, co mieszka tu w domu. Zeszłej niedzieli, kiedy poszła po lampę, udało mi się w końcu zrobić bukiet z najpiękniejszych róż: nigdy nie byłem bliżej spełnienia mych pragnień. Ale kiedy zamierzałem wrócić na krzeselko, znowu usłyszałem stapanie w przejściu, więc szybko odłożyłem róże na ołtarz i tyle. I wtedy właśnie zobaczyłem ją w obramowaniu drzwi z lampką w ręce.

Miała na sobie ciemny zakieciak i różowawe pończochy, ale w jej twarzy było coś z blasku objawienia. W owej chwili nie wyglądała na kobietę, która od dwudziestu lat hoduje róże w ogrodzie, lecz na tę samą dziewczynkę, którą owego sierpniowego popołudnia przyprowadzono do sąsiedniego pokoju, ażeby się przebrała po deszczu, a która teraz, w czterdziści lat później, wraca z lampą, gruba i postarzała.

Moje buty od owego popołudnia są całe upaprane grubą skorupą błota, mimo że schły dwadzieścia lat obok wygaszonego paleńnika. Któregoś dnia poszedłem po nie. To było już po tym, jak pozamykano drzwi, zdjęto wiszący nad progiem bochen chleba i bukiet aloesu i zabrano meble. Wszystkie meble poza tym krzesłem z rogu, które służyło mi za siedzenie przez cały ten czas. Wiedziałem, że buty postawiono, żeby schły, i że całkiem o nich zapomniano, kiedy opuszczano dom. Dlatego po nie poszedłem.

Ona wróciła w wiele lat później. Minęło tyle czasu, że zapach piżma, jaki był przedtem tu, pomieszał się w pokoju z zapachem kurzu, leciuteńkim zapachem zaszuszonego robactwa. Byłem sam w domu, siedziałem w kącie, czekałem. Nauczyłem się odróżniać szelest rozkładającego się drzewa, drzenie powietrza starzejącego się w zamkniętych pomieszczeniach. Wtedy przyszła. Stała w drzwiach z walizką w ręku, w zielonym kapeluszu i tym samym bawełnianym zakieciaku, którego nie zdjęła od tamtego dnia. Była jeszcze dziewczynką. Jeszcze nie zaczęła tyć, nie miała kostek spuchniętych pod pończochami, jak teraz. Ja byłem pokryty

kurzem i pajęczynami, kiedy otworzyła drzwi i gdzieś w pokoju zamilkł świerszcz, który grał od dwudziestu lat. Ale pomimo to, pomimo zakurzonej pajęczyny, pomimo nagłego zamilknięcia świerszcza i nowego wieku nowo przybyłej, rozpoznałem w niej dziewczynkę, która owego burzliwego sierpniowego popołudnia szukała ze mną gniazd w oborze. Jak tak stała w progu z walizką w ręku, w zielonym kapeluszu na głowie, wyglądała, jakby nagle miała zacząć krzyczeć, mówić to samo, co powiedziała, kiedy znaleziono mnie leżącego na wznak w trawie stajni, jeszcze uczeponego stopnia złamanej drabiny. Kiedy całkowicie otworzyła drzwi, zawiasy zaskrzypiały i pył z dachu zaczął spadać miarowo, jakby ktoś uderzał w wiązania, wtedy ona zachwiała się w obramowaniu świetlnym, wsunęła potem połowę ciała do pokoju i głosem, jakim woła się kogoś, kto śpi, powiedziała: "Dziecko, dziecko". A ja dalej bez ruchu, z wyprostowanymi nogami, siedziałem na krześle.

Myślałem, że przyszła tylko obejrzeć pokój, ale została i zamieszkała w domu. Wywietrzyła i stało się tak, jakby z walizki wyjęła dawny zapach piżma. Inni pozabierali meble i rzeczy. Ona zabrała tylko zapach tego pokoju. I w dwadzieścia lat później z powrotem go przyniosła, położyła na miejscu i zrekonstruowała ołtarzyk, taki jak dawniej. Sama jej obecność wystarczyła, by odnowić to, co zrujnowała nieubłagana pracowitość czasu. Od tej pory śpi i je w sąsiednim pokoju, ale całe dni siedzi w milczeniu, rozmawiając ze świętymi. Po południu zasiada w fotelu na biegunach obok drzwi i ceruje bieliznę, równoczesne obsługując ludzi, którzy przychodzą kupować kwiaty. Zawsze się buja, kiedy ceruje. A kiedy ktoś przychodzi po bukiet róż, chowa drobne w rożek chustki i przywiązuje ją do paska, i niezmiennie powtarza: "Niech pan urwie te po prawej stronie, te z lewej są dla świętych".

I tak siedzi sobie w fotelu na biegunach od dwudziestu lat, reperując rzeczy, bujając się, patrząc na krzesło, jakby teraz pilnowała nie dziecka, które spędzało z nią popołudnia jej dzieciństwa, tylko kalekiego wnuczka, który siedzi w tym kącie, od czasu gdy babcia miała pięć lat.



Możliwe że teraz, kiedy schyli głowę, będę mógł dostać się do tych róż. Jeżeli uda mi się, to pójdę na wzgórek, położę je na grobie i wrócę na moje krzeselko, by czekać dnia, kiedy ona wróci do domu i kiedy umilkną odgłosy w sąsiednim pokoju.

Tego dnia zmieni się wszystko, bo będę musiał znowu wyjść z domu, aby kogoś uprzedzić, że kobieta sprzedająca róże, ta, która sama mieszka w zrujnowanym domu, potrzebuje czterech ludzi, żeby ponieśli ją na wzgórek. Wtedy w pokoju zostanę już zupełnie sam. Ale za to ona będzie zadowolona. Bo tego dnia dowie się, że to nie niewidoczny wiatr co niedziela rozrzucał róże na jej ołtarzyku.

## **Noc sępów**

Siedzieliśmy we trzech wokół stołu, kiedy ktoś wrzucił pieniążek i znowu zabrzmiała ta płyta, która grała przez całą noc. Nie zdążyliśmy pomyśleć. Stało się to, zanim uświadomiliśmy sobie, gdzie jesteśmy, zanim jeszcze odzyskaliśmy zmysł orientacji. Jeden z nas wyciągnął niepewnie rękę ponad barem (nie widzieliśmy tej ręki, słyszeliśmy ją), potrącił jakiś kieliszek i usiadł spokojnie, oparłszy ręce o twardą powierzchnię. Wtedy wszyscy trzej poszukaliśmy się w ciemnościach i znaleźliśmy się tam, trzy pary rąk spotkały się na bufecie. Jeden z nas powiedział:

- Idziemy.

W przejściu po drodze usłyszeliśmy wokół nas bliską muzykę. Poczuliśmy zapach kobiet smutnych i wyczekujących. Przed sobą czuliśmy daleką pustkę korytarza prowadzącego do drzwi, zanim jeszcze wyszedł na nasze spotkanie inny, kwaśnawy zapach kobiety, siedzącej na progu. Powiedzieliśmy:

- No to idziemy.

Kobieta nie odpowiedziała. Usłyszeliśmy, jak wstaje z fotela na biegunach, który prostując się zachrzącił lekko. Usłyszeliśmy stąpanie, a potem jej powrót, kiedy znowu zaskrzypiały zawiasy, a drzwi zamknęły się za naszymi plecami. Odwróciliśmy się, tuż za nami było ostre, tnące powietrze niewidzialnego świtu i głos, który mówił:

- Odsuńcie się, bo muszę to przenieść.

Cofnęliśmy się, a głos powtórzył:

- Jeszcze ciągle blokujecie drzwi.

I dopiero kiedyśmy rozsunęli się na boki i usłyszeliśmy ten głos ze wszystkich stron, powiedzieliśmy:

- Nie możemy stąd wyjść. Sępy wydłubały nam oczy.

Potem usłyszeliśmy, że otwierają się rozmaite drzwi. Jeden z nas puścił nasze ręce i usłyszeliśmy, jak się czołga w cieniu, chwiejnie, potykając się o otaczające nas przedmioty. Z jakiegoś miejsca w ciemnościach doszedł jego głos:

- Już musimy być niedaleko - powiedział. - Czuć zapach wielu kufrów.

Znowu dotknął naszych rąk. Oparliśmy się wraz z nim o ścianę, a inny głos minął nas, zwrócony w przeciwnym kierunku.

- To mogą być trumny - powiedział jeden z nas.

Ten, który poczołgał się do kąta, a teraz oddychał obok nas, powiedział:

- Kufry. Od małego umiałem poznać zapach rzeczy posypanych naftaliną.

Więc ruszyliśmy w tym kierunku. Podłoga była gładka i miękka, jak ubita ziemia. Ktoś wyciągnął rękę. Poczuliśmy dotyk jakiejś żywej skóry, ale już z drugiej strony nie było ściany.

- To kobieta - powiedzieliśmy.

Inny, ten co mówił o kufrach, powiedział:

- Chyba śpi.

Ciało poruszyło się pod naszymi rękami; zadrżało. Poczuliśmy, jak się wyślizguje, ale nie jakby umykało z naszych rąk, raczej jakby przestawało istnieć.

Mimo to po chwili, kiedy staliśmy spokojnie, zeszywniali, ramię w ramię, usłyszeliśmy głos.

- Kto tu chodzi? - zapytał.

- To my - odpowiedzieliśmy nie poruszając się.

Usłyszeliśmy, jak się poruszyła w łóżku, potem odgłos i szmer stóp po ciemku szukających pantofli. Wyobrażaliśmy sobie siedzącą kobietę, patrzącą na nas, jeszcze nie całkowicie rozbudzoną.

- Co tu robicie? - zapytała.

A my na to:

- Nie wiemy. Sępy wydziobały nam oczy.

Głos odpowiedział, że słyszał o czymś takim. Ze w gazetach stało, że trzech ludzi piło sobie piwo na patio, gdzie przyfrunęło pięć czy sześć, czy siedem sępów. Jeden z ludzi zaczął udawać głos sępa, naśladować go.

- Było już za późno. To było najgorsze. Więc ptaki skoczyły na nas i wydlubały nam oczy.

Powiedział, że tak stało w gazetach, ale że nikt w to nie uwierzył. My na to:

- Jeżeli tam poszli ludzie, to musieli widzieć te sępy.

Kobieta powiedziała:

- Poszli. Następnego dnia na patio było pełno ludzi, ale tamta już zabrała te swoje sępy gdzie indziej.

Kiedyśmy się odwrócili, kobieta przestała mówić. Znowu tam była ściana. Gdzie tylko odwróciliśmy się, od razu natykaliśmy się na ścianę. Dookoła nas, coraz bliżej, były ściany. Jeden puścił nasze ręce. Usłyszeliśmy, że znów czołga się, wężąc i mówiąc:

- Teraz już nie wiem, gdzie są te kufry. Już chyba jesteśmy gdzie indziej.

A my na to:

- Chodź tutaj. Ktoś tu jest obok nas.

Usłyszeliśmy, że się zbliża. Poczuliśmy, że wstaje, i jego ciepły oddech znowu uderzył nas w twarz:

- Wyciągnij ręce w tym kierunku - powiedzieliśmy. - Tam jest ktoś, kto nas zna.

On widać wyciągnął rękę, widać poruszył się w kierunku, który mu wskazaliśmy, bo w chwilę potem wrócił, by donieść:

- To chyba jakiś chłopak.

My powiedzieliśmy:

- Dobra. Zapytaj go, czy nas zna.

On powtórzy! pytanie. Usłyszeliśmy apatyczny, prostacki głos chłopca:

- A jakże, znam ich. To tych trzech, którym sępy wydziobały oczy.

Wtedy odezwał się dojrzały głos. Głos kobiety, która chyba stała za zamkniętymi drzwiami, powiedział:

- Znowu gadasz sam do siebie.

Na co młody głos odpowiedział beztrosko:

- Nie. Bo przyszło tu tych trzech, którym sępy wydziobały oczy.

Zaskrzypiały zawiasy i dorosły głos odezwał się bliżej niż poprzednio:

- Zaprowadź ich do domu.

A chłopak odpowiedział:

- Nie wiem, gdzie mieszkają.

Na co głos dorosłego:

- Nie bądź paskudny. Cały świat wie, gdzie mieszkają, odkąd sępy wydłubały im oczy.

Potem już innym głosem, jakby do nas: ,

- Rzecz w tym, że nikt nie chce w to uwierzyć - powiedział. - Mówili, że to kaczka dziennikarska, po to żeby sprzedać więcej gazet. Nikt nie widział sępów.

Wtedy kobieta powiedziała:

- Ale nikt by mi nie uwierzył, jakbym was prowadziła ulicą.

Nie poruszyliśmy się, staliśmy spokojnie pod ścianą, słuchając. Kobieta dodała:

- Jeżeli on chce was zaprowadzić, to lepiej. Ostatecznie nikt nie będzie zwracał uwagi na to, co opowiada dzieciak.

Młody głos przerwał:

- Jak wyjdę z nimi na ulicę i powiem, że to ci, którym sępy wydłubały oczy, chłopaki zaczną! walić we mnie kamieniami. Na ulicy wszyscy mówią, że to niemożliwe, żeby coś takiego się stało.

Przez chwilę była cisza. Potem drzwi znowu się zamknęły i chłopak odezwał się:

- W dodatku czytam teraz "Terry i piraci".

Któryś powiedział nam do ucha:

- Namówię go.

Poczołgał się w kierunku głosu.

- To mi się podoba. Chociaż opowiedz nam, co się w tym tygodniu zdarzyło Terry'emu. "Chce go sobie zdobyć", pomyśleliśmy. Ale chłopak odpowiedział:

- Nic mnie to nie obchodzi. Mnie tylko się podobają ilustracje.

- Terry zabłądził w labiryncie - powiedzieliśmy.

A chłopak na to:

- To w piątek. Dzisiaj jest niedziela i mnie obchodzą tylko ilustracje - powiedział zimnym, beznamiętnym głosem.

Kiedy tamten powrócił, powiedzieliśmy:

- Już trzy dni, jak zabłądziliśmy, a jeszcze nie wypoczywaliśmy ani przez chwilę.

A któryś dodał:

- Dobrze, więc chwilę wypoczniemy, ale dalej będziemy się trzymali za ręce.

Usiedliśmy. Niewidoczne ciepłe słońce rozgrzewało nam ramiona. Ale nawet jego obecność nie interesowała nas. Czuliśmy ją na całym ciele, straciwszy już poczucie odległości, czasu, kierunku. Minęły nas liczne głosy.

- Sępy wydłubały nam oczy - powiedzieliśmy.

Ktoś powiedział:

- A ci wierzą w to, co piszą w gazetach.

Głosy oddaliły się. My dalej siedzieliśmy ramię koło ramienia, oczekując, że pośród tych mijających głosów dosłyszemy jakiś znajomy głos, poczujemy jakiś znajomy zapach.

Słońce dalej grzało nam głowy. Wtedy ktoś powiedział:

- No to chodźmy pod ścianę.

A inni, nieruchomi, z głowami uniesionymi ku niewidocznej jasności:

- Jeszcze nie. Poczekajmy chociaż, aż słońce ogrzeje nam twarze.

### **Monolog Izabeli patrzącej na deszcz w Macondo**

Zima zaczęła się pewnej niedzieli po skończonej mszy. Noc z soboty na niedzielę była upalna; ale nawet w niedzielę rano nie wyglądało na to, że będzie padać. Po mszy, zanim my, kobiety, zdążyłyśmy otworzyć parasolki, zerwał się gęsty, ciemny wiatr, który za jednym szerokim zamachem zdmuchnął kurz i twarde zeschłe majowe badyle. Ktoś obok mnie powiedział: "Z tego wiatru będzie woda". Ja to już przedtem wiedziałam. Od chwili kiedy

wyszliśmy na patio, a ja poczułam, jak się wzdrygam od czegoś takiego dziwnego, lepkiego w brzuchu. Mężczyźni pobiegli do pobliskich domów, jedną ręką trzymając kapelusze, drugą chusteczki, osłaniając się od wiatru i kurzu. Wtedy lunęło. Niebo stało się szarą i galaretowatą masą, rozedrganą tuż nad naszymi głowami.

Przez resztę ranka siedziałyśmy razem z macochą obok poręczy schodów, byłyśmy zadowolone, że deszcz odświeży i wzmocni rozmaryn i lilie, schnące w donicach od przeszło sześciu miesięcy intensywnego lata, palącego kurzu. W południe ziemia zmatowiała, a zapach poruszonej gleby i przebudzonej, odnowionej roślinności połączył się ze świeżym, uzdrawiającym zapachem rozmarynu w deszczu. W czasie obiadu ojciec powiedział: "Kiedy pada w maju, to znak, że będą duże deszcze". Uśmiechnięta, rozjaśniona światłem nadchodzącego sezonu macocha powiedziała: "To usłyszałeś na kazaniu". A ojciec uśmiechnął się. I zjadł obiad z apetytem, i nawet doskonale go strawił, siedząc obok poręczy w milczeniu, z oczyma zamkniętymi, chociaż nie spał, ale tak jakby śnił nie śpiąc.

Przez całe popołudnie monotonnie padało. W jednolitej, cichej intensywności słychać było padanie wody, tak jak kiedy jedzie się całe popołudnie pociągiem. Ale chociaż tego nie zauważyliśmy, ten deszcz jakoś zbyt głęboko wnikał w nasze zmysły. W poniedziałek o świcie, kiedy zamknęliśmy drzwi od wiatru lodowatego i tnącego, który gwizdał na patio, nasze zmysły były już po brzegi wypełnione deszczem. A rankiem w poniedziałek przelało się to przez brzegi. Razem z macochą wróciłyśmy do oglądania ogrodu. Sucha, twarda majowa ziemia przez jedną noc zmieniła się w błotnistą ciemną masę, podobną do szarego mydła. Pomiedzy donicami płynęły strumyki wody. "Przez tę noc miały aż za dużo wody", powiedziała macocha, a ja zauważyłam, że przestała się uśmiechać, a jej zachwyty z poprzedniego dnia zmienił się w powagę rozlazłą i znudzoną. "Chyba tak - powiedziałam. - Trzeba, żeby chłopci postawili je pod dach, aż do chwili gdy się rozjaśni".

I tak zrobili, podczas gdy deszcz wzrastał niby jakieś olbrzymie drzewo przerastające wszystkie inne. Ojciec usiadł tam, gdzie w

niedzielę w południe, ale nie mówił o deszczu. Powiedział: "Widać źle spałem w nocy, bo od rana boli mnie krzyż". I siedział tu, obok poręczy, z nogami na krześle i głową zwróconą w stronę pustego ogrodu. Dopiero pod wieczór, już po tym jak odmówił jedzenia, powiedział jeszcze: "Wygląda, jakby nigdy nie miało przestać". Ale ja pomyślałam o miesiącach upału. Przypomniałam sobie sierpień, te nie kończące się, straszne godziny sjeisty z bielizną przyklepioną do ciała, kiedy wydawało się, że nie uradzimy ciężarowi upału, z dochodzącym z zewnątrz głuchym, intensywnym szumem tych nie mijających godzin. Zobaczyłam umyte ściany, złącza desek nasiąknięte wodą. Zobaczyłam ogródek po raz pierwszy pusty, jaśmin pod murem, wierny pamięci mojej matki, zobaczyłam ojca w fotelu na biegunach, opierającego o poduszki obolałe kręgi i jego oczy smutnie zagubione w labiryncie deszczu. Przypomniałam sobie sierpniowe noce wypełnione czarownym milczeniem, podczas których nie słycać nic poza odwiecznym chrzęstem, jaki wydaje ziemia obracająca się wokół zarzewiałej, nie naoliwionej osi. I nagle poczułam, jak mnie ogarnia przytłaczający smutek.

Przez cały poniedziałek padało, tak jak przez niedzielę. Ale teraz zaczęło się wydawać, że pada jakoś inaczej, bo coś odmiennego, gorzkiego, zaczęło dziać się w moim sercu. Pod wieczór jakiś głos odezwał się niedaleko mnie: "Strasznie nudny jest ten deszcz". Nie odwracając się, poznałam głos Martina. Wiedziałam, że mówi, siedząc obok, ze swoim zimnym, napiętym wyrazem twarzy, który nie zmienił się nawet tego ciemnego grudniowego poranku, kiedy został moim mężem. Od tego czasu upłynęło pięć miesięcy. Teraz miałam mieć syna. A Martin był tu, obok mnie, mówiąc, że deszcz go nudzi. "Nudny nie jest - powiedziałam. - Tylko okropnie smutno patrzeć na taki pusty ogród i te nieszczęsne drzewka, które nie mogą ruszyć się z patia". I odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego, ale już go nie było. Tylko jakiś głos mówił mi: "Wygląda, jakby nigdy nie miało się rozchmurzyć", ale kiedy odwróciłam się w kierunku tego głosu, natknęłam się na puste krzesło.

We wtorek z rana pojawiła się w ogrodzie krowa. Wyglądała jak wzgórek gliny w swym butnym i tępym bezruchu, z racicami zatopionymi w błocie i ze zwieszoną głową. Przez cały ranek chłopci usiłowali wypłoszyć ją za pomocą kijów i cegieł. Ale ona pozostała w ogrodzie, niewzruszona, twarda, nieustępliwa, racice w błocie i wielki łeb znieważany przez deszcz. Chłopi ganiali ją, dopóki cierpliwa tolerancja ojca nie stanęła w jej obronie. "Dajcie jej spokój - powiedział. - Pójdzie sobie, tak jak przyszła".

We wtorek pod wieczór woda ścisnęła i bolała jak całun rzucony na serce. Świeżość pierwszego ranka zaczęła zmieniać się w ciepłą, lepłą wilgoć. Nie było ani ciepło, ani zimno, coś jakby temperatura dreszczy. Nogi pociły się w butach. Nie wiadomo, co było bardziej nieprzyjemne - niczym nie nakryta skóra czy też kontakt jej z ubraniem. W domu ustała wszelka działalność. Usiedliśmy w korytarzu, ale już nie patrzyliśmy na deszcz tak jak pierwszego dnia. Już nie czuliśmy, że pada. Widzieliśmy już tylko kontury drzew pośród mgły, w czasie popołudnia smutnego, bezludnego, które zostawiało na wargach ten sam smak, z jakim człowiek budzi się po śnie o kimś nieznanym. Wiedziałam, że jest wtorek, i pamiętałam o bliźniaczkach z San Jeronimo, o ślepych dziewczynkach, które co tydzień przychodziły do domu i śpiewały te proste, zasmucone gorzkim i zagubionym czarem ich losu, piosenki. Ponad deszczem słyszałam piosneczki ślepych bliźniaczek i wyobrażałam je sobie w domu, przykucnięte, oczekujące, aby przestało padać, by mogły wyjść, żeby śpiewać. Ale dziś nie przyjdą bliźniaczki z San Jeronimo - myślałam - ani nawet żebraczka, która zwykle zjawiała się w sieni co wtorek po sjeście, prosząc o odwieczną gałązkę cytryny.

Tego dnia pomyliły się pory posiłków. W porze sjeisty macocha podała nam po talerzu zupy i po kawałku czerstwego chleba. Ale właściwie nie jedliśmy nic od poniedziałkowego popołudnia i mam wrażenie, że od tej pory przestaliśmy myśleć. Byliśmy sparaliżowani, znarkotyzowani tym deszczem i poddawaliśmy się klęsce przyrody bezwolnie i z rezygnacją. Tylko krowa po południu dała o sobie znać. Nagle jakiś głęboki hałas wstrząsnął jej wnętrznościami, a racice wbiły się w błoto jeszcze mocniej. Potem



nie poruszyła się przez pół godziny, jakby była nieżywa, ale nie padła, nie pozwalał jej na to nawyk życia, przyzwyczajenie do tej samej pozycji w czasie deszczu, co trwało, dopóki ciało nie wzięło góry nad przyzwyczajeniem. Wtedy zgięła przednie nogi (ale tył ciemny i błyszczący wciąż jeszcze miała uniesiony w ostatnim, agonalnym wysiłku), zagłębiła zaśliniony pysk w bagnie i w końcu ugięła się pod ciężarem swej własnej materii w milczącej, powolnej i godnej ceremonii całkowitego upadku. "Aż tu przyszła", powiedział ktoś za moimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam w progu wtorkową żebraczkę, która mimo ulewy przyszła prosić o swoją gałązkę cytryny.

Może we środę byłabym się przyzwyczała do tej zaskakującej atmosfery, gdybym wszedłszy do salonu nie znalazła stołu leżącego pod ścianą, a na nim wszystkich mebli, zaś z drugiej strony, na zaimprovizowanym w nocy podwyższeniu, kufrów i skrzyń z rzeczami. To, co zobaczyłam, dało mi nagłe uczucie pustki. Coś musiało stać się w nocy. W domu panował nieład, boski i półnaczy chłopi, ze spodniami podwiniętymi do kolan, przynosili meble do stołowego. W ich twarzach, w zawziętości, z jaką pracowali, widać było okrucieństwo zmarnowanego buntu, przymusowej i upokarzającej niższości w stosunku do deszczu. Ja sama poruszałam się bez celu, bez woli. Czułam się przemieniona w opustoszałą łąkę, pełną alg i huby, oślizłych, rozmiękłych grzybów, w łąkę owocującą odpychającą florą wilgoci, ciemności. Stałam w salonie, kontemplując osierociały widok złożonych na kupę mebli, kiedy usłyszałam z pokoju głos macochy, która ostrzegała mnie przed zapaleniem płuc. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że stoję po kostki w wodzie, że dom jest zalany, a na podłodze zalega gruba warstwa martwej, oślizłej i lepkiej wody.

W środę w południe jeszcze ciągle było ciemno, jakby nie wstał dzień. A przed trzecią już zapadła całkowita noc, zbyt wczesna i chora, z tym samym powolnym, monotonnym, bezlitosnym rytmem deszczu na patio. Był to przedwczesny zmrok, ponury i łagodny, który zapadł w ciszy chłopów przysiadłych na krzesłach pod ścianami, poddających się zmęczeniu lub bezsilnych wobec zakłóceń w przyrodzie. I wtedy właśnie zaczęły przychodzić wia-

domości z miasteczka. Nikt nie przynosił ich do domu. Ale docierały dokładne, ściśle, rozmaite, jakby naniesione przez to błoto płynne, które ciekło ulicami taszcząc różne przedmioty domowego użytku, takie i inne, odpadki katastrofy, szczątki, zdechłe zwierzęta. Wypadki niedzielne, które miały miejsce, kiedy jeszcze deszcz był tylko zapowiedzią wyczekiwanej zbawczej pory roku, dopiero po dwóch dniach dotarły do domu. W środę zaś doszły wiadomości, jakby popychane samoistnym dynamizmem burzy. Okazało się więc, że kościół jest zalany i może się zawalić. Ktoś, kto nie miał skąd tego wiedzieć, powiedział tej nocy: "Pociąg nie może przejechać przez most od poniedziałku. Podobno rzeka zerwała szyny". I okazało się, że jakaś chora kobieta znikła z łóżka i tegoż popołudnia odnaleziono ją utopioną na patio.

Przerażona, zatopiona w lęku i potopie, usiadłam w fotelu na biegunach, podkuliłam nogi, z oczami wbitymi w wilgotną ciemność, pełna najgorszych przeczuć. Macocha pojawiła się w drzwiach ze wzniesioną głową i lampą w uniesionej ręce. Wyglądała jak jakiś domowy duch, przed którym nie wzdrygnęłam się, bo sama należałam już do świata nadnaturalnego. Podeszła do miejsca, gdzie siedziałam. Wciąż jeszcze miała głowę wzniesioną, i lampę trzymała wysoko, brodziła w wodzie zalewającej się. "Teraz trzeba się modlić", powiedziała. A ja zobaczyłam jej twarz ostrą i ściągniętą, jakby dopiero co odeszła od czyjegoś grobu albo jakby była zrobiona " jakiejś innej, nie ludzkiej substancji. Stała na wprost mnie z różańcem w ręku, mówiąc: "Teraz musimy się {modlić. Woda podmyła groby i biedni zmarli pływają po cmentarzu".

Może i zdrzemnęłam się trochę tej nocy, bo obudziłam się gwałtownie od zapachu, przenikliwego i kwaśnego zapachu rozkładających się ciał. Mocno potrząsnęłam Martina, który chrapał u mego boku: "Nie czujesz?" - zapytałam. A on: "Czego?". A ja powiedziałam: "Zapachu. Ci zmarli, co pływają po ulicach". Zmartwiałam na samą myśl o tym, ale Martin odwrócił się do ściany i powiedział schrypniętym, zaspanym głosem: "Wydaje ci się. Kobiety w ciąży wyobrażają sobie Bóg wie co".

W czwartek o świcie zapachy ustały, znikło też poczucie odległości. Świadomość czasu, i tak zakłócona już od wczoraj, całkowicie się zatarła. Więc nie było czwartku. Było coś dotykającego, galaretowatego, co można było odsunąć rękami, aby wychylić się na piątek. Tam nie było ani mężczyzn, ani kobiet. Moja macocha, ojciec, chłopcy byli nierealnymi i otyłymi postaciami, które poruszały się w błocie zimy. Ojciec powiedział: "Nie ruszaj się stąd, póki ci nie powiem, co się ma robić" i głos jego był daleki, nie do mnie skierowany, i nie miałam wrażenia, że go słyszę, a raczej że go odbieram dotykiem, jedynym zmysłem, który jeszcze działał.

Ale ojciec nie wrócił: zagubił się w czasie. Tak że gdy zapadła noc, zawołałam macochę, prosząc, by poszła ze mną do sypialni. Spałam dobrze, spokojnie przez całą noc. Następnego dnia panowała ta sama atmosfera, bez koloru, bez zapachu, bez temperatury. Jak się tylko obudziłam, wskoczyłam na krzesło i usiadłam bez ruchu, bo coś mi mówiło, że jakaś strefa mojej świadomości jeszcze nie jest całkowicie przebudzona. Wtedy usłyszałam gwizd pociągu. Długi, smutny gwizd pociągu jadącego na północ. "Widać gdzieś musiało przestać padać", pomyślałam i wydało mi się, że jakiś głos za moimi plecami odpowiedział mi na tę myśl: "Gdzie?" - zapytał. "Kto tu jest?", rzuciłam i zobaczyłam macochę opierającą się o ścianę długą, chudą ręką. "To ja", odparła. A ja na to: "Słyszysz?". A ona powiedziała, że tak, że widać gdzieś okolicy przejaśniło się i zreperowali tory. A potem przyniosła mi tacę ze śniadaniem pachnącym czosnkowym sosem i topionym tłuszczem. Był to talerz zupy. Zdziwiona zapytałam, która godzina. A ona uspokajająco, głosem pełnym rezygnacji powiedziała: "Mniej więcej wpół do trzeciej. Pociąg zazwyczaj się nie spóźnia". Na to ja: "Wpół do trzeciej? Czy to możliwe, że tak długo spałam?". A ona odparła: "Nie spałaś długo. Jest najwyżej trzecia". Wtedy ja, drżąc i czując, że talerz wyslizguje mi się z rąk: "Wpół do trzeciej w piątek, tak..." - zapytałam. A wtedy ona z przeraźliwym spokojem: "Wpół do trzeciej we czwartek, kochana. Ciągłe jeszcze wpół do trzeciej we czwartek".

Nie wiem, jak długo byłam zatopiona w tym somnambulicznym śnie, w którym zmysły traciły swoje znaczenie. Wiem tylko, że po

wielu niezliczonych godzinach usłyszałam w sąsiednim pokoju głos. Głos, który mówił: "Teraz możesz przesunąć łóżko na tę stronę". Był to głos zmęczony, ale głos rekonwalescenta, nie zaś chorego. Potem usłyszałam hałas przesuwania cegieł w wodzie. Byłam zupełnie sztywna, dopiero po długiej chwili zdałam sobie sprawę, że leżę. Poczułam straszliwą pustkę. Poczułam dygoczącą, gwałtowną ciszę domu, niewiarygodną nieruchomość wszystkiego. I nagle zrozumiałam, że serce zmienione mam w kamień, zmarznięte w lód. "Umarłam - pomyślałam - Boże mój. Umarłam". Podskoczyłam w łóżku i wrzasnęłam: "Ada! Ada!". Miałki głos Martina odpowiedział mi z drugiej strony: "Nie usłyszają cię, są już po drugiej stronie". Dopiero wtedy zauważyłam, że rozchmurzyło się, że wokół nas rozciąga się cisza, spokój, tajemnicza, głęboka błogość, cudowny stan, zapewne bardzo podobny do śmierci. Potem dosłyszałam kroki w sieni. Rozległ się czysty, żywy głos. Potem świeży wietrzyk poruszył drzwiami, zaskrzypiał zamek i jakieś ciało stałe niby dojrzały owoc wpadło w studzienkę na patio. Coś w powietrzu zdradzało obecność niewidzialnej osoby, uśmiechającej się w ciemnościach. "Boże drogi- pomyślałam wtedy, całkowicie pozbawiona poczucia czasu - teraz wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zawołano, że czas iść na mszę z zeszłej niedzieli".

### **Tubal-Kain wykuwa gwiazdę**

Zatrzymał się. "Tamten" również się zatrzymał. Teraz nie mógł mieć już najmniejszej wątpliwości. Poprzednio opierał się każdego dnia rano przed wtargnięciem w ów mroczny, mglisty świat, ku któremu pchały go nieodparcie wszystkie moce jego życia. Potrafił się opierać. Dość miał w sobie energii, by trzymać w garści całkowitą jasność, choć trzepotała się i wiła, usiłując wymknąć się spomiędzy palców w pogoni za owym rozległym widokiem, który kiedyś był jego widokiem, w czasie już straconym i mglistym w tej zimie, gdzie padający ustawicznie deszcz towarzyszył posępnemu pejzażowi śmierci. A on stał właśnie w tym deszczu, znieruchomiały niczym rzeźba, wystawiony na dokuczliwie siekający go w powieki grad, podczas gdy w jego mózgu powstawały obrazy,

zmysłowe, gorzkie obrazy zaludniające jego własny świat. Nie chciał jednak wracać. Jeszcze czuł w ustach gorzki smak zimnej soli, świeżego mchu; i wierzył, że opór - choć bolesny - będzie skuteczny. Włożył w ten bunt całą energię, jaka mu jeszcze pozostała z własnej, choć niepewnej przeszłości. Teraz już mógł się dowiedzieć, że walka była daremna. Na nic zdała się ta walka, w której bronił się jak szczute zwierzę i szczyrzył kły niczym ranny pies, by odstraszyć upiory lęku. Na nic zdało się pełzanie z obitymi trzewiami, by odpędzić kruki wyuzdania. Próbował schronić się w okopach dzieciństwa. Próbował rozdzielić swą przeszłość od przyszłości okopami pełnymi irysów. Ale daremna była to walka, tak jak daremne było wgrzyzanie się w ziemię pełną dżdżownic, żeby na końcu języka poczuć ową ciepłą wilgoć, której nie było w mleku jego matki. Tak. Teraz ten świat sam przyszedł do niego. Uobecnił mu się w całej swej niezniszczalnej rzeczywistości; przeciwstawił się jego śmierci z siłą przewyższającą wolę. Wiedział, że teraz, pomimo swego niezmiennego oporu, wreszcie będzie musiał ulec. Pragnienie. To wieczne pragnienie, wypełniające gardło mętną przeszłością poranków pchało go ku wapnu pokrywającemu ściany; teraz bowiem, w porze świtu ostatecznego, trzeba było stawić czoło przerażającej prawdzie, która właśnie zatrzymała się tuż za jego plecami. Bolesna była świadomość, że własnymi rękami przyjdzie mu rozerwać łańcuch własnego buntu. Zadrzał goszczący w jego ciele człowiek. Zastygł następnie w bezruchu, przygwożdżony do skrawka ziemi, gdzie musiał się zatrzymać, by stwierdzić, iż "tamten" rzeczywiście znów wrócił. Poczł na karku kamienne spojrzenie, kiedyś dobrze mu znane, widocznie jednak zdążył się odeń odzwyczaić, bo teraz spadało nań jak ołowiana pięść, zmuszając do łapania piętami równowagi. "Tamten" był tam. Bez najmniejszej wątpliwości był tam i czekał tylko na moment, kiedy on ponownie ruszy przed siebie, by natychmiast pójść za nim, podążać za nim krok w krok przez mokre od deszczu ulice. Nie może się teraz ruszyć. Muszę stać spokojnie i nie ruszać się stąd. Będę czekał, jak głaz nieruchomy, choćby ten stan zawieszenia trwać miał i siedem wieków. Lepiej żebym natychmiast obrócił się w słup soli bez oglądania się za siebie jak bi-

blijna kobieta. Być może, jeśli odwróć głowę, stanę oko w oko z "tamnym". Może to ten sam, który prześladował mnie przez te ostatnie, burzliwe lata.

Teraz, gdy wstrzymał oddech, mógł stwierdzić, że "tamten" również oddycha. Przedtem jakoś tego nie zauważył. - Naprawdę nie zauważyłeś tego, kiedy zjawił się po raz pierwszy i towarzyszył ci przez trzy lata? - Nie. Ale teraz, w samym środku tej dręczącej ciszy, z każdym nerwem wyczulonym na to, co się dzieje tam z tyłu, mogę wyczuć powolny, rozdzielany przerwami rytm, czasem niewyczuwalny, ledwie słyszalny, jakby dochodził z odległych bardzo płuc. Ale mimo wszystko każdy mógłby przysiąc, że chodzi o normalny oddech. Nic w nim nie było nadzwyczajnego, może poza tą powolną ospałością, tym zbolalym rytmem. - A może "tamten" to człowiek z krwi i kości, może to nawet jakiś twój przyjaciel, który chce ci zrobić kawał? - Nie. To "tamten". Dowodzi tego owa gwałtowna, ciepła fala uderzająca mnie w kark. Tej woni, tego odoru alkoholu i narkotyku z niczym się nie da pomylić. Tylko mój własny, żywy cień może wydawać taki odór.

Wiedział, że teraz ulegnie, bo strach zatrzymał się niczym metalowy zacisk na jego kręgach. Dreszcz, który wpierw ogarnął paznokcie, zaczął następnie unosić się lekko niczym opary eteru po łydkach, po udzie - po jego udach! - pozostawiając po sobie roztrzęsiony obszar, na którym jego własne stopy i nogi całe przestały być jego stopami i nogami, przeistaczając się w cement. Miast jędrnych, zwinnych nóg miał dwie betonowe kolumny, dwa drzewa z ołowiu. Wyżej zaś, w brzuchu, opar ów stawał się ostry, coraz ostrzejszy, by wreszcie przeobrazić się w ruchliwą, kłującą go szczękę, która na koniec na pół rozgryzła ciepły owoc serca. Drżąca dłoń zaczęła szukać trwałego oparcia w pobliskim murze: ale już było za późno. Jego ramię zagubiło się tam, w bezdennej, nie kończącej się pustce, jakby wyciągał je po to tylko, by chwycić lodowate tchnienie śmierci. W głowie kłębiły mu się bezładne myśli. Nikt nie mógł zatrzymać go w tym nieuchronnym upadku. Jakby jakaś lodowata ręka pozbawiona ciała pchnęła go ze skraju przepaści. Poczul, jak spada i spada na samo dno znajdujące się w innym czasie, w czasie odmiennym i już zapomnianym. Jakby w

tym bezładnym spadaniu widział unoszące się szybko kolejne lata i okresy, kiedyś stanowiące jego własność, teraz zaś ukazujące mu się z całą swą rozdzierającą prawdą z każdym bezsennie występnym świtem. I tam właśnie podążył, ku dnu przepaści, pionową drogą, czterystuletnim pionem. Tak. To zawrót. Znowu zawrót. - Jak nazywał się zawrót? - Nie. Nie pamiętam. Proszę mnie nie pytać jak się co nazywa! Proszę teraz się do mnie nie odzywać! Proszę zostawić mnie z moją własną śmiercią, z tą samą śmiercią, którą poznałem dwanaście lat temu, kiedy zataczając się, odmieńniony gorączką wracałem do domu, opatulony ciepłym oddechem tego sztucznego świata, który jest moim światem. - Twoim? - Tak. Leży sobie tutaj spokojnie, w mojej kieszeni. Cicho, bo się obudzi. Nie widzisz, że nieboraczek jest smutny, że niebieskie oczy gotowe mu pęknąć? Zostaw nas tutaj samych, zjemy sobie to udko razem z naszą śmiercią. Jutro przejdę się tymi ulicami z moją ciężką nierzeczywistością lunatyka, spijając poranek łyk po łyku z łapczywością zbuntowanego zwierzęcia; był to rodzaj buntu, który zmuszał mnie, bym czuł się piękny; piękny i samotny pod gorzkim niebem kokainy. Czas i przestrzeń...! Kto śmiał wypowiedzieć obydwa słowa? Nie widzicie, że się ich boję? Ale nie ich istnienia. Czas i przestrzeń! Przestrzeń i czas... Zostaw je tak, na odwrót; lubię je widzieć właśnie tak - do góry nogami! - A czego pan tu szuka, do diabła? Tutaj go pan nie znajdzie. Nie znajdzie pan tutaj zawrotu, bo już go zaniósłem do łóżka. Nieboraczek. Tak się wymęczył w moim żołądku, że położyłem go spać. To mój zawrót. Teraz, kiedy już śpi, zostawił świetliki zamknięte w swych niebieskich oczach. Nie ruszaj się! Ty! - Co ci się stało w lewy policzek? Proszę panienkę o wybaczenie, ale zapomniałem zapalek. Mogę jeszcze jednego papierosa? Dziękuję. Naprawdę pani nie jest tą kobietą z drabiną? Nie. Spotkałem panią w innym miejscu. A może... No to masz go, oto portret twojego zmarłego ojca. Nie pytaj mnie o ojca, bo on żył w tym innym świecie. Był to chudy, wysoki, przezroczysty starzec, z nerwowym tikiem na policzku. Oczy miał ogromne, baczne spojrzenie. Możesz mu się przyjrzeć, tam, na portrecie opartym o ścianę. Nie widzisz, że jest identyczny? Biedny staruszek! A teraz zimny, tam, w dole, zanurzony w

robactwie, kołacze w ucho śmierci swymi kośćmi. Zostaw go w spokoju, bo jeszcze tkwi mu w udach czternaście gwoździ. Umarł niczym świętek z przebitymi stopami, a nad nim wieczór płakał spływającymi mu po żebrach zmierzchami. Ale teraz, tak jak i zawrót, śpi głęboko. Teraz są tam, razem jak bracia, przerażeni, że mogą im się roztrzaskać niebieskie oczy. Pogrzebano ich twarzami ku górze. Och, przepraszam, rozmawiam z panią wcale pani nie znając. Nie jest pani tą kobietą z drabiną? - Czas i przestrzeń. - Ach, pani też zna tę śpiewkę! Ale dlaczego mówi to pani tak a nie inaczej? - Przestrzeń i czas... - O tak, właśnie tak; uwielbiam widzieć je do góry nogami!

Teraz był kimś innym. Serce, które przed chwilą łomotało w piersi, zaczęło powoli zanikać. Fala szczęścia i spokoju zalewała jego duszę, dając mu poczucie powietrznej lekkości, jakby siła ciężenia przestała oddziaływać na jego ciało. Zapomniał - teraz już na pewno zapomniał - że za jego plecami stoi "tamten", czyhając tylko na chwilę, gdy znowu ruszy przed siebie. Ale on wołał tkwić nieruchomo, czekając aż ojciec wyjdzie ze swojej śmierci, w której zamykały go portrety, i zaczną rosnąć i rosnąć. Tak. Piękny był ojciec, kiedy wychodził z ram i siadał na brzegu łóżka. Znowu mógł zobaczyć - jak wtedy, gdy podpatrywał go w dzieciństwie - jak ojciec wbija sobie szpilkę, by złożyć ziarno sennego marzenia wewnątrz uda. Twarz nabierała barwy brudnawej ołowej ziemi, ciało zaś ogromniało wewnątrz pokoju. Mógł przewidzieć, jak ciało będzie rosło, przybierając dowolne kształty, rozgałęziając się ku zaczynającemu już drzeć sufitowi. Rozpierała go synowska duma na widok ogromniejącego ojca, jak również na myśl, że może przeżyć tę chwilę, kiedy ojciec rozsadza sufit w huku rozpadającego się już domu. Ojciec nie był wtedy jego ojcem. Był to mężczyzna wysoki i szczupły; boleśnie szczupły, jakby wyryty w krzyku. Słyszał go, jak śpiewa ze wszystkich sił na cztery strony świata, swym głosem wprowadzając w drżenie najgłębsze korzenie drzew, siejąc strach wśród ludzi, w pył obracając miasta, jednym uderzeniem pięści zrównując z ziemią kościoły, by biciem dzwonów uczcić swą przerażającą radość zdziczałego dziecka. Napierało czoło wyniosłe z coraz większą siłą, płosząc



gołębie swym lotem ku wysokim, ciemnym niebiosom, owym niebiosom zimnych popiołów, niebiosom mętnym, pozbawionym jakiegokolwiek światła, które wprawiały w ruch jego olbrzymie, przerażające skrzydła nietoperza nad niezwykłymi ramionami. Och, jego ojciec był panem świata! Na całkowicie zniszczonej ziemi on tylko pozostał, rozczarowany, odmieniając stan rzeczy, rozdzielając rzeki, morza, coraz bardziej niezadowolony ze swego dzieła, niczym Bóg znudzony w pierwszy dzień potopu.

Ale owe wzrastanie potrwa jedynie parę chwil. Niejednokrotnie już go widział, jak się zmniejsza. Niebawem przeistoczy się w małą, maciupętką istotę, która wnet rozpołowi się, powieli i rozmnoży po wszystkich kątach pokoju rojem takich samych, identycznych, ruchliwych postaci, biegających bezładnie niczym mrówki uciekające przed ogniem. Uwielbiał przyglądać się temu przeraźliwemu świętu; doznawał niezwyklej, irracjonalnej rozkoszy widząc rozmnożonego ojca. Z prawdziwą satysfakcją rzucał się w pościg za armią liliputów, które w przerażeniu tłoczyły się po kątach, wpatrywały się weń swymi bystrymi, złośliwymi ślipkami, wpadały na siebie i rozmnażały się bez opamiętania, zajmując wreszcie cały pokój. Za pierwszym razem przeżył to mocno; ale potem owe codzienne widowisko było dlań czymś zupełnie zwyczajnym. Nie zadziwiał go już widok wszechobecnego ojca: na stołach, pod łózkami, na książkach, uciekającego w popłochu do mysich dziurek. Wprost przeciwnie: nie mógł już żyć bez tego powszedniego święta. Odczuwał frajdę dużego dziecka, kiedy udawało mu się schwytać w garść owych dziesięć czy piętnaście tyciuteńkich kukiełek i unieść na wysokość oczu. Wtedy mógł im się dokładniej przypatrzeć. Nielichą satysfakcję sprawiał mu ów grymas przerażenia wykrzywiający twarz karzełków próbujących ze wszystkich sił utrzymać równowagę, by nie wyślizgnąć się z dłoni i nie spaść na ziemię. Wszyscy byli identyczni, jeden w drugiego; bladzi, ziemiści, z tym samym nerwowym tikiem na lewym policzku, który i później charakteryzował portret ojca. I wszystkie miały uda zsiniałe, pełne głębokich ukłuc, ziały alkoholem i nocnymi narkotykami. Z jakąż to satysfakcją obserwował, jak się trzęsą, kiedy zaczynał zaciskać palce, by je zmiażdżyć i zniszczyć

w swej garści. Nader zabawny był widok karzełek uciekających w popłochu pod meble, tonących w akwariach, pożeranych przez zgłodniałe ryby. Jego pomnożony ojciec stawał się wówczas obrzydliwą mysią masą.

Teraz doskonale wszystko pojmował. Powrót "tamtego" oznaczał również powrót tych wszystkich chorobliwych wrażeń, bolesnych doświadczeń, które na nowo pchały go z neodpartą siłą ku rozdzierającym regionom gorączki. Próbował przypomnieć sobie, kiedy po raz pierwszy zobaczył "tamtego", zawrót jednak trwał nadal, wciąż przenikając do żołądka, by tam wirować i pulsować. Z rozpaczą rannego zwierzęcia próbował złapać się jakiejś jednej tylko myśli, masztu pośród tej zatrważającej burzy w mózgu, ale wszystkie myśli rozpierzchały się natychmiast w chaotycznym kłębowisku wspomnień. Świat gwałtownie uciekł spod jego ciała, sznur zaś zacisnął się - znowu, jak podczas pierwszej nocy - wokół szyi. Nie. Tym razem nie może zawieść. Zamieniam się cały w słuch, czekając na tę chwilę, kiedy rozejdą się kręgi szyjne. Dziś chcę usłyszeć ten przerażający chrzęst. O tak, tak! Właśnie tak... Przepraszam, czy pani nie jest tą kobietą z drabiną? Czas i przestrzeń. Nie. Żadną miarą. Przestrzeń i czas... Właśnie tak, do góry nogami! Och, jak dobrze! Teraz już nikt mi nie powie, że jestem tchórzem, że nie miałem odwagi powiesić się na drzewie, na belce, tak żeby ostatecznie pękł mi kręgosłup. "Jesteśmy trawiastymi, marihuanopokręconymi!". Kto wygaduje takie rzeczy za moimi plecami? Dziś kobieta nie przyjdzie. Na pewno. Niech sobie idzie ze swoją drabiną gdzie indziej. Jutro znajdą mnie zwisającego z sufitu jak owoc, z głosem pękniętym od sznura. I wtedy będę mógł powiedzieć: czas i przestrzeń... Nie: przestrzeń i czas, przepięknie, do góry nogami! Powinienem już być martwy. Wiszę już na tym sznurze czas jakiś, dyndając w powietrzu. Jestem już zimny. Cholera, przecież już prawie gniję. Teraz już nikt mi tutaj nie przyjdzie z chórem lunatycznych głosów wrzeszczących mi wprost do ucha: "Jesteśmy trawiastymi...!".

Usłyszał dochodzące z zewnątrz wołania, które z niepokojem, niemal z matczyną troską zwracały się doń po imieniu, i mocne walenie w drzwi silnych ramion powodujące drżenie wszystkich

ścian. Znowu to samo! Ktoś widocznie usłyszał dziwne hałasy i zwołał sąsiadów. Teraz, jak zwykle, drzwi runą pod naporem tych wszystkich uderzających równo, z całej siły ramion, żeby wyrwać go śmierci. - Ale ze mnie tchórz i głupiec! Wszystko przez moją słabość! Tylko dlatego, że boję się tej zimnej aureoli, która na chwilę zacisnęła się wokół mojej głowy gotowa zaraz zmiażdżyć moje skronie. Może byłoby lepiej dla mojej dumy, gdyby znaleźli mnie z głową zatopioną w lustrze krwi. A może lepiej byłoby zadowolili powonienie śmierci różą z prochu.

Za tamtym razem zaczął odczuwać obecność "tamtego". Widział go wszędzie. Wyobrażał sobie, jak czai się po kątach, za drzwiami; jak podgląda każdy jego gest, każdy ruch. Nawet był w stanie dostrzec zwinny cień w pospiesznej ucieczce. Widział, jak ucieka z jadalni po wylaniu na jedzenie całego słoiczka laudanum. "Tamten" był wszędzie, pomnożony, powielony jak jego ojciec: w domu, w mieście, na całym świecie. W nocy słyszał "tamtego", jak dyszy, jak usiłuje zburzyć ściany, by przedostać się do pokoju i udusić go, by wbić mu gorące szpilki w powieki, by przypalić mu stopy rozpalonym do białości żelazem. Nie. Dziś nie mogę zasnąć. "Tamten" na pewno wykorzysta moment, kiedy zmorzy mnie sen, zwali drzwi, wejdzie i zszyje mi całun. Już kiedyś próbował wbić mi ciernie pod paznokcie. Muszę się bronić. Muszę zabić te drzwi, zabić dwoma grubymi dechami, na krzyż, żeby nie mógł się dostać. A tutaj założę od środka kłódkę. A tu drugą. I jeszcze jedną. Dziś jeszcze założę tuzin kłódek. Tysiąc kłódek! A wokół łóżka zbuduję barykadę, prawdziwe zasieki.

Na środku pokoju każę postawić dzwon. Ale gdzie ty znajdziesz dzwon? Kto tam siedzi w kącie i zadaje mi pytania? Jak to kto? Dzwon. Dzwon. Dzwon! Dlaczego słowo "dzwon" bije jak dzwon? Gdzie znajdę dzwon? Proszę pani, chciałbym nabyć dzwon. Zeby mnie ostrzegł przed "tamtym", kiedy przyjdzie mnie udusić. Poproszę o tuzin dzwonów. Chwileczkę, czy pani nie jest tą kobietą z drabiną? Dzwon! Co za piękne słowo! Proszę pani, czy może mi pani powiedzieć jakiego koloru są słowa? Są słowa, które pękają jak dzwony. Ze co, proszę? Ze zwariowałem? Ba! A może rzeczywiście jestem wariatem. Wariatem w czasie i w prze-

strzeni! W Przestrzeni i w Czasie... Właśnie tak, z dużej litery i do góry nogami! Naprawdę nie widzi pani, że "tamten" tu idzie? Proszę nie zwracać na niego uwagi i w ogóle nie reagować, jeśli zapyta o kobietę z drabiną.

Ale to było świtem, jak teraz, kiedy namacalnie zdołał poczuć "tamtego". Świtem, gdy wróciwszy do domu odniósł wrażenie, że z całą pewnością, ktoś go śledzi. Zatrzymał się. "Tamten" - tak jak teraz - też się zatrzymał. Cisza. Nikt nie zakłócał tego przerażającego spokoju, tego rozpaczliwego spokoju. Jeszcze tylko dwie, trzy przecznice. To jego stała droga od tawerny do domu. Droga, którą przechodził codziennie rano, niczym się nie przejmując, niemal automatycznie. Teraz jednak był całkowicie przekonany, że ktoś za jego plecami stoi. Przez chwilę usiłował uspokoić swój oddech, z trudem powstrzymując uderzenie krwi do głowy. Słuchem całym - tym słuchem, dzięki któremu mógł usłyszeć spadającą na podłogę szpilkę - nastawiony był na najmniejszy nawet odgłos. Jakiś daleki zegar wybił trzecią rano. Były to trzy powolne, wyraźnie od siebie oddzielone uderzenia, rozbrzmiewające w jego uchu z nadzieją, jakby wybijał je specjalnie dla niego żywy dzwonnik, chcąc przebudzić go ze strachu. A jednak strach! Strach? Ja i strach? Ja, co trzykrotnie stawiałem czoło przeróżnym śmierciom i zawsze wracałem z tej walki cały i żywy! Zaczął reagować. A może to złudzenie moich zbyt czułych uszu albo kiepski żart systemu nerwowego? Trzeba iść dalej. Muszę pokonać te dwie przecznice. Pokonać ten strach, który paraliżuje mnie jakbym był zidiociałym dzieckiem.

Powoli, ale zdecydowanie, ponowił marsz. "Tamten" też ruszył. Wyraźnie usłyszał stawiane na chodniku kroki. Dwa jednakowo brzmiące, wyraźne uderzenia. Tak. Ktoś za nim idzie. Teraz czuł jego obecność inaczej niż poprzednio. Teraz słyszał go tuż tuż za plecami, tak blisko, że mógłby go dotknąć. Nadludzka siła pchnęła go, zmusiła do biegu przez bezludną ulicę. Powstrzymał się. Sparaliżowany, trwał długo w bezruchu. Jak długo - nie potrafił sobie przypomnieć, ale w chaosie wspomnień istniało coś, co miał zapamiętać na zawsze: lodowate uderzenie w twarz, gdy błyskawicznie odkręcił się na piętach i twarzą w twarz spotkał się z

"tamtym". Tego, co zobaczył, nie mógł zapomnieć do końca życia.

Sznur zacisnął się wokół szyi, teraz już ostatecznie. Usłyszał chrzęst, straszliwy trzask rozpadających się kręgów szyjnych. W sąsiednim pokoju ktoś plółł trzy po trzy: coś, co miało związek z jakąś kobietą z drabiną. I jakiś głos zaczął go natarczywie wołać po imieniu jakby z głębi knebla. Głos był mu znany, prawie przyjacielski; głos "tamtego" ginący gdzieś w dole, głęboko, na mętym dnie jego gorączki. I za tamtym razem - jak i teraz - chwycił się boków śmierci jak człowiek upadły, jak pokonany pies.

### **Nataniel składa wizytę**

Na rogu harcowały wszystkie cztery wiatry. W samym środku powietrznego wiru szary krawat wpierw zatrzepotał ku wschodowi, później (porwany przez inny wiatr) gwałtownie odbił w drugą stronę, następnie zaczął na przemian wskazywać to jeden kierunek świata, to drugi, by wreszcie osiąść spokojnie, utrzymywany w równowadze przez wszystkie cztery wiatry. Nataniel przytrzymał krawat i poprawił delikatnie węzeł, odnosząc wrażenie, że krawat żyje własnym życiem. Być może właśnie to wrażenie zmusiło go do podjęcia decyzji. Być może, poczuwszy jak krawat samodzielnie porusza mu się u szyi, Nataniel pomyślał, że w przeciwieństwie do niego nawet taki krawat nie obawia się ryzyka. Wyciągnąwszy szyję najwyżej jak mógł spojrział w dół na swoje brudne buty. "Może dlatego nie miałem odwagi", pomyślał. Bo buty nie były w najlepszym stanie.

Ruszył ku znajdującemu się w połowie ulicy stanowisku czyścibuta. Zapalił papierosa, podczas gdy chłopak, pogwizdując modną piosenkę, przystąpił do układania wszystkich przyborów. Nataniel zobaczył w dole pudełeczko z czerwoną pastą. Zobaczył szmaty porządnie ułożone na udzie czyścibuta. Zobaczył dwie szczotki. Jedna była zabarwiona czerwoną pastą. Druga zapewne służyła do pasty czarnej. Kiedy chłopak zaczął nawilżać połówką pomarańczy nosek lewego buta, Nataniel poczuł przenikający mu palce rześki i kwaśny dreszcz i jednocześnie niemal smak pomarańczy na podniebieniu i strużkę słodkiej śliny w ustach. Tak jak-

by czyścibut nacierał pomarańczą nie but, ale język Nataniela. Rozległo się uderzenie szczotki o skrzynkę, po którym niemal natychmiast nastąpiła zmiana stopy na pudle.

Dopiero teraz (kiedy w ustach zanikał smak ostatniej wyciśniętej pomarańczy) Nataniel zobaczył twarz chłopca. "Młodo wygląda, a przynajmniej siedzi w odpowiedniej odległości, żeby na młodego wyglądać", pomyślał, przyglądając się zręczności, z jaką czyścibut wykonywał swoją pracę. Nagle (kiedy w ustach nie zostało już śladu po ostatniej pomarańczy) Nataniel zapytał:

- Jest pan kawalerem?

Chłopak nie podniósł oczu. Wciąż z pochyloną głowę pastował prawy but czerwoną pastą. A kiedy skończył, odpowiedział:

- To zależy.

- Od czego zależy? - zapytał Nataniel.

- A zależy, co pan rozumie pod słowem kawaler - odparł czyścibut nadal nie podnosząc głowy.

Nataniel zaciągnął się papierosem. Zaczął się nachylać, by w końcu oprzeć się łokciami o kolana.

- Mam na myśli czy jest pan żonaty?

- A to już co innego - odparł chłopak. I grzbietem szczotki stuknął o skrzynkę dając sygnał do zmiany nogi. - Bo w takim razie jestem kawalerem.

Nataniel ponownie postawił lewą stopę na blacie skrzynki. Czyścibut z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy wrócił do przerwanej przez pierwsze pytanie pogwizdywania tej samej, modnej melodyjki. Nataniel, przez chwilę siedząc na krześle wyprostowany zaciągnął się ostatnim dymkiem i nie wyjmując papierosa z ust ponownie oparł łokcie o kolana. Zmrużył oczy, chroniąc je przed dymem. I z papierosem w ustach zadał kolejne pytanie, ale sam nie zrozumiał własnego bełkotu. Podniósł rękę i uwolnił usta od papierosa.

- Jak to się nazywa? - zapytał.

Chłopak przerwał gwizdanie.

- Co?

- No, jak to się nazywa - powtórzył pytanie Nataniel.

- Rozumiem - powiedział czyścibut. Przerwał szczotkowanie i podniósł głowę, żeby go było lepiej słyszeć. - Pytam, o co pan pyta, co jak się nazywa?

- To, co pan gwizdze - odpowiedział Nataniel.

- A to już coś innego - odparł chłopak. - Nie wiem, jak to się nazywa.

Wykonał szczotką sztuczkę cyrkową i wrócił do swojego zajęcia poprawiwszy but zsuwający się ze skrzynki. Kupa ludzi to śpiewa, powiedział. I zaczął gwizdać jeszcze głośniej.

Kiedy Nataniel stanął na ziemi w przepuszczanym przez drzewa świetle, przyjrzał się czerwonemu blaskowi swoich butów. Wyglądały jak nowe. Tak nowe, że teraz garnitur wypadał przy nich fatalnie. Pstryknął niedopałkiem na drugą stronę ulicy, wyciągnął banknot i podał go czyścibutowi. Ale chłopak powiedział, że nie ma reszty. Nie ma sprawy, odparł Nataniel. Chodźmy do sklepiku na rogu. I ruszyli ulicą ocienioną przez smutne drzewa, które już zaczęły się starzeć w czekaniu na spóźniającą się zmianę pory roku. W połowie drogi, trzymając ręce w kieszeni i pocierając kciukiem banknot owinięty wokół palca wskazującego, Nataniel odezwał się ot, tak sobie. Odezwał się nim pomyślał.

- Podobają się panu? - zapytał.

Chłopak nawet się nie odwrócił, żeby spojrzeć na niego.

- Co? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Czy podobają się panu? - powtórzył Nataniel.

- To rozumiem - odparł chłopak. I dopiero wówczas odwrócił się, by spojrzeć nań z boku. - Pytam tylko, o co mnie pan właściwie pyta, pytając, czy mi się podobają?

- Drzewa - odpowiedział Nataniel. I wyciągnął! rękę z kieszeni, żeby urwać zieleniejącą na wysokości jego głowy gałązkę.

- A to co innego - powiedział chłopak. - Ale mimo wszystko, to zależy...

- Zależy od czego? - zapytał Nataniel. I przygniół liście banknotem owiniętym wokół palca wskazującego.

- Zależy od tego, co się chce zrobić z drzewami - odparł czyścibut.

Nataniel zatrzymał się. Ponownie schował ręce do kieszeni i odwrócił się plecami do ulicy, twarzą zaś ku chodnikowi, po którym szedł chłopak.

- Chcę zapytać, czy podobają się jako takie.

- Nie rozumiem - odpowiedział chłopak nie odwracając głowy.

- To znaczy, czy podoba się ich wygląd - wyjaśnił Nataniel. I ruszył dalej.

- A to już co innego - odparł czyścibut. - Szczerze więc powiem, że jeśli drzewa mają służyć tylko wyglądowi, to nie podobają mi się.

Spojrzał przez ramię i dodał:

- Powinny służyć do czegoś innego.

Dotarli do skrzyżowania. Przeszli jednocześnie przez ulicę, nagle zatopieni w myślach, jakby ostatnie słowa chłopaka wyczerpały już wszystkie możliwości rozmowy. Nataniel wszedł do sklepiku, kupił gumę do żucia (pierwsza rzecz, jaką zobaczył w słoju ze słodyczami) i wrócił do wejścia, przy którym czekał nań czyścibut. Wręczył mu wpiery dwie monety, potem gumę do żucia, gotów nawet zapytać go czy lubi gumę do żucia, ale chłopak zwinął się natychmiast, nie podziękowawszy nawet.

Nataniel, znowu stojąc na skrzyżowaniu, gdzie nie tak dawno harcowały wszystkie cztery wiatry, ponownie poprawił sobie węzeł krawata. Teraz krawat wydawał się być pozbawiony własnego życia. Teraz był to zwykły, najzwyklejszy krawat, jak każdy krawat na szyi każdego normalnego mężczyzny, który nie wie, co ma ze sobą począć. A jednak - i mimo tego, że krawat stracił swój pierwotny wygląd żywego zwierzęcia - decyzja już dawno zapadła. Teraz Nataniel czuł się dobrze. Był może nie w najlepszym garniturze, ale za to w wyglancowanych butach. Musiał jeszcze tylko dokonać niewielkiego wysiłku (z zamkniętymi oczyma, w miarę możliwości), by przemierzyć część kwartału, i to nie wzdłuż ulicy, ale w stronę alei. Powinien stanąć przed szóstym domem. Wiedział, bo policzył drzwi, choć wystarczyłoby zauważyć, że jest to jedyny dom, w którym jeszcze paliły się światła. Nigdy tędy nie chodził, wcale nie dlatego, że to miejsce było daleko od jego domu, ale dlatego, że dotąd istniała dlań tylko jedna jedyna



droga, codzienna droga od domu do biura, przez całe życie. Poza tym nigdy do dzisiejszego wieczoru nie odczuwał najmniejszej potrzeby wychodzenia z domu.

Ale dziś odczuł taką potrzebę. Było gorąco. Chciał odetchnąć życiodajnym, świeżym, przepuszczonym przez liście drzew powietrzem. Kręcił się bez celu. Nie miał pojęcia, ile już czasu tak się kręcił. I właśnie kiedy już szykował się do powrotu, zobaczył niewielki salonik pełen fantazyjnych przedmiotów. W kąciku siedziała na sofie kobieta. Siedziała jak osoba czekająca na kogoś, kto może lada chwila nadejść. Siedziała smutna jak ktoś, kto czeka na tę chwilę od dawna, od samego urodzenia albo i wcześniej; być może nawet wcześniej niż od dnia narodzin oczekiwanej osoby. Nie była piękna (przypominał sobie Nataniel na rogu, jeszcze targany wątpliwościami) i nawet, przynajmniej na pierwszy rzut oka, trudno w niej było znaleźć jakikolwiek atrybut pięknej kobiety. Ale siedzi, plecami do światła, i nic innego nie robi. Czeki. I Nataniel, ujrzawszy ją, pomyślał, że jeśli chwila nadeszła, a oczekiwanie jeszcze trwało, to widocznie kobieta ta mogła równie dobrze czekać na niego. Czekać na jedyne go mężczyznę, którego nigdy w życiu nie widziała.

Stojąc dokładnie w tym miejscu, gdzie przedtem harcowały wszystkie cztery wiatry, Nataniel wciąż nie podejmował decyzji. Miał przed sobą do pokonania połowę oddzielającego go od kobiety kwartału. A nie podejmując decyzji, czuł się winny. Winny za to wszystko, za (co może być winien niezdecydowany mężczyzna, tkwiący na rogu ulicy, podczas gdy sześć domów dalej czeka nań kobieta. Z początku nie bardzo wiedział, jak sobie wytłumaczyć targające nim sprzeczne uczucia, dotkliwie przezeń odczuwany niepokój. Teraz jednak (jak się nad tym zastanowić) odniósł wrażenie, że trudno będzie mu żyć z owym poczuciem winy, z wyrzutem, że nic a nic nie robi właśnie w chwili, kiedy mógł zrobić wszystko, byle tylko raz jeszcze poprawić węzeł krawata. I zanim w myślach jego zdążyła zapaść ostateczna decyzja, poczuł, jak niesiony stawianymi nieświadomie ostrożnymi krokami idzie aleją, ocienioną chłodem niskich drzew.

Mógłby jeszcze, odzyskawszy zmysł orientacji, cofnąć się w ostatniej chwili. Już nawet chciał przejść obojętnie obok domu. Ale kobieta niezmiennie tam siedziała, jak przedtem, w kącie, z wygładzoną na udach spódnicą. Gdy rzucił okiem przez okno, kobieta siedziała wciąż jak siedziała, wciąż zatopiona w myślach, z oczyma wciąż utkwionymi gdzieś w górze. W roztargnieniu wyrwała drobniutkie niteczki z sofy, jakby te sfilcowane kłębki wyznaczały jej upływający czas oczekiwania. Nataniel już był tuż przy drzwiach. Już stał, ciągle pełen wątpliwości, w drzwiach. I dopiero gdy silne postanowienie sprzed sekundy ostatkiem sił próbowało złapać równowagę, przygryzł wargi i wszedł.

Kobieta jakby przebudziła się ze snu; przeciągnęła się nieznacznie i lekko potrząsnęła głową, dostrzegłszy wreszcie stojącego przed nią, milczącego, namacalnego mężczyznę, promieniującego szczerą serdecznością. Kiedy spojrzała nań, Nataniel poczuł, że jego stopy utrzymują równowagę na skraju cudu. A kiedy głosem przekraczającym granice zwykłej grzeczności kobieta zapytała, czym może służyć, Nataniel raz jeszcze dotknął krawata pod szyją, stwierdziwszy z ulgą, że węzeł, akuraty, udany, jest na swoim miejscu, jakby jego palce otarły się o cud.

- Czym mogę służyć - powtórzyła kobieta.

- PRAGNĘ SIĘ Z PANIĄ OŻENIĆ - powiedział Nataniel. Usłyszawszy własny głos, być może nawet nie wiedział, co i dlaczego powiedział. Uświadomił sobie jedynie, że w tej samej chwili siedząca na sofie kobieta znów jest jedynie siedzącą na sofie kobietą, on zaś stojąc na środku całkowicie mu nieznanego pokoju, wciąż pozostaje samotnym mężczyzną, który nie wie, gdzie go niesie i po co

Kobieta chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała. Nie tając swego oburzenia, ponownie zanurzyła się w swój nieokreślony wcześniejszy świat, tym razem jednak nie przybierając swej uprzedniej pozy całkowitego opuszczenia. Jej obojętność była teraz fałszywa; usiłowała wyrazić swoje zakłopotanie. Założyła nogę na nogę; grzbietem dłoni poprawiła skraj spódnicy. Następnie splotła dłonie i zaczęła stukotać palcem wskazującym o kolano okryte rąbkiem spódnicy. Nataniel usiadł na wprost kobiety. Spoj-

rzała nań spod oka i zaczęła lekko poruszać głową, podążając jakby za tajemnym i narastającym w niej pulsowaniem. I stuknęła w kolano powyżej rąbka spódnicy. A gdy spostrzegła Nataniela siedzącego we wzruszającej pozie pełnej cierpliwości, zakłopotania i nadziei, opadła na oparcie, rękoma wspierając się o brzeg sofy, i odezwała się krótkimi słowy: "Będzie pan łaskaw wyjść". I dodała, że w przeciwnym wypadku zawoła Klotyldę.

Nataniel po raz kolejny poprawił krawat u szyi. Nie zwykł tego czynić; ale teraz, absolutnie nieświadom tego, kim znowu jest Klotylda, czuł, że namacalna obecność węzła staje się nieodzowną potrzebą. Teraz już był spokojniejszy. Może kobieta już się odezwie, pomyślał; ale jeśli on się odezwie, całkiem prawdopodobnym stanie się nadejście Klotyldy. Bardzo chciał wiedzieć, kim jest Klotylda. Bardzo chciał ją poznać.

- Ja nie żartuję, proszę pani - powiedział. I nachylił się nie odrywając łokci od poręczy fotela. - Chcę się z panią ożenić - powtórzył, choć tak naprawdę myślał o czymś zupełnie innym. "Chcę ożenić się z Klotyldą", pomyślał, ale nie śmiał tego powiedzieć.

I wtedy coś nieoczekiwanego musiało się chyba stać, bo kobieta nagle zrezygnowała ze swej pełnej niechęci postawy, by przyjąć daleki i obojętny wyraz twarzy, jakby znowu poczuła się w domu całkowicie sama. Nataniel, skulony ciągle w fotelu, poczuł się z kolei na siłach, by rozmowę ze swej strony kontynuować. Być może w tej właśnie chwili nie bardzo wiedział, czy rzeczą najwłaściwszą byłoby powiedzieć wszystko, co zdołał sobie przygotować, zanim zdecydował się tu wejść, ale czuł się dobrze, pewnie i był całkowicie usatysfakcjonowany spełnieniem ciężącego na nim obowiązku. I czuł, że do obowiązków mężczyzny, składającego po raz pierwszy wizytę nieznannej sobie kobiecie, należy również podtrzymywanie rozmowy. Ona na pewno sprowadzi Klotyldę, pomyślał. Nic więcej przecież zdarzyć się nie może.

- Prawdą jest - powiedział Nataniel, po krótkiej przerwie - że ma pani prawo mnie nie rozumieć.

I przed wypowiedzeniem następnych słów spróbował nadać swemu głosowi przekonujący i serdeczny ton.

- Nie zawsze należy zachowywać się jak czyścibuty - powiedział, ciągle nie bardzo wiedząc kiedy właściwie zamierzał to powiedzieć.

Kobieta nie zareagowała, wciąż siedząc obojętnie z nogą założoną na nogę, z bezwładnie opuszczonymi rękami, myślami krążąc nie wiadomo gdzie. Być może sama nie wiedziała, dlaczego zachowuje się właśnie tak a nie inaczej i dlaczego nie przyjęła ponownie (gdy mężczyzna znów zaczął mówić) swego naturalnego, wyrażającego niechęć, wyrazu twarzy. Zachowywała się tak, jakby znowu czuła się całkowicie sama w domu.

Nataniel odniósł wrażenie, że jego ostatnie słowa wymagają chyba jakiegoś dopowiedzenia.

- Czyścibuty, na przykład, to RÓWNIEŻ bardzo, ale to bardzo niezdecydowani ludzie - powiedział. - Nawet nie są w stanie odpowiedzieć od razu, czy są żonaci, czy wolni. Człowiek CZASAMI czyści sobie u nich buty i z ciekawości pyta, czy są żonaci, czy też nie są żonaci, i w odpowiedzi zawsze pada idiotyzm: "To zależy...".

Kobieta obojętnie patrzyła w dal. Opuszczone na udach ręce jakby odkryły tajemny klucz do zaistniałej sytuacji. Co jak co (myślała pewnie), ale mężczyzna, który ni stąd, ni zowąd, bez żadnego powodu wchodzi do cudzego domu, powinien też ni stąd ni zowąd ów dom opuścić, chyba że nagle znajdzie jakiś konkretny powód, który każe mu jeszcze siedzieć w fotelu. I myślała pewnie, że ów mężczyzna siedzący naprzeciwko niej w fotelu właśnie owego konkretnego powodu wciąż nie jest w stanie odnaleźć.

- Czy nie uważa pani - kontynuował Nataniel z zapalczywością niemal. - Czy nie uważa pani, że jedynym sposobem, dzięki któremu mężczyzna może przestać być kawalerem, jest ożenek?

Usłyszawszy to, kobieta nie mogła powstrzymać uśmiešku balansującego nieznacznie między kpina a rozbawieniem. Tak jakby nagle zrozumiała, że ten nieszkodliwy wariat chce jedynie przez jakiś czas pobawić się jej kosztem. I być może dlatego, że właśnie tak pomyślała, zaczęła mu się przyglądać spojrzeniem baczny i

przenikliwym. Nataniel odniósł wrażenie, że po raz pierwszy w życiu ktoś przyjrzał mu się aż tak dokładnie.

Uśmiechając się, kobieta wróciła do swej początkowej pozycji. Nataniel zaś znowu pomyślał o Klotyldzie.

- To prawda, proszę pani - powiedział. - Tylko czyścibut może coś takiego odpowiedzieć, że nie wie, czy jest, czy nie jest żonaty.

Nie mogła się już powstrzymać. Jej chłód prysł; zaśmiała się szczerze i nie bez spontanicznej kokieterii odparła swemu nieznanemu, żeby już przestał wygadywać głupstwa.

- Będzie lepiej jak pan już sobie pójdzie - dodała.

Ale Nataniel się nie uśmiechnął. Wprost przeciwnie, pochylił się w fotelu jeszcze bardziej, żeby lepiej przyjrzeć się twarzy kobiety. W jego głosie nieoczekiwanie pojawiła się nutka oburzenia:

- To nie są żadne głupstwa - powiedział, - ja mówię całkiem serio.

I wyjął papierosa.

- Czyścibuty to najbardziej niezdecydowani ludzie na świecie - powtórzył.

Pociągnął zapalką o draskę, przypalił papierosa i, cały czas mówiąc, wstał, żeby wyrzucić zapalkę do popielniczki. I powiedział, że czyścibuty są do tego stopnia istotami zobojętniałymi, prostakami wprost, że umilają sobie życie nucąc jakieś przyśpiewki, i nawet ich tytułów nie znają.

- Gdyby przynajmniej podziwiali tytuł ulubionego utworu. Gdyby przynajmniej powiedzieli, że gwizdzą jakąś melodię, bo budzi ona w nich jakieś wspomnienia. Ale nie, oni gwizdzą tylko po to, żeby gwizdać - powiedział i wyciągnął palec wskazujący ku kobiecie. - O, i to dopiero jest głupota.

Kobieta przyjrzała mu się. Ale jej oczy nie zatrzymały się tym razem na twarzy, będącej teraz pod wpływem jakiegoś zagadkowego oszołomienia, ale na dłoni spoczywającej na fotelu. Na długich, zaniedbanych palcach trzymających papierosa, którego popiół groził spadnięciem lada chwila. Nataniel wciąż mówił, nie przejmując się tym, że kobieta mogłaby niespodziewanie zacząć wsłuchiwać się w jego słowa. Teraz mówił sam, sam siebie nawet

nie słuchając, tak jak to czynił zawsze, gdy przekręcał klucz w drzwiach do swojego mieszkania.

- Sama pani widzi, że mówię serio, proszę pani. Jeśli spotka pani mężczyznę, który pragnąłby, żeby drzewa służyły do czegoś więcej niż tylko do podziwiania ich zieleni, może być pani pewna, że jest to czyścibut.

Kobieta nagle gwałtownie mu przerwała.

- Jeszcze by tylko tego brakowało - powiedziała. Wyprostowała się na sofie i wyjaśniła:

- Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby przepalił mi pan dywan.

Nataniel pochylił się, nie poruszając dłonią z papierosem, i wziął popielniczkę ze stołu stojącego na środku pokoju. Czuł, że zachowuje się z pełną konsekwencją wobec kobiety, ale jego konsekwencja była nieświadomie ironiczna. Kiedy strząsnął papierosa, by ponownie się nim zaciągnąć, nawet nie poczuł się rozczarowany. Być może teraz myślał, że kobieta przed nim jest całkowicie zubożniała, absurdalną istotą. Być może myślał, że odpowiedzi czyścibuta mogłyby wydawać się interesujące przeciętnie inteligentnej kobiecie. Ale ta - ta, która czekała nań tak długo - bardziej przejmowała się swymi dywanami niż specyficznym stylem myślenia czyścibutów. To mało rozsądna kobieta, pomyślał, i raz jeszcze spojrzął na nią w chwili, kiedy wyraźnie już zniecierpliwiona powtarzała, że jej cierpliwość dobiegła kresu.

- Pańskie czyścibuty nic a nic mnie nie interesują - stwierdziła oziębło.

- Zrozumiałem to - powiedział Natanael. I teraz to on poczuł się całkowicie sam w tym domu.

I być może właśnie dlatego jeszcze mocniej oparł się łokciami o poręcz fotela. Zaciągnął się jeszcze raz papierosem.

- Od pani już niczego nie oczekuję - powiedział podziwiając dojrzewający już w jego słowach smak. I zaczął wypuszczać dym.

- Od pani już niczego nie oczekuję. Ale być może Klotylda mnie zrozumie.

**Mężczyzna przychodzi w deszczu**

Znała już ten przestrach, który ją ogarniał, gdy siadała, by posłuchać deszczu. Dochodziło do jej uszu skrzypnięcie żelaznej furtki; słyszała męskie kroki na ceglanej ścieżce i szuranie butów przed progiem. Przez wiele nocy czekała, by mężczyzna zapukał do drzwi. Ale z czasem, kiedy nauczyła się rozpoznawać przeróżne odgłosy deszczu, uznała, że domniemany gość nigdy nie przekroczy progu, przyzwyczaiła się więc nań nie czekać. Ta ostateczna decyzja podjęta została we wrześnieją wietrzną noc, pięć lat temu, gdy zastanowiwszy się nad własnym życiem, rzekła sobie: "Jak tak dalej pójdzie, doczekam się tylko starości". Od tamtej pory zmienił się szum deszczu i inne odgłosy rozlegały się miast męskich kroków na ceglanej ścieżce.

Prawda, że wbrew jej postanowieniu, iż nie będzie już czekać, od czasu do czasu znów rozlegało się skrzypienie furtki, a mężczyzna, jak zwykle, wycierał buty przed progiem. Ale ona nasłuchiwała wówczas innych objawień deszczu. I znów, jak wtedy gdy miała piętnaście lat, słyszała głos Noela uczącego swą papugę katechizmu; i słyszała w dali smutną piosenkę dobiegającą z tuby gramofonu, który sprzedany został handlarzowi starzyzną, kiedy zmarł ostatni mężczyzna w rodzinie. Nauczyła się wyłuskiwać z deszczu głosy zagubione w przeszłości domu, głosy najbardziej wzruszające i najczystsze. Wielce więc zaskakującą odmianą i cudowną nowością była chwila, gdy mężczyzna, który tylokrotnie już otwierał furtkę, podszedł ceglana ścieżką w tę burzliwą noc, zakasłał u progu i wreszcie zapukał dwa razy do drzwi.

Z twarzą pociemniałą od nie dającej się powstrzymać trwogi skierowała wzrok ku drugiej kobiecie, nieznacznie skinęła ręką i powiedziała: "Przyszedł już".

Ta druga siedziała przy stole, oparłszy łokcie o blat z surowych dębowych desek. Usłyszawszy pukanie spojrziała ku lampie. Wyglądała jakby opanowała ją trwoga.

- Któż to może pukać o tej porze? - spytała.

Ona zaś, już całkowicie spokojna i z przekonaniem osoby, która ma odpowiedź przygotowaną już od lat stwierdziła:

- To zupełnie nieistotne. Ktokolwiek by to był na pewno przemoczony jest do suchej nitki.

Ta druga wstała. Ona zaś nie spuszczała z niej wzroku. Zobaczyła, jak wzięła lampę. Zobaczyła, jak znika w korytarzu. Usłyszała kroki dobiegające wpierw z półmroku pokoju, następnie oddalające się pośród szumu deszczu, czyniącego mrok jeszcze ciemniejszym, i potykające się o podniszczone i obłuzowane płytki w sieni. W chwilę później usłyszała brzęknięcie lampy ocierającej się o ścianę i zgrzyt przesuwającej się pordzewiałej zasuw.

Przez chwilę słyszała jedynie odległe już głosy. Daleką i radosną przemowę siedzącego na beczce Noela, przekazującego swej papudze boskie nowiny. Słyszała dobiegający z patio turkot kół, kiedy papa Laurel otwierał bramę, by wpuścić ciągnięty przez dwa woły wóz. Słyszała, jak zwykle, larum podnoszone przez Genowefę na cały dom, bo jak zwykle "ta przeklęta łazienka jest oczywiście zajęta". A potem znowu głos papy Laurela, wywrzaskującego swe najgorsze, żołdackie przekleństwa i strzelającego do jaśkółek z tej samej strzelby, dzięki której podczas ostatniej wojny domowej rozgromił w pojedynkę całą rządową dywizję. Pomyślała sobie nawet, że i tym razem wszystko ograniczy się jedynie do pukania, tak jak przedtem ograniczyło się do wycierania butów u progu; i pomyślała, że tamta otworzyła drzwi, by ujrzeć za nimi jedynie donice z kwiatami w deszczu i smutną, bezludną ulicę.

Ale do jej uszu zaczęły docierać rozlegające się w ciemnościach głosy. I znów usłyszała znajome kroki i ujrzała padające na ścianę przedpokoju cienie. Pojęła wówczas, że po wielu latach przygotowań, po wielu nocach pełnych wahań i dręczących wyrzutów człowiek tyle razy otwierający furtkę postanowił wreszcie wejść.

Tamta wróciła niosąc lampę przed sobą i prowadząc za sobą przybyłego właśnie mężczyznę; postawiła lampę na stole, on zaś - nie wychodząc poza krąg światła - zdjął płaszcz, nie odwracając od ściany ociekającej deszczem . twarzy. I wówczas ujrzała go po raz pierwszy. Wpierw bacznie mu się przyjrzała. Następnie rozpracowała go od góry do dołu, przybliżając go sobie spojrzeniem natrętnym, zimnym i poważnym, kawałek po kawałku, jakby miał człowieka przyglądała się ptakowi. W końcu, skierowawszy wzrok ku lampie, pomyślała: "To on, mimo wszystko. Choć sądziłam, że jest trochę wyższy".



Tamta przysunęła krzesło bliżej stołu. Mężczyzna usiadł, założył nogę na nogę i rozwiązał sznurowadło u buta. Tamta usiadła przy nim, rozprawiając o czymś z werwą, czego ona ze swego miejsca, z fotela na biegunach, nie była w stanie dosłyszeć. Ale w towarzystwie owych gestów bez słów poczuła się wybawiona od zapomnienia i zauważyła, że jałowe i pełne kurzu powietrze znowu pachnie jak kiedyś, jakby znów nastał czas, kiedy do pokoiów wpadali mężczyźni złani potem, a oszołomiona i tryskająca zdrowiem Urszula podbiegała każdego popołudnia o czwartej pięć do okna, by pomachać odjeżdżającemu w dal pociągowi. Ona zaś teraz patrzyła, jak mężczyzna gestykułuje, i cieszyła się, że nieznanomy zachowuje się tak właśnie a nie inaczej, że rozumie, iż po pełnej trudów i niespodziewanych zmian podróży znalazł wreszcie zagubiony w ulewie dom.

Mężczyzna zaczął sobie rozpinąć koszulę. Zdjął buty i pochyliwszy się nad stołem usiłował osuszyć się nieco w ciepłe lampy. Wówczas tamta wstała, podeszła do kredensu i wróciła do stołu ze szklanką i z napoczętą butelką. Mężczyzna chwycił butelkę za szyjkę, zębami wyrwał korek i nalał sobie gęstej i zielonkawej nalewki. Następnie wypił jednym haustem, z nieukrywanie przesadnym pragnieniem. Ona zaś, przypatrując mu się z głębi swego fotela na biegunach, przypomniła sobie noc, kiedy furka zaskrzyphiała po raz pierwszy - ile to już czasu temu! - i pomyślała, że poza tą miętówką nie ma w całym domu niczego innego, czym mogłaby poczęstować gościa. Kiedyś powiedziała swej towarzyszce: "Trzeba odstawić butelkę do kredensu. Może się kiedyś komuś przydać". A tamta jej odpowiedziała: "A komuż?". "Komukolwiek", odparła. "Warto mieć coś na wypadek, gdyby ktoś nagle przyszedł w deszcz". Od tamtej rozmowy upłynęło wiele lat. A teraz ów przewidywany mężczyzna siedział przy stole, wlewając do szklanki kolejną porcję nalewki.

Tym razem jednak mężczyzna nie wypił. Już trzymał szklankę w dłoni, gdy nagle jego wzrok zabłądził gdzieś w półmroku unosząc się nad światłem lampy i w tej samej chwili po raz pierwszy poczuła ciepły kontakt z jego spojrzeniem. Zrozumiała, że do tej

pory mężczyzna nawet nie domyśla! się obecności drugiej kobiety w domu; i wówczas zaczęła się bujać na swym fotelu.

Mężczyzna przypatrywał się jej z mało taktowną uwagą. Być może ów brak taktu był nawet zamierzony. Zmieszała się z początku; później jednak spostrzegła, że i to spojrzenie nie jest jej obce, że mimo przeszywającej i nieco impertyneckiej zawziętości było w tym spojrzeniu wiele z łobuzerskiej dobroci Noela, a i nieco cierpliwej i dumnej tępoty Noelowej papugi. Dlatego też zaczęła bujać się na swym fotelu, zastanawiając się: "Nawet jeśli to nie on otwierał furtkę, to wszystko jest tak, jakby to był on mimo wszystko". I bujając się ciągle, podczas gdy mężczyzna nie odrywał od niej wzroku, pomyślała: "Papa Laurel wzięłyby go ze sobą na polowanie".

Przed północą ulewa przybrała na sile. Tamta przysunęła krzesło do fotela na biegunach i teraz obie kobiety siedziały w milczeniu, nieruchome, przyglądając się osuszającemu się w ciepłe lampy mężczyźnie. Gałąź rosnącego nieopodal migdałowca bezładnie uderzała o nie domknięte okiennice, do wnętrza mieszkania zaś wdarła się wilgoć ulewy. Poczowała na twarzy ostre i tnące uderzenia nadchodzącego gradobicia, ale nie ruszyła się, czekając kiedy mężczyzna dopije ostatnią kroplę miętówki. Doznała wrażenia, że w tym wszystkim jest coś symbolicznego. I wówczas przypomniała sobie papę Laureła okopanego w zagrodzie, walczącego w pojedynkę i strzelającego do rządowych żołnierzy ze swej wiatrówki, zazwyczaj używanej wyłącznie do strzelania do jaskółek. I przypomniała sobie list, jaki napisał do papy pułkownik Aureliano Buendia i nominację na kapitana, której papa Laurel nie przyjął mówiąc: "Powiedzcie Aurelianowi, że nie o wojnę mi chodziło, ale o to, żeby te dzikusy nie zjadły moich królików".

I było tak, jakby w tym wspomnieniu również wypięła ostatnią kroplę przeszłości, jaka pozostała jej w domu.

- Jest coś jeszcze w kredensie? - zapytała ponuro.

Ta druga zaś, głosem i tonem, jakie wydawały jej się najodpowiedniejsze, żeby tamten nie mógł jej usłyszeć, odparła:

- Nic. Zupełnie nic. Nie pamiętasz już, że w poniedziałek zjadłyśmy ostatnią garść fasoli?

A obawiając się, że mężczyzna mógł je jednak usłyszeć, ponownie spojrzały w stronę stołu, ale ujrzały jedynie ciemność, bez stołu i bez mężczyzny. Wiedziały jednak, że on tam jest, niewidzialny w mroku po zgaszonej właśnie lampie. Wiedziały, że nie opuści domu, dopóki deszcz nie ustanie, i że w ciemności pokój skurczył się tak bardzo, iż nie byłoby nic dziwnego w tym, że mężczyzna jednak mógł je usłyszeć.

## W TYM MIEŚCIE NIE MA ZŁODZIEI

### Wtorkowe popołudnie

Pociąg wypadł z rozdygotanego korytarza czerwonych skał i wjechał między symetryczne, nie kończące się plantacje bananów, powietrze zrobiło się wilgotne, ustal powiew od morza. Przez okno wtargnął kłęb duszącego dymu. Na równoległej do torów wąskiej drodze woły ciągnęły wozy załadowane pękami bananów. Po drugiej stronie drogi na nie zasianych obszarach widać było biura chłodzone elektrycznymi wentylatorami, baraki z czerwonej cegły i pośród zakurzonych palm i różanych krzewów reprezentacyjne domki z tarasami, na których stały biało lakierowane meble. Była jedenasta rano, upał jeszcze się nie zaczął.

- Lepiej podnieś szybę - powiedziała kobieta - będziesz miała całe włosy w węglu.

Dziewczynka zrobiła próbę, ale zardzewiałe okno nie poruszyło się.

Były jedynymi pasażerkami w całym wagonie trzeciej klasy. Ponieważ dym w dalszym ciągu dostawał się przez okno, dziewczynka przesiadła się i przeniosła cały ich bagaż: plastikową torbę z jedzeniem i bukiet zwędłych kwiatów, owinięty w gazety. Usiadła po drugiej stronie, na wprost matki. Obie były w ubogiej, ale głębokiej żałobie.

Dziewczynka miała dwanaście lat i pierwszy raz jechała koleją. Kobieta wydawała się za stara na jej matkę, miała powieki usiane niebieskimi żyłkami, była tęgawa, mała, nieforemna, w sukni o kroju sutanny. Siedziała sztywno oparta plecami o ławkę, obiema

rękami przytrzymując na brzuchu zniszczoną lakierowaną torebkę. Miała w sobie skrupulatny spokój ludzi przywykłych do biedy.

W południe zaczął się upał. Pociąg stanął na dziesięć minut na samotnej stacyjce, żeby nabrać wody. Na zewnątrz, w tajemniczej ciszy bananowych plantacji, cień był czysty, ale zastałe powietrze wagonu pachniało nie wygarbowaną skórą. Pociąg nie jechał szybko. Zatrzymywał się w jednakowych miasteczkach o drewnianych, kolorowo malowanych domkach. Kobieta pochyliła głowę, ogarniała ją senność. Mała zdjęła treпки, a potem poszła do ubikacji, ażeby skropić zwiędłe kwiaty.

Kiedy wróciła, matka czekała na nią z jedzeniem. Dała jej kawałek sera, pół kukurydzy i słodki sucharek, potem raz jeszcze sięgnęła do torby po taką samą porcję dla siebie. Kiedy jadły, pociąg powoli przejechał przez żelazny most i jeszcze jedno miasteczko podobne do poprzednich, tyle że na rynku było już sporo ludzi, a orkiestra grała pod palącym słońcem jakąś wesołą melodię. Za miastem nie było już plantacji, zaczynała się jałowa, spękana równina.

Kobieta przerwała jedzenie.

- Załóż pantofle - powiedziała.

Dziewczynka wyjrzała przez okno. Nie zobaczyła nic poza pustą płaszczyzną, na której pociąg zaczynał właśnie się rozpędzać, ale odłożyła ostatni kęs sucharka i szybko włożyła treпки. Kobieta podała jej grzebień.

- Zaczesz się - powiedziała.

Podczas gdy mała czesała się, pociąg zaczął gwizdać. Kobieta osuszyła chustką spoconą szyję i palcami przetarła z brudu twarz. Kiedy mała kończyła czesanie, pociąg przejeżdżał na wprost pierwszych domów miasta większego, ale i smutniejszego od poprzednich.

- Jeżeli czegoś potrzebujesz, zrób to teraz - powiedziała kobieta.

- Potem, chociażbyś miała skonać z pragnienia, nie proś nigdzie nawet o wodę. A przede wszystkim żebyś nie płakała.

Dziewczynka przytaknęła ruchem głowy. Przez okno wpływał wiatr suchy i gorący, pomieszany z gwizdem lokomotywy i zgrzytem starych wagonów. Kobieta zwinęła plastik z resztkami jedze-

nia i schowała go do torebki. Pełny obraz miasteczka w sierpniowy wtorek mignął w oknie pociągu.

Dziewczynka zawinęła kwiaty w zmoczone gazety, odsunęła się od okna i w skupieniu spojrzała na matkę. Ta uspokoiła ją spojrzeniem. Pociąg przestał gwizdać i zwolnił. W chwilę potem stanął.

Na stacji nie było nikogo. Po drugiej stronie ulicy na chodniku ocienionym migdałowymi drzewami otwarty był tylko salon bilardowy. Miasteczko spływało upałem. Kobieta z dziewczynką wysiadły z pociągu, minęły opustoszałą stację, gdzie płyty chodnika pękały pod ciśnieniem rozrastającej się trawy, i przeszły na zacienioną stronę ulicy.

Dochodziła druga. O tej porze zduszone sennością miasto kładło się na sjęstę. Sklepy, biura, szkoły zamykano o jedenastej, a otwierano o czwartej, kiedy pociąg wracał. Otwarty pozostawał tylko hotel i jego stołówka oraz salon bilardowy i poczta z boku na rynku. Domy, po większej części budowane na wzór domów kompanii bananowej, miały drzwi pozamykane i zapuszczone żaluzje. W niektórych było widocznie zbyt gorąco, bo mieszkańcy jedli obiad na patio. Inni powystawiali jakieś stołki w cień migdałowych drzew i zażywali sjęsty siedząc na ulicy.

Cały czas trzymając się cienia migdałowców, kobieta z dziewczynką przeszły przez miasto, nie zakłócając jego poobiedniej ciszy. Skierowały się wprost na plebanię. Kobieta zaskrobała paznokciem w drucianą siatkę drzwi, poczekała chwilę i zadzwoniła. W środku szumiał wentylator. Kroków nie było słychać, zaledwie delikatny skrzyp drzwi, a po chwili - nieufny głos za siatką: "Kto tam?". Kobieta spróbowała zajrzeć przez siatkę.

- Chciałabym zobaczyć się z księdzem - powiedziała.

- Śpi teraz.

- To pilne - powiedziała z naciskiem kobieta. Głos jej miał w sobie łagodną stanowczość.

Drzwi uchyliły się bez hałasu i pojawiła się w nich grubawa niewiasta o białej skórze i włosach koloru żelaza. Poprzez grube szkła oczy jej wydawały się zbyt małe.

- Proszę - powiedziała i otworzyła drzwi.

Weszły do pokoju, w którym czuło się stęchły zapach kwiatów. Gospodyni poprowadziła je ku drewnianej ławie i gestem zachęciła, by usiadły. Mała usiadła, ale jej matka stała skupiona, ściskając obiema rękami torebkę. Elektryczny wentylator głużył wszelkie inne szmery.

Gospodyni pojawiła się w drzwiach w głębi.

- Mówi, żebyście przyszły o trzeciej - powiedziała bardzo cicho. - Nie ma pięciu minut, jak się położył.

- Mamy pociąg o wpół do czwartej - powiedziała kobieta.

Była to odpowiedź krótka i stanowcza, chociaż ton nadal był łagodny i miękki. Po raz pierwszy gospodyni uśmiechnęła się.

- Dobrze - powiedziała.

Kiedy drzwi w głębi znowu się zamknęły, kobieta usiadła obok córki. Wąska poczekalnia była uboga, schludna i czysta; po drugiej stronie drewnianej balustradki, która dzieliła pokój na dwie części, stał prosty, nakryty ceratą stół, a na nim stara maszyna do pisania i wazon z kwiatami. W głębi były archiwa parafii. Znać było, że pokój urządziła stara panna.

Drzwi w głębi znowu się otwały, tym razem jednak wszedł ksiądz; przecierał chusteczką okulary. Dopiero kiedy je włożył, stało się jasne, że jest bratem kobiety, która je wpuściła.

- O co chodzi? - zapytał.

- O klucze od cmentarza - powiedziała kobieta.

Dziewczynka siedziała trzymając kwiaty na podołku, nogi miała skrzyżowane pod ławką. Duchowny spojrzał na nią, potem na jej matkę, a potem, poprzez drucianą siatkę w oknie, na niebo bezchmurne i olśniewające.

- Na ten skwar... - powiedział. - Mogłybyście poczekać do zachodu.

' Kobieta zaprzeczyła ruchem głowy. Ksiądz przeszedł na drugą stronę balustrady, wyjął z szafki ceratowy zeszyt, obsadkę i kałamarz i usiadł za stołem. Owłosienie, którego brakło na głowie, obficie rosło mu na rękach.

- Na czyj grób idziecie? - zapytał.

- Carlosa Centeno - powiedziała kobieta.

Ksiądz wydawał się nie wiedzieć, o kogo chodzi.

- To ten złodziej, którego zabili tu w przeszłym tygodniu - powiedziała kobieta nie zmieniając tonu. - Jestem jego matką.

Ksiądz zmierzył ją wzrokiem. Odpowiedziała mu spojrzeniem skupionym, pełnym opanowania, pod którym zaczerwienił się. Pochylił głowę nad zeszytem. W miarę wypełniania kartki pytał kobietę o jej dane; odpowiadała bez wahania, dokładnie, jakby czytała. Ksiądz zaczął się pocić. Mała odpięła sobie lewy trepek i wysunęła z niego piętę, to samo zrobiła z prawym.

Wszystko zaczęło się w poniedziałek zeszłego tygodnia, o ósmej nad ranem, niedaleko stąd. Pani Rebeka, samotna wdowa, która mieszka w domu pełnym rupieci, posłyszała poprzez szum deszczu, że ktoś usiłuje włamać się przez frontowe drzwi. Wstała, po ciemku wymacała w szafie archaiczny rewolwer, z którego nie strzelał nikt od czasów pułkownika Aureliana Buendii, i poszła do salonu, nie zapalając światła. Wiedzioną nie tyle zgrzytem zamka, ile strachem, który rozwinęło w niej dwadzieścia osiem lat samotności, w wyobraźni umiejscowiła nie tylko drzwi, ale nawet wysokość, na której znajduje się zamek. Wzięła w obie ręce rewolwer, zamknęła oczy i nacisnęła spust. Był to jej pierwszy w życiu strzał, po którym znów słychać było tylko deszcz uderzający o cynkowy dach. Po chwili dopiero doszedł jej uszu metaliczny stuk o cement alejki i głos bardzo cichy, łagodny, jakby straszliwie zmęczony: "Jezu Chryste... Mamo...".

Człowiek, którego nad ranem znaleziono martwego przed domem, a któremu kula rozerwała twarz, miał na sobie flanelową koszulę w kolorowe pasy, liche spodnie związane sznurkiem zamiast paska i był boso. Nie znał go nikt w miasteczku.

- Więc nazywał się Carlos Centeno - szepnął ksiądz, skończywszy pisanie.

- Centeno Ayala - odpowiedziała kobieta. - Był moim jedynym synem.

Ksiądz odwrócił się od szafki. Na wewnętrznej stronie drzwi wisiały wielkie zardzewiałe klucze, takie, jakie sobie wyobrażała mała i jakie sobie wyobrażała jej matka, kiedy była małą dziewczynką, i jakie niegdyś zapewne wyobrażał sobie sam ksiądz jako klucze świętego Piotra. Zdjął je, położył na otwartym, leżącym na

balustradzie brulionie i wskazując palcem miejsce, spojrzął na kobietę.

- Proszę tu podpisać.

Kobieta nabazgrała swoje nazwisko, ściskając torebkę pod pachą. Dziewczynka wzięła kwiaty i podeszła do balustradki szurając trepami i uważnie patrząc na matkę.

Proboszcz westchnął.

- Nigdy nie próbowała pani sprowadzić go na właściwą drogę?

Dopiero kiedy skończyła podpisywać, kobieta odpowiedziała:

- To był bardzo dobry chłopak.

Ksiądz patrzył kolejno na matkę, na córkę i stwierdził z czymś w rodzaju litościwego zdumienia, że żadna nie ma zamiaru płakać. Kobieta ciągnęła dalej:

- Mówiłam mu, żeby nigdy nie zabierał takim, co nie mają co jeść, to mnie słuchał. A przedtem, kiedy się boksował, nieraz leżał po trzy dni w łóżku z pobicia.

- Musiał wyrwać sobie wszystkie zęby - wtrąciła mała.

- To prawda - potwierdziła kobieta. - Każdy kęs, który wtedy brałam do ust, miał smak tych uderzeń, które dostawał co sobota wieczór.

- Niezbadane są wyroki boskie - powiedział ksiądz.

Ale powiedział to bez większego przekonania, po części dlatego, że doświadczenie wyrobiło w nim trochę sceptycyzmu, a po części z powodu upału. Poleciał im, by zasłoniły głowy, bo dostaną porażenia. Ziewając, zasypiając niemal, powiedział, którędy mają iść, żeby trafić do grobu Carlosa Centeno. Po powrocie miały nie dzwonić, tylko położyć pod drzwiami klucze i - o ile by chciały - drobną ofiarę na kościół. Kobieta wysłuchiwała wszystkiego bardzo uważnie, ale podziękowała bez uśmiechu.

Przed otwarciem drzwi wyjściowych ksiądz zauważył jakieś nosy rozpląszczone o drucianą siatkę. Była to gromadka dzieci, które usiłowały zajrzeć do środka. Kiedy otworzył, dzieci rozbiegły się. Zazwyczaj o tej porze nie było nikogo na ulicy, ale teraz nie tylko dzieci - całe grupki ludzi przystawały pod migdałowcami. Ksiądz spojrzął na ulicę zdeformowaną oślepiającym blaskiem słońca i zrozumiał. Delikatnie zamknął drzwi.



- Zaczekajcie chwilę - powiedział nie patrząc na kobietę.

Jego siostra pojawiła się w drzwiach w czarnym palcie narzuconym na nocną koszulę i z rozpuszczonymi włosami. Popatrzyła na księdza bez słowa.

- Co się stało? - zapytał.

- Ludzie się połapali - wyszeptała.

- Najlepiej, żeby wyszły tylnymi drzwiami - powiedział.

- Nic nie pomoże - powiedziała siostra - i tak wszyscy są w oknach.

Wydawało się, że do tej chwili kobieta nie rozumiała, o co chodzi. Usiłowała spojrzeć na ulicę poprzez drucianą siatkę. Potem zabrała dziewczynce kwiaty i ruszyła ku drzwiom. Dziewczynka poszła za nią.

- Zaczekajcie do zachodu - powiedział ksiądz.

- Roztopicie się - powiedziała jego siostra, nieruchoma w głębi sali. - Poczekajcie, pożyczę wam parasolkę.

- Dziękuję - powiedziała kobieta. - Nic nie szkodzi.

Wzięła małą za rękę i wyszły na ulicę.

## **Dzień jak inne**

Poniedziałek wstał ciepły; już nie padało. Don Aurelio Escovar, dentysta bez tytułu, za to lubiący wcześniej wstawać, otworzył swój gabinet o szóstej rano. Ze szklanej szafki wyjął szczękę tkwiącą na gipsowym odlewie, a na stole ułożył garść instrumentów od najmniejszego do największego, jak na wystawie. Miał na sobie pasiastą koszulę bez kołnierzyka, zapiętą pod szyją na złoty guzik, i spodnie na szelkach. Był sztywny, suchy, spojrzenie jego zazwyczaj nie odpowiadało sytuacji, jak spojrzenie głuchych.

Kiedy już wszystko miał rozłożone na stole, przyciągnął wiatraczek ku fotelowi i zasiadł, aby spiłować sztuczną szczękę. Można by sądzić, że nie myśli o tym, co robi, ale pracował z uporem, naciskając pedał wiertarki nawet wtedy, kiedy się nią nie posługiwał.

Po ósmej przerwał, żeby popatrzeć przez okno na niebo, i zobaczył zamyślane sępy, które suszyły się w słońcu na dachu sąsiedniego domu, po czym wrócił do pracy z przeświadczeniem, że

przed obiadem zacznie padać. Krzykliwy głos jego jedenastoletniego syna wyrwał go z zamyślenia:

- Tata.
- Czego.
- Alkad się pyta, czy mu wyrwiesz ząb.
- Powiedz, że mnie nie ma w domu.

Właśnie opiłowywał złotą koronę. Odsunął ją teraz na odległość ręki i oglądał przymknąwszy oczy. Z poczekalni dobiegało go wołanie syna:

- Mówi, że jesteś, bo cię słyszy.

Dentysta dalej wpatrywał się w koronę. Dopiero kiedy odłożył ją na stół, na którym miał roboty już skończone, odezwał się:

- To i lepiej.

Powrócił do wiertarki. Z tekturowego pudełka, w którym trzymał to, co miał do zrobienia, wyjął mostek składający się z wielu części i zaczął opiłowywać złoto.

- Tata.
- Czego.

Nawet nie zmienił mu się wyraz twarzy.

- Mówi, że jak mu nie wyrwiesz zęba, to cię zastrzeli.

Bez pośpiechu, ruchem niesłuchanie spokojnym dentysta zdjął nogę z pedału wiertarki, odsunął fotel i wyciągnął do końca dolną szufladę w stole. Tam trzymał rewolwer.

- Dobrze - powiedział. - Powiedz mu, żeby mnie przyszedł zastrzelić.

Odwrócił fotel tak, aby siedzieć przodem do drzwi, ręką oparty o szufladę. Alkad pojawił się na progu. Lewy policzek miał ogolony, na drugim, opuchniętym i obolałym, widać było pięciodniowy zarost. W jego przygasłym spojrzeniu dentysta dostrzegł nie przespane noce. Zamknął szufladę czubkami palców i powiedział miękko:

- Proszę usiąść.
- Dzień dobry - powiedział alkad.
- ... bry - powiedział dentysta.

Podczas gdy instrumenty gotowały się, alkad oparł głowę o poręcz krzesła i poczuł się lepiej.

Był to nędzny gabinet. Stare drewniane krzesło, wiertarka na pedał i oszklona szafka z porcelanowymi klamkami. Naprzeciw krzesła okno z zazdrostkami do wysokości człowieka. Kiedy poczuł, że dentysta zbliża się do niego, alkad wparł się piętami w ziemię i otworzył usta.

Don Aurelio Escovar odwrócił mu twarz ku światłu. Chwilę patrzył na chory ząb, potem ujął szczękę delikatnym ruchem ręki.

- Będzie bez znieczulenia - powiedział.

- Dlaczego?

- Bo jest wrzód.

Alkad spojrział mu w oczy.

- W porządku - powiedział i zrobił wysiłek, żeby się uśmiechnąć. Dentysta nie zareagował na to. Postawił na stole rondelek z wygotowanymi narzędziami i bez pośpiechu zaczął wyjmować je z wody cienką pęsetą. Potem popchnął spluwaczkę czubkiem buta i poszedł umyć sobie ręce wodą z dzbanka. Wszystko to nie patrząc na alkada. Alkad nie spuszczał go z oczu.

Był to dolny ząb mądrości. Dentysta rozstawił szeroko nogi i ujął ząb w gorące kleszcze. Alkad chwycił za poręcz krzesła, całą siłę skoncentrował w stopach, poczuł lodowatą pustkę w nerkach, ale ani pisnął. Dentysta poruszał dłonią tam i z powrotem. Bez pretensji, raczej z czymś w rodzaju gorzkiej tkliwości, powiedział:

- A to za dwudziestu zabitych, poruczniku.

Alkad poczuł chrzęst kości w szczęce i oczy zaszyły mu łzami. Ale nie drgnął, dopóki nie poczuł, że ząb jest wyrwany. Wtedy popatrzył na niego poprzez łzy. Wydał mu się obcy jego bólowi, nie wyglądał na przyczynę pięciu tak straszliwych nocy. Pochylo-ny nad spluwaczką, spocony, ziejący, rozpiął mundur i po omacku szukał chustki do nosa w kieszeni spodni. Dentysta podał mu czystą szmatkę.

- Niech pan sobie wytrze łzy - powiedział.

Alkad otarł je. Drżał cały. Gdy dentysta mył ręce, zobaczył wypaczony sufit, zakurzoną pajęczynę pełną pajęczych jaj i martwych owadów. Dentysta powracał wycierając ręce.

- Niech się pan położy - powiedział. - I trzeba płukać wodą z solą.

Alkad wstał, zasalutował nonszalancko i ruszył ku drzwiom pociągając nogami, nawet nie zapiawszy munduru.

- Niech mi pan przyśle rachunek.

- Do domu czy do alkadii?

Alkad nie spojrział na niego. Zamknął drzwi i przez drucianą siatkę rzucił:

- Jeden diabeł.

### **W tym mieście nie ma złodziei**

Damaso wrócił do pokoju, gdy piał pierwsze koguty. Anna, jego żona, będąca w szóstym miesiącu ciąży, oczekiwała go siedząc na łóżku całkowicie ubrana i w pantoflach na nogach. Nafotowa lampa przygasła. Damaso zrozumiał, że Anna czekała na niego całą noc, że nawet w tej chwili, kiedy już stał na wprost niej, czeka jeszcze. Zrobił gest, żeby ją uspokoić, ale nie odpowiedziała. Wbiwszy oczy w pakunek owinięty w czerwoną szmatę, który trzymał w ręku, zacisnęła usta i zaczęła drżeć. Z milczącą gwałtownością Damaso złapał ją za stanik. Szedł od niego kwaśny zapach.

Anna dała się niemal unieść, po czym całym ciężarem zwała się w przód i, objawszy go w pół, tak długo płakała w mężowską czerwono prążkowaną flanelę, dopóki nie udało jej się jakoś uspokoić.

- Zasnęłam siedząc - powiedziała - wtedy nagle otworzyli drzwi i wepchnęli cię do środka całego we krwi.

Odsunął ją od siebie bez słowa i usadził z powrotem na łóżku. Potem położył jej zawiniątko na podółku i wyszedł wysikać się na patio. Odwiązała supły i oczom jej ukazały się trzy bilardowe kule, metalowe i poobijane; dwie białe i jedna czerwona.

Kiedy Damaso wrócił do pokoju, zastał ją w zadumie.

- A to? Do czego to służy? - spytała.

Wzruszył ramionami.

- Do grania w bilard.

Zawiązał z powrotem węzełek i wraz z obcęgami, latarką i nożem schował na dnie skrzyni. Anna - w ubraniu - położyła się twarzą do ściany. Damaso zdjął tylko spodnie i paląc w ciemnościach,

wyciągnięty na łóżku w szeptach wstającego dnia, usiłował zrozumieć cośkolwiek z całej swojej awantury; wreszcie zdał sobie sprawę, że żona nie śpi.

- O czym myślisz?

- O niczym - odpowiedziała.

Głos, sam przez się matowy i pobrzękujący barytonowo, z powodu urazy wydawał się jeszcze głębszy. Damaso pociągnął ostatni raz i zdeptał niedopałek.

- Nic więcej nie było - westchnął. - Z godzinę tam siedziałem.

- Mogli cię ustrzelić jak nic - szepnęła. Wzdrygnął się.

- Nie wymawiaj w złą godzinę - powiedział, stukając w drewnianą ramę łóżka. Po omacku znalazł na ziemi papierosy i zapalki.

- Jesteś kawał bydlaka - powiedziała. - Trzeba było pomyśleć, że nie mogę spać i za każdym hałasem na ulicy wyobrażam sobie, że mi niosą trupa. - I westchnąwszy: - A to wszystko, żeby zabrać trzy bilardowe kule!

- W szufladzie było tylko dwadzieścia pięć centów.

- To nie trzeba było nic przynosić.

- Jak się już weszło... - powiedział Damaso. - Nie mogłem wrócić z pustymi rękoma...

- Trzeba było wziąć cokolwiek...

- Nic nie było.

- Nigdzie nie ma tylu rzeczy, co w sali bilardowej.

- Tylko tak się zdaje - powiedział. - Ale jak się jest w środku, jak się człowiek rozejrzy na wszystkie strony, to widzi, że nie ma nic, co by mogło się przydać.

Nie odpowiadała długą chwilę. Damaso wyobraził sobie, że ma otwarte oczy i że w ciemnościach pamięci usiłuje wypatrzeć jakiś wartościowy przedmiot.

- Może - przyznała.

Znowu zapalił. Alkohol opuszczał go koncentrycznymi falami, a on powoli odzyskiwał wagę, objętość i reakcje swego ciała.

- Był tam kot - powiedział. - Olbrzymie białe kocisko.

Anna odwróciła się, o brzuch mężowski oparła swój wielki brzuch i wsunęła mu nogę między kolana. Pachniała cebulą.

- Bardzoś się bał?

- Ja?

- Ty - odpowiedziała. - Podobno mężczyźni także umieją się bać.

Poczuł, że się uśmiecha, i sam się uśmiechnął.

- Trochę - odparł. - Strasznie mi się chciało sikać.

Pozwolił się ucałować, ale nie odpowiedział tym samym. Potem dopiero, nie ukrywając ryzyka, jednak bez żadnej skruchy, opowiedział jej z detalami całe zdarzenie, tak jakby opowiadał wrażenia z podróży.

Po długim milczeniu odezwała się ona:

- Zupełne wariactwo.

- Najtrudniejszy jest początek - odparł, zamykając oczy. - Jak na pierwszy raz ostatecznie nie wyszło tak najgorzej.

Słońce dobrze grzało. Kiedy Damaso przebudził się, jego żona już była ubrana. Wsadził łeb pod kran na patio i trzymał go parę minut, aż oprzytomniał. Ich pokój był jedną z wielu pojedynczych izb, wychodzących na to samo patio poprzecinane sznurami do wieszania bielizny. Pod tylną ścianą, którą od patia oddzielała blaszana przegroda, Anna ustawiła piecyk, gdzie gotowała i grzała żelazka, oraz mały stolik służący do jedzenia i prasowania. Kiedy zobaczyła nadchodzącego męża, odsunęła uprasowaną bieliznę i zdjęła z piecyka żelazka, żeby postawić kawę. Starsza od niego, skórę miała bardzo białą, a w ruchach coś z łagodnej skuteczności ludzi otrzaskanych z rzeczywistością.

Poprzez mgłę migreny Damaso zrozumiał, że żona chce go o czymś uprzedzić wzrokiem. Do tej pory nie zwrócił uwagi na głosy na patio.

- O niczym innym od rana nie było mowy - szepnęła Anna, podając mu kawę. - Mężczyźni poszli tam przed chwilą.

Damaso sprawdził, że faktycznie mężczyźni wraz z dziećmi znikli z patia. Pijąc kawę, w milczeniu słuchał rozmów kobiet wieszających na słońcu bieliznę. Potem zapalił papierosa i wyszedł z kuchni.

- Teresa! - zawołał.

Odezwała się młoda dziewczyna w mokrej, przyklejonej do ciała sukience.

- Bądź ostrożny - szepnęła Anna. Dziewczyna zbliżyła się.

- Co się stało? - zapytał Damaso.

- Włamali się do salonu bilardowego i wynieśli wszystko - odpowiedziała dziewczyna.

Wydawała się dokładnie poinformowana. Wyjaśniła, jak ogołocili cały zakład, pokój po pokoju, nawet bilardowy stół. Mówiła z takim przekonaniem, że Damaso musiał uwierzyć w jej słowa.

- Kurwa - mruknął, wracając do kuchni.

Anna nuciła coś pod nosem. Damaso wystawił na patio krzesło i oparł je o ścianę. Gdy trzy miesiące temu skończył dwadzieścia lat, z połowicznymi uczuciami poświęcenia i czułości zapuścił wąsiki, które nadały pewien wyraz dojrzałości jego poznaczonej ospą twarzy. Od tamtej chwili poczuł się dorosły. Ale tego ranka, gdy wspomnienia minionej nocy zaczęły dręczyć go wśród bagna migreny, nie wiedział, od której strony brać się do życia.

Anna skończyła prasować, rozdzieliła czystą bieliznę na dwa równe stosy i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Nie siedź za długo - powiedział Damaso.

- Tyle co zawsze.

Poszedł za nią do pokoju.

- Tu ci zostawiam koszulę w kratę - powiedziała. - Nie kładź już tej flanelowej. - Naprzeciw spotkała przezroczyste, kocie oczy męża.

- Nie wiadomo, czy cię kto nie widział.

- Nikt mnie nie widział.

- Nie wiadomo - powtórzyła Anna. W każdej ręce trzymała paczkę z bielizną. - I lepiej, żebyś nie wychodził, aż wrócę. Ja się tam przejdę, jakby nigdy nic.

W miasteczku nie mówiło się o niczym innym. Anna musiała wysłuchać wielokrotnie, tyle że w rozmaitych i sprzecznych wersjach, detali tego samego zdarzenia. Kiedy rozniosła bieliznę, zamiast jak co sobota iść na targ - poszła na plac. Naprzeciw salonu bilardowego był mniejszy tłok, niż się spodziewała. Zaledwie parę osób gwarzyło w cieniu migdałowców. Syryjczycy pochowali

swoje kolorowe szmaty i poszli na obiad, straganiarze drzemali pod płóciennymi markizami, a jakiś człowiek rozwalony na bujaku spał z otwartą gębą w hotelowym salonie.

Wszystko było sparaliżowane popołudniowym upałem.

Anna minęła salę bilardową; przeszedłszy przez nie zabudowaną przestrzeń naprzeciw portu, nagle stanęła oko w oko z masą ludzi. Wtedy dopiero przypomniała sobie to, o czym wspominał Damaso, co było ogólnie znane, ale o czym mogli pamiętać tylko bywalcy salonu, a mianowicie, że tylne drzwi salonu bilardowego wychodziły na tę pustą przestrzeń. W chwilę potem, osłaniając brzuch rękami, znalazła się wśród tłumu, z oczami wbitymi w sforsowane drzwi. Kłódka była nie naruszona, natomiast jeden z uchwytów był wyrwany niczym żąb. Anna przez chwilę patrzyła na rezultat owej pracy samotnej a skromnej i pomyślała o swoim mężu z uczuciem smutku.

- Kto to zrobił?

Nie odważyła się spojrzeć naokoło.

- Nie wiadomo - odpowiedziano jej. - Mówią, że ktoś nie stąd.

- I faktycznie - powiedziała jakaś kobieta za jej plecami. - W tym mieście nie ma złodziei.

Anna odwróciła głowę.

- To prawda - powiedziała i uśmiechnęła się. Była złana potem. Koło niej stał jakiś starzec z głębokimi bruzdami na karku.

- Wszystko zabrali? - zapytała.

- Dwieście pesos i bile - powiedział stary. Przyjrzał się jej z uwagą trochę nie na miejscu. - Niedługo trzeba będzie sypiać z otwartymi oczami.

Anna odwróciła wzrok.

- To prawda - powtórzyła. Nakryła sobie głowę szmatką; odchodząc, nie mogła pozbyć się wrażenia, że stary wciąż na nią patrzy.

Przez jakiś kwadrans tłum zebrany na pustej parceli zachowywał milczenie pełne szacunku, jakby za sforsowanymi drzwiami leżał nieboszczyk. Później ludzie poruszyli się, zawrócili na miejscu i wylegli na plac.



Właściciel salonu bilardowego stał w progu wraz z alkadem i dwoma policjantami. Niewysoki i okrągły, ze spodniami trzymającymi się na wypukłym brzuchu, w okularach zrobionych jakby ręką dziecka, wydawał się do cna wyczerpany własną godnością.

Tłum otoczył go. Oparłszy się o ścianę, Anna słuchała jego objaśnień, które ustały dopiero, gdy ludzie zaczęli się rozchodzić. Wtedy, cała w wypiekach, wróciła do siebie. Otoczyło ją hałaśliwe wrzenie sąsiadów.

Leżąc na łóżku, Damaso wielokrotnie zadawał sobie pytanie, jak Anna mogła czekać na niego przez całą zeszłą noc nie paląc. Kiedy ją zobaczył teraz uśmiechniętą i kiedy zdjęła z głowy mokrą od potu szmatkę, zgasił o ziemię ledwo napoczętego papierosa i rzucawszy niedopałek na kupę innych, spojrzał na nią z niepokojem.

- No?

Anna uklękła obok łóżka.

- Jesteś nie tylko złodziej, ale i łgarz.

- Dlaczego?

- Bo mi powiedziałeś, że nic nie było w szufladzie.

Damaso zmarszczył brwi.

- Bo nie było.

- Było dwieście pesos.

- To nieprawda! - podniósł głos; usiadłszy na łóżku znowu go zniżył. - Było tylko dwadzieścia pięć centów.

Przekonał ją.

- Stary łobuz - powiedział, zaciskając pięści. - Prosi się, żebym mu rozwalił pysk.

Anna roześmiała się serdecznie.

- Nie bądź cham!

On też się wreszcie roześmiał. Gdy się golił, żona opowiedziała mu, co słyszała: że policja poszukuje kogoś spoza miasta.

- Mówią, że przyjechał w czwartek i że pod wieczór widziano, jak się kręcił w porcie - powiedziała. - Mówią, że nigdzie nie można go znaleźć. - Damaso pomyślał o jakimś przybyszu, którego nigdy nie widział, i przez chwilę na serio zaczął go podejrzewać.

- Może już odjechał - powiedziała Anna.

Jak zwykle, Damaso potrzebował trzech godzin, żeby się ubrać. Najpierw z dokładnością do jednego milimetra przystrzygł wąsy. Potem wziął kąpiel pod kranem na patio. Anna śledziła każdy jego ruch, z zapalem, który ani na moment nie osłabł od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała pracochłonne arcydzieło jego fryzury. Kiedy zobaczyła, że ubrany w koszulę w czerwoną kratę przegląda się w lusterku przed wyjściem, sama sobie wydała się stara i nie ubrana. Damaso wykonał przed nią parę podskoków bokserskich z gibkością zawodowca. Schwyciła go za przeguby rąk.

- Forse masz?

- Bogaty jestem - odpowiedział Damaso; był w dobrym humorze. - Mam dwieście pesos!

Anna odwróciła się do ściany, wyjęła zza stanika zwitek pieniędzy i dając mężowi jedno peso powiedziała:

- Masz, Jorge Negrete.

Tej nocy Damaso znalazł się na placu z gromadką przyjaciół. Chłopi przybyli ze wsi z towarami, które mieli zamiar sprzedać na targu w niedzielę, ustawiali kramy wśród stoisk, gdzie sprzedawano smażeninę, i stołów z biletami loteryjnymi; od wczesnego wieczora słychać było ich chrapanie. Znajomi Damasa wydawali się zainteresowani włamaniem do salonu bilardowego tylko w tej mierze, w jakiej zamknięcie lokalu uniemożliwiałoby im słuchanie transmisji z mistrzostw baseballowych. Gadając o baseballu, bez uprzedniego porozumienia ani nawet nie sprawdzwszy, co grają, weszli do kina.

Wyświetlano film z Cantinflasem. Siedząc w pierwszym rzędzie galerii, Damaso zaśmiewał się bez najmniejszych oporów. Po emocji, zdenerwowaniu, czuł się, jakby wracał do zdrowia po chorobie. Noc była łagodna, czerwcową, i w chwilach kiedy na ekranie widać było tylko świetlny deszcz, nad kinem pozbawionym dachu ciążyło milczenie gwiazd.

Nagle obrazy na ekranie zbladły, a w fotelach na dole zrobił się szum. W niespodziewanym świetle Damaso poczuł się odkryty, wskazany, chciał uciekać. Ale niemalże od razu zobaczył zneruchomiałą publiczność na dole i policjanta z paskiem owiniętym

dookoła dłoni, który z wściekłością walił jakiegoś człowieka ciężką miedzianą kłamrą. Był to olbrzymi Murzyn. Kobiety zaczęły krzyczeć, bijący Murzyna policjant rozdarł się tak, aby je przekrzyczeć: "Złodziej! Złodziej! 1". Murzyn wcisnął się w przejście między krzesłami, dwóch policjantów walących go po nerkach - za nim; w pewnej chwili udało się im schwycić go za plecy. Potem ten, który go złapał, związał mu na plecach łokcie rzemieniem i wszyscy trzej popchnęli go ku drzwiom. Wszystko stało się tak szybko, że dopiero kiedy Murzyn przechodził obok niego, Damaso pojął, o co chodzi. Murzyn miał podartą koszulę, twarz umazaną mieszaniną kurzu, potu i krwi, i szlochał: "Mordercy! Mordercy!". Potem zgaszono światła i powrócono do wyświetlania filmu.

Damaso nie śmiał się już. Nieuważnie patrzył na jakieś nie zgadające się ze sobą fragmenty rozłazącej się historii, paląc bez przerwy, aż do chwili gdy zrobiło się jasno, a widzowie rozejrzeli się po sobie, jak gdyby przestraszeni rzeczywistością. "Znakomite!" - zawołał ktoś niedaleko od niego. Nie spojrział w tę stronę.

- Cantinflas jest bardzo dobry - powiedział.

Tłum uniósł go ku drzwiom. Sprzedawczynie przysmaków, niosąc swoje kłamoty, wracały do domów. Było po jedenastej, ale moc ludzi stało na ulicy. Czekali na wychodzących z kina, żeby dowiedzieć się, jak to było z aresztowaniem Murzyna.

Tej nocy Damaso wrócił do domu tak cicho, że kiedy Anna przecknęła się, leżał, paląc już drugiego papierosa.

- Masz jedzenie w żarze - powiedziała.

- Nie jestem głodny.

Westchnęła.

- Śniło mi się, że Nora robiła laleczki z masła - powiedziała, niecałkowicie przebudzona. Znowu zdrzemnęła się. Nagle zdała sobie sprawę, że nie chcąc, usypia, i odwróciła się do Damasa, trąc oczy.

- Złapali tego gościa - powiedziała.

Nie od razu odpowiedział.

- Kto mówił?

- Złapali go w kinie - powiedziała Anna. - Wszyscy o tym wiedzą.

Opowiedziała niedokładną wersję wydarzenia. Damaso nie sprostował nic.

- Biedny człowiek - westchnęła Anna.

- Dlaczego biedny? - zaprotestował z podnieceniem Damaso. - Wolałabyś, żeby mnie zamknęli?

Znała go zbyt dobrze, żeby odpowiedzieć. Aż do piania pierwszych kogutów słyszała, jak pali chwytając powietrze niby astmatyk, potem jak wstaje i porusza się po pokoju raczej za pomocą dotyku niż wzroku, potem jak dłużej niż kwadrans skrobie ziemię pod łóżkiem, wreszcie jak się rozbiera, starając się nie robić hałasu. Wiedziała, że nie ma pojęcia o tym, że ona nie śpi, i że wszystkich sił starała się, żeby się tego nie domyślił. Poruszył się w niej jakiś bardzo prymitywny instynkt: zrozumiała, że Damaso był w kinie i że właśnie zakopał kule bilardowe pod łóżkiem.

Salon został otwarty w poniedziałek i natychmiast zapełnił się podnieconą klientelą. Stół bilardowy pokryty fiołkowym sukniem nadawał lokalowi charakter pogrzebowy. Na ścianie umieszczono napis: "Salon nieczynny z powodu braku bil". Ludzie przychodzili, odczytywali go, jakby im obwieszczał jakąś niespodziewaną nowinę. Niektórzy, zatrzymując się przed nim dłuższą chwilę, wpatrywali się w niego z niezrozumiałym skupieniem.

Damaso znalazł się wśród pierwszych klientów. Spędził część życia na ławkach, z których obserwuje się grę w bilard, i wrócił na nie, gdy tylko drzwi zostały otwarte. Było to równie trudne, jak szybkie wyrażenie kondolencji: przechyliwszy się ponad barkiem poklepał właściciela po ramieniu:

- Ale pech, don Roque.

Właściciel pokręcił głową z zafrasowaniem i westchnął: "Sam widzisz" - po czym powrócił do obsługi klientów, a Damaso z jednego ze stołków koło kontuaru kontemplował widmo stołu pod fiołkowym całunem.

- Dziwne - mruknął.

- Faktycznie - odpowiedział gość z sąsiedniego stołka. - Coś jakby Wielki Tydzień.

Kiedy większość klientów poszła na obiad, zbliżył się do grającej szafy i wsunął monetę w znaną sobie szparę w spisie melodii.

Zabrzmiało meksykańskie Corrido. Don Roque przesuwał stoliki i krzesła w głębi salonu.

- Co pan robi? - zapytał Damaso.

- Instaluję stoliki do kart. Coś trzeba wymyślić, zanim przyjdą bile.

Poruszając się jakby po omacku z krzesłem przewieszonym przez każde ramię, wyglądał jak świeżo upieczony wdowiec.

- Kiedy przyjdą? - zapytał Damaso.

- Mniej niż za miesiąc pewno.

- Do tej pory znajdą się tamte - powiedział Damaso.

Don Roque z zadowoleniem patrzył na równy rząd stolików.

- Nie znajdą się - powiedział, ocierając czoło rękawem. - Murzyna trzymają o głodzie od soboty i nie puścił pary. - Zmierzył Damasa wzrokiem przez zmaćcone potem okulary. - Jestem pewien, że wrzucił je do rzeki.

Damaso przygryzł wargi.

- A dwieście pesos?

- Też nic nie wiadomo - odparł Don Roque. - Przy nim znaleziono tylko trzydzieści.

Spojrzeli sobie w oczy. Damaso nie byłby w stanie wytłumaczyć, dlaczego wydało mu się, że to spojrzenie narzuciło im jakieś współnictwo. Tego popołudnia Anna zobaczyła znad balii, że wracał do domu małymi boksterskimi podskokami. Weszła za nim do pokoju.

- Spokój - powiedział Damaso. - Stary jest tak zrezygnowany, że obstalował nowe bile. Teraz tylko trzeba, żeby wszyscy zapomnieli.

- A Murzyn?

- E tam - wzruszył ramionami. - Jak ich nie znajdą przy nim, będą musieli go puścić.

Po jedzeniu usiedli w progu, gadając z sąsiadami aż do chwili, gdy w kinie ucichł głośnik. Kiedy mieli się kłaść, Damaso był bardzo podniecony.

- Przyszedł mi do głowy pomysł na fantastyczny interes - oznajmił.

Anna zrozumiała, że przez całe popołudnie przeżuwał tę samą myśl.

- Będę chodził od miasteczka do miasteczka - mówił - w jednym będę kradł bile, a w drugim je sprzedawał. W każdym mieście jest przecież salon bilardowy.

- Aż cię zabiją.

- Kto tam mnie będzie zabijał - roześmiał się. - To się widzi tylko na filmach.

Stojąc na środku pokoju, wprost zachłystywał się entuzjazmem. Anna rozbierała się, pozornie obojętna, w rzeczywistości słuchając go z pełnym uwagi współczuciem.

- Kupię sobie ubrań od cholery - ukazywał ręką wyimaginowaną szafę szerokości całej ściany. - Odtąd dotąd. I pięćdziesiąt par butów.

- Oby cię Bóg wysłuchał.

Utkwił w niej poważne spojrzenie.

- Moje plany nic cię nie obchodzą.

- Za dalekie - odpowiedziała. Zgasła światło i ułożywszy się pod ścianą dodała z pewną dozą goryczy: - Jak skończysz trzydzieści lat, ja będę miała czterdzieści siedem.

- Nie wygłupiaj się.

Poklepał się po kieszeniach, szukając zapalek.

- Nie będziesz więcej musiała mordować się nad tą bielizną - dodał, jakby trochę speszony. Anna podała mu ogień. Patrzyła na płomień, póki nie zgasł. Wyciągnięty na łóżku Damaso gadał w dalszym ciągu:

- Wiesz, z czego się robi kule?

Nie odpowiedziała.

- Z kości słoniowej - ciągnął. - Trudno je dostać, trzeba na nie miesiąc czekać. No...

- Spij już - przerwała mu. - Muszę wstać o piątej.

Damaso wrócił do swych normalnych zwyczajów. Ranki spędzał w łóżku z papierosem, dopiero po sjeście zaczynał szykować się do wyjścia. Wieczorami w salonie bilardowym wysłuchiwał reportażu z mistrzostw baseballowych. Posiadał talent zapomina-

nia o swoich projektach z takim samym zapałem, z jakim do nich przystępował.

W sobotę zwrócił się do żony:

- Masz forszę? - zapytał.

- Jedenaście pesos - odpowiedziała. I łagodnie wyjaśniła: - Na komorne.

- Mam dla ciebie pewien interes.

- No?

- Pożycz mi je.

- Trzeba zapłacić za mieszkanie.

- Później się zapłaci.

Anna potrząsnęła głową. Damaso złapał ją za rękę i zmusił do wstania od stołu, przy którym kończyli śniadanie.

- Tylko na kilka dni - powiedział, gładząc jej ramię z niedbałą czułością. - Jak sprzedam bile, będzie na wszystko.

Anna nie ustąpiła. Tego wieczoru w kinie Damaso przez cały czas trzymał rękę na jej ramieniu, nawet gdy w czasie przerwy gawędził z kolegami. Zaledwie widzieli film. W końcu zniecierpliwił się:

- No to będę musiał ukraść forszę - powiedział.

Anna wzruszyła ramionami.

- Dam w łeb pierwszemu, którego spotkam - powiedział, przepychając ją przez tłum opuszczających kino - i zamkną mnie za zabójstwo.

Anna uśmiechnęła się wewnątrz, ale nie zmiękła. Następnego ranka, po burzliwej nocy, Damaso ubrał się z demonstracyjnym i pełnym groźby pośpiechem. Przechodząc obok żony, mruknął:

- Więcej nie wrócę.

Annie nie udało się wstrzymać lekkiego dreszczu.

- Szczęśliwej drogi! - krzyknęła.

Po mocnym trzaśnięciu drzwiami rozpoczęła się dla Damasa pusta, nie kończąca się niedziela. Krzykliwe barwy porcelany i fajansu na targu i kolorowo ubrane kobiety wychodzące z dziećmi z porannej mszy nadawały rynkowi jakiś rys wesołości, ale powietrze już tężało od upału.

Dzień spędził w salonie bilardowym. Paru mężczyzn od rana grało w karty, a przed obiadem przez chwilę było pełno. Niemniej było widoczne, że lokal stracił swą główną atrakcję. Dopiero wieczorem, kiedy rozpoczynała się transmisja z baseballu, po trosze wracało dawne ożywienie.

Kiedy zamknięto salon, Damaso znalazł się na rynku, który wyglądał, jakby się powoli wykrwawiał. Nie miał przed sobą żadnego celu. Poszedł ulicą równoległą do portu śladem wesołej, odległej muzyki. Na końcu ulicy ogromny, ogołocony, ozdobiony girlandami spłowiałego papieru mieścił się "Salon taneczny" z orkiestrą na drewnianym podwyższeniu. W powietrzu unosił się duszny zapach rózu.

Damaso usiadł przy barze. Po każdym tańcu chłopak od perkusji zbierał pieniądze wśród tych, co tańczyli. Jakaś dziewczyna porzuciła na środku parkietu swojego partnera i podeszła do Damasa.

- Co słysząc, Jorge Negrete?

Przysiadła się do niego. Właściciel lokalu, cały w pudrze i z goździkiem za uchem, zapytał falsetem:

- Co dla państwa?

Dziewczyna zwróciła się do Damasa:

- Co pijemy?

- Nic.

- Na mój rachunek.

- Nie o to chodzi - powiedział. - Jeść mi się chce.

- Szkoda - westchnął oberżysta. - Z takimi oczami...

Poszli w głąb sali, gdzie można było coś zjeść. Dziewczyna miała młodą figurę, ale pokłady rózu i pudru nie pozwalały ocenić jej wieku. Po posileniu się Damaso poszedł z nią do pokoju w głębi ciemnego patia, w którym czuło się zapach śpiących zwierząt. Na łóżku leżało paromiesięczne dziecko owinięte w kolorowe szmaty. Dziewczyna rzuciła gałgany do skrzynki, ułożyła na nich dziecko i zestawiała skrzynkę na podłogę.

- Szczury je zjedzą - powiedział Damaso.

- Nic mu nie będzie - odparła.

Zdjęła czerwoną sukienkę i włożyła inną, bardziej wyciętą, w duże żółte kwiaty.



- Kto jest ojcem? - zapytał Damaso.

- Nie mam pojęcia - odparła. Po czym już od drzwi: - Zaraz wracam.

Usłyszał, że zamyka kłódkę. Ubrany, leżąc na wznak, wypalił bardzo dużo papierosów.

Łóżko wibrowało w takt dochodzącej z dołu muzyki tanecznej. Zasnął, sam nie wiedząc o tym. Kiedy się obudził, muzyki nie było już słychać, przez co pokój wydawał się większy; dziewczyna rozbierała się, stojąc naprzeciw łóżka.

- Która jest?

- Coś koło czwartej. Nie krzyczało?

- Chyba nie - powiedział Damaso.

Położyła się blisko niego, źrenice jej rozjeżdżały się, gdy mu rozpiniała koszulę. Zrozumiał, że dużo wypila. Chciał zgasić lampę.

- Zostaw - powiedziała. - Uwielbiam patrzeć ci w oczy.

O brzasku pokój napełnił się wiejskimi głosami. Dziecko zaczęło płakać. Dziewczyna wzięła je do łóżka i dała mu pierś, nucąc między zębami jakąś melodię opartą na trzech tonach, która wszystkich uspiła. Damaso nie usłyszał, że koło siódmej wyszła z pokoju zabrawszy dziecko, a wróciła już sama.

- Wszyscy idą do portu - powiedziała.

Ocknął się z uczuciem, że przez całą noc spał najwyżej godzinę.

- Po co?

- Obejrzeć Murzyna, co ukradł bile - odparła. - Dziś go wywożą.

Zapalił papierosa.

- Biedny facet - westchnęła dziewczyna.

- Dlaczego biedny? Nikt mu nie kazał kraść.

Dziewczyna zamyśliła się na chwilę, z głową opuszczoną na piersiach. Powiedziała cicho:

- To nie on.

- Skąd wiesz?

- Wiem - odparła. - Tej nocy, co się włamali do salonu, był z Glorią i przeleżał u niej cały następny dzień aż do wieczora. A potem przyszli i powiedzieli, że złapali go w kinie.

- Gloria może to zeznać policji.

- Murzyn im powiedział. To alkad przyszedł do niej do mieszkania, przewrócił jej cały pokój do góry nogami i zagroził, że wezmą ją za współnictwo. Wykręciła się dwudziestoma pesos.

Damaso wstał przed ósmą.

- Zostań - powiedziała dziewczyna. - Zarznię kurę na obiad.

Wytarł grzebień o dłoń, po czym schował go do tylnej kieszeni spodni.

- Nie mogę - powiedział, przyciągając ją do siebie. Umyła twarz i było widać, że jest bardzo młoda; miała oczy czarne, duże, które nadawały jej jakiś wyraz zagubienia. Objęła go w pół.

- Zostań - powtórzyła.

- Na zawsze?

Zaczerwieniła się lekko i puściła go.

- Och, ty nabieraczu - mruknęła.

Tego ranka Anna jakoś niewyraźnie się czuła, ale udzieliło jej się podniecenie panujące w miasteczku. Szybciej niż zwykle zebrała bieliznę, którą miała uprać w tym tygodniu, i poszła do portu, żeby być przy wywożeniu Murzyna. Niecierpliwy tłum stał koło motorówek, gotowych do odjazdu. Był tam i Damaso.

Kolnęła go dwoma palcami w okolice nerek.

- A ty co tu robisz? - drgnął nerwowo.

- Przyszłam cię pożegnać - powiedziała Anna.

- Nie wymawiaj w złą godzinę.

Zapukał palcami w słup telegraficzny.

Zapalił papierosa, puste pudełko rzucił do rzeki. Anna zza stania wyjęła drugie i włożyła mu je do kieszonki koszuli. Po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Ale oślica z ciebie - powiedział.

- Cha, cha - roześmiała się.

W chwilę potem załadowali Murzyna. Przeprowadzili go przez sam środek placu; ręce miał związane na plecach liną, za którą ciągnął go policjant. Dwóch innych szło z karabinami po bokach. Murzyn był bez koszuli, miał wargę rozciętą i brew napuchniętą niby bokser. Z bierną godnością usiłował uniknąć spojrzeń gawie-

dzi. Z drzwi salonu bilardowego, gdzie zebrała się największa część publiczności, ażeby nic nie uronić ze spektaklu, właściciel lokalu, kiwając głową w milczeniu, patrzył, jak przechodzi. Zebrani obserwowali go z podejrzanym entuzjazmem. . Motorówka odbiła szybko, Murzyn leżał na daszku, ręce i nogi miał przywiązane do beczki ze smarem; kiedy w połowie rzeki zakreśliła, gwizdząc ostatni raz, jego plecy zaśniły i zgasły.

- Biedak - mruknęła Anna

- Bandydzi - powiedział ktoś niedaleko niej. - Człowiek nie jest w stanie znieść takiego słońca.

Damaso zauważył, że był to głos jakiejś niezwykle grubej kobiety; ruszył w kierunku placu.

- Za dużo gadasz - szepnął Annie do ucha. - Tylko tego brakuje, żebyś wszystko wypaplała.

Odprosiła go do drzwi salonu bilardowego.

- Przebierz się chociaż - powiedziała, zanim się rozstali. - Wyglądasz zupełnie jak żebrak.

Zdarzenie przywiodło do salonu rozgorączkowaną klientelę. Usiłując wszystkich obsłużyć, don Roque miotał się między stolikami. Damaso zaczekał, ażeby znalazł się koło niego.

- Chce pan, żebym pomógł?

Don Roque postawił przed nim pół tuzina butelek piwa, ze szklankami nałożonymi na szyjki.

- Dziękuję ci, synu.

Damaso rozniósł butelki do stolików, przyjął parę nowych zamówień i w dalszym ciągu podawał, aż do chwili gdy ludzie rozeszli się na obiad. Kiedy rankiem wrócił do pokoju, Anna zrozumiała, że pił. Wzięła go za rękę i położyła ją sobie na brzuchu.

- Pomacaj - powiedziała. - Nie czujesz? Damaso nie okazał najmniejszego entuzjazmu.

- Już żyje - powiedziała Anna. - Przez całą noc mnie kopał.

Ale nie zareagował na to. Był całkowicie skoncentrowany na własnych myślach i nazajutrz rano wyszedł bardzo wcześnie, wrócił dopiero po północy. Tak minął tydzień. W czasie rzadkich chwil, które spędzał w domu, palił bez słowa. Anna podwoiła ostrożność.

W początkach ich wspólnego pożycia w pewnym okresie zachowywał się podobnie. Wtedy nie знаła go dostatecznie, żeby wiedzieć, że nie należy się włączać. Skończyło się to zwałeniem jej na łóżko i pobiciem do krwi.

Tym razem czekała. Na noc kładła koło lampki paczkę papierosów, wiedząc, że zniesie głód i pragnienie, ale nie brak tytoniu. W połowie lipca któregoś dnia pojawił się w mieszkaniu po południu. Zaniepokoiła się, zrozumiawszy, że widać jest w opalach, skoro przychodzi o tej porze. Zjedli bez słowa. Przed pójściem spać Damaso, miękki jakiś i zdezorientowany, powiedział niespodziewanie:

- Zabieram się stąd.
- Dokąd?
- Gdziekolwiek.

Anna rozejrzała się po pokoju. Okładki pism, które sama powycinała i ponaklejała, w końcu całkowicie tapetując ściany litografiami i podobiznami aktorek, były wyblakłe i zniszczone. Straciła już rachubę mężczyzn, którzy kolejno wypijali te kolory, patrząc na nie z łóżka.

- Masz mnie dosyć - powiedziała.
- Nie o to chodzi - mruknął. - To to miasto.
- Takie jak wszystkie.
- Ale nie można sprzedać bil - powiedział Damaso.
- Daj sobie święty spokój z tymi bilami. Póki mam dość siły, żeby pracować, nie musisz szukać guza. - I po chwili, łagodnie: - Nie mam pojęcia, jakim cudem wkopałeś się w tę całą aferę.

Zanim odpowiedział, skończył papierosa.

- To było takie łatwe! Wprost trudno uwierzyć, że nikomu przedtem nie przyszło do głowy - powiedział.

- Gdyby była forsa - zgodziła się. - Ale nikt nie byłby taki głupi, żeby zabierać bile.

- Nie zastanowiłem się - odparł. - Już wychodziłem, kiedy je zobaczyłem za kontuarem, leżały sobie grzecznie w tym pudle, i tak mi przyszło do głowy, że zadać sobie tyle trudu po to, żeby wyjść z gołymi rękami...

- W złą godzinę - powiedziała Anna.

Damaso poczuł, że mu się robi lżej.

- A nowych ani śladu - rzekł. - Zawiadomili, że podrożali, i don Roque mówi, że po takiej cenie nie warto. - Zapalił następnego papierosa; kiedy mówił, miał uczucie, że jakaś czarna maź opuszcza jego serce.

Opowiedział jej, że właściciel zdecydował się sprzedać bilar-dowy stół. Nie był wiele wart. Sukno, porozdzierane przez zbyt odważne posunięcia adeptów tej sztuki, miało kwadratowe łaty w wielu kolorach i należałoby w ogóle je zmienić. Tymczasem by-walcy salonu, których życie upłynęło dookoła tego stołu, nie mieli innych rozrywek jak oglądanie mistrzostw baseballu.

- W rezultacie - dokończył swoje przemówienie - zostaje to miasto...

- Ostatecznie... - powiedziała Anna.

- Ale w przyszłym tygodniu kończą się mistrzostwa baseballo-we - powiedział Damaso.

- Nie to jest najgorsze. Najgorsze jest z tym Murzynem.

Leżała tak jak dawniej z głową na jego ramieniu i wiedziała, o czym on myśli. Zaczekała, aż wypali do końca, a potem powie-działa łagodnie:

- r- Damaso!

- Co tam?

- Oddaj je.

Zapalił nowego papierosa.

- Myślę o tym bez przerwy - powiedział. - Ale, cholerny świat, nie wiem jak.

Zdecydowali, że podrzucą je w publicznym miejscu. Anna uznała, że to rozwiąże problem bilardu, ale nie winowajcy. Policja znajdzie sposób, żeby zinterpretować fakt, nie uniewinniając Mu-rzyna. Nie wykluczała także i tego, że kule zostaną znalezione przez kogoś, kto sam zatrzyma je, żeby przehandlować.

- Jeśli już ma się to zrobić - zdecydowała - trzeba to zrobić z głową.

Odkopali je. Anna pozawijała bile w gazety, starając się, żeby zawiniątko nie zdradziło swą formą, co zawiera, i schowała do skrzyni.

- A teraz trzeba czekać okazji - oznajmiła.

Ale w oczekiwaniu na nią upłynęło dwa tygodnie. Dwudziestego sierpnia, w dwa miesiące po napadzie, Damaso poszedł do salonu. Don Roque siedział za barem i palmowym wachlarzem odkurzał szczudła. Radio było wyłączone, wszystko aż ziało samotnością.

- A nie mówiłem? - wykrzyknął don Roque podniecony tym, że sprawdza mu się przepowiednia. - Gównu się znalazły.

Damaso wsunął monetę do grającej szafy. Hałas wydał mu się głośnym stwierdzeniem jego lojalności. Ale don Roque jakby nie zauważył tego. Przysunął więc sobie stołek i zabrał się do pocieszania go za pomocą argumentów, które tamten bez angażowania się odrzucał w takt swego niedbałego wachlowania.

- Nie ma rady - mówił - mistrzostwa baseballu nie mogą trwać całe życie.

- Ale bile mogą się znaleźć.

- Nie znajdą się.

- Przecież Murzyn ich nie zjadł.

- Policja szukała na wszystkie strony - powiedział don Roque z przekonaniem mogącym doprowadzić do rozpacz. - Wrzucił je do rzeki.

- Zawsze może zdarzyć się cud.

- Porzuć te złudzenia, synu - odparł don Roque. - Nieszczęścia chodzą parami. Wierzysz w cuda?

- Czasami - odparł Damaso.

Kiedy wyszli z lokalu, kino jeszcze nie opustoszało. Porwane skrawki dialogów potężnie dźwięczały w ciemnym miasteczku; a nieliczne nie zamknięte jeszcze domy miały w sobie coś opatrnościowego. Damaso położył chwilę wokół kina, potem skierował się do tanebudy.

Orkiestra grała dla jednego tylko klienta, który tańczył równocześnie z dwiema kobietami. Inne, statecznie usadowione pod ścianą, wyglądały, jakby czekały na pocztę. Damaso zajął stolik, ręką pokazał oberżyscie, żeby mu podał piwo, które wypił wprost z butelki, przerywając dla zaczerpnięcia oddechu, a równocześnie

nie spuszczał wzroku z mężczyzny tańczącego z dwiema kobietami. Był zresztą od nich obydwóch niższy.

O północy przysły dziewczyny, które były w kinie, za nimi grupka mężczyzn. Wśród nich przyjaciółka Damasa, która porzuciła swoich towarzyszy i przysiadła się do niego.

Nie spojrzał na nią. Miał już w brzuchu parę litrów piwa i nie odrywał oczu od mężczyzny, który tańczył teraz już z trzema kobietami, nie zwracając na nie uwagi, był bowiem całkowicie połączony w obserwacji misternych wyczynów swoich stóp. Robił wrażenie szczęśliwego i było jasne, że byłby jeszcze szczęśliwszy, gdyby prócz nóg i rąk posiadał również i ogon.

- Nie podoba mi się ten facet - powiedział Damaso.

- To nie patrz na niego - powiedziała dziewczyna.

Poprosiła barmana, żeby jej podał coś do picia. Parkiet zaczynał napełniać się parami, ale tamten z trzema kobietami w dalszym ciągu czuł się jego jedynym właścicielem. W jakiejś chwili natknął się na spojrzenie Damasa, podwoił dynamizm swoich choreograficznych popisów i w uśmiechu ukazał królicze zęby. Damaso wytrzymał wzrok bez mrugnięcia, aż do chwili gdy tamten spoważniał i odwrócił się do niego plecami.

- Patrzcie go, jaki wesołek - powiedział.

- Jest naprawdę wesoły - odpowiedziała dziewczyna. - Ile razy jest w miasteczku, stawia całej orkiestrze. Ci komiwojażerowie już są tacy.

Zwrócił na nią spojrzenie.

- To zabieraj się do niego - rzekł. - Jak starcza dla trojga, starczy dla czworga.

Nie odpowiedziała, tylko odwróciła twarz od parkietu i zabrała się do powolnego popijania. Blandożółta sukienka podkreślała jej nieśmiałość.

- Umieram z głodu - powiedziała dziewczyna, wzięła go pod rękę i skierowała ku barowi. - Ty też musisz coś zjeść. - Człowiek z trzema kobietami szedł ku nim.

- Te... - zwrócił się do niego Damaso.

Ten uśmiechnął się całą gębą. Damaso uwolnił się od swojej towarzyszk i zastąpił mu drogę.

- Nie podobają mi się twoje zęby.

Mężczyzna zbladł, ale wciąż się uśmiechał.

- Mnie także nie - powiedział.

Zanim dziewczynie udało się przeszkodzić, Damaso wyrzwał go pięścią w twarz, aż usiadł na środku parkietu. Nikt się nie wmięszał. Tylko trzy dziewczyny z krzykiem chwyciły Damasa wpół, podczas gdy ta, która była z nim, popychała go ku barowi. Przewrócony powoli wstawał, miał zmienioną twarz. Nagle niby małpa wyskoczył na środek sali:

- Orkiestra! Muzyka!

Dochodziła druga, w lokalu nie było już prawie nikogo, pozabawione klientów dziewczyny zasiadły do jedzenia. Było gorąco. Jego towarzyszka przyniosła do stolika smażone mięso z ryżem i fasolą i zabrała się do tego łyżką. Damaso gapił się na nią w odrętwieniu. Wyciągnęła ku niemu łyżkę ryżu.

- Otwórz usta.

Oparł brodę o piersi i potrząsnął głową.

- To dla kobiet - powiedział. - My, mężczyźni, nie jadamy tego.

Musiał oprzeć się o stół, żeby wstać. Kiedy złapał równowagę, oberżysta ze skrzyżowanymi na piersiach rękami stał naprzeciw niego.

- Dziewięć osiemdziesiąt - powiedział. - To nie jest lokal państwowy.

Damaso odsunął go:

- Nie lubię pedałów.

Oberżysta złapał go za rękaw, ale pod wpływem spojrzenia dziewczyny puścił, mówiąc:

- Nie wiesz, co tracisz...

Damaso wyszedł, zataczając się. Tajemnicze iskrzenie rzeki w świetle księżyca zrobiło w jego mózgu jakąś szczelinę, przez którą wśliznęło się trochę przytomności. Nie trwało to jednak długo. Kiedy zobaczył drzwi do swego domu, znajdującego się w drugim końcu miasteczka, wydawało mu się, że całą tę drogę przebył we śnie. Potrząsnął głową. W jakiś niejasny, ale nagły sposób zrozumiał, że od tej chwili musi dobrze się kontrolować. Ostrożnie pchnął drzwi, ażeby nie skrzypnęły.



Anna usłyszała, że grzebie w skrzyni. Najpierw odwróciła się do ściany, bo raziło ją światło lampy, ale potem zdała sobie sprawę, że się nie rozbiera. Błysk jasnowidzenia posadził ją na łóżku. Damaso stał koło skrzyni, pod pachą miał zawiniątko z bilami, w ręku latarkę. Położył palec na ustach.

Anna zerwała się na równe nogi. "Oszalałeś" - szepnęła, biegnąc ku drzwiom. Szybko zasunęła skobel. Damaso wsadził latarkę do kieszeni w spodniach razem z wyostrzonym nożem i podszedł do niej z paczką pod pachą. Anna oparła się plecami o drzwi.

Usiłował odsunąć ją.

- Odejdź - powiedział.

Obiema rękami złapała się za framugę drzwi. Popatrzyli sobie w oczy, nie mrugając.

- Zwariowałeś - mruknęła. - Bóg dał ci piękne oczy, ale nie rozum.

Złapał ją za włosy, wykręcił jej rękę i zmusił do schylenia głowy, cedząc przez zęby:

- Powiedziałem ci, żebyś się odsunęła.

Spojrzała na niego z boku spojrzeniem wołu spod jarzma. Przez mgnienie poczuła się jakby poza bólem i silniejsza od męża, on jednak w dalszym ciągu trzymał ją za włosy, aż łzy stanęły jej w oczach:

- Dziecko mi w brzuchu zabijesz - powiedziała.

Uniósł ją w powietrze i położył na łóżku. Poczuła się wolna i skoczyła mu na plecy, zaklinowała nogami, oboje padli na łóżko. Zadyszeli się i tracili już siły.

- Będę krzyczała - szepnęła. - Jeżeli się ruszysz, będę krzyczała.

Damaso wpadł w furję i zaczął walić ją po nogach paczką z bilami. Jęknęła i zwolniła pętle nóg, ale rękami złapała go w pasie, aby go zatrzymać. Równocześnie błagała go:

- Przysięgam ci, że sama je jutro odniosę. Podłożę je tak, że nikt nie zauważy.

Wciąż zbliżając się do drzwi, bił ją ręką trzymającą bile. Puszczala go na chwilę, a gdy ból mijał, znowu go chwytala i znowu prosiła:

- Powiem, że to ja - mówiła. - W tym stanie mnie przecież nie wsadzą.

Uwolnił się od niej.

- Całe miasto cię zobaczy - szeptała Anna. - Jak idiota nawet nie widzisz, że jest księżyc.

Schwyciła go raz jeszcze, zanim zdążył wyjąć skobel. Wtedy z zamkniętymi oczami zaczęła walić go po karku, po twarzy, prawie krzycząc: "Bydlę! Bydlę!". Usiłował się osłonić, a ona wyrwała skobel i rąbnęła go nim w głowę. Damaso osunął się, skobel zadzwonił o kość ramieniową z kryształowym dźwiękiem.

- Kurwa! - ryknął.

W tej chwili przestał już zwracać uwagę na hałas. Odwróconą dłonią lunął ją w ucho, usłyszał głęboki jęk i głucho uderzenie ciała o ścianę, ale nie spojrzał. Nie zamykając drzwi wybiegł z pokoju.

Ogłuszona bólem Anna nie podnosiła się z ziemi, nasłuchując, czy nic się nie dzieje w jej brzuchu. Za przepierzeniem ktoś zawołał na nią; sądząc po głosie, słyszał wszystko. Zagryzła usta, żeby nie płakać. Potem wstała i ubrała się. Nie przyszło jej do głowy - tak jak nie przyszło jej to za pierwszym razem - że Damaso jeszcze stoi za drzwiami, w oczekiwaniu, że ona wybiegnie za nim, krzycząc. Po raz drugi popełniła ten sam błąd: zamiast polecieć za mężem, włożyła pantofle, przymknęła drzwi i usiadła na łóżku.

Dopiero kiedy drzwi się zamknęły, Damaso zrozumiał, że już nie może się cofnąć. Szczekanie psów szło za nim do końca ulicy, potem zrobiła się widmowa cisza. Unikał chodników, starając się umknąć własnym krokom, które brzmiały głośno i obco w sennym miasteczku. Ale aż do chwili, kiedy się znalazł na pustym terenie na wprost drugich drzwi do bilardowego salonu, nie zachowywał najmniejszej ostrożności.

Tym razem nie potrzebował latarki. Drzwi były tylko poprawione. Wycięto kawałek drzewa wielkości i formy cegły i zastąpiono go nowym, na który założono ten sam uchwyt. Reszta poszła identycznie. Damaso lewą ręką pociągnął za kłódkę, wsunął rączkę pilnika w słabo wkręcony uchwyt i pokręcił nim parę razy niby korbą samochodową, silnie, ale nie gwałtownie, aż do chwili

gdy drzewo ustąpiło z jęklwym wybuchem spróchniałych trocin. Zanim otworzył drzwi, jedno ich skrzydło uniósł w górę, ażeby zmniejszyć tarcie o cegły podłogi. Zaledwie je uchylił. Wreszcie zdjął buty, wsunął je do środka razem z zawiniątkiem z bilami i przeżegnawszy się, wszedł do zalanego księżycem salonu.

Najpierw zobaczył ciemne przejście zawałone butelkami i pustymi skrzynkami, dalej, w pełnym świetle księżyca, wpadającym przez oszklone okienko, bilardowy stół, potem tyły szaf, wreszcie stoliki i krzesła ustawione pod głównymi drzwiami. Wszystko było tak samo, jak za pierwszym razem, prócz światła księżyca i dojmującej ciszy. Damaso, który do tej chwili walczył z nerwowym napięciem, nagle odczuł jakąś niezwykłą fascynację.

Tym razem nie zważał na luźno ułożone cegły. Zaklinował drzwi butami, a gdy minął snop księżycowego światła, zapalił latarkę, chcąc poszukać za kontuarem pudła od bil. Działał bez przygotowania. Poruszając latarką zobaczył kupę zakurzonych butelek, strzemiona z ostrogami, zwiniętą w rolkę koszulę pobrudzoną smarem, a potem pudełko na bile dokładnie w tym samym miejscu, w którym je zostawił. Ale nie przestał świecić aż do końca: tam właśnie siedział kot.

Zwierzę popatrzyło na niego poprzez światło spojrzeniem wyprutym z tajemnicy. Damaso dalej świecił mu w oczy aż do chwili, gdy z lekkim dreszczem uświadomił sobie, że w ciągu dnia nigdy go nie widział w salonie. Machnął latarką mówiąc: "psik", ale kot nie poruszył się. Wtedy w jego głowie rozległo się coś w rodzaju głuchej detonacji i kot znikł z jego myśli. Kiedy zrozumiał, co się dzieje, latarka już upadła na ziemię, a on przyciskał paczkę z bilami do piersi. W salonie paliło się światło.

- Hej!

Poznał głos don Roque'a. Czując straszliwe zmęczenie w krzyżu, wyprostował się powoli. Don Roque szedł z głębi salonu z żelazną sztabą w rękach, jeszcze oślepiiony światłem. Za skrzynkami i pustymi butelkami, bardzo blisko miejsca, przez które wszedł Damaso, wisiał hamak. To także było inne niż za pierwszym razem.

Kiedy był w odległości mniejszej niż dziesięć metrów, don Roque podskoczył i zatrzymał się w oczekiwaniu. Damaso schował rękę z paczką. Don Roque zmarszczył się i wyciągnął głowę, chcąc rozpoznać go bez okularów.

- Chłopie! - krzyknął.

Damaso poczuł, jakby coś nie kończącego się wreszcie się skończyło. Don Roque opuścił sztabę i podszedł do niego z otwartymi ustami. Bez okularów i bez sztucznych zębów wyglądał jak baba.

- Co tu robisz?

- Nic - odpowiedział Damaso.

Niedostrzegalnie drobnym ruchem trochę zmienił pozycję.

- Co tam masz? - zapytał don Roque.

Damaso cofnął się.

- Nic.

Don Roque zaczerwienił się i zaczął się trząść.

- Co tam masz? - krzyknął, robiąc krok do przodu i podnosząc sztabę. Damaso podał mu paczkę. Don Roque odebrał ją lewą ręką, nie przestając mieć się na baczności, i zaczął ją macać. Dopiero wtedy zrozumiał.

- Niemożliwe! - powiedział.

Wydawał się tak zdumiony, że odłożył sztabę za kontuar i zabrał się do odwijania paczki, zupełnie zapomniawszy o intruzie. W milczeniu patrzył na bile.

- Chciałem je oddać - powiedział Damaso.

- Domyślam się - mruknął don Roque.

Damaso był sinoblady. Alkohol wyparował z niego do ostatniej kropli, pozostał mu tylko błotnisty osad na języku i niejasne uczucie osamotnienia.

- Więc to jest ten cud - powiedział don Roque, zawijając paczkę. - Nie, nie mogę uwierzyć, że taki kretyn z ciebie! - Kiedy podniósł głowę, twarz jego miała inny wyraz.

- A dwieście pesos?

- Nic nie było w szufladzie.

Don Roque spojrział na niego w zamyśleniu, żując pustymi ustami, a potem się uśmiechnął.

- Nic nie było - powtórzył. - Powiadasz, że nic nie było. - Znowu schwycił sztabę i krzyknął: - No, to teraz pójdziemy opowiedzieć tę bajeczkę alkadowi.

Damaso wytarł o spodnie mokre ręce.

- Pan wie, że nic nie było.

Don Roque dalej się uśmiechał.

- Było dwieście pesos - powiedział. - I teraz wyrwę ci je z brzucha, nie dlatego, żeś złodziej, a dlatego żeś kretyn.

## **Cudowny wieczór Baltazara**

Klatka była skończona. Siłą przyzwyczajenia Baltazar powiesił ją na okapie, a kiedy skończył obiad, już się rozniosło na wszystkie strony, że jest to najpiękniejsza klatka na świecie, i tyle ludzi przyszło ją zobaczyć, że koło domu zrobił się tłok i Baltazar musiał ją zdjąć z okapu i zamknąć stolarnię.

- Musisz się ogolić - powiedziała Urszula, jego żona. - Wyglądasz jak kapucyn.

- Niedobrze golić się po obiedzie - odparł Baltazar.

Miał dwutygodniowy zarost, włosy krótkie, twarde, sterczące niby grzywa muła, i robił wrażenie zastraszonego. Ale było to fałszywe wrażenie. W lutym skończył trzydzieści lat, z Urszulą żył od czterech, nie biorąc ślubu i nie mając dzieci, i życie dało mu wiele powodów do czujności, ale żadnego do przestרחu. Nie wiedział zresztą, że dla niektórych klatka, którą właśnie skończył, była najpiękniejsza na świecie. Dla niego, od dzieciństwa zwyczajonego do robienia klatek, robota przy tej była zaledwie o włos trudniejsza niż zwykle.

- To połów się na chwilę - powiedziała kobieta. - Z tą brodą i tak nie możesz nigdzie się pokazać.

Położył się, ale co rusz musiał wstawać z hamaka, żeby pokazywać klatkę sąsiadom. Urszula dotąd nie zwróciła na to wszystko uwagi. Była niezadowolona, że mąż kompiętnie zaniedbał w ostatnich dniach stolarnię i cały swój czas poświęcił klatce, przez dwa tygodnie wiercił się i gadał przez sen, a w dodatku przestał się golić. Ale niezadowolenie rozplynęło się, gdy zobaczyła gotową klatkę. Kiedy Baltazar obudził się z poobiedniej drzemki, za-

stał wyprasowane spodnie i koszulę na poręczy krzesła obok hamaka, a klatkę na stole w jadalni. Oglądała ją w milczeniu.

- Ile weźmiesz? - zapytała.

- Bo ja wiem - odparł Baltazar. - Powiem trzydzieści pesos, to może dostanę dwadzieścia.

- Powiedz pięćdziesiąt - orzekła Urszula. - Wiele nocy nad nią przesiedziałeś. I jest duża. W życiu nie widziałem takiej klatki.

Baltazar zabrał się do golenia.

- Myślisz, że mi dadzą pięćdziesiąt pesos?

- Co to jest dla don Chepe Montiel? A klatka jest tyle warta! - powiedziała Urszula. - Może nawet powinieneś poprosić o sześćdziesiąt...

W domu panował duszny półmrok i upał wydawał się jeszcze trudniejszy do zniesienia przez nieustający koncert świerszczy. Baltazar skończył się golić i otworzył drzwi na patio, aby trochę przewietrzyć. Grupka dzieci natychmiast wtargnęła do mieszkania.

Wieść jak widać rozeszła się. Doktor Octavio Giraldo, stary lekarz lubiący życie, choć znudzony swą pracą, myślał o klatce Baltazara, jedząc obiad w towarzystwie ułomnej żony. Na wewnętrznym tarasie, na którym jadali w upalne dni, stało wiele doniczek z kwiatami i klatka z kanarkami. Zona doktora lubiła ptaszki, lubiła je tak dalece, że z ich powodu znienawidzda koty, ich potencjalnych wrogów. Z myślą o niej, po wizycie u chorego, doktor Giraldo wstąpił po południu do Baltazara, żeby obejrzeć klatkę.

W jadalni było moc ludzi. Wystawiona na stole klatka miała olbrzymią drucianą kopułę, wewnątrz trzy poziomy, z przejściami, przedziałkami na jedzenie i wodę oraz, w specjalnie na ten cel zostawionej przestrzeni, trapezy ku rozrywce ptaków, i wyglądała jak mały model olbrzymiej fabryki lodu. Nie dotykając klatki doktor starannie się jej przyjrzał i pomyślał, że istotnie klatka ta przewyższa wszystko, o czym kiedykolwiek mógł marzyć dla swojej żony.

- To jest jakiś kaprys fantazji - powiedział. Odszukał w grupie ludzi Baltazara i utkwivszy w nim swoje ojcowskie spojrzenie, dodał: - Byłby z ciebie nie lada architekt.

Baltazar spiekł raka.

- Dziękuję - powiedział.

- Kiedy to prawda - odparł doktor. Miał w sobie coś z otyłości i gładkości kobiety, która za młodu musiała być piękna, i rasowe, delikatne dłonie. Głos jego przypominał księdza mówiącego po łacinie. - Nawet nie trzeba wpuszczać do niej ptaków - rzekł, kręcąc klatką przed oczami ludzi, jakby ją sprzedawał. - Wystarczy powiesić ją między drzewami, żeby sama zaczęła śpiewać. - Odstawił ją na stół, pomyślał chwilę i patrząc na nią, dodał:

- No to ją biorę.

- Kiedy jest sprzedana - powiedziała Urszula.

- Należy do syna don Chepe Montiela - wyjaśnił Baltazar. - On ją obstalował.

Doktor przybrał wyraz twarzy pełen szacunku.

- Dał ci model?

- Nie - odparł Baltazar. - Powiedział, że chce wielką klatkę, taką jak ta, bo ma parę turpieli.

Doktor spojrzał na klatkę.

- Ta nie jest dla turpieli.

- Jak to nie, doktorze? - powiedział Baltazar i podszedł do stołu, a dzieci otoczyły go. - Wymiary są dokładnie przekalkulowane - dorzucił, przesuwając wskazującym palcem po równych przedziałkach. Potem stuknął zgiętym palcem w kopułę, która rozdźwięczała głębokim akordem. - Najmocniejszy drut, jaki można dostać, a każde złączenie zlutowane od wewnątrz i od zewnątrz - powiedział.

- Nawet papuga by się zmieściła - wtrąciło któreś z dzieci.

- Tak jest - przytaknął Baltazar.

Doktor kiwał głową.

- Cóż z tego, skoro ci nie dał modelu - rzekł. - Obstalunek nie był dokładny, tyle że miała to być duża klatka dla turpieli. Może nie?

- Tak jest - przytaknął Baltazar.

- Nie ma o czym mówić - powiedział doktor. - Co innego klatka dla turpieli, a co innego taka klatka. Nie ma dowodów, że to właśnie ta została obstalowana.

- Ale to jest ta - powiedział Baltazar, dotknięty. - Po to ją zrobiłem.

Doktor zrobił gest zniecierpliwienia.

- Mógłbyś zrobić drugą - szepnęła Urszula, patrząc na męża. I do lekarza: - Panu się przecież nie spieszy.

- Obiecałem ją mojej żonie na dziś po południu - powiedział doktor.

- Bardzo mi przykro, panie doktorze - powiedział Baltazar - ale nie można sprzedawać czegoś, co już jest sprzedane.

Doktor wzruszył ramionami. Ocierając chustką pot z twarzy, w milczeniu patrzył na klatkę, utkwivszy spojrzenie w jakimś nieokreślonym punkcie, tak jak się patrzy na odpływający statek.

- Ile ci za nią dali?

Baltazar, milcząc, poszukał wzrokiem Urszuli.

- Sześćdziesiąt pesos - powiedział

Lekarz w dalszym ciągu patrzył na klatkę.

- Ładna jest - westchnął. - Bardzo ładna. - Po czym energicznie się wachlując, uśmiechnięty, skierował się ku drzwiom, czując, że całe wydarzenie ulatnia się już z jego pamięci.

- Montiel to bogacz - dodał.

W rzeczywistości Jose Montiel nie był aż takim bogaczem, jak się wydawało, ale był zdolny do wszystkiego, byle nim zostać. Niedaleko stąd, w domu pełnym uprząży, w którym nigdy nie było nic, co by me mogło być na sprzedaż, w ogóle nie wiedział o istnieniu klatki. Zona jego, udręczona obsesją śmierci, zamknawszy po obiedzie drzwi i okna na dwie godziny, położyła się w zacienionym pokoju, podczas gdy Jose Montiel odbywał sjęstę. Otworzyła drzwi salonu i na wprost domu ujrzała tłum, a w środku Baltazara, świeżo ogolonego, w białym ubraniu i z okolicznościowym wyrazem szczerości, z którym ubodzy przekraczają progi ludzi bogatych.

- Co za cudo! - wykrzyknęła żona Jose Montiel, z rozpromienioną miną prowadząc Baltazara do środka. - Nic podobnego w życiu nie widziałam! - I przerażona tłumem, który zebrał się pod drzwiami, dodała: - Proszę wnieść ją do środka, inaczej zmienią nam salon w stajnię.



Baltazar nie pierwszy raz był w domu Jose Montiel. Wiele razy z uwagi na swą słowność i umiejętności bywał wzywany do różnych drobniejszych robót stolarskich. Ale nigdy nie czuł się dobrze wśród bogaczy. Nieraz zastanawiał się nad nimi, nad ich kobietami brzydkimi i swarliwymi, nad straszliwymi operacjami, którym się poddawali, i zawsze czuł coś w rodzaju litości. W ich domach zawsze powłóczył nogami.

- Czy jest Pepe? - zapytał i odstawił klatkę na stół.

- Jest w szkole - odpowiedziała żona Jose Montiel. - Ale już powinien być. - I dodała: - A Montiel jest w kąpielu.

Ale Jose Montiel nie zdążył się wykapać. W pośpiechu nacierał się spirytusem kamforowym, bo chciał wyjść i zobaczyć, co się dzieje. Był to człowiek tak ostrożny, że nie używał w nocy wentylatora, żeby nawet przez sen słyszeć każdy szmer w domu.

- Adelajda! - krzyknął. - Co się tam dzieje?

- Chodź, zobacz, co za cudo! - odkrzyknęła żona.

Jose Montiel, grubawy i owłosiony, z ręcznikiem na karku, wyrzwał z sypialni.

- A cóż to takiego?

- Klatka dla Pepe - powiedział Baltazar.

Kobieta spojrzała na niego zdumiona.

- Dla kogo?

- Dla Pepe - powtórzył Baltazar. Po czym zwracając się do Jose Montiel: - Pepe obstalował ją u mnie.

Nic specjalnego nie zdarzyło się w tym momencie, ale Baltazar poczuł się tak jak ktoś, komu otwierają drzwi, gdy siedzi w ubikacji. Z sypialni wyłonił się w kalesonach Jose Montiel.

- Pepe! - krzyknął.

- Jeszcze nie przyszedł - wyszeptała jego żona, stojąc nieruchomo.

Pepe pojawił się właśnie w drzwiach. Miał ze dwanaście lat, zakręcone rzęsy i patetyczny spokój swojej matki.

- Chodź no tu - zwrócił się do niego Jose Montiel. - Ty to obstalowałeś?

Mały spuścił głowę. Schwyciwszy go za włosy, Jose Montiel zmusił go do spojrzenia mu w oczy.

- Odpowiedz!

Mały, milcząc, przygryzł wargi.

- Montiel - wyszeptała jego żona.

Jose Montiel puścił chłopca i z irytacją zwrócił się do Baltazara.

- Bardzo mi przykro, Baltazarze - powiedział - ale powinieneś być porozumieć się ze mną, zanim zabrałeś się do roboty. Tylko ty mogłeś przyjąć zamówienie od dziecka. - W miarę mówienia twarz jego uspokajała się. Nie patrząc wziął klatkę i podał ją Baltazarowi. - Zabierz ją stąd jak najprędzej i postaraj się sprzedać komukolwiek - powiedział. - Poklepał go po ramieniu i w charakterze wytłumaczenia dodał: - Lekarz zabronił mi denerwować się.

Mały stał bez ruchu, nie mrugnął nawet aż do chwili, gdy Baltazar spojrzał na niego niezdecydowany. Wtedy wydał jakieś gardłowe szczeknięcie i z krzykiem rzucił się na podłogę.

Jose Montiel patrzył na niego niewzruszony, podczas gdy matka usiłowała go uspokoić.

- Nie podnoś go - powiedział. - Niech sobie rozbije łeb o podłogę; a potem przylej mu jeszcze, żeby się wyzłościł do syta.

Mały darł się bez łez, podczas gdy matka trzymała go za rękę.

- Zostaw go - powtórzył Jose Montiel.

Baltazar obserwował małego, tak jakby patrzył na agonię zwierzęcia. Dochodziła czwarta. W domu Urszula krajała cebulę, nucąc jakąś starą piosenkę.

- Pepe - powiedział Baltazar.

Uśmiechając się, podszedł do dziecka i podał mu klatkę. Mały chwycił klatkę prawie tak dużą jak on sam, przytulił ją i spojrzał na Baltazara poprzez metalowe pręty, nie wiedząc, co powiedzieć. Nie uronił ani jednej łzy.

- Baltazarze - powiedział łagodnie Montiel. - Powiedziałem ci, żebyś ją zabrał.

- Oddaj ją - zwróciła się do małego matka.

- Zatrzymaj ją - powiedział Baltazar. Po czym, zwracając się do Montiel: - Przecież w końcu dla niego ją robiłem.

Jose Montiel poszedł za nim do salonu.

- Dostyc tego, Baltazarze - powiedział zachodząc mu drogę. - Zabieraj się i nie rób więcej głupstw. Nie mam zamiaru dać ci grosza.

- To nie ma znaczenia - powiedział Baltazar. - Zrobiłem ją w prezencie dla Pepe. Wcale nie liczyłem, że mi pan zapłaci.

Podczas gdy Baltazar przeciskał się pomiędzy gapiami, którzy tłoczyli się przy drzwiach, Jose Montiel, stojąc na środku salonu, czuł, jak wzbiera w nim złość. Był bardzo blady, oczy powoli zachodziły mu krwią.

- Idiota! - wrzeszczał. - Zabieraj swoje pudło! Tego tylko brakowało, żeby byle kto u mnie rządził! Szlag by to trafił!

W salonie bilardowym przyjęto Baltazara owacyjnie. Do tej chwili myślał, że zrobił specjalnie udaną klatkę i dał ją synowi Montielowi, żeby nie płakał, przy czym w żadnej z tych rzeczy nie było nic aż tak nadzwyczajnego. Ale teraz zdał sobie sprawę, że wszystko to miało jakieś znaczenie dla wielu osób, i poczuł się trochę podniecony.

- Więc ci dali pięćdziesiątka za tę klatkę...

- Sześćdziesiątka.

- Zapisać kredą w kominie! - powiedział ktoś. - Jesteś jedynym, któremu udało się naciągnąć na forszę don Chepe Montielowi. To trzeba oblać.

Inny poczęstował go piwem, a wtedy Baltazar wszystkim postawił kolejkę. Ponieważ nigdy nie pijał, nad wieczorem był kompletnie zalany i bredził coś o fantastycznym projekcie tysiąca klatek po sześćdziesiąt pesos każda, potem zaś miliona klatek, ażeby dojść do okrągłych sześćdziesięciu milionów pesos.

- Trzeba robić różne rzeczy i sprzedawać je bogaczom, zanim poumierają - plótl, zalany do nieprzytomności. - Oni są wszyscy chorzy i wykitują. Co za życie, jeżeli nawet zdenerwować im się nie wolno!

Na jego koszt szafa grała przez dwie godziny bez przerwy. Wszyscy wznosili zdrowie Baltazara, pili za jego pomyślność i bogactwo, potem za śmierć bogaczy, w porze kolacji jednak pozostawili go samego w salonie.

Urszula do ósmej czekała na niego z talerzem mięsa smażonego z cebulką. Ktoś jej mówił, że mąż w salonie bilardowym stawia całemu światu piwo nieprzytomny ze szczęścia, ale nie uwierzyła w to, bo Baltazar nigdy jeszcze się nie upił. Kiedy położyła się koło północy, Baltazar znajdował się w jasno oświetlonej sali, pełnej czteroosobowych, obstawionych krzeselkami stolików; na zewnątrz, na świeżym powietrzu, po parkiecie tanecznym spacerowały szczudłonogie czaple. Twarz miał usmarowaną szminką, a ponieważ nie mógł utrzymać się na nogach, wyobrażał sobie, że leży w łóżku z dwiema kobietami naraz.

Wydał tyle pieniędzy, że musiał zastawić zegarek, zobowiązawszy się do wykupienia go nazajutrz rano. W chwilę później, rozciągnięty na ulicy, poczuł, że ktoś ściąga mu buty, ale za nic nie chciał przebudzić się z tego najszcześniejszego w życiu snu.

Idące na prymarię kobiety nie ośmieliły się spojrzeć na niego, sądząc, że nie żyje.

## Wdowa Montiel

Kiedy umarł don Jose Montiel, wszyscy poczuli się pomszczeni, wszyscy - prócz wdowy. Minęło jednak wiele godzin, zanim ludzie zrozumieli, że rzeczywiście nie żyje. Niektórzy nie wierzyli w to, nawet gdy zobaczyli jego trupa spoczywającego wśród gromnic, poduszek i prześcieradeł w trumnie żółtej i wypukłej jak melon. Był dobrze ogolony, biało ubrany, miał lakierowane buty i wyglądał tak świetnie, że nigdy chyba nie wydawał się równie żywy. Był to ten sam don Chepe Montiel, którego każdej niedzieli widywano na porannej mszy, tyle że zamiast pejcza miał w ręku krucyfiks. Dopiero gdy przyśrubowano wieko trumny i pochowano go w okazałym grobowcu rodzinnym, miasteczko przyjęło do wiadomości, że nie udaje umarłego.

Po pogrzebie natomiast okazało się, że nikt prócz wdowy nie jest w stanie uwierzyć, że Jose Montiel umarł śmiercią naturalną, wszyscy bowiem mieli nadzieję, że dostanie kulą w łeb z za węgla; tylko wdowa święcie była przekonana, że dożyje późnej starości i umrze w łóżku, namaszczony świętymi olejkami, bez najmniejszych cierpień, niby jakiś nowoczesny święty.

Omyliła się zaledwie w niektórych szczegółach. Jose Montiel zmarł wprawdzie w swoim hamaku w jakąś środę o drugiej po południu na skutek irytacji, przed którą tak ostrzegał go lekarz, ale podczas gdy jego żona spodziewała się, że całe miasto weźmie udział w pogrzebie, a dom nie pomieści wszystkich nadesłanych kwiatów, na cmentarz przyszli tylko jego zwolennicy polityczni i kongregacje religijne, a jedyne wieńce przysłał magistrat. Jego syn ze swej handlowej placówki w Niemczech i dwie córki z Paryża nadesłali trzystronicowe telegramy. Znać było, że pisali je w pośpiechu, "publicznym" pocztowym atramentem, i że podarli wiele formularzy, zanim udało im się ułożyć tekst nie tańszy niż za dwadzieścia dolarów. Tej nocy sześćdziesięciodwuletnia wdowa Montiel, płacząc w poduszkę człowieka, który ją uczynił szczęśliwą, po raz pierwszy w życiu poznała smak goryczy. "Zamknę się na zawsze - myślała. - Dla mnie to i tak, jakby mnie złożyli wraz z nim w trumnie. Nie chcę nic więcej wiedzieć o tym świecie". Była szczerą.

Ta wrażliwa kobieta, męczennica przesądów, wydana za mąż przez rodziców w wieku lat dwudziestu za jedyne go pretendenta, którego pozwolono jej zobaczyć z odległości mniejszej niż dziesięć metrów, nigdy właściwie nie była w bezpośrednim kontakcie z rzeczywistością. W trzy dni po wyniesieniu z domu zwłok jej męża, zalana łzami, zrozumiała, że musi coś postanowić, ale nie miała pojęcia, jak pokierować swoim życiem. Należało zaczynać od początku.

Wśród niezliczonych tajemnic, które Jose Montiel zabrał ze sobą do grobu, był i szyfr otwierający kasę pancerną. Tę sprawę wziął na siebie alkad. Kazał postawić kasę na patio i oprzeć ją o ścianę, po czym dwaj policjanci zaczęli strzelać prosto w zamek. Przez całe rano do sypialni wdowy dochodziły odgłosy częstych i regularnych wystrzałów. Komenderował alkad. "Tego mi tylko brakowało - pomyślała - najpierw pięć lat modlić się, żeby przestali strzelać, a teraz dziękować im za to, że strzelają u mnie w domu, \ Tego dnia w najwyższym skupieniu błagała śmierć, by ją zabrała - ale nie została wysłuchana. Zaczynała drzemać, gdy straszliwy wybuch zatrzęsł domem. Kasę wysadzono dynamitem.

Wdowa Montiel westchnęła. Październik zdawał się ciągnąć w nieskończoność ze swoimi błotnistymi deszczami, a ona, zagubiona, bez celu snuła się po zapuszczonej, przepięknej hacjendzie Jose Montiel. Señor Carmichael, ich dawny wierny pracownik, podjął się administrowania majątkiem. Kiedy wreszcie przyjęła do wiadomości konkretny fakt śmierci męża, wdowa Montiel opuściła sypialnię, aby zająć się domem. Zdjęła wszystkie ozdoby, kazała pokryć meble materiałami o smutnych kolorach, na wiszących w każdym pokoju zdjęciach zmarłego pozawieszała żałobne kokardy. W dwa miesiące po pogrzebie nabrała zwyczaju obgryzania paznokci. Pewnego dnia - z zaczerwienionymi, zapuchniętymi od płaczu oczami - zauważyła, że seor Carmichael wchodzi do domu z nie zamkniętym parasolem.

- Niech pan zamknie parasol, señor Carmichael - powiedziała. - Po tylu nieszczęściach tego tylko brakowało, żeby pan wchodził do domu z otwartym parasolem.

Señor Carmichael odstawił parasol do kąta. Był to stary Murzyn o połyskliwej skórze, w białym ubraniu i bucikach z otworami, które powycinał za pomocą brzytwy, ażeby ulżyć swoim nagniotkom.

- Tylko póki nie wyschnie.

Po raz pierwszy od śmierci męża wdowa otworzyła okno.

- Tyle nieszczęść i jeszcze ta zima - szepnęła gryząc paznokcie. - Chyba nigdy się nie wypogodzi.

- Ani jutro, ani dziś nie wypogodzi się - orzekł administrator. - W nocy odciski dosłownie nie dały mi zasnąć.

Wdowa wierzyła w przepowiednie pogody bazowane na odciskach señora Carmichaela. Popatrzyła na pusty plac, na ciche domki, których drzwi nie otwarły się, aby obejrzeć pogrzeb Jose Montiel, i poczuła się dogłębnie nieszczęśliwa ze swymi obgryzionymi paznokciami, ze swymi ogromnymi dobrami i z bezgraniczną liczbą zobowiązań, które odziedziczyła po mężu i w których - jak wiedziała - nigdy nie zdoła się rozeznąć.

- Świat jest źle urządzony - załkała.

Ludzie, którzy odwiedzali ją w tych dniach, mieli powody, by myśleć, że straciła rozum. Nigdy jednak nie była bardziej przy-

tomna niż wtedy. Jeszcze zanim zaczęła się rzeź przeciwników politycznych, ponure październikowe ranki spędzała w oknie swego pokoju, współczując umierającym i myśląc, że gdyby Bóg nie pozwolił sobie na niedzielny wypoczynek, miałby czas, żeby lepiej wykończyć świat.

- Powinien był wykorzystać ten dzień, a wtedy by mu zostało mniej źle zrobionych rzeczy - mawiała. - Przecież i tak miał potem całą wieczność na odpoczywanie.

Jedno zmieniło się od śmierci męża: teraz rzeczywiście miała powody do czarnych myśli.

Podczas gdy wdowa Montiel spalała się w swojej rozpacz, seńor Carmichael usiłował zapobiec katastrofie okrętu. Sprawy nie stały dobrze. Uwolnieni od groźby w postaci Josego Montiel, który terrorem zmonopolizował dla siebie miejscowy handel, mieszkańcy brali odwet. W oczekiwaniu na nie zjawiających się odbiorców kwaśniało mleko w spiętrzonych na patio bańkach, fermentował miód w skórzanych bukłakach, w ciemnych sklepowych szafach robaki tuczyły się serem. W swoim mauzoleum zdobnym w elektryczne żarówki i aniołki z fałszywego marmuru Jose Montiel pokutował za sześć lat mordów i gwałtów. Nikt w historii kraju nie wzbogacił się tak bardzo w tak krótkim czasie. Do chwili gdy nastąpiła dyktatura i przybył do miasta pierwszy alkad, Jose Montiel był cichym zwolennikiem każdego kolejnego rządu, a pół życia przesiedział w gaciach na progu swojej łuszczarni ryżu. W pewnym okresie cieszył się opinią szczęściarza i dobrego katolika, bo głośno obiecał, że jeśli wygra ćwiartkę na loterii, ofiaruje kościołowi figurę świętego Józefa naturalnej wielkości, a w dwa tygodnie później wygrał sześć pełnych losów i dotrzymał obietnicy. Pierwszy raz widziano go w butach, kiedy przybył alkad, sierżant policji, mańkut i okrutnik, który dostał polecenie zlikwidowania opozycji. Jose Montiel zaczął od tego, że został jego dyskretnym informatorem. Ten skromny kupiec, którego spokój i dobry humor grubasa nie wzbudzały najmniejszych podejrzeń, zniszczył swoich przeciwników politycznych, zarówno biednych, jak i bogatych. Biednych policja rozwaliała na publicznym placu, bogaci dostali rozkaz opuszczenia miasta w dwadzie-

ścia cztery godziny. Projektując tę masakrę, Jose Montiel całe dnie przesiadywał wraz z alkadem w jego dusznym biurze, podczas gdy jego małżonka uzalała się nad umierającymi. Kiedy alkad opuszczał biuro, przypierała męża do muru.

- To kryminalista - mówiła. - Wykorzystaj twoje stosunki w rządzie, żeby jakoś odkomenderowali stąd tę bestię. Nie zostawi jednego żywego człowieka w naszym mieście.

Jose Montiel, dziko zapracowany w owym okresie, odsuwał ją od siebie nie patrząc, ze słowami: "Odczep się ode mnie". W rzeczywistości w jego interesie leżało nie tyle uśmiercanie nędzarzy, co wyrzucenie bogaczy. Podczas gdy alkad dziurawił im drzwi kulami, wyznaczając równocześnie termin opuszczenia miasta, Jose Montiel skupował ich ziemie i było za cenę, którą sam łaskawie wyznaczał.

- Nie bądź głupi - mówiła mu żona. - Zrujnujesz się, żeby nie umarli z głodu tam, gdzie jadą, a oni nawet nie będą ci wdzięczni.

A Jose Montiel, który nie miał już czasu nawet na to, by się uśmiechnąć, usuwał ją ze swej drogi, mówiąc:

- Idź no do kuchni i nie mądrz się tyle.

W tym tempie opozycję zlikwidowano w niespełna rok, a Jose Montiel został najbogatszym i najbardziej wpływowym człowiekiem w mieście. Wysłał swoje córki do Paryża, dla syna dostał zajęcie w konsulacie w Niemczech i postanowił skonsolidować swoje imperium. Ale nawet sześciu lat nie korzystał z tych obłądnych bogactw.

Nie upłynął jeszcze rok od jego śmierci, a już wdowa wiedziała, że każde skrzywienie schodów oznaczać może wyłącznie złą wiadomość. Nieruchoma w swym fotelu, gryząc paznokcie, żywiła się jedynie swym nieszczęściem.

- A nie mówiłam ci, Jose Montiel - mruzczała sama do siebie. - To miasto niewdzięczników. Jeszcześ nie ostygł w grobie, a już wszyscy odwracają się do mnie tyłem.

Dzieci nie powróciły do domu. Jediną istotą ludzką, którą widywała w tych nie kończących się dniach pory deszczowej, był wytrwały seńor Carmichael, który nigdy jednak, wchodząc do domu, nie zamykał parasola. Sytuacja nie poprawiała się. Seńor



Carmichael napisał wiele listów do syna Jose Montiel. Ukazywał mu korzyści, jakie dałby jego powrót i objęcie interesów po ojcu, posunął się nawet do zakomunikowania mu własnych opinii na temat zdrowia wdowy. Odpowiedzi jednak zawsze były wymijające. Ostatnio syn odpowiedział szczerze, że nie ma odwagi wrócić, bo się boi, że go zabiją. Wtedy señor Carmichael zdecydował się wejść do sypialni wdowy: czuł się w obowiązku uprzedzić ją, że jest zrujnowana.

- To i lepiej - powiedziała. - Mam po dziurki w nosie tych serów i much. Niech pan będzie łaskaw wziąć wszystko, co mu się może przydać, i pozwoli mi umrzeć spokojnie.

Od tej pory jedyny jej kontakt ze światem stanowiły listy, które pod koniec każdego miesiąca pisywała do córek: "To miasto jest przeklęte - donosiła im. - Zostańcie na zawsze tam, gdzie jesteście, i nie martwcie się o mnie. Jestem szczęśliwa, wiedząc, że wy jesteście szczęśliwe". Córki odpowiadały jej na zmianę, raz jedna, raz druga. Ich listy zawsze były wesołe i czuć było, że są pisane w miejscach ciepłych, dobrze oświetlonych, i że ich dziewczęce postaci odbijają się w wielu lustrach, kiedy przystają, by się skupić. One także nie chciały wracać. "Tu jest cywilizacja - pisały. - Tam nie ma dla nas nic odpowiedniego. Nie można żyć w dzikim kraju, w którym zabija się ludzi z powodu ich przekonań politycznych". Czytając ich listy wdowa Montiel lepiej się czuła i aprobowała każde zdanie ruchem głowy.

Przy jakiejś okazji córki opisały jej targ mięsny w Paryżu. Pisały, że zabija się różowe prosiaki i wieszka nie poćwiartowane na wystawach, ustrojone w wianki świeżych kwiatów. Na zakończenie jakaś ręka, odmiennym charakterem pisma, dodała: "Wyobraź sobie, że największy i najpiękniejszy goździk wsadza się prosiakowi w dupę". Czytając to zdanie wdowa Montiel uśmiechnęła się po raz pierwszy od dwóch lat. Poszła do sypialni, nie gasząc innych świateł, i zanim się położyła, odwróciła elektryczny wentylator ku ścianie. Potem wyjęła z szuflady nocnego stolika nożyczki, plaster i różaniec i obandażowała sobie duży palec prawej ręki, ukąszony przez jakiegoś owada. Zaczęła się modlić, ale przy drugiej tajemnicy przełożyła różaniec do lewej ręki, bo przez plaster

nie wyczuwała paciorków. Przez chwilę słyszała dudnienie dalekich piorunów. Potem zasnęła, głowa zwiśla jej na piersi, ręka trzymająca różaniec opadła. I wtedy ukazała jej się siedząca na patio Mama Grande z białym prześcieradłem i grzebieniem na podłoku, paznokciami kciuków rozgniatająca wszy.

- Kiedy umrę? - spytała ją wdowa.

Mama Grande uniosła głowę.

- Jak stracisz czucie w całej ręce.

## **Dzień po sobocie**

Niepokój zaczął się w lipcu, kiedy señora Rebeka, zgorzkniała wdowa, mieszkająca w ogromnym domu o dwóch korytarzach i dziewięciu pokojach, zauważyła, że siatki w oknach są podziurawione, jakby ktoś ciskał w nie kamieniami. Pierwsze odkrycie zrobiła w sypialni i doszła do wniosku, że powinna o tym porozmawiać z Argenidą, swoją służącą i od śmierci męża jedyną powiernicą. Potem, grzebiąc w swojej graciarni (od pewnego już czasu señora Rebeka nie robiła nic innego, tylko grzebała w swojej graciarni), spostrzegła, że siatki są uszkodzone nie tylko w sypialni, ale w całym domu. Wdowa posiadała teoretyczne poszanowanie autorytetu, prawdopodobnie odziedziczone po dziadku ze strony ojca, Kreolu, który w czasie wojny o niepodległość bił się po stronie monarchistów, a potem pojechał w męczącą podróż do Hiszpanii w jednym, ściśle określonym celu: aby zwiedzić pałac, który Karol III wybudował w San Ildefonso. Krótko mówiąc, kiedy zauważyła stan innych siatek, już nie miała ochoty mówić z Argenidą, tylko włożywszy słomiany kapelusz przybrany maleńkimi kwiatkami z aksamitu, skierowała się ku biurkom alkada, aby donieść, co zaszło. Gdy jednak tam weszła, ujrzała alkada, który sam we własnej osobie, owłosiony, bez koszuli, solidnie i z zapamięł, który ją przeraził, właśnie reperował swoje siatki, równie podziurawione, jak u niej.

Señora Rebeka wkroczyła do ponurej sali, w której panował dziwny nieład, i pierwszą rzeczą, na którą padł jej wzrok, był stos martwych ptaków na biurku. Ale że była wytrącona z równowagi zarówno przez oburzenie z powodu zniszczonych siatek, jak i

przez upał, niecodzienny obraz nieżywych ptaków na biurku jakoś do niej nie dotarł. Nawet nie zgorszył jej widok władzy zdegradowanej do reperowania na drabinie metalowych siatek za pomocą kłębka drutu i dłutka. Nie myślała w tej chwili o niczym prócz własnej godności naruszonej sprawą zniszczonych siatek, toteż jej przypadek nie skojarzył jej się z tym, co się działo w alkadii. Dyskretnie, acz wymownie, stanęła w biurowym pokoju o dwa kroki od drzwi i opierając się na długiej ozdobnej rączce swej parasolki, rzekła:

- Przyszłam złożyć skargę.

Ze szczytu drabiny alkad zwrócił ku niej twarz nabrzmiałą od gorąca. Nie okazał żadnego zainteresowania wobec niecodziennej wizyty w tym gmachu i ze smętną niedbałością, w dalszym ciągu oddając się naprawie siatki, zapytał z góry:

- O co chodzi?

- Chłopaki z sąsiedztwa poniszczyły mi siatki w oknach.

Wtedy alkad zwrócił na nią oczy. Przyjrzał się jej z uwagą, począwszy od najdrobniejszych kwiatków na kapeluszu, skończywszy na pantoflach koloru starego srebra, jakby ją widział po raz pierwszy w życiu. Nie odrywając od niej wzroku, zszedł z drabiny, a stanąwszy na ziemi podparł się pod bok, odłożył dłutko na biurko i powiedział:

- To nie chłopaki, señora, to ptaki.

Wtedy dopiero widok martwych ptaków na biurku, człowiek na drabinie oraz uszkodzone siatki u niej w domu związały się jej w całość; wstrząsnęła się na myśl, że wszystkie jej pokoje są pełne nieżywych ptaków.

- Ptaki! - wykrzyknęła.

- Ptaki - przytaknął alkad. - Dziwne, że nie przyszło to pani do głowy. Od trzech dni walczymy z ptakami, które dziurawią siatki, aby umierać w mieszkaniach.

Opuszczając alkadię señora Rebeka czuła się zawstydzona. I trochę zła na Argenidę, która zносиła do domu wszystkie plotki z miasta, a nie pisnęła słowa na temat ptaków. Otworzyła parasolkę, oślepiona blaskiem nadchodzącego sierpnia, i gdy szła rozpaloną i

pustą ulicą, wydawało jej się, że sypialnie wszystkich domów wydzielają mocną i przenikliwą woń zdechłego ptactwa.

Działo się to w ostatnich dniach lipca. Nigdy o tym czasie nie było w mieście takiego upału. Ale mieszkańcy nie zauważyli tego, wstrząśnięci niezwykłą śmiertelnością ptaków. Jakkolwiek ten dziwny fenomen jeszcze nie zaciążył zbyt nad trybem życia ludzi, już w początkach sierpnia większość ich zaczęła go dotkliwie odczuwać. Większość - z wyjątkiem dziewięćdziesięcioletniego księdza Antonio Isabel del Santísimo Sacramento del Altar Castañeda y Montero, dobrotliwego pasterza parafii, który wprawdzie twierdził, że trzy razy w życiu widział diabła, ale teraz dostrzegł tylko dwa nieżywe ptaki i nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Na pierwszego natknął się w pewien wtorek w zakrystii po mszy i pomyślał, że przytaszczył go tu jakiś kot z sąsiedztwa. Drugiego znalazł w środę w sieni plebanii i wypchnął czubkiem buta na ulicę, myśląc: koty nie powinny istnieć.

Ale w piątek, dochodząc do stacji, na ławce, na której zamierzał usiąść, zobaczył trzeciego ptaka. Wtedy coś mu zaświtało: wziął trupka za łapki, podniósł do oczu, obrócił go, obejrzał i pomyślał wstrząśnięty: "Caramba, to już trzeci, którego znajduję w tym tygodniu". Od tej chwili poczuł, że coś się dzieje w miasteczku, poczuł to jednak bardzo niejasno, bowiem ksiądz Antonio Isabel po części z powodu wieku, po części zaś dlatego, że trzykrotnie oglądał diabła (co mieszkańcom miasta wydawało się ciut nie na miejscu), uważany był przez swoich parafian za spokojnego i uczynnego poczciwca, który jednak nie ma wszystkich w domu. Tak więc jakkolwiek zdał sobie sprawę z tego, że coś się dzieje z ptakami, nie wydało mu się to tematem godnym niedzielnego kazania. Natomiast on pierwszy poczuł zapach. Poczuł go w nocy z piątku na sobotę, kiedy z lekkiego snu obudziła go mdląca woń. Nie wiedział jednak, czy należy przypisać ją koszmarom sennym, czy też jakiejś nowej, mącającej spokój nocny, diabelskiej sztuce. Zaczął wachać wokół siebie i kręcić się na łóżku, myśląc, że doświadczenie to mogłoby posłużyć mu za temat kazania, dramatycznego kazania o zręczności szatana, wślizgującego się do ludzkich serc za pomocą któregośkolwiek z pięciu zmysłów.

Kiedy następnego dnia przed mszą spacerował po placyku otaczającym kościół, po raz pierwszy usłyszał rozmowę na temat zdychających ptaków. Rozmyślał właśnie nad kazaniem, nad diabłem i grzechami popełnianymi przez węż, gdy doszły go słowa, że nocny smród powodują ginące w ciągu całego tygodnia, rozkładające się ptaki. Wtedy w jego głowie powstało jakieś dziwne pomieszanie ewangelicznych przypowieści, zapachów i zdechłych ptaków, co sprawiło, że w niedzielę zaimprovizował cały ustęp kazania na temat miłosierdzia, ustęp, który sam nie bardzo rozumiał, który jednak sprawił, że raz na zawsze zapomniał o związkach między diabłem a pięcioma zmysłami.

A jednak gdzieś w najgłębszej głębi jego umysłu zawsze zostało coś z tego, co przeżywał. Tak bywało nie tylko w seminarium, przeszło siedemdziesiąt lat temu - ale - co dziwniejsze - i po ukończeniu dziewięćdziesiątki. Kiedyś w seminarium, w przejrzyste popołudnie, wśród ulewnego deszczu bez burzy czytał coś z Sofoklesa w jego ojczystym języku. Kiedy przestało padać, spojrział przez okno na wieś odpoczywającą po ulewie, na wymyte, odświeżone popołudnie, i zapomniał zarówno o teatrze greckim, jak i o klasykach w ogólności, których właściwie słabo rozróżniał, obejmując ich ogólnym mianem "staruszków z dawnych czasów". Pewnego popołudnia już bez deszczu, w jakieś trzydzieści albo czterdzieści lat później, przechodząc przez kamienisty rynek miasteczka, do którego przyjechał na wizytację, nieoczekiwanie wyrecytował strofę Sofoklesa, której nauczył się w seminarium. Tego tygodnia rozwodził się długo na temat "staruszków z dawnych czasów" w rozmowie z wikariuszem apostolskim, rozmownym i wrażliwym starcem, zamiłowanym w pewnego typu zagadkach dla erudyty, które sam wymyślał i które zyskały popularność w wiele lat później pod nazwą krzyżówek. To spotkanie nagle wyzwoliło w księdzu Antonio Isabel jego dawną miłość do klasyków greckich. Na Boże Narodzenie tegoż roku dostał list. I gdyby nie to, że w owym czasie miał już ustaloną opinię fantasty zuchwale interpretującego Pismo i autora z lekka bzikowatych kazań, z tej okazji zrobiono by go biskupem.

Ale zakopał się w miasteczku jeszcze w czasach poprzedzających wojnę osiemdziesiątego piątego roku, a w chwili gdy ptaki przylatywały, aby umierać w sypialniach, już od lat czekano, by zastąpił go jakiś młodszy duszpasterz, szczególnie od czasu, gdy - jak twierdził - zobaczył diabła. Od tej pory przestano się z nim liczyć (czego zresztą bez wątpienia nie zauważył, mimo że jeszcze ciągle mógł bez szkielec czytać najdrobniejszy nawet druk w swoim brewiarzu).

Był to człowiek o uregulowanym trybie życia, mały, niepozorny, grubokościsty, o łagodnych ruchach i uspokajającym głósie, może nawet zbyt uspokajającym, jak na kaznodzieję. Aż do obiadu pozostawał w swej sypialni, niedbale wyciągnięty na leżaku, w szewiotowych spodniach związanych w kostkach na tasiemki.

Poza odprawianiem mszy nie robił nic. Dwa razy w tygodniu zasiadał w konfesjonale, ale od lat nikt nie przychodził się spowiadać. Ksiądz naiwnie sądził, że jego parafianie, ulegając nowoczesnemu duchowi, po prostu tracą wiarę, i w tej sytuacji trzykrotne ukazanie mu się diabła uważałby za wydarzenie nader korzystne, gdyby nie świadomość, że ludzie nie przykładają wagi do jego słów (sam zresztą czuł, że jego opowieści nie są specjalnie przekonywające). Nie zdziwiłby się nawet, gdyby się okazało, że nie żył nie tylko przez ostatnie pięć lat, ale i w dość niezwykłych chwilach, gdy znalazł dwa pierwsze ptaki. Dopiero gdy natknął się na trzeciego, niejako zbudził się do życia i przez ostatnie dni z chwalebnią częstotliwością wracał myślą do ptasiego ciała na ławce nieopodal stacji.

Mieszkał o dziesięć kroków od kościoła, w małym, ogrodzonym domku składającym się z korytarza wychodzącego na ulicę i dwóch pokoi, z których jeden służył mu za kancelarię, a drugi za sypialnię. Był zdania - raczej w chwilach zmniejszonej jasności myśli - że szczęście na ziemi jest osiągalne, o ile nie jest zbyt gorąco, świadomość ta jednak trochę go peszyła, bo lubił błądzić po metafizycznych ścieżkach; temu właśnie oddawał się, gdy co rano zasiadając w przejściu przy uchylonych drzwiach na ulicę zamykał oczy, co powodowało, że już co najmniej od trzech lat w chwilach "medytacji" nie myślał o niczym.

Punktualnie o dwunastej przychodził chłopak z poczwórną menażką, zawierającą codziennie to samo: zupę na kościach i trochę tapioki, ryż, mięso duszone bez cebuli, smażony banan, kaczan kukurydzy czy też trochę soczewicy, której to ksiądz Antonio Isabel del Santisimo Sacramento del Altar nigdy nie wziął do ust.

Chłopak stawiał menażkę obok leżaka, na którym spoczywał duchowny, ale ten nie otwierał oczu, dopóki nie usłyszał jego oddalających się kroków. Z tej przyczyny w mieście uważano, że ksiądz odbywa sjęstę przed obiadem, co również wydawało się ciut nie na miejscu, podczas gdy w rzeczywistości nawet w nocy nie sypiał dobrze. W tych czasach jego obyczaje uprościły się do maksimum. Obiadował nie wstając z leżaka, nie wyjmując jedzenia z menażek, nie używając ani talerza, ani widelca, ani noża, za ledwie łyżkę brał do zjedzenia zupy. Potem wstawał, skrapiał głowę wodą, wkładał białą, połataną sutannę i szedł na stację kolejową, dokładnie w porze, w której całe miasto układało się na sjęstę. Od wielu miesięcy odbywał tę drogę, szepcząc modlitwę, którą sam wymyślił, gdy po raz ostatni ukazał mu się diabeł.

Pewnej soboty - w dziewięć dni po tym, jak zaczęły pojawiać się martwe ptaki - kiedy ksiądz Antonio Isabel del Santisimo Sacramento del Altar kierował się ku stacji, dokładnie naprzeciw domu seory Rebeki u jego stóp spadł konający ptak. Jak w świetle błyskawicy, ksiądz nagle pojął, że ten ptak, w odróżnieniu od wszystkich innych, mógłby zostać ocalony. Wziął go w ręce i zapukał do domu señory Rebeki dokładnie w chwili, w której rozpinęła ona biustonosz, szykując się do sjęsty.

Wdowa dosłyszała pukanie i instynktownie zwróciła oczy ku siatkom. Od dwóch dni żaden ptak nie wpadł do jej sypialni. Ale siatki były podarte, uznała bowiem za bezsens wydawanie pieniędzy na reperacje, dopóki nie skończy się ptasia inwazja, która tak jej działała na nerwy. Poprzez szum elektrycznego wentylatora dosłyszała pukanie do drzwi i ze zniecierpliwieniem uświadomiła sobie, że Argenidą śpi właśnie w pokoju najdalszym od wejścia. Nawet jej nie przyszło do głowy zapytać, kto zakłóca jej spokój o takiej porze. Zapięła biustonosz, przeszła przez drzwi założone siatką, potem prosto przez długi korytarz, wreszcie przez salon

przeładowany meblami i bibelotami i zanim otworzyła następne drzwi, z przerażeniem dosłyszała głos: "Jeżeli skropimy go wodą, a potem położymy pod tykwą, na pewno zrobi się mu lepiej" - i przez metalową siatkę dojrzała księdza Antonio Isabel, poważnego, z przygaszonym wzrokiem, z ptakiem w rękach.

Nie pozostał u niej dłużej niż pięć minut. Señora Rebeka wyobraziła sobie, że to z jej winy wizyta była tak krótka. Ale w rzeczywistości stało się to za sprawą księdza. Gdyby wdowa wysiliła pamięć, uświadomiłaby sobie, że przez trzydzieści lat swego pobytu w mieście ksiądz nigdy nie przebywał w jej domu dłużej niż pięć minut. Uważał, że w przeładowaniu tego salonu wyraża się niewątpliwie rozwiązyły duch jego właścicielki pomimo jej pokrewieństwa z biskupem, dalekiego, acz uznawanego. W dodatku istniała pogłoska (a może była to prawda) na temat rodziny señory Rebeki, pogłoska, która - jak sądził ksiądz - prawdopodobnie nie dotarła do kurii diecezjalnej, nie mówiąc już o tym, że nawet pułkownik Aureliano Buendia, szwagier wdowy, którego zresztą ta ostatnia uważała za degenerata, nieraz opowiadał, że biskup tylko dlatego nie odwiedza miasteczka, że chce uniknąć wizyty u swej krewnej. Niezależnie od tego, czy prawda to była, czy też plotka, faktem było, że ksiądz Antonio Isabel del Santísimo Sacramento del Altar nie czuł się dobrze w domu, którego jedyna mieszkanka nigdy nie przejawiała śladu pobożności, tyle że spowiadała się raz do roku, ale i wtedy dawała wymijające odpowiedzi na temat zagadkowej śmierci swego męża. Jeżeli znalazł się tutaj, czekając, aż ona przyniesie szklankę wody dla konającego ptaka, był to zbieg okoliczności, którego on sam nigdy by nie spowodował.

Zanim wdowa wróciła, duchowny, siedząc we wspaniałym rzeźbionym fotelu, zastanawiał się nad zdumiewającą wilgocią panującą w tym domu, który nie zaznał spokoju od czasu, gdy przed laty z górą czterdziestu rozległ się tu wystrzał z pistoletu i Jose Arcadio Buendia, brat pułkownika, wśród brzęku sprzączek i ostróg padł twarzą na ciepłe jeszcze sztylpy, które właśnie zdejmował z nóg.



Kiedy señora Rebeka wróciła do salonu, ujrzała księdza Antonio Isabel siedzącego na fotelu z tym charakterystycznym wyrazem nieobecności, który od dawna napawał ją przerażeniem.

- Życie zwierzęcia - rzeki ksiądz - jest równie ważne dla Pana Boga, jak życie człowieka.

Mówiąc to nie myślał o Jose Arcadio Buendii. Wdowa również o nim nie pomyślała. Ale przywykła nie dawać wiary słowom księdza, od kiedy usłyszała z ambony opowieść o trzykrotnym spotkaniu z diabłem. Nieuważnie wzięła ptaka w złożone dłonie, zanurzyła go w szklance, a potem strzepnęła. Ksiądz zauważył w jej zachowaniu zarówno brak miłosierdzia, jak i niedbalstwo, zupełną obojętność dla życia tego stworzenia.

- Nie lubi pani ptaków - stwierdził łagodnie.

Wdowa niecierpliwie i niechętnie podniosła powieki.

- Gdybym nawet je kiedyś lubiła - odparła - teraz, kiedy zaczęło im się zdychać po domach, zniechęciłabym je.

- Wiele ich padło - odparł niewzruszony. Można było pomyśleć, że jakiś podstęp kryje się w monotonii jego głosu.

- Wszystkie - powiedziała wdowa. I wycierając ptaka z obrzydzeniem, a potem układając go pod tykwą, dodała: - Nic by mnie to nie obchodziło, gdyby nie to, że mi poszarpały siatki.

A jemu wydało się, że nigdy jeszcze nie zetknął się z sercem tak twardym. W chwilę potem, trzymając w ręku małe, bezbronne ciało, poczuł, że przestało trzepotać się. Wtedy zapomniał o wszystkim: o wilgoci domu, o rozwiązłości właścicielki, o nieznośnym zapachu prochu, który unosił się z trupa Jose Arcadio Buendii, i dokładnie w chwili, kiedy wdowa patrzyła, jak z groźną miną opuszcza dom trzymając w rękach nieżywego ptaszka, doznał cudownego olśnienia, że oto na miasto pada deszcz martwych ptaków i że on, pełnomocnik Boga, ów Wyznaczony, który czuł się szczęśliwy, o ile nie było zbyt gorąco - kompletnie zapomniał Apokalipsy.

Tego dnia jak co dzień poszedł na stację, ale nie pojął dokładnie znaczenia swego czynu. Podświadomie wiedział, że coś się dzieje wokół niego, ale czuł się ogłupiały, tępy, niegodny tej chwili. Usiadłszy na stacyjnej ławce, usiłował sobie przypomnieć, czy w

Apokalipsie jest mowa o martwych ptakach, ale nie pamiętał nic. Nagle uzmysłowił sobie, że zaszedłszy do señory Rebeki mógł spóźnić się na pociąg, wyciągnął więc głowę i przez zakurzone potłuczone szyby zobaczył, że na miejskim zegarze brak jeszcze dwunastu minut do pierwszej. Kiedy wrócił na ławkę, poczuł, że się dusi. W tym samym momencie uświadomił sobie, że jest sobota. Przez chwilę poruszał wachlarzem uplecionym z palmowych włókien, zagubiony w jakichś wewnętrznych mgławicach, a potem wpadł w rozpacz z powodu guzików od sutanny, guzików od butów, z powodu swych długich, obcisłych szewiotowych spodni, i przerażony uczuł, że jeszcze nigdy w życiu nie było mu tak straszliwie gorąco.

Nie wstając z ławki rozpiął kołnierzyk sutanny, wyciągnął z rękawa chustkę i otarł nią pałającą twarz, myśląc w jakimś mgnieniu patetycznego objawienia, że może jest świadkiem nadchodzącego trzęsienia ziemi. Czytał gdzieś o tym. Niebo jednak było bezchmurne, to niebo przezroczyste i szafirowe, z którego w tajemniczy sposób znikło całe ptactwo. Zauważył zarówno jego kolor, jak przezroczystość, natomiast równocześnie zupełnie wyleciały mu z pamięci martwe ptaki. Teraz myślał o czym innym: o możliwości burzy. Niebo jednak było przejrzyste i spokojne, jak gdyby to było niebo jakiegoś innego, dalekiego miasta, gdzie nie ma upału, i jakby to me jego, lecz czyjeś inne oczy teraz je oglądały. Potem spojrzał na północ i ponad wierzchołkami dachów z palmowych liści i cynku dojrzał powolną, milczącą i spokojnie płynącą chmurę sępów nad miejskimi śmietnikami.

Z jakichś niejasnych przyczyn poczuł, że w tym momencie odżywa w nim wspomnienie wzruszenia, którego doświadczył pewnej niedzieli w seminarium, na krótko przed otrzymaniem pierwszych święceń. Rektor pozwolił mu korzystać ze swojej biblioteki, przesiadywał więc w niej całe godziny (zwłaszcza w niedzielę), zagłębiając się w lekturze cudownych, pachnących starym drzewem książek, pobazgranych z boku drobnym, nastroszonym pismem rektora.

Pewnej niedzieli więc, którą spędził na czytaniu, do biblioteki wszedł rektor i pośpiesznie, zażenowany pochylił się, by podnieść

kartkę, która najwyraźniej wypadła spomiędzy stron książki. Udał, że nie zauważył zmieszania swego przełożonego, ale zdołał rzucić okiem na karteczkę. Było na niej tylko jedno zdanie, napisane fioletowym atramentem, wyraźnym, prostym charakterem. Madame Yvelte est morte cette nuit. Teraz, przeszło pół wieku później, widząc plamę sępów nad zapomnianym miastem zobaczył smutny wyraz twarzy rektora, który wtedy siedział na wprost niego czerwony i szybko oddychał.

Wstrząśnięty tym skojarzeniem, nie czuł teraz upału, lecz wręcz przeciwnie, jakby ukąszenie lodu w pachwinach i stopach i grozę, której przyczyny nie pojmował, spowity w kokon niejasnych myśli, wśród których mieszały się z sobą uczucie mdłości, kopyta szatana wbite w błoto i kupy martwych ptaków spadających na cały świat, podczas gdy on, Antonio Isabel del Santisimo Sacramento del Altar, pozostaje obojętny wobec tych wydarzeń. Wtedy zerwał się, zdumiony podniósł rękę jakby w pozdrowieniu, które rozplynęło się w próżni, i przerażony wykrzyknął: - Zyd Wieczny Tułacz!

W tym momencie zagwizdał pociąg. Po raz pierwszy od wielu lat ksiądz nie usłyszał tego. Zobaczył, jak pociąg wjeżdża na stację otoczony kłębamii dymu, i usłyszał grad węgielków uderzający o cynkowy dach. Ale było to jak sen odległy i niezrozumiały, z którego obudził się całkowicie dopiero po południu, trochę po czwartej, gdy już zrobił ostatnie poprawki we wspaniałym kazaniu, które postanowił wygłosić w niedzielę. W osiem godzin później wezwano go, by udzielił ostatniego namaszczenia jakiejś kobiecie.

Tak więc ksiądz nie wiedział, kto przybył tego popołudnia do miasteczka. Od dawna widywał cztery stare, spłowiałe wagony, które przejeżdżały przez stację, ale nie przypominał sobie, żeby przez ostatnie lata ktokolwiek wysiadł z nich po to, aby pozostać w mieście. Dawniej bywało inaczej, dawniej przez całe popołudnie można było patrzeć na jeden jedyny pociąg wiozący banany, na sto czterdzieści wagonów z owocami, przejeżdżające nieopatrzenie, tak jakby stały w miejscu, aż do chwili gdy w zapadającej nocy widziało się ostatni, a na nim człowieka z zieloną latar-

nią. Wtedy po drugiej stronie torów ukazywało się miasto - a jemu wydawało się, że przez sam fakt, że go widział, pociąg zabrał go do innego miasta. Może i stąd wypływał jego zwyczaj przesiadywania na stacji, nawet kiedy już wystrzelano robotników, gdy przestano uprawiać banany, a wraz z tym znikły pociągi o stu czterdziestu wagonach i pozostał tylko ten żółty, zakurzony pociąg, który nie przywoził ani nie zabierał nikogo.

Ale tej soboty ktoś przyjechał. Kiedy ksiądz Antonio Isabel del Santísimo Sacramento del Altar oddalał się od stacji, spokojny chłopak różniący się od innych tylko tym, że był głodny, zobaczył go z okna ostatniego wagonu i właśnie w tej chwili przypomniał sobie, że od poprzedniego dnia nic nie miał w ustach. Pomyślał: "Jak jest ksiądz, to musi być i hotel" - i wyskoczył z pociągu, minął ulicę rozpaloną metalicznym sierpniowym słońcem i wszedł w świeży chłód jakiegoś domu naprzeciw stacji, skąd dochodziła muzyka.

Węch, wyostrzony dwudniowym postem, powiedział mu, że to tu. Wszedł, nie zauważywszy nawet napisu "Hotel Macondo" - szyldu, którego nie miał przeczytać nigdy w życiu.

Współwłaścicielka była co najmniej w piątym miesiącu ciąży. Miała twarz musztardowej barwy i wyglądała zupełnie jak jej matka, kiedy była z nią w piątym miesiącu ciąży. Poprosił o "obiad możliwie jak najszybciej", ona zaś bez pośpiechu podała mu talerz zupy, w której pływała goła kość, oraz kotlecik z siekanego banana. W tym momencie usłyszał gwizd lokomotywy. Owiany ciepłą, zbawczą parą zupy, skalkulował odległość dzielącą go od stacji i równocześnie doświadczył owej nieokreślonej paniki, wywołanej świadomością, że spóźni się na pociąg. W przerażeniu rzucił się do drzwi, ale zanim je minął, zrozumiał, że jest za późno. Powrócił do stolika; nie czuł już głodu. Obok gramofonu spostrzegł dziewczynę, patrzącą na niego bezlitośnie z ohydny wyrazem psa machającego ogonem. Po raz pierwszy więc w ciągu dnia zdjął sombrero, które dwa miesiące temu dostał od matki, i na czas posiłku ścisnął je między kolanami. Kiedy wstał od stolika, nie wyglądał na zgnębionego ucieczką pociągu ani perspektywą pozostania na weekend w miasteczku, którego nazwą w

ogóle się nie zainteresował. Usiadł w rogu salki na sztywnym, twardym krześle i spędził tam dłuższą chwilę, nawet nie słuchając płyt, aż do chwili gdy zajęta nastawianiem ich dziewczyna rzuciła:

- W przejściu jest chłodniej.

Zrobiło mu się nieprzyjemnie. Nie lubił zawierać znajomości. Odczuwał nieokreślony lęk przed patrzeniem ludziom w oczy, a kiedy musiał coś powiedzieć, zazwyczaj brakło mu stosownych słów. "Mhm" - mruknął i przeszedł go lekki dreszcz. Kiwnął się do przodu, zapominając, że nie siedzi w bujanym fotelu.

- Ci, co tu przyjeżdżają, wynoszą sobie krzesła na pasaż, bo tam chłodniej - powiedziała dziewczyna. Z lękiem uświadomił sobie, że ona pragnie nawiązać rozmowę. Odważył się rzucić na nią okiem, gdy nakręcała gramofon. Wyglądała, jakby siedziała na tym samym miejscu od miesiący, może od lat, i jakby nie miała najmniejszej chęci go zmienić. Kręciła korbą gramofonu, ale patrzyła na niego. Uśmiechała się.

- Dziękuję - wymamrotał, usiłując wstać i nadać niedbałą swobodę swoim ruchom.

Dziewczyna dalej patrzyła na niego. Powiedziała:

- A sombrero zostawiają na wieszaku.

Tym razem poczuł, że go palą uszy. Wzdrygnął się na myśl o tym sposobie udzielania wskazówek. Był speszony, jakby przyciśnięty do ściany, i znowu ogarnęła go panika na myśl, że pociąg mu uciekł. Ale wtedy weszła na salę właścicielka.

- Co pan robi? - zapytała.

- Ciągnie sobie krzesło na przejście, tak jak wszyscy - powiedziała dziewczyna.

Wydało mu się, że w jej słowach słyszy drwinę.

- Niech się pan nie fatyguje - powiedziała właścicielka. - Przyniosę panu taboret.

Dziewczyna roześmiała się, co go znów speszyło. Był upał. Upał suchy i płaski jakiś; zaczął się pocić. Właścicielka wysunęła na pasaż drewniany stołek ze skórzanym siedzeniem. Właśnie podniósł się, by iść za nią, kiedy dziewczyna odezwała się:

- Najgorzej, że złęknie się ptaków! - powiedziała.

Złapał twarde spojrzenie, które rzuciła jej właścicielka. Było szybkie, ale intensywne.

- Masz siedzieć cicho - powiedziała i znów uśmiechnęła się do niego. Poczul się mniej samotny i zachciało mu się pogadać.

- Co ona mówi? - zapytał.

- Ze o tej porze na pasaż spadają martwe ptaki - powiedziała dziewczyna.

- Ta ma pomysły - mruknęła właścicielka. Pochyliła się, aby poprawić kwiaty na środkowym stole; ręce jej drżały.

- Nie mam żadnych pomysłów - powiedziała dziewczyna. - Tak, jakbyś przedwczoraj sama nie wymiotła dwóch.

Właścicielka spojrzała na nią z rozpaczą: dziewczyna czuła się pokrzywdzona i najwyraźniej miała chęć wytłumaczenia wszystkiego, tak aby już nie było żadnych wątpliwości.

- Przedwczoraj chłopcy wrzucili tutaj dwa martwe ptaki i powiedzieli jej, że martwe ptaki spadają z nieba. Tej można wszystko wmówić. Wszystko połknie.

Uśmiechnął się. Zabawiło go to objaśnienie. Zatarł ręce i spojrzał na dziewczynę, która patrzyła na niego jakby wylękniona. Gramofon przestał grać. Właścicielka wyszła do drugiego pokoju, on skierował się ku przejściu, ona zaś powiedziała cicho:

- Sama widziałam, jak spadały. Proszę mi wierzyć. Wszyscy widzieli.

Wtedy wydało mu się, że rozumie, dlaczego ona ani na chwilę nie opuszcza gramofonu, a właścicielka jest taka rozdrażniona.

- Tak - powiedział współczująco. Po czym, ruszając ku pasażowi: - Ja też je widziałem.

Na zewnątrz, w cieniu migdałowych drzew, było mniej gorąco. Oparł stółek o drzwi, odchylił do tyłu głowę i pomyślał o matce, po raz pierwszy czującej jego nieobecność w domu; zobaczył ją, wyciągniętą w bujanym fotelu, straszącą kury długim kijem od szczotki.

Jeszcze w zeszłym tygodniu mógł myśleć, że jego życie jest jak prosty długi sznur, rozciągnięty pomiędzy deszczowym świtem ostatniej wojny domowej, w którym przyszedł na świat wśród czterech ścian glinianej wiejskiej szkoły, a tym czerwcowym ran-

kiem, kiedy skończył dwadzieścia dwa lata i matka podeszła do jego hamaka, aby ofiarować mu sombrero z kartką: "Drogiemu synkowi w dniu jego święta". Czasem strącał z siebie rdzę nieróbstwa i tęsknił za szkołą, za tablicą, za mapą jakiegoś kraju, dokładnie popstrzoną przez muchy, za długim szeregiem dzbanków zawieszonych na ścianie pod imieniem każdego z dzieci. Tam nie było gorąco. Było to miasteczko zielone i spokojne, gdzie kury o długich popielatych nóżkach przebiegały przez klasę, by rzucić się do glinianych kadzi z wodą. W owych czasach jego matka była kobieta smutną i skrytą. O zmierzchu siadywała przed domem, by odetchnąć wiatrem wiejącym od kawowych drzew, i mawiała: "Manaure jest najpiękniejszym miastem na świecie". A potem, widząc, jak on z dnia na dzień rośnie w swym hamaku, zwracała się do syna: "Przekonasz się o tym, jak będziesz duży". Ale nie przekonał się o niczym. Nie przekonał się, gdy skończył piętnaście lat, już wtedy zbyt rozrośnięty na swój wiek, pełen tego bezczelnego, ogłupiającego zdrowia, jakie daje nieróbstwo; aż do chwili gdy skończył dwadzieścia lat, jego życie było właściwie funkcją przesuwania z miejsca na miejsce hamaka. Ale mniej więcej w tym okresie matka na skutek reumatyzmu opuściła szkołę, w której pracowała osiemnaście lat, i przeprowadziła się do dwupokojowego domku z ogromnym patiem, gdzie zaczęli hodować kury o popielatych nóżkach, takie jak te, które przebiegały przez klasę.

Zajmowanie się kurami było jego pierwszym kontaktem z rzeczywistością i pozostało jedynym aż do lipca, kiedy matka postanowiła starać się o emeryturę, uważając, że syn jest dość duży, aby się tym zająć. Rzeczywiście pomógł jej w uzyskaniu papierów, nawet znalazł w sobie dość sprytu, by namówić proboszcza do zmiany metryki matki, której brakowało jeszcze sześciu lat do wieku emerytalnego. W czwartek dostał ostatnie pouczenie, dzięki pedagogicznemu doświadczeniu matki dokładne i szczegółowe, i ruszył do stolicy z dwunastoma pesos, jedną zmianą bielizny, zwitkiem dokumentów i dość niejasnym pojęciem, co oznacza słowo "emerytura", które w jego rozumieniu równało się sumie

pieniędzy potrzebnej do założenia hodowli świń, a którą powinien był otrzymać od rządu.

Senny, siedząc w hotelowym przejściu, otumaniony przez upał, nie zastanawiał się nad powagą sytuacji. Wyobrażał sobie, że problem zostanie rozwiązany następnego dnia, gdy przyjedzie pociąg, tak że teraz jego jedyną troską było doczekanie się niedzieli, aby rozpocząć dalszy ciąg podróży i nigdy więcej nie myśleć o tym mieście, w którym panuje tak straszliwe gorąco. Trochę przed czwartą zapadł w sen lepki i przykry, poprzez który przenikał żal, że nie wziął ze sobą hamaka. Wtedy nagle zdał sobie sprawę, że zostawił w pociągu zapasową zmianę bielizny i papiery potrzebne do uzyskania emerytury. Obudził się gwałtownie z myślą o matce, znów ogarnięty paniką.

Kiedy popychał stołek z powrotem do salki, w miasteczku zapaliły się światła. Nie znał elektryczności, toteż wielkie wrażenie robiły na nim biedne, popstrzone hotelowe żarówki. Potem przypomniał sobie, że matka mówiła mu o tym, i dalej popychał stołek do jadalni, usiłując wymijać bąki, które niby pociski rozbijały się o lustra. Zjadł bez apetytu, zgnębiony własną sytuacją, intensywnością upału, goryczą po raz pierwszy w życiu doznawanej samotności. Koło dziewiątej zaprowadzono go w głąb domu do pokoiku wytapetowanego gazetami. O północy zapadł w jakiś nerwowy, błotnisty sen, podczas gdy o pięć ulic dalej ksiądz Antonio Isabel del Santisimo Sacramento del Altar, leżąc na wznak na łóżku w swych długich, obcisłych szewiotowych spodniach, rozmyślał o tym, że doświadczenia tego wieczoru wzmocnią myśl przewodnią kazania, przygotowanego na jutro na siódmą rano. Trochę przed dwunastą został wezwany do miasteczka, aby udzielić ostatniego namaszczenia jakiejś kobiecie, i wrócił tak wyczerpany, że święte oleje postawił koło łóżka i położył się, żeby raz jeszcze przepowiedzieć sobie to, co powie wiernym. Tak pozostał długie godziny, aż do chwili gdy usłyszał poranny krzyk czapli. Wtedy podniósł się z wysiłkiem, nadepnął na dzwonek i padł brzuchem na twardą, szorstką podłogę pokoju. Zaledwie odzyskał przytomność, poczuł wiercący ból w boku. Wydało mu się, że czuje wszystkim swój ciężar: ciężar ciała, łącznie z ciężarem grze-



chów i ciężarem swego wieku. Policzkiem dotykał twardej kamiennej posadzki, która - gdy obmyślał kazanie - tylokrotnie służyła mu za obraz drogi wiodącej do piekła. "Chryste" - mruknął przerażony i pomyślał: "Na pewno nigdy więcej nie wstanę".

Nie wiedział, jak długo leżał niezupełnie przytomny, o niczym nie myśląc, nie modląc się nawet o lekką śmierć, jakby rzeczywiście przez chwilę nie żył. Ale kiedy wróciła mu przytomność, nie czuł już lęku ani bólu. Pod drzwiami zobaczył jasną kreskę, usłyszał dalekie, smutne pianie kogutów i poczuł, że żyje i dokładnie pamięta, co chce powiedzieć w kazaniu.

Kiedy odsunął zasuwkę na drzwiach, dniało. Tak, ból minął, a on miał wrażenie, że nagle ubyło mu lat. Cała poczciwość, zagubienie i cierpienie miasta przeniknęły w niego wraz z pierwszym haustem powietrza, które było błękitem pełnym koguciego krzyku. Rozejrzał się naokoło, jakby chcąc przyjąć swą samotność, i w spokojnym półcieniu poranka zobaczył jednego, dwa, trzy martwe ptaki.

Przez dziewięć minut wpatrywał się w trzy trupy, myśląc, zgodnie z tym, co miał zamiar powiedzieć na kazaniu, że ta zbiorowa śmierć wymaga odkupienia. Przy czym podniósł trzy nieżywe ptaki, podszedł do kadzi, otworzył ją i jednego po drugim wrzucił je wszystkie trzy do uśpionej zielonej wody, sam nie wiedząc właściwie, dlaczego to robi. Trzy i trzy... pół tuzina w ciągu jednego tygodnia - pomyślał i w tym cudownym olśnieniu pojął, że oto nadszedł wielki dzień jego życia.

O siódmej rozpoczął się upał. W hotelu jedyny klient czekał na śniadanie. Dziewczyna od gramofonu jeszcze nie wstała. Właścicielka podeszła do niego. Wydawało się, że siedem uderzeń zegara bije w jej wydętym brzuchu.

- No i nie zdążył pan na pociąg - powiedziała z akcentem zapóźnionego współczucia. A potem przyniosła mu śniadanie: białą kawę, sadzone jajko i plasterki smażonych bananów.

Zabrał się do jedzenia, ale bez apetytu. Był zaniepokojony, że tak wcześnie zaczął się upał. Pocił się. Z trudem łapał oddech. Noc spędził źle, nie rozbierając się, i teraz miał trochę gorączki. Znowu ogarnęła go panika i pomyślał o matce dokładnie w chwili,

gdy właścicielka przyszła zebrać talerze, uśmiechnięta, w nowej sukni w wielkie kwiaty. Ta suknia przypomniała mu, że jest niedziela.

- Msza jest? - zapytał.

- Jest - odpowiedziała. - Ale tak jakby nie było, prawie nikt nie chodzi do kościoła. Wszystko przez to, że nie przysłali nam nowego księdza.

- A co się dzieje z tym?

- Ma sto lat i jest kopnięty - powiedziała kobieta i zamyśliła się z talerzem w ręku. Potem dodała: - Kiedyś przysięgał z ambony, że widział diabła, i od tej pory nikt nie chce chodzić na mszę.

Dość, że poszedł do kościoła po trosze z rozpacz, a po trosze z ciekawości, jak wygląda ktoś, kto ma sto lat. Zauważył, że miasto jest martwe, ma nie kończące się, pełne kurzu ulice i drewniane domy z cynkowymi dachami, które wyglądają jak nie zamieszkałe. Bo tak wyglądało miasteczko w niedziele: ulice pozbawione trawy, domy z siatkami w oknach i niebo głębokie i cudowne, rozpięte nad dusznym upałem. Pomyślał, że nie ma nic, najmniejszego znaku, po którym można by odróżnić niedzielę od innego dnia; idąc pustą ulicą, znów wspomniał matkę: "Wszystkie ulice we wszystkich miastach nieuchronnie prowadzą do kościoła albo na cmentarz". W tym momencie wyszedł na niewielki, wyłożony kamieniami plac, na którym stał budynek pobielony wapnem z drewnianym kurkiem na wieży i zepsutym zegarem, który wskazywał dziesięć po czwartej.

Nie spiesząc się, przeszedł przez plac, potem po trzech schodkach i natychmiast poczuł zapach zastarzałego potu pomieszany z wonią kadzidła; znalazł się w ciepłym wnętrzu niemal pustego kościoła.

Ksiądz Antonio Isabel del Santísimo Sacramento del Altar wszedł na ambonę. Właśnie miał zamiar zacząć kazanie, kiedy spostrzegł młodzieńca w sombrero na głowie. Zobaczył, jak swymi wielkimi, niewinnymi i przezroczytymi oczami rozgląda się po prawie pustej nawie, zobaczył, jak siada w ostatniej ławce, z pochyloną głową i rękami na kolanach. Zrozumiał, że to ktoś obcy. Od przeszło dwudziestu lat mieszkał w tym mieście i niemalże

każdego z jego mieszkańców mógł poznać po zapachu. Dlatego od razu odgadł, że przybysz nie jest z tego miasta. Krótkie spojrzenie powiedziało mu, że jest milkliwy, smutnawy w tym brudnym ubraniu, wygnieciony; jakby od dawna sypiał w tym, co ma na sobie - pomyślał z mieszaniną obrzydzenia i litości. Ale widząc, że siada w ławce, poczuł coś jakby wdzięczność wypełniającą mu duszę po brzegi, i postanowił, że dla niego wygłosi swoje najwspanialsze kazanie. "Chrystus - myślał równocześnie - sprawi, że przypomni sobie o sombrero, abym nie musiał wypędzać go z kościoła". I zaczął mówić.

Z początku nie zdawał sobie sprawy z własnych słów. Nawet sam siebie nie słuchał. Zaledwie słyszał jakąś oderwaną melodię, wypływającą ze źródła drzemiącego w jego duszy od zarania świata. Miał niejasne przekonanie, że słowa, którymi się posługuje, są precyzyjne, właściwe, trafnie użyte. Czuł gorący ucisk we wnętrznościach, ale wiedział, że jego dusza jest wolna od pychy i że szczęście powoli go ogarniające nie jest ani próżnością, ani buntem, tylko właśnie rozkoszą stopienia się jego ducha z Panem.

W swojej sypialni señora Rebeka niemalże mdlała; czuła, że jeszcze chwila i skwar stanie się nie do zniesienia. Gdyby nie to, że była podskórnie związana z tym miastem głuchym lękiem przed wszelkimi zmianami, zapakowałaby wszystkie swoje graty do kufra z naftaliną i pojechała w świat, jak to według rodzinnej legendy zrobił jej pradziad. Ale w głębi duszy wiedziała, że śmierć jest jej przeznaczona tu, a nie gdzie indziej, wśród tych nie kończących się korytarzy i dziewięciu sypialni, których siatki - myślała - kiedy tylko skończą się upały, każe zastąpić zbrojonym szkłem. Tak, zostanie tu - zdecydowała (było to jedno z tych postanowień, które robiła, ilekroć porządkowała w szafie), a także napisze do Jego Escelencji swego kuzyna, żeby przysłał jakiegoś młodego księdza, aby znów można było w kapeluszu przystrojonym maleńkimi kwiatkami z aksamitu, chodzić do kościoła na normalną mszę i słuchać kazań sensownych i budujących. "Jutro poniedziałek" - pomyślała i raz jeszcze zaczęła obmyślać nagłówek listu do biskupa (nagłówek, który swego czasu pułkownik

Buendia uznał za frywolny i pozbawiony szacunku), gdy drzwi otworzyły się gwałtownie i wpadła Argenida.

- Proszę pani, podobno ksiądz zwariował na ambonie!

Wdowa zwróciła ku drzwiom twarz jesienną i gorzką, swą prawdziwą twarz.

- Już co najmniej pięć lat, jak zwariował - rzekła. I nie przestając starannie układać rzeczy, dodała: - Pewnie znowu zobaczył diabła.

- Teraz to nie był diabeł - odparła Argenida.

- A kto? - spytała señoora Rebeka niedbale, obojętnie.

- Mówi, że teraz widział Zydą Wiecznego Tułacza.

Wdowa dostała gęziej skórki. Wicher myśli, wśród których kłębiły się podarte siatki, upał, martwe ptaki i zaraza, przeleciał jej przez głowę na dźwięk tych słów, które pamiętała z najodleglejszego dzieciństwa: "Zyd Wieczny Tułacz". Nagle zerwała się, papierowo blada, zlodowaciała, i podeszła do stojącej z otwartą gębą Argenidy.

- To prawda - powiedziała głosem wychodzącym z wnętrzości.

- Teraz rozumiem, dlaczego giną ptaki.

Gnana strachem chwyciła czarną haftowaną mantylę i jak błyskawica przemknęła przez długi korytarz, przez salon pełen bibelotów, przez wyjściowe drzwi i przez dwie ulice dzielące ją od kościoła, gdzie ksiądz Antonio Isabel del Santisimo Sacramento del Altar ze zmienioną twarzą mówił:

- Przysięgam wam, że go widziałem. Przysięgam wam, że przeszedł mi drogę dziś rano, kiedy wracałem po udzieleniu świętych olejów żonie Jonasza, cieśli. Przysięgam wam, że twarz miał naznaczoną przekleństwem Bożym, a tam, gdzie przeszedł, pozostawiał po sobie ślad rozpalonego popiołu...

Urwał. Reszta jego słów zawisła w powietrzu. Poczuł, że nie jest w stanie opanować drżenia rąk, że drży na całym ciele, a po krzyżu spływa mu lodowaty pot. Było mu niedobrze, trząsł się i pocił, bolało go gdzieś w środku, a jakiś głos brzmiał w jego wnętrzościach głębokim dźwiękiem organów. Wtedy objawiła mu się prawda.

Ujrzał, że kościół jest pełen ludzi, a środkową nawą podążyła señoora Rebeka, wyniosła, patetyczna, z uniesionymi ramionami i twarzą gorzką i zimną, zwróconą ku wysokościm. Niejasno pojął, że coś się dzieje, a hawet znalazł w sobie dość świadomości, by zrozumieć, że byłoby pychą sądzić, iż patronuje cudowi. Pokornie oparł drżące ręce o drewnianą poręcz ambony i mówił dalej.

- A wtedy podszedł ku mnie - powiedział i tym razem dosłyszał własny głos, przekonywający, pełen siły - podszedł ku mnie, oczy miał jak szmaragdy, szorstką sierść i śmierdział capem. A ja podniosłem rękę, chcąc oskarżyć go w imieniu Pana Naszego, i rzekłem: "Zatrzymaj się. Nigdy w niedzielę nie składa się ofiary z baranka".

Gdy kończył mówić, już zaczynał się upał, intensywny, wszechogarniający, płomienny upał tego niezapomnianego sierpnia. Ale ksiądz Antonio Isabel nie czuł go już. Wiedział, że za jego plecami są ludzie znowu skruszeni, porwani kazaniem, nie cieszyło go to jednak, tak jak nie cieszyła go myśl, że za chwilę zwilży zmęczone długą mową gardło. Było mu dziwnie obco. Czuł się roztargniony i nie udało mu się skupić nawet w najważniejszym momencie Podniesienia. Już od niejakiego czasu zdarzało mu się to, ale teraz to było inne roztargnienie, bo całą myśl jego absorbował jeden wielki niepokój. Po raz pierwszy w życiu doznał uczucia pychy. I tak jak to sobie wyobrażał i tak jak opisywał w swych kazaniach, zrokumiał, że pycha opanowuje nas równie mocno, jak pragnienie. Energicznie zamknął tabernakulum i zawołał:

- Pitagoras!

Ministrant, chłopiec o ogolonej, błyszczącej głowie, przybrany syn księdza Antonio, który sam wybrał mu , imię, zbliżył się do ołtarza.

- Wyjdź z tacką zbierać ofiarę na kościół - powiedział kapłan.

Chłopiec zamrugał oczami, zakręcił się i wyszeptał za ledwie dosłyszalnie:

- Nie wiem, gdzie jest tacka.

Była to prawda. Od miesięcy nie zbierano ofiary.

- Idź do zakrystii, poszukaj jakiejś dużej torby i zbierz, ile się da - powiedział ksiądz.

- A co mam mówić? - zapytał chłopiec.

Ksiądz w zamyśleniu popatrzył na nagą, błękitną czaszkę, na której znać było spojenia kości. Teraz on zamrugał oczami.

- Mów, że to na wygnanie Żyda Wiecznego Tułacza - powiedział i przy tych słowach poczuł nagle wielki ucisk w sercu. Przez chwilę nie słyszał nic poza skwierczeniem gromnic w milczącym kościele i swym własnym oddechem, podnieconym, trudnym. Po chwili, kładąc rękę na ramieniu ministranta, który patrzył na niego okrągłymi, przerażonymi oczami, dodał:

- Potem weźmiesz pieniądze, zanieś je temu chłopcu, który z początku był tu sam, i powiesz, że ksiądz mu to posyła, żeby sobie kupił nowe sombrero.

## **Sztuczne róże**

Poruszając się po omacku w ciemnościach przedświt, Mina włożyła sukienkę bez rękawów, którą poprzedniego wieczoru powiesiła koło łóżka, i przewróciła kufer w poszukiwaniu przypinanych rękawów. Potem szukała ich jeszcze na wszystkich gwoździach i za drzwiami, usiłując nie robić hałasu, ażeby nie zbudzić niewidomej babki, która spała w tym samym pokoju. Gdy jednak przyzwyczaiła się do ciemności, zdała sobie sprawę, że babka już wstała, więc poszła do kuchni zapytać ją, czy nie widziała rękawów.

- Są w łazience - powiedziała ślepa. - Wczoraj je uprałam.

Rzeczywiście wisiały tam przyłączone do drutu dwoma drewnianymi kołeczkami.

Były jeszcze wilgotne. Mina wróciła do kuchni i położyła je na kaflach kuchenki. Stojąc naprzeciw niej, ślepa mieszała kawę, martwe źrenice utkwione miała w korytarzyku, gdzie na ceglach stały doniczki pełne leczniczych ziół.

- Nie wtrącaj się do moich rzeczy - powiedziała Mina. - Teraz nie można liczyć na słońce.

Ślepa zwróciła twarz w kierunku głosu.

- Zapomniałam, że to pierwszy piątek - powiedziała.

Powąchała, czy kawa już gotowa, po czym zdjęła garnczek z ognia.

- Podłóż papier, bo kafle są brudne - powiedziała.

Mina pociągnęła wskazującym palcem po kaflach. Były Jprudne, ale skorupa sadzy była zaschnięta, rękawy pobrudziłyby się tylko, gdyby nimi o nią pocierać.

- Jak się zabrudzą, to będzie twoja wina - powiedziała.

Ślepa naląła sobie filiżankę kawy.

- Jesteś zła - powiedziała, przesuwając krzeselko ku korytarzowi. - W złości nie wolno przystępować do komunii. - Usiadła tak, ażeby wypić kawę na wprost róż na patio. Kiedy odezwał się trzeci dzwonek na mszę, Mina zdjęła rękawy z piecyka; były jeszcze wilgotne, ale włożyła je. Ksiądz Angel nie podałyby jej komunii, gdyby przyszła w sukience bez rękawów. Nie umyła twarzy. Ręcznikiem starła resztki różu, wzięła z pokoju książkę do nabożeństwa, mantylkę i wyszła na ulicę. W kwadrans później była z powrotem.

- Przyjdiesz po ewangelii - powiedziała ślepa sponad róż na patio.

Mina poszła wprost do ustępu.

- Nie mogę pójść na mszę - powiedziała. - Rękawy są mokre, a wszystko mam nie poprasowane. - Poczowała, że jasnowidzące spojrzenie nie opuszcza jej.

- Pierwszy piątek i nie pójdziesz na mszę... - powiedziała ślepa.

Wróciwszy z ubikacji, Mina naląła sobie filiżankę kawy i usiadła na wapiennym występie obok niej. Ale nie mogła pić.

- To twoja wina - wyszeptała z głuchym żalem, czując, że nie może powstrzymać łez.

- Płaczesz! - krzyknęła niewidoma.

Postawiła konewkę obok doniczki z majerankiem i wyszła na patio, powtarzając:

- Płaczesz...

Mina odstawiła filiżankę na ziemię.

- Płaczę ze złości - powiedziała. I dodała, mijając babkę: - Będziesz się musiała wypowiadać z tego, że przez ciebie nie poszłam do komunii w pierwszy piątek miesiąca.

Niewidoma nie poruszyła się, czekając, aż Mina zamknie drzwi od sypialni. Potem doszła do końca korytarza, pochyliła się i macając znalazła odstawioną na podłogę filiżankę. Wlewając kawę do garnczka, mruknęła:

- Bóg widzi, że mam czyste sumienie.

Matka Miny wyszła z sypialni.

- Z kim rozmawiasz? - zapytała.

- Z nikim - powiedziała ślepa. - Mówiłam ci, że zaczynam wariować.

Zamknięta w swoim pokoju, Mina odpięła stanik, do którego miała przyczepione trzy kluczyki. Jednym z nich otworzyła dolną szufladę i wyjęła małą drewnianą szkatułkę. Otworzyła ją drugim kluczykiem. W środku, zawinięte w kolorowy papier, spoczywały listy ściągnięte gumką. Wsunęła je za stanik, odstawiła szkatułkę na miejsce i zamknęła szufladę na klucz. Potem poszła do ustępu i wyrzuciła listy.

- Myślałam, że jesteś na mszy - powiedziała matka.

- Nie mogła iść - wmieszała się ślepa. - Zapomniałam, że to dziś pierwszy piątek, i wieczorem uprałam jej rękawy.

- Jeszcze są wilgotne - mruknęła Mina.

- Dużo pracowała ostatnio - powiedziała ślepa.

- Na Wielkanoc muszę dostarczyć sto pięćdziesiąt tuzinów róż.

Słońce grzało od samego rana. Przed siódmą Mina ustawiła w bawialni swój warsztat: koszyk płatków i drutów, pudełko z papierami, dwie pary nożyczek, kłębek nici i flaszeczkę gumy. W chwilę potem nadeszła Trinidad ze swoim pudłem pod pachą. Zapytała, czemu nie była na mszy.

- Nie miałam rękawów - odparła Mina.

- Każda mogła ci pożyczyć - zdziwiła się Trinidad.

Przysunęła krzesło, żeby usiąść koło koszyka z płatkami.

- Było za późno.

Wykończyła różę, potem przysunęła koszyk, żeby skrócić płatki za pomocą nożyczek. Trinidad postawiła pudełko na podłodze i zabrała się do roboty. Mina popatrzyła na pudełko.

- Kupiłeś sobie buty? - zapytała.

- Zdechłe myszy - powiedziała Trinidad.



Ponieważ Trinidad była mistrzynią w skręcaniu płatków, Mina zajęła się robieniem drucianych pączków, wypchanych zieloną bibułą. Pracowały w milczeniu, nie widząc, że słońce coraz dalej wsuwa się do salonu ozdobionego sielskimi obrazami i rodzinnymi fotografiami. Mina skończyła z pączkami i zwróciła ku Trinidad twarz, która wydawała się przesycona czymś pozaziemskim. Trinidad fryzowała płatki z niebywałą precyzją, zaledwie poruszając końcami palców. Mina patrzyła na jej męskie buty. Trinidad umknęła temu spojrzeniu, nie podnosząc głowy, zaledwie usunąwszy do tyłu nogi, i przerwała robotę.

- Co się stało? - zapytała.

Mina pochyliła się ku niej.

- Poszedł - powiedziała.

Trinidad upuściła nożyczki na kolana.

- Nie...

- Poszedł - powtórzyła Mina.

Trinidad popatrzyła na nią, mrugając. Pionowa zmarszczka rozdzieliła jej zrosnięte brwi.

- A teraz? - zapytała.

Głosem bez drżenia Mina odpowiedziała:

- Teraz nic.

Trinidad pożegnała się przed dziesiątą.

Mina zatrzymała ją jeszcze chwilę, żeby wrzucić myszy do ustępu. Ślepa przycinała róże na patio.

- O co zakład, że nie wiesz, co mam w pudełku - powiedziała, mijając ją, Mina.

Potrząsnęła myszami. Stara napięła uwagę.

- Potrząśnij jeszcze raz - powiedziała.

Mina powtórzyła ruch, ale ślepej nie udało się rozpoznać zawartości pudełka nawet po trzecim potrząśnięciu, mimo że przytrzymała sobie ucho.

- Myszy, co w nocy złapały się w kościele w pułapkę - oznajmiła Mina.

Wracając, minęła ślepą bez słowa. Ale tamta poszła za nią; kiedy weszła do salonu, Mina stała sama naprzeciw zamkniętego okna, wykańczając sztuczną różę.

- Mina - powiedziała ślepa - jeżeli chcesz być szczęśliwa, nie zwierzaj się obcym.

Mina spojrzała na nią w milczeniu. Ślepa usiadła na krześle naprzeciw i chciała jej pomóc w robocie, ale Mina nie zgodziła się.

- Jesteś nerwowa - powiedziała ślepa.

- Przez ciebie.

- Dlaczego nie poszłaś na mszę?

- Wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

- Gdyby szło o rękawy, nie byłabyś sobie zadawała fatygi i nie wychodziłabyś z domu - powiedziała ślepa. - Po drodze spotkałaś kogoś i miałaś jakąś przykrość.

Mina zamachała ręką na wprost oczu babki, jakby czyszcząc niewidoczną szybę.

- Jesteś jasnowidząca - powiedziała.

- Dziś rano dwa razy poszłaś do ustępu - powiedziała. - Nigdy nie chodzisz więcej niż raz.

Mina dalej robiła róże.

- Czy mogłabyś pokazać mi to, co chowasz w szufladzie? - zapytała ślepa.

Nie spiesząc się, Mina wbiła różę w ramę okna, wyjęła zza stannika trzy klucze i włożyła je niewidomej w rękę. Potem sama zamknęła na nich palce.

- Idź i sama zobacz - powiedziała.

Ślepa obwiodła palcami kluczyki.

- Moje oczy nie mogą widzieć tego, co jest na dnie ubikacji.

Mina podniosła głowę, a wtedy zdała sobie sprawę, że ślepa czuje, że ona na nią patrzy.

- Wskocz tam, jeżeli jesteś taka ciekawa moich spraw - powiedziała.

Ślepa nie zwróciła uwagi na te słowa.

- Całe noce piszesz w łóżku - powiedziała.

- Przecież sama gasisz mi światło.

- A ty natychmiast zapalasz latarkę - powiedziała. - Po twoim oddechu poznaję, że piszesz.

Mina zrobiła wysiłek, żeby zachować spokój.

- A jeżeliby nawet tak było - powiedziała, nie podnosząc głowy.  
- Co w tym takiego dziwnego?

- Nic - odpowiedziała ślepa. - Tylko że przez niego straciłaś pierwszopiątkową komunię.

Mina zaczęła zbierać rzeczy: kłębek drutu, obie pary nożyczek i garść nie dokończonych pączków i róż. Włożyła wszystko do koszyka i spojrzała ślepej prosto w twarz.

- Więc chcesz, żebym ci powiedziała, po co chodziłam do ubikacji? - zapytała. Obie zamilkły jakby w oczekiwaniu, aż do chwili gdy Mina sama odpowiedziała na swoje pytanie: - Poszłam się wysrać.

Ślepa rzuciła do koszyka trzy kluczyki.

- Byłoby to dobre wytłumaczenie - wymruczała, kierując się w stronę kuchni - i przekonałoby mnie, gdyby nie to, że po raz pierwszy w życiu jesteś ordynarna.

Matka Miny nadchodziła korytarzem z przeciwnej strony, niosąc pęki jakichś kłujących gałęzi.

- Co się stało? - zapytała.

- Stało się, że zwariowałam - powiedziała ślepa. - Tylko jakoś nikt nie spieszy się posłać mnie do czubków, póki nie zacznę cisnąć kamieniami. Śmierć i pogrzeb Mamy Grancie

Oto - niedowiarki całego świata - prawdziwa historia Mamy Grande\*, absolutnej władczyni królestwa Macondo, rządzącej swoim dominium przez dziewięćdziesiąt dwa lata i zmarłej in odore sanctitatis we wtorek minionego września, Mamy Grande, na której pogrzeb przybył sam Ojciec Święty.

Teraz, kiedy naród wstrząśnięty do samych trzewi już wrócił do równowagi, teraz, kiedy muzykanci z San Jacinte, przemytnicy z La Guajira, siewcy ryżu z Sinu, prostytutki z Guacamayał, czarownicy z Sierpe i plantatorzy bananów z Aracataca rozbili namioty, ażeby odetchnąć po wyczerpującym czuwaniu przy zmarłej, teraz, gdy już odzyskali zmysły zarówno prezydent republiki i jego ministrowie, jak i wszyscy inni, którzy reprezentowali władzę oraz siły nadprzyrodzone podczas tej najwspanialszej ceremonii

---

\* Określenie "Mama Grande" ma rozmaite znaczenia w Ameryce Południowej. Czasami nazywa się tak babkę, ale przeważnie osobę w starszym wieku, zamężną lub nie, która cieszy się ogólnym szacunkiem i miłością; jest czymś pośrednim pomiędzy patriarchią, patroną a matroną, której autorytet uznają wszyscy z rodziny. Słowo to nie ma odpowiednika w języku polskim (przyp. tłum.).

pogrzebowej, jaką zanotowały historyczne annały, teraz, kiedy sam papież wzniósł się już w niebo duszą swą i ciałem i kiedy nie można poruszać się po Macondo z racji pustych butelek, niedopałków, obgryzionych kości, puszek, gałganów i ekskrementów, pozostawionych przez tłum przybyły na pogrzeb - teraz właśnie wybiła godzina, aby wystawić krzesło na ulicę i zanim zdążą zjawić się historiozofowie, opowiedzieć od samego początku wszystkie szczegóły tego narodowego wstrząsu.

Mniej więcej czternaście tygodni temu, po nie kończących się nocach kataplazmów, synapizmów i baniek, wyczerpana delirium agonalnym Mama Grande, postanowiwszy wyrazić ostatnią swą wolę, rozkazała posadzić się w swym starym bujanym fotelu z wikliny. Był to ostatni akt, którego musiała dokonać, by spokojnie umrzeć. Tego ranka za pośrednictwem księdza Antonia Isabel załatwiła sprawy duchowe i pozostały jej już tylko doczesne: musiała uregulować je ze swymi spadkobiercami, dziewięcioma siostrzeńcami, którzy kolejno zmieniali się u jej łoża. Niemalże stu letni, dziecienniasty proboszcz przebywał w jej pokoju. Dziesięciu ludzi trzeba było, by wnieść go do sypialni Mamy Grande, więc zdecydował, iż pozostanie tam już do końca, aby nie musiano znosić go i znowu wnosić w ostatniej minucie.

Nikanor, najstarszy z siostrzeńców, władczy okrutnik w mundurze, ostrogach i ukrytym pod koszulą rewolwerem kalibru trzydzieści osiem o długiej lufie - pojechał do notariusza. Olbrzymie dwupiętrowe domostwo, pachnące melasą i majerankiem, załadowane po brzegi kuframi i gratami czterech generacji zamienionych w proch, zmarło od zeszłego tygodnia w oczekiwaniu owego momentu. W głębokim centralnym korytarzu, pełnym powbijanych w ściany haków, na których zazwyczaj wisiały oprawione prosiaki i wykrwawiały się koziołki w senne sierpniowe niedziele, spali na workach soli i narzędziach pracy parobcy, czekając na rozkaz siodłania koni, aby roznieść złą wieść po całym obszarze niezmiernie hacjendy.

Reszta rodziny siedziała w salonie. Niewiasty, blade zarówno z natury, jak z wyczerpania czuwaniem przy chorej, były wszystkie w głębokiej żałobie - rezultat nakładających się na siebie zgonów

w rodzinie. Matriarohalne zasady Mamy Grande wzniosły wokół jej majątku i nazwiska sakramentalną barierę; wewnątrz tego kręgu wujowie od tak dawna żenili się z córkami własnych •siostrzenic, kuzyni z ciotkami, bracia ze szwagierkami, że iw końcu stworzyli jakąś mieszaninę krwi, w której nikt już nie mógł się wyznać, gdyż prokreacja stała się błędrym kołem. Jedyne Magdalenie, najmłodszej z siostrzenic, udało się z niego wymknąć: ofiara halucynacji uprosiła księdza Antonio Isabel, by ją poddał egzorcyzmom, zgoliła głowę i zrezygnowawszy z blasków i nicości tego świata, schroniła się w nowicjacie. Na marginesie oficjalnej rodziny młodzież męska prawem kaduka pozapładniała całe tabuny dziewcząt nieprawym potomstwem, które pętało się bezimiennie pośród zgrai służby w charakterze chrześniaków, ulubieńców, podopiecznych i protegowanych Mamy Grande.

Bezpośrednia bliskość śmierci podnieciła wyczerpujące oczekiwanie. Głos umierającej, przyzwyczajonej do hołdów i posłuszeństwa, jakkolwiek brzmiał już jak organowy bas w zamkniętym pomieszczeniu, zadźwięczał jednak w najdalszych zakątkach hacjendy.

Nikomu ta śmierć nie była obojętna. Przez cały bieżący wiek Mama Grande była środkiem ciężkości Macondo, tak jak w hegemonii trwającej od wieków jej bracia, ojcowie i ojcowie ojców byli nimi w przeszłości. Miasteczko powstało wokół ich nazwiska. Nikt nie znał pochodzenia, granic ani rzeczywistej wartości tej ojcowizny, ale cały świat przyzwyczał się wierzyć, że Mama Grande jest posiadaczką wielkich wód, zarówno bieżących jak i stojących, tych, co już spadły, i tych, co mają spaść, miedz, słupów telegraficznych, przestępnych lat i upałów, i że w dodatku sprawuje dziedziczną władzę nad wszystkim, co żywe, i nad wszelkimi włościami. Kiedy pod wieczór zasiadała na swoim balkonie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, całym ciężarem swego ciała i miażdżącego autorytetu przytłaczając bujany fotel z wikliny, wydawała się rzeczywiście bogata i potężna; najbogatsza i najpotężniejsza matrona w świecie.

Nikomu nie przeszło nawet przez myśl, żeby Mama Grande mogła umrzeć, nikomu poza jej najbliższymi i nią samą, a to pod

wpływem przepowiedni księdza Antonio Isabel. Ale ona była przekonana, że będzie żyła co najmniej sto lat, jak jej babka ze strony matki, która w czasie wojny 1875 roku w kuchni swojej hacjendy sama stawiała czoło patrolowi pułkownika Aureliano Buendii. Dopiero w kwietniu tego roku Mama Grande zrozumiała, że Bóg nie udzieli jej szansy osobistego zlikwidowania w bezpośrednim starciu masonów-federalistów.

W pierwszym tygodniu choroby lekarz zaordynował jej katalazmy z gorzycy i wełniane skarpety. Był to lekarz z dziada pradziada, absolwent uniwersytetu w Montpellier, z filozoficznych względów przeciwny postępowi nauki w swojej dziedzinie; Mama Grande udzieliła mu przywileju, na mocy którego innym lekarzom nie wolno było osiedlać się w Macondo. W swoim czasie konno objeżdżał miasto, odwiedzając swych ponurych, popołudniowych pacjentów, w rezultacie czego natura obdarzyła go ojcostwem rozlicznych cudzych dzieci. Ale artretyzm unieruchomił go, spętawszy niewidzialną siecią, dość że w końcu leczył na odległość za pomocą przypuszczeń i przez pośredników. Wezwany do Mamy Grande, przeszedł przez plac w piżamie, o dwóch laskach, i zainstalował się w sypialni chorej. Dopiero kiedy zrozumiał, że zbliża się śmierć, polecił przynieść skrzynię porcelanowych słoików z łacińskimi napisami i przez trzy tygodnie maścił chorą od wewnątrz i od zewnątrz wszelkimi rodzajami klasycznych balsamów, najwspanialszych ulepków i znakomitych czopków. Potem zaaplikował jej na obolałe miejsca wędzone żaby, a na nerki - pijawki, i tak trwało aż do owego ranka, gdy stanął wobec konieczności wyboru, czy odciągnąć jej krew przez cyrulika, czy też egzorcyzmować przez księdza Antonio Isabel.

Nikanor posłał po księdza. Dziesięciu co najteższych ludzi przeniosło go z probostwa do sypialni Mamy Grande w jego skrzypiącym trzciniowym fotelu na biegunach pod spleśniałym baldachimem używanym od wielkich okazji. Dzwonek księdza dążącego z wiatykiem o bladym wrześniowym świcie był pierwszym znakiem dla mieszkańców Macondo. Gdy wzeszło słońce, placyk naprzeciw domu Mamy Grande zatłoczony był jak na jarmarku.

Była wspomnieniem innych czasów. Do momentu gdy skończyła siedemdziesiąt lat, jak pamięć sięga, dzień jej urodzin obchodzony był najhuczniejszymi zabawami. Ludności oddawano do dyspozycji gąsiorzy wódki, na placach publicznych bito bydło, usadowiona na stole orkiestra grała przez trzy dni bez przerwy. Pod zakurzonymi migdałowcami, które w początkach wieku rzucały swój cień na oddziały pułkownika Aureliano Buendii, sprzedawano orzechy i makagigi, obarzanki, chałwę, ciastka, kiszki, flaki, kokosowe konfitury, trzcinę cukrową i wszelkiego rodzaju drobiazgi, błyskotki, świecidła, bilety na walki kogutów i loteryjne losy. Pośród zamieszania i wrzawy podnieconego tłumu roznoszono obrazki i szkaplerzyki z podobizną Mamy Grande.

Uroczystości rozpoczynały się w wilię wili, a kończyły w sam dzień urodzin grzmiotem sztucznych ogni i rodzinnym balem u Mamy Grande. Doborowi goście i prawi członkowie rodziny, obsługiwani przez wielką ilość bastardów, tańczyli w rytm starej pianoli, wyposażonej w walki z modnymi tańcami. Mama Grande patronowała uroczystości, siedząc w głębi salonu, w wielkim fotelu, wyłożonym płóciennymi poduszkami, skąd wydawała dyskretne polecenia ruchami swej prawicy, zdobnej w pierścienie na wszystkich palcach. Tej nocy oddawała się kojarzeniu małżeństw na nadchodzący rok, czasami w porozumieniu z zakochanymi, lecz przeważnie z własnego natchnienia. Na zakończenie świętą wychodziła na balkon przystrojony w festony i papierowe lampiony i rzucała w tłum monety.

Tradycja ta przzerwana została częściowo z przyczyn stałej żałoby w rodzinie, częściowo z powodu chwiejnej w ostatnich czasach sytuacji politycznej. Nowe generacje tylko ze słyszenia znały te pełne splendoru zabawy. Nie zdążyły zobaczyć Mamy Grande na sumie, wachlowanej przez któregoś z przedstawicieli władz cywilnych, korzystającej z przywileju, który pozwalał jej nie klękać nawet w czasie Podniesienia, aby nie uszkodzić szaty wykończonych holenderskimi falbanami ani wykrochmalonych, batystowych halek. Starzy wspominali niby jakąś młodzieńczą halucynację owe dwieście metrów chodnika rozciągniętego między rezydencją a głównym ołtarzem w ów wieczór, kiedy Maria del Rosario Ca-

stańeda y Montero po pogrzebie ojca wracała wyłożoną tym chodnikiem ulicą, już w swej nowej wspaniałej godności, w wieku dwudziestu dwóch lat obwołana Mamą Grande.

Owa średniowieczna wizja była częścią przeszłości nie tylko rodziny, lecz całego narodu. Coraz bardziej nieokreślona, bardziej odległa, widzialna już tylko w duszne popołudnia na swym ciężkim od geranium balkonie, Mama Grande rozwiewała się we własnej legendzie. Władzę swą sprawowała przez Nikanora. Istniała niepisana obietnica, że w dniu, w którym Mama Grande będzie laskowała swój testament, spadkobiercy zarządzą trzy noce zabaw publicznych. Ale wiadano również, że postanowiła wyrazić ostatnią swą wolę dopiero na kilka godzin przed śmiercią, a nikt nie myślał serio, żeby Mama Grande była rzeczywiście śmiertelna. Dopiero tego ranka, zbudzeni dzwonkiem księdza z wiatykiem, mieszkańcy Macondo uwierzyli nie tylko, że Mama Grande jest śmiertelna, ale że oto właśnie umiera.

Wybiła jej godzina. Gdy spoczywała w swym łożu wśród webowych prześcieradeł, po uszy wysmarowana aloesem, pod zakurzoną pianką falbany, zaledwie można było wyczuć życie w nieostrzegalnym oddechu, który poruszał jej matriarchalne piersi. Mama Grande, która przez naturę obdarzona została tak, że sama jedna mogła wykarmić cały swój ród, lecz która od pięćdziesięciu lat odrzucała najbardziej zaciekłych konkurentów - umierała bezpotomnie, jako dziewica. W chwili ostatniego namaszczenia ksiądz Antonio Isabel musiał poprosić o pomoc w nałożeniu jej olejów świętych na dłonie, bowiem od początku agonii Mama Grande miała zaciśnięte pięści. Na nic nie zdała się pomoc siostrzenic. Pod przymusem, po raz pierwszy od tygodnia, konająca przycisnęła do piersi rękę usianą drogimi kamieniami i wbijając w siostrzenicę bezbarwne spojrzenie, mruknęła: "Złodziejki". Ale zobaczywszy księdza Antonio Isabel w liturgicznym stroju, a obok ministranta z sakramentem, ze spokojną pewnością szepnęła: "Umieram". Wtedy zdjęła z palca pierścionek z największym diamentem i wręczyła go Magdalenie, zakonnicy, tej, która zasadniczo powinna była dziedziczyć na ostatnim miejscu. Był to ko-



niec tradycji: Magdalena bowiem zrezygnowała ze spadku na rzecz kościoła.

O zmierzchu Mama Grande powiedziała, aby pozostawiono ją sam na sam z Nikanorem, żeby mogła mu przekazać ostateczne zarządzenia. Przez pół godziny, absolutnie przytomna, dowiadywała się o stan interesów. Wydała specjalne instrukcje co do postępowania z jej ciałem i w końcu zajęła się sprawą czuwania przy zwłokach. "Musisz mieć oczy otwarte - powiedziała. - Wszystkie rzeczy wartościowe trzymaj pod kluczem, bo masa ludzi przychodzi na veloños po to, aby kraść". W chwilę potem, w cztery oczy z księdzem, wypowiedziała się z wielkim wysiłkiem, ale dokładnie i szczerze, po czym już w obecności siostrzenic przystąpiła do komunii świętej. I wtedy właśnie poprosiła, aby posadzono ją w bujanym fotelu z wikliny, bo chce wyrazić swą ostateczną wolę.

Na dwudziestu czterech arkuszach in folio Nikanor wyraźnym pismem kazał skrupulatnie spisać stan jej posiadania. Oddychając spokojnie, mając lekarza i księdza Antonio Isabel za świadków, Mama Grande podyktowała notariuszowi listę swoich dóbr, potężne i jedyne źródło wielkości jej i autorytetu.

Zredukowana do swych realnych proporcji ojcowizna ograniczała się do trzech encomiendas\* przyznanych jej Pismem Królewskim za czasów Kolonii, które z biegiem lat na skutek pozawieranych małżeństw rozrosły się pod panowaniem Mamy Grande. Na tym nieuprawnym, o nieokreślonych granicach terenie, który obejmował pięć gmin i na którym na rachunek właścicieli nigdy nie zasiano ani jednego ziarna, żyły w charakterze dzierżawców trzysta pięćdziesiąt dwie rodziny. Co rok w wigilię swoich imienin Mama Grande dokonywała jedynego aktu władzy, który uniemożliwiał odzyskanie ziem przez państwo: pobierała dzierżawę. Siedząc w wewnętrznym korytarzu, osobiście odbierała pieniądze za prawo zamieszkiwania na jej ziemiach, tak jak więcej niż przez wiek jej przodkowie odbierali je od przodków dzierżawców. W trzy dni później na patio piętrzyły się świniaki, indyki i kury oraz dziesięcina i nowalie wszelkich produktów ziemi, które znoszono tam w charakterze darów. W gruncie rzeczy był to jedyny plon,

---

\* Terytorium, na którym mieszkają Indianie

jaki kiedykolwiek zbierała rodzina z martwego od samego początku ugoru, obliczanego niegdyś na oko na sto tysięcy hektarów. Ale okoliczności historyczne sprawiły, że w jego granicach wzrastało i prosperowało sześć miasteczek dystryktu Macondo wraz z zarządem miejskim, mieszkańcy zaś mieli prawo tylko do zabudowań, bowiem ziemia należała do Mamy Grande i jej się płaciło czynsz, podobnie jak rząd musiał jej płacić za użytkowanie ulic przez obywateli.

Nieopodal wałęsało się nigdy nie liczone i pozbawione opieki bydło ze znakiem w formie kłódki wypalonym na zadach. Tak piętnowane bydło - które raczej z nieporządku niż z innych powodów pomnażało własność rodziny, dołączając do jej stad hen w dalekich powiatach, gdzie latem wałęsały się trawione pragnieniem, wynędzniałe zwierzęta - było jedną z opok legendy. Z przyczyn, których nikt nie starał się wytłumaczyć, od minionej wojny stajnie wciąż pustoszały, tak że w ostatnich czasach zainstalowano w nich przegrody do dojenia oraz maszyny do wyciskania trzciny cukrowej i łuszczenia ryżu.

Poza wyżej wymienionymi, testament wyliczał istnienie trzech naczyń pełnych złotych uncji zakopanych gdzieś na terenie domu w okresie wojny wyzwolenczej, których nie znaleziono w czasie regularnie powtarzających się żmudnych prac wykopaliskowych. Łącznie z prawem do korzystania z dzierzawionej ziemi, pobierania dziesięciny i wszelkich darowizn, spadkobiercy otrzymywali z pokolenia na pokolenie przechodzący i przez każde z pokoleń udoskonalany plan odnalezienia zakopanego skarbu.

Mama Grande potrzebowała trzech godzin na wyliczenie swoich dóbr materialnych. W dusznej alkowie głos umierającej zdawał się podwyższać rangę każdego wyliczanego przedmiotu. Kiedy złożyła chwiejny podpis, a poniżej podpisywali się świadkowie, sekretne drżenie przeszło serca tłumu gromadzącego się przed domem w cieniu zakurzonych migdałowców.

Brakowało już tylko drobiazgowego wyliczenia dóbr moralnych. Z najwyższym wysiłkiem - tym samym, jakiego dokonywali przed śmiercią jej przodkowie, aby zabezpieczyć przewagę swojej krwi - Mama Grande uniosła się na swych monumentalnych

pośladkach i donośnie, zdana tylko na własną pamięć, podyktowała notariuszowi listę swej niewidzialnej spuścizny:

Bogactwa podziemne, podskórne wody, barwy sztandaru, niepodległość, tradycyjne partie, prawa człowieka, wolności obywatelskie, najwyższy dostojnik, druga instancja, trzecia debata, listy polecające, stwierdzenia historyczne, wolność wyborów, królowe piękności, niezapomniane przemówienia, spontaniczne manifestacje, wytworne panny, kulturalni młodzi ludzie, honory wojskowe, sąd apelacyjny, zakaz importu, liberalne damy, problem mięsny, czystość języka, świecenie przykładem światu, prawodawstwo, wolna i odpowiedzialna praca, południowoamerykańskie Ateny, opinia publiczna, prawa demokratyczne, moralność chrześcijańska, brak dewiz, prawo azylu, niebezpieczeństwo komunizmu, flota państwowa, wzrost kosztów utrzymania, tradycje republikańskie, klasy upośledzone, spontaniczne przystępowanie do...

Nie zdołała skończyć. Pracowite wyliczanie przecięło jej oddech. Tonąc w mare magnum abstrakcyjnych formuł, które przez wieki stanowiły moralne uzasadnienie rodzinnej potęgi, Mama Grande wydała dźwięczne czknięcie i wyzionęła ducha.

Mieszkańcy dalekiej stolicy zobaczyli tego dnia na pierwszej stronie dodatków nadzwyczajnych podobiznę dwudziestoletniej dziewczyny i pomyśleli, że to nowa , królowa piękności. Mama Grande przeżywała powtórna młodość na swej fotografii, po dokonaniu koniecznych retuszów powiększonej na cztery szpalty, gdzie widać było jej bujną grzywę ujętą na czubku głowy grzebieniem z kości słoniowej i diadem na ruszce z koronek. To zdjęcie, zrobione przez wędrownego fotografa, który przechodził przez Macondo w początkach stulecia, a potem latami przechowywane w archiwach dzienników w działach "nieznanych osobistości", przeznaczone było, by przetrwać w pamięci przyszłych generacji. W poniszczonych autobusach, w ministerialnych windach, w ponurych cukierniach zdobnych w wyblakłe festony z czcią i poważaniem szeptano o władczyni zmarłej w owym państwie upalnym i malarycznym, którego nazwa nie była znana reszcie kraju, dopóki nie ukazała się w druku.

Drobny deszcz mżył wilgocią i smutkiem. Prezydent republiki zaskoczony wiadomością, gdy udawał się na promocję kadetów, zasugerował ministrowi wojny w notatce napisanej własnoręcznie na odwrocie telegramu, by zakończył swe przemówienie minutą ciszy ku uczczeniu Mamy Grande.

Śmierć ta zupełnie zakłóciła porządek publiczny. Sam prezydent republiki, do którego uczucia z zewnątrz dochodziły jak przez jakiś oczyszczony filtr, ze swego samochodu spojrzeniem migawkowym, lecz brutalnie ostrym, dostrzegł milczącą konsternację miasta. Otwarte były tylko jakieś podrzędne lokaliki i katedra, przygotowana do dziewięciu dni honorów pośmiertnych.

W Kapitolu, gdzie żebracy poowijani w papiery sypiali pod osłoną doryckich kolumn i milczących popiersi zmarłych prezydentów, jarzyły się światła obradującego Kongresu. Kiedy pierwszy dostojnik wszedł do swego gabinetu, wstrząśnięty widokiem ożałobionego miasta, zastał ministrów oczekujących go w krepach, na stojąco, pobladłych i uroczystych jak nigdy.

Wydarzenia tej nocy i następnych zostały później nazwane lekcją historii. Nie tylko ze względu na ducha chrześcijańskiego, który ożywiał najwyższe osobistości z rządu, ale również z uwagi na ustępstwa, na skutek których uzgodniono wiele sprzecznych interesów i przeciwstawnych kryteriów we wspólnym celu pogrzebienia przesławnych zwłok. Przez wiele lat Mama Grande była gwarancją pokoju i zgody politycznej w swoim imperium, po części dzięki trzem kufrom pełnym dowodów osobistych, które stanowiły część jej sekretnej spuścizny. Młodzieńcy z jej służby, protegowani i dzierżawcy tak pełno-, jak i niepełnoletni, korzystali nie tylko z prawa własnego głosu, ale również z głosów wyborców zmarłych co najmniej od wieków. Mama Grande bowiem reprezentowała przewagę tradycji nad zmieniającymi się rządami, władzę "klasy" nad plebsem, transcendentalność boskiego rozumu wobec niepewności śmiertelnych. W czasach spokojnych jej najwyższa wola przyznawała i odbierała kanonie, beneficja i synekuiry i czuwała nad dobrobytem podwładnych. Aby to osiągnąć, musiała nieraz uciekać się do intryg lub fałszerstw w wyborach. W czasach burzliwych tajemnie brała udział w uzbrajaniu swych

zwolenników, publicznie zaś wspomagała ich ofiary. Ten zapal patriotyczny otwierał jej drogę do najwyższych honorów.

Prezydent republiki nie musiał zwracać się do doradców, ażeby podjąć ciężką na nim odpowiedzialność. Między audiencyjną salą pałacu i brukowanym patiem, które służyło jako zajazd wicekrólom hiszpańskim, był mały wewnętrzny ogródek pełen ciemnych cyprysów, gdzie pewien portugalski zakonnik powiesił się z miłości u schyłku okresu Kolonii. Pomimo hałaśliwej asysty złożonej z całej kupy oficjalnych i udekorowanych osobistości prezydent nie mógł pohamować lekkiego drżenia, gdy mijał to miejsce o zmroku. Ale tej nocy drzenie miało siłę ostrzeżenia.

Wtedy to poczuł pełną świadomość swej historycznej roli i zadekretował dziewięć dni żałoby narodowej i pośmiertnych hołdów dla Mamy Grande, zaliczywszy ją do kategorii bohaterów padłych na polu chwały. Jak to wyraził w dramatycznym przemówieniu, z którym zwrócił się tego dnia do swoich rodaków przez wszystkie stacje radiowe i telewizyjne - pierwszy dostojnik republiki wierzył, że pogrzeb Mamy Grande będzie przykładem dla świata.

Tak wielkie słowa musiały wywołać poważne trudności. Struktura prawna kraju, dzieło dalekich przodków Mamy Grande, nie przewidywała wydarzeń w tym stylu. Biegli w prawie, wypróbowani alchemicy paragrafów, zagłębili się w hermeneutyce i sylogizmach, szukając formuły, która pozwoliłaby prezydentowi wziąć udział w pogrzebie. Nastąpiły dni wstrząsów w wyższych kołach politycznych, klerykalnych i finansowych. W obszernym półkolu Kongresu nasiąkniętego od wieku abstrakcyjnym prawodawstwem, wśród portretów bohaterów narodowych i popiersi greckich myślicieli, problem Mamy Grande osiągnął nieprzewidziane proporcje, podczas gdy ciało jej fermentowało w piekielnym, wrześniowym skwarze Macondo. Po raz pierwszy wyobrazono ją sobie bez bujanego wiklinowego fotela, bez drzemek o drugiej po południu, bez kataplazmów z gorzycy - oczyszczoną, pozbawioną wieku, owianą legendą.

Przez nie kończące się godziny rozbrzmiewały w całej republice słowa uświetnione przez krzykliwe nagłówki pism aż do chwili, gdy wreszcie jakiś unikat w tym zgromadzeniu radców prawnych,

obdarzony zdolnością realnego myślenia, przerwał historyczne ple-ple, aby przypomnieć, że trup Mamy Grande oczekuje decyzji przy czterdziestu stopniach w cieniu. Nikt nie zbuntował się przeciw wkroczeniu zdrowego rozsądku w czystą atmosferę prawa pisanego. Podczas gdy szukano formuł, uzgadniano punkty widzenia i zmieniano paragrafy konstytucji, aby umożliwić prezydentowi wzięcie udziału w pogrzebie, wydano rozkaz, by ciało zabalzamować.

Ale tyle było gadania, że słowa przerwały granice, przeskoczyły ocean i niby przeczucie musnęły świątobliwe Castel Gandolfo. Wyczerpany ledwo co zakończonymi uroczystościami świąt Ferragosto, papież stał w oknie, patrząc, jak nurkowie zagłębiają się w jeziorze w poszukiwaniu głowy, którą odcięto pewnej zamordowanej dziewczycy. Przez ostatnie tygodnie popołudniowe gazety nie zajmowały się niczym innym, tak że papież nie mógł zachować obojętności wobec tajemniczego zdarzenia, które rozegrało się w tak niewielkiej odległości od jego letniej rezydencji. Lecz tego popołudnia, na mocy nieoczekiwanej zamiany, w miejscu fotografii domniemanych ofiar dzienniki opublikowały zdjęcie samotnej dwudziestoletniej kobiety, otoczone żałobną obwódką.

"Mama Grande!" - wykrzyknął papież, w okamgnieniu rozpoznając zamazany dagerotyp, który przed wielu laty ofiarowano mu z okazji wstąpienia na Stolec Świętego Piotra. "Mama Grande!" - wykrzyknęli chórem ze swych prywatnych apartamentów członkowie kolegium kardynalskiego i po raz trzeci w czasie dwudziestego wieku nastąpiła godzina przygnębienia, zamieszania i bieganiny w nieograniczonym imperium chrześcijaństwa, aż do chwili gdy Ojciec Święty został umieszczony w swojej długiej czarnej gondoli, płynącej ku fantastycznemu, dalekiemu pogrzebowi Mamy Grande.

Zostały za nim świetliste brzoskwiniowe pola i Via Appia Antica ze smukłymi aktorkami, które opalały się na tarasach, nic nie wiedząc o wstrząsie, potem zaś ciemny wzgórek Zamku Świętego Anioła na linii Tybru. O zmierzchu głębokie wnętrza Bazyliki Świętego Piotra zmieszały się ze splekanymi brązami Macondo. Ze swego dusznego namiotu, poprzez splecione trzciny i tajemnicze

moczary oznaczające granice Imperium Rzymskiego i pastwisk Mamy Grande, Ojciec Święty całą noc słyszał hałas małych zaniepokojonych marszem tłumów. W czasie nocnej jazdy świątobliwa barka napełniła się jukką, gałęziami zielonych bananów, klatkami kur oraz kobietami i mężczyznami, którzy porzuciwszy zwykłe zajęcia jechali szukać okazji do zdobycia fortuny na drobnym handlu podczas pogrzebu Mamy Grande. Tej nocy Jego Świątobliwość po raz pierwszy w historii Kościoła doświadczył dreszczy bezsenności i tortur moskitów. Ale cudowny świt nad posiadłościami Wielkiej Staruchy, pierwsza wizja królestwa balsamu i iguany, wymazał z jego pamięci cierpienia podróży i wynagrodził jego ofiarę.

Nikanora obudziły trzy uderzenia do drzwi, zwiastujące rychłe przybycie Najwyższego Gościa. Śmierć objęła dom w posiadanie. Upoważniona przez rozliczne, pełne nacisku przemówienia prezydenta oraz przez gwałtowne sprzeczki między posłami, którzy potrąciwszy głosy porozumiewali się już tylko na migi, ludność i wszelkiego typu związki i kongregacje poczuły się zwolnione z pracy i zatłoczyły ciemne galerie, zagracone przejścia, duszne facjaty; ci zaś, co przybywali później, lokowali się wygodniej nawet, na barbakanach, palisadach, strażnicach, stosach budulca, głazach. W środkowym salonie, zmumifikowane w oczekiwaniu wielkich decyzji, spoczywało ciało Mamy Grande pod potężną górą depesz. Wyczerpani łzami siostrzeńcy czuwali przy zwłokach w ekstazie wzajemnego patrzenia sobie na ręce.

Ale świat nie przestał zastawiać swoich sidła przez wiele dni jeszcze. W salonie zarządu miejskiego, wyposażonym w cztery skórzane taborety, gliniany garnek z wodą i hamak, Ojciec Święty cierpiał na bezsenność, rozrywając się czytaniem pamiętników i dzienników ustaw w czasie długich dusznych nocy. W ciągu dnia rozdawał włoskie karmelki dzieciom, które podchodziły, żeby go obejrzeć przez okno, i jadał pod pergolą z astromelii z ojcem Antonio Isabel i od czasu do czasu z Nikanorem. Tak żył przez całe tygodnie i miesiące, dłużej się jeszcze bardziej z powodu oczekiwania i upału, aż do chwili gdy pastor Pastrana pojawił się ze swym bębniem na środku placu i odczytał dekret zawierający de-

cyzję. Oznajmiano, że porządek publiczny został zakłócony bum bum, wobec czego prezydent republiki bum bum otrzymał pełnomocnictwa nadzwyczajne bum bum, które upoważniają go do wzięcia udziału w pogrzebie Mamy Grande bum bum bum bum.

Nadszedł wielki dzień. Na ulicach podnieconych ruletą, loterią, śmierdzących fryturą, gdzie ludzie z węzami okręconymi dookoła szyi sprzedawali balsam radykalnie leczący różę oraz zapewniający życie wieczne, gdzie na różnokolorowych placykach tłumy rozbiły namioty i porozwijały swe tłumoki, strojni kusznicy oczyszczali drogę władcy. Tam to znaleźli się w oczekiwaniu najwyższego momentu rybacy z Cabo de Vela, praczki z San Jorge, łowcy z Cienega, sprzedawcy krewetek z Tasajery, czarownicy z Mojano, kopacze soli z Manaure, harmoniści z Valledupar, handlarze z Ayapel, sprzedawcy papai z San Pelayo, hodowcy kogutów z La Gueva, sztukmistrze z Las Sabanas de Bolivar, wioślarze z Magdaleny, kauzyperdy z Mompo, nie mówiąc o tych, których wymieniono na początku niniejszej kroniki, i wielu, wielu innych; nawet weterani pułkownika Aureliano Buendii z księciem Marlborough na czele, w jego ubiorze z tygrysiich skór, pazurów i zębów, przemogli swoje odwieczne niechęci do Mamy Grande i jej gatunku i przybyli na pogrzeb, aby zażądać od prezydenta republiki wypłacenia emerytur za okres wojny, których oczekiwali od przeszło sześćdziesięciu lat.

Na krótko przed jedenastą oszalała ciżba ludzka, która dusiła się na słońcu, utrzymywana w ryzach przez niewzruszoną elitę wojaków w dolmanach i puszystych czakach, wydała potężny okrzyk radości. Godni, uroczyści w swych żakietach i cylindrach prezydent republiki i jego ministrowie, komisje sejmowe, sąd najwyższy, rada państwa, tradycyjne partie i kler, reprezentanci kapitału, handel i przemysł pojawili się od strony telegrafu. Łysy i opasy, stary schorowany prezydent republiki przedefilował tuż przed zdumionymi oczami tłumów, które na niewidziane wyniosły go na to stanowisko i które dopiero teraz mogły bezspornie stwierdzić jego istnienie. Pośród arcybiskupów wyczerpanych powagą własnego urzędu i wojskowych o silnych, opancerzonych orderami



piersiach pierwszy dostojnik państwa pocił się specyficznym potem władzy.

W drugim rzucie w spokojnych żałobnych szeregach łązawych krep defilowały królowe wszystkiego, co było i co miało być. Po raz pierwszy oderwane od wspaniałości produktów ziemi szły, poprzedzane przez Uniwersalną Królową: Królowa Postrzępionego Mangowca, Królowa Zielonego Drzewa Bananowego, Królowa Gwinejskiej Jabłoni, Królowa Mączystej Jukki, Królowa Czterystu Dwudziestu Sześciu Kilometrów Korali z Jaj Iguany - i wszystkie te, których nie wymienia się, aby nie przeciążać niniejszych kronik.

Na swym wyłożonym purpurą karawanie, oddzielona od rzeczywistości ośmioma miedzianymi śrubami, Mama Grande była w owym momencie zbyt przesiąknięta swą formalinową wiecznością, by zdać sobie sprawę ze wspaniałości swojej i wielkości. Cały splendor, o którym marzyła na balkonie domu w czasie wieczornych rozmyślań, zrealizował się w owych czterdziestu ośmiu godzinach chwały, kiedy wszelkie symbole epoki oddały hołd jej pamięci. Sam Ojciec Święty, którego widywała w marzeniach w świetlistej karocy zawieszanej ponad watykańskimi ogrodami, przeciwstawiwszy się skwarowi za pomocą wachlarza z palmowych włókien, uhonorował swoją ponad-obecnością największy pogrzeb świata.

Wśród oszołomienia widokiem takiej świetności nikt nie zauważył namiętnego sporu, który rozgorzał w domu w chwili, gdy po dyskusji między dostojnymi w końcu wyniesiono trumnę na ramionach tych najdostojniejszych. Nikt nie zoczył czujnego cienia sępów, towarzyszących pochodowi po rozpalonych uliczkach Macondo, ani nie spostrzegł, że za każdym krokiem dygnitarze coraz częściej pokrywani są śmierdzącymi śladami odchodów. Nikt nie zauważył, że siostrzeńcy, chrześniacy, służba i protegowani Mamy Grande zamknęli drzwi, jak tylko wyniesiono jej ciało, i zaczęli demontować, odśrubowywać, odbijać, zrywać, wyjmować wszystko, co się dało, włącznie do rozłupywania cementu, ażeby rozdrapać między siebie dom. Jedyne, co nie uszło niczyjej uwagi w hałaśliwym ferworze owego pogrzebu, było dudniące

westchnienie ulgi, które wydobyło się z tłumu po zakończeniu czternastu dni modlitw, uniesień i pochwał, gdy grób został przywalony ołowianą płytą.

Niektórzy z obecnych mieli jednak dość jasności widzenia, by zrozumieć, że asystują narodzinom nowej epoki. Załatwiwszy swe ziemskie obowiązki, mógł papież wznieść się już w niebo duszą swą i ciałem, mógł prezydent republiki zacząć rządzić według własnego uznania, a królowa wyjść za mąż, być szczęśliwa i rodzić liczne dzieci, mogły tłumy rozbić swe namioty według własnego widzimisię na nie kończących się terytoriach Mamy Grande, bo jedyna, która miała dość władzy, by się temu przeciwstawić, właśnie zaczynała rozkładać się pod ołowianą płytą. Już tylko brakowało, aby ktoś wyciągnął krzeselko, postawił je w drzwiach na ulicę i opowiedział tę historię, naukę i ostrzeżenie dla przyszłych pokoleń, a to żeby żaden niedowiarek w świecie nie przeczył ostatniej wiadomości o Mamie Grande, tej mianowicie, że jutro, we środę, przyjdą zamiatacze i wymiotą śmiecie pozostałe po jej pogrzebie na wieki wieków.

## NIEWIARYGODNA I SMUTNA HISTORIA NIEWINNEJ ERENDIRY I JEJ NIEGODZIWEJ BABKI

### **Bardzo stary pan z olbrzymimi skrzydłami**

Trzeciego dnia bez przerwy padającego deszczu zabili w domu tyle krabów, że Pelagiusz musiał w końcu przejść przez zalane podwórze i wrzucić je wszystkie do morza, sądzono bowiem, że dopiero co narodzone dziecko właśnie z powodu tego przeraźliwego smrodu gorączkowało całą noc. Świat był smutny od wtorku. Niebo i morze rozpływały się w tej szarej mazi, a piasek na plaży, który przecież w marcu błyszczał niczym świetlisty pył, przemienił się teraz w gęstą zupę z błota i zgniłych skorupiaków. Światło w południe było tak skąpe, że gdy Pelagiusz, wyrzuciwszy kraby wracał do domu, musiał zadać sobie sporo trudu, by dostrzec, co to takiego ruszało się i jęczało w głębi podwórza. Musiał się sporo przybliżyć, aby odkryć, że to nikt inny jak tylko leżący twarzą w błocie stary pan, który mimo ogromnych wysiłków

nie mógł się podnieść, albowiem przeszkadzały mu w tym olbrzymie skrzydła.

Pelagiusz, wystraszony tą zmorą, pobiegł po Elisendę, swoją żonę, która właśnie nakładała choremu dziecku kompresy, i zaprowadził ją w głąb podwórza. Oboje w osłupieniu zaczęli przypatrywać się temu leżącemu ciału. Odziane było jak ostatni szmaciarz. Na wyłysiałej czaszce pozostały zaledwie jakieś bezbarwne strzępki, zębów też miało toto niewiele, a ten litości godny stan, przemoczonego do suchej nitki pradziadka, pozbawił toto jakichkolwiek oznak wielkości. Jego skrzydła, niczym u olbrzymiego sępa, brudne, w połowie wyskubane, już na zawsze osiadły w błocie. Tak długo mu się przypatrywali i z taką uwagą, że wreszcie Pelagiusz i Elisenda szybko otrząsnęli się ze zdziwienia i poczuli w mm kogoś bardzo bliskiego. I wtedy to również odważyli się do niego przemówić, a on, owszem, odpowiedział im co prawda w niezrozumiałym dialekcie, za to mocnym głosem starego morskiego wilka. Tym samym przeszli do porządku dziennego nad ową przeszkodą w postaci skrzydeł i wywnioskowali, całkiem przecież rozsądnie, iż jest to ni mniej, ni więcej tylko samotny rozbitek z jakiegoś obcego, przez burzę doszczętnie zdruzgotanego statku. Na wszelki jednak wypadek przywołali na oględziny sąsiadkę, która wiedziała wszystko o sprawach życia i śmierci, a jej starczyło okiem ledwie rzucić, by wyprowadzić ich z błędu.

- To jest anioł - powiedziała. - Na pewno przyszedł po dziecko, ale biedaczysko jest już tak stary, że deszcz go powalił.

Nazajutrz wszyscy wiedzieli, że w domu Pelagiusza schwytano anioła z krwi i kości. Wbrew zdaniu uczonej sąsiadki, dla której współczesne anioły były niegodnymi miana aniołów zbiegami pozostałymi przy życiu, niecnymi uczestnikami jakiegoś niebiańskiego spisku, nie mieli serca zatłuc go ot tak, po prostu kijami. Całe popołudnie Pelagiusz uzbrojony w swą stróżowską pałę czuwał w kuchni i nim ułożył się do snu, wyciągnął anioła z błota, taszcząc go po ziemi, i zamknął w ogrodzonym drutami kurniku. O północy, kiedy deszcz przestał już padać, Pelagiusz i Elisenda nadal tłukli kraby. A nieco później dziecko obudziło się bez gorączki, ale za to z olbrzymim apetytem. Wówczas poczuli się

wspaniałomyślni i zdecydowali, że umieszczą anioła na tratwie z taką ilością słodkiej wody i zapasów, by starczyło mu to na trzy dni, i puszczą go samopas na pełne morze. Kiedy jednak z pierwszym brzaskiem wyszli na podwórze, napotkali przy kurniku wszystkich sąsiadów, zabawiających się z aniołem, bez najmniejszej, należnej mu przecież, czci, obrzucających go przez ogrodzenie resztkami jedzenia, jakby nie była to istota nadprzyrodzona, lecz cyrkowe zwierzę.

Ojciec Gonzaga zatrwożony niezwykłą wiadomością przyszedł przed siódmą. O tej samej porze zjawili się również gapie, nieco od tamtych rannych ptaszków przyzwoitsi, snując wszystkie możliwe domysły dotyczące przyszłości jeńca. Co naiwniejsi sądzili, że zostanie mianowany burmistrzem świata. Inni, o bardziej wojowniczym charakterze, przypuszczali, że zostanie awansowany na generała z pięcioma gwiazdkami, by zwycięsko mógł rozstrzygać wszystkie wojny. Niektórzy - wizjonerzy - oczekiwali, że przechowa się go jako protoplastę, by można było na wielką skalę rozwinąć na ziemi hodowlę gatunku skrzydlatych i wielce uczonych ludzi, którzy by wreszcie zajęli się sprawami wszechświata. Ale ojciec Gonzaga, zanim został świątobliwym księdzem, był rośłym drwalem. Patrząc tak przez druty przypomniał sobie szybko katechizm, jednym rzutem oka przebiegł swój brewiarz i poprosił o otworzenie drzwiczek, by mógł przyjrzeć się z bliska temu politowania godnemu staruszkowi, który teraz zdawał się być jedną z wielce obojętnych kur, tyle że olbrzymią i dosyć zgrzybiałą. Leżał rzucony w kąt, susząc sobie rozpostarte na słońcu skrzydła, w skórkach owoców, w resztkach nie dojedzonych śniadań, którymi uraczyli go pierwsi widzowie. Nieczuły na wszelkie zniewagi tego świata, uniósł oczy starego antykwariusza i mruknął coś w swoim dialekcie, kiedy ojciec Gonzaga wszedł do kurnika i pozdrowił anioła szlachetną łaciną. Wówczas proboszcz po raz pierwszy zwątpił w uczciwość przybysza, bowiem stwierdził, że ten ani boskiego języka nie rozumie, ani sługi bożego pozdrowić nie potrafi. A następnie proboszcz zauważył, że kiedy przyjrzeć mu się z bliska, anioł ów okazywał się coś zanadto ludzki: śmierdział błotem, skrzydła od spodu porosły mu wodorostami, a większe pióra

zniszczone były ziemskimi wiatrami i nic, ale to nic, z jego nader nędznej natury nie licowało z niezrównanym dostojnością aniołów. Wówczas ksiądz opuścił kurnik i w krótkim kazaniu przestrzegł gapiów przed zbytnią ufnością. Przypomniawszy im, że diabeł ma brzydki zwyczaj uciekania się do karnawałowych sztuczek, by zwodzić nimi nierozważnych. Dowodził, że jeśli skrzydła nie stanowią najistotniejszego elementu odróżniającego krogulca od aeroplanu, tym bardziej nie mogą nim być przy rozpoznawaniu aniołów. Przynależał jednak napisać list do swego biskupa, aby ten napisał do swego prymasa, aby ten znowu napisał następny do Ojca Świętego, tak aby wyrok ostateczny zapadł w instancjach najwyższych.

Jego rozważa natrafiła jednak na opór głuchych, twardych serc. Wiadomość o uwięzionym aniele rozeszła się tak szybko, że w przeciągu kilku godzin nad podwórzem unosił się już jarmarczny tumult, musieli więc wezwać cały oddział żołnierzy z bagnietami, by odstraszyć tłum, który gotów był roznieść cały dom. Elisenda, zgięta w krzyżach od ciągłego zamiatania jarmarcznych odpadków, wpadła na pomysł, by całe podwórze ogrodzić i pobierać po pięć centavos za wejście i obejrzenie anioła.

Ciekawscy przyjechali aż z Martyniki. I przyjechał cyrk objazdowy z latającym akrobatą, który hucząc, brzęcząc, parę razy przeleciał nad tłumem, nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi, gdyż skrzydła jego były tylko skrzydłami nietoperza gwiaździstego, a nie anioła niebiańskiego. Szukając cudownego uzdrowienia, przybyły najbardziej nieszczęsne z nieszczęsnych kalek z całych Karaibów i okolic: pewna biedna kobieta, która od dziecka liczyła uderzenia swego serca i liczb już jej nie starczało, Jamajczyk okrutnie cierpiący na bezsenność, dręczył go bowiem nieustanny szmer gwiazd, lunatyk, który w nocy wstawał tylko po to, by niszczyć wszystko, co za dnia zbudował, i wielu, wielu innych mniej nieszczęśliwych. A pośrodku owego niszczycielskiego, całą ziemię wstrząsającego bałaganu Pelagiusz i Elisenda zmęczeni już swoim szczęściem, albowiem w niespełna tydzień sypialnie ścielili pieniędzmi, a szereg oczekujących na swoją kolej pielgrzymów sięgał drugiej strony horyzontu.

Anioł był jedyną istotą, która nie uczestniczyła w wywołanych przez siebie wydarzeniach. Spędzał czas na wyszukiwaniu sobie wygodnego miejsca w tymczasowym gnieździe, oszołomiony piekielnym żarem bijącym od lamp naftowych i gromnic, które przysuwano jak najbliższej ogrodzenia. Z początku próbowano podawać mu kryształki kamfory, które zgodnie z wiedzą uczonej sąsiadki były specjałem nader przez aniołów ulubionym. Odrzucał je jednak, tak jak odrzucił, nawet nie kosztując, śniadanka papieskie, które znosili mu pielgrzymi, i nigdy nie zdołano ostatecznie stwierdzić, czy to wskutek jego anielstwa, czy z powodu starości jadał wyłącznie papkę z bakłażanów. Jego jedyną nadprzyrodzoną cnotą zdawała się być cierpliwość. Zwłaszcza w pierwszych dniach, kiedy kury obdziobywały go w poszukiwaniu gwiazdnych pasożytów rozmnażających się w jego skrzydłach, a ułomni oskubywali go z piór, by dotykać nimi kalekich miejsc, nawet najpobożniejsi ciskali w niego kamieniami chcąc zmusić go do powstania, by ujrzeć anioła w całej okazałości. Jeden jedyny raz zdołano doprowadzić go do furii wówczas, gdy przypalili go żelazem do znakowania bydła, leżał bowiem tyle godzin bez ruchu, że wydawał się martwy. Obudził się i skoczył na równe nogi, podnosząc taki wrzask w swym niepojętym języku, że łzami w oczach, i tak zatrzepotał parę razy skrzydłami, że uniosły się w górę olbrzymie tumany gnoju, zmieszanego z księżycowym pyłem, i wokół wybuchł zdający się nie z tego świata huragan paniki. I chociaż wielu sądziło, że jego odruch spowodowany był nie tyle wściekłością co raczej bólem, to jednak od tej chwili starano mu się w niczym nie przeszkadzać, większość bowiem zrozumiała, że jego obojętność nie była biernością bohatera dożywającego zasłużonej emerytury, lecz obojętnością przyczajonego kataklizmu.

Ojciec Gonzaga w oczekiwaniu ostatecznego wyroku co do natury jeńca przeciwstawiał rozbawionemu tłumowi stwierdzenie, które własne natchnienie raczyło mu podsuwać. A korespondencja z Rzymu świadczyła, że zapomniano tam o pilności sprawy. Czas im mijał na sprawdzaniu, czy podejrzany ma pępek, czy jego dialekt ma coś wspólnego z aramejskim, ile razy mógłby zmieścić się na główce od szpilki i czy przypadkiem nie był to zwykły, uskrzy-

dlony Norweg. Listy te, pełne ostrożności, nadchodziłyby tak i odchodziły w nieskończoność, gdyby nie pewien, opatrnościowy zresztą, przypadek, który położył kres kłopotom proboszcza.

Zdarzyło się bowiem w tych dniach, że wśród wielu innych atrakcji wędrownych jarmarków karaibskich przywieziono do wsi smutne widowisko z kobietą, która za nieposłuszeństwo wobec własnych rodziców zamieniona została w pająka. I nie tylko że za obejrzenie tej kobiety płacono się mniej, niż wynosiła opłata za dopuszczenie przed oblicze anioła, ale do tego wszystkiego zezwalało na zadawanie kobiecie wszelakich pytań dotyczących jej bezsensownego stanu, jak również na dokładne oglądanie jej z prawa na lewo i z lewa na prawo, tak by nikt nie miał najmniejszych wątpliwości co do prawdziwości całej tej zgrozy. Była to przerażająca tarantula wielkości tryka, z głową wielce smutnej dziewczicy. Najbardziej rozdzierający wszakże był nie ten niedorzeczny kształt, ale ów szczery smutek, z jakim opowiadała szczegóły swego nieszczęścia; pewnego razu, będąc jeszcze prawie dziewczynką, uciekła z domu swoich rodziców, żeby pójść na tańce, a kiedy wracała przez las po całej nocy przetańczonej bez pozwolenia, grzmot straszliwy przeciął niebo na pół, a ze szczeliny wypełzła siarczana błyskawica, która zamieniła ją w pająka. Jej jedynym pożywieniem są kuleczki mielonego mięsa, które litościwe dusze raczą wrzucać jej do ust. Takie to przedstawienie, pełne oczywistej ludzkiej prawdy i zastraszającego okrucieństwa, musiało, bez zamierzenia przecież, zadać sromotną klęskę widowisku z pogardliwym aniołem, który z ledwością raczył czasem spojrzeć na śmiertelne istoty. Zresztą cuda przypisywane aniołowi wskazywały na zamęt w jego umyśle, i tak: ślepiec nie odzyskał wzroku, ale zaczęły mu się wyrzynać trzy ząbki; paralytyk nadal nie mógł chodzić, ale był o krok od uzyskania głównej wygranej na loterii, trędotemu rany zakwitły słonecznikami. Owe cuda pocieszenia, które zdawały się być raczej złośliwymi żarcikami, zachwiały i tak już nie najlepszą reputacją anioła, a kobieta przemieniona w pająka zniweczyła ją do reszty. Dzięki temu ojciec Gonzaga wyleczył się ostatecznie z bezsenności, a podwórze Pelagiusza znowu opu-

stoszało, jak wtedy gdy padało przez trzy dni, a kraby pełzały po pokojach.

Właściciele domu nie mieli czego żałować. Za pieniądze, które zarobili, postawili dwupiętrowy budynek, z balkonami i ogrodami, i z wysokimi progami, by nie wpełzały kraby zimowe, i z żelaznymi prętami w oknach, by nie mogły przez nie wlatywać anioły. Do tego Pelagiusz założył niedaleko wsi hodowlę królików i zrezygnował ostatecznie ze swego, nie najlepszego bądź co bądź, zawodu miejskiego stróża porządku, a Elisenda kupiła sobie atłasowe pantofelki na wysokim obcasie i wiele, wiele sukien z mieniącego się wszystkimi barwami jedwabiu, tych sukien, jakie w owych czasach w każdą niedzielę obnosiły na sobie najbardziej pożądane z kobiet. Kurnik był jedynym miejscem, które nie uległo jakimkolwiek zmianom. Jeśli jeszcze od czasu do czasu przeczyszczali kurnik kreoliną i spalali wewnątrz ziarna mirry, to nie po to, by uhonorować anioła, tylko w celu wypędzenia owego smrodu gnojowiska, który snuł się niczym duch po wszystkich kątach, a nowiusieńki dom przemieniał w starą rudere. Z początku, kiedy dziecko nauczyło się już chodzić, pilnowali, by zbytnio nie zbliżało się do kurnika. Później jednak i o strachu zapomnieli, i do smrodu się przyzwyczaili, i zanim dziecku zaczęły wypadać mleczone zęby, zabawiało się już w najlepsze w samym środku kurnika, z którego całymi płatami opadała zardzewiała siatka. Anioł nie okazywał dziecku większych względów niż reszcie śmiertelników, znosił jednak jego najdokuczliwsze złośliwości z potulnością psa pozbawionego złudzeń. Obydwaj zachorowali w tym samym czasie na wietrzną ospę. Lekarz, który leczył dziecko, nie oparł się pokusie osłuchania anioła i wykrył u niego tyle gwizdów w sercu i tyle w nerkach, iż fakt, że anioł jeszcze żyje, wydał mu się zupełnie nieprawdopodobny. Najbardziej jednak zdziwiła go przemyślność skrzydeł. Były tak naturalne w tym całkowicie ludzkim ciele, że w głowie nie mogło się pomieścić, dlaczego inni ludzie również ich nie posiadają.

Kiedy chłopiec poszedł do szkoły, od dawna już słońce i deszcz doszczętnie zniszczyły kurnik. Anioł włóczył się tędy i owędy, niczym bezdomny umierający. Miotłą wyrzucali go z sypialni, by



niebawem znaleźć go w kuchni. Wydawał się być w tylu miejscach naraz, iż w końcu pomyśleli, że się rozdwa, że powtarza sam siebie po całym domu, a rozwścieczona Elisenda wrzeszczała, że to nieszczęście żyć w tym piekle pełnym aniołów. Jadł tyle co nic, a jego oczy antykwariusza już tak zaszły mgłą, że idąc potykał się wciąż o grabie, a w skrzydłach pozostały mu tylko oskubane stosiny. Pelayo narzucił mu koc i miłosiernie pozwolił aniołowi spać w szopie i wtedy dopiero zauważyli, że w nocy gorączkuje i majaczy coś w swoim połamanym języku starego Norwega. Była to jedna z niewielu chwil, kiedy zaniepokoiła ich myśl o jego śmierci, a nawet uczona sąsiadka nie potrafiła powiedzieć im, co się robi ze zmarłymi aniołami.

A jednak nie tylko przeżył swoją najgorszą zimę, ale nawet z pierwszymi promieniami słońca zaczął jakby czuć się lepiej. Wiele dni spędził skulony i nieruchomy w najbardziej oddalonym kącie podwórza, a w początkach grudnia zaczęły mu na skrzydłach wyrastać duże i twarde pióra starego ptaszyska, które zdawały się jeszcze jednym uprzykrzeniem starości. Ale on musiał chyba znać przyczyny tych zmian, bo strzegł się, by nikt nie zauważył piór i nie usłyszał żeglarskich piosenek, które czasami nucił sobie pod rozgwieżdżonym niebem. Pewnego ranka Elisenda kroїła cebulę, gdy wiatr, który zdawał się nadlatywać znad pełnego morza, wtargnął nagle do kuchni. Wyjrzała wtedy przez okno i zaskoczyła anioła przy pierwszych próbach lotu. Były tak niezgrabne, że przeciął jak pługiem brudę w warzywach i niewiele brakowało, a byłby rozwalił szopę ciężkimi uderzeniami skrzydeł, które prześlizgiwały się po świetle, nie znajdując oparcia w powietrzu. Zdołał jednak nabrać wysokości. I Elisenda odetchnęła z ulgą, tak za siebie, jak i za niego, kiedy zobaczyła, że przelatuje już nad ostatnimi domami, utrzymując się z trudem w powietrzu niezdarnym trzepotaniem starego sępa. Widziała go nadal, gdy skończyła już kroїć cebulę, i nadal go widziała, gdy widzieć go już nie mogła, ponieważ wtedy nie był już zawalidrogą w jej życiu, tylko urojonym punkcikiem na widnokręgu morza.

## **Morze utraconego czasu**

Pod koniec stycznia morze stawało się mało przyjemne, zaczynało wtedy zalewać wieś gęstym śmieciem, a w parę tygodni później wszystko zatrute było jego nieznośnym zapachem. Od tej pory świat niewart był złamanego grosza, przynajmniej do grudnia, i nie było osoby, która by jeszcze nie spała po ósmej. Ale tego roku, kiedy zjawił się pan Herbert, morze nie wzburzyło się nawet w lutym. Przeciwnie, stawało się coraz gładsze i bardziej błyszczące, a w pierwsze marcowe noce zaczęło wydzielać woń róż.

Tobiasz poczuł ten zapach. Jako że w Tobiaszu płynęła krew słodka dla krabów, większą część nocy spędzał na przeganianiu ich z łóżka i zasypiał dopiero, gdy wiatr się odwracał. Podczas swych długich bezsennych nocy nauczył się rozpoznawać wszelkie, najdrobniejsze nawet, zmiany w powietrzu. Toteż gdy poczuł zapach róż, nie musiał wcale otwierać drzwi, aby utwierdzić się w przekonaniu, że zapach dochodzi z nad morza.

Wstał późno. Klotylda na podwórzu rozniecała ogień. Wiatr był chłodny i wszystkie gwiazdy znajdowały się na swoim miejscu, ale trudno byłoby je policzyć aż do końca widnokregu z powodu blasku bijącego od morza. Wypiwszy kawę, Tobiasz poczuł na podniebieniu ślad minionej nocy.

- W nocy - przypomniał sobie - stało się coś bardzo dziwnego.

Oczywiście Klotylda nie poczuła zapachu. Spała tak mocno, że nie pamiętała nawet własnych snów.

- To był zapach róż - powiedział Tobiasz - i jestem pewien, że dochodził z nad morza.

- Nie wiem, jak pachną róże - powiedziała Klotylda.

Mogła to być prawda. Wieś leżała na twardej, wyjąłowionej, zżartej przez saletrę ziemi i tylko od czasu do czasu ktoś przynosił z innych stron wiązanek kwiatów, by rzucić ją w morze, w miejscu gdzie topiono zmarłych.

- To jest taki sam zapach, jaki miał ten topielec z Guacamayał - powiedział Tobiasz.

- No dobrze - uśmiechnęła się Klotylda - więc jeśli to był ładny zapach, to możesz być pewien, że dochodził nie z tego morza.

Rzeczywiście było to morze okrutne. Czasami, podczas gdy w wyciągniętych sieciach znajdowano tylko szlam, uliczki po od-

pływie pełne były zdechłych ryb. Dynamit na powierzchnię wyrzucał tylko szczątki wraków.

Nieliczne kobiety, które pozostały we wsi jak Klotylda, gotowały z niechęcią. Zona starego Jakuba, która podobnie jak Klotylda wstała tego ranka wcześniej niż zwykle, sprzątnęła dom i zasiadła do śniadania z wyrazem przygnębienia na twarzy.

- Oto moja ostatnia wola - powiedziała do męża. - Chcę, aby pochowano mnie żywą.

Powiedziała to tak, jakby leżała już na łożu śmierci, a przecież siedziała po drugiej stronie stołu w jadalni o dużych oknach, przez które całymi strumieniami wlewała się i wciskała do mieszkania marcowa jasność. Naprzeciwko, zaspokajając głód, siedział stary Jakub, mężczyzna, który kochał ją tak bardzo i od tak dawna, że nie mógł już pojąć żadnego innego cierpienia, które by nie zaczynało się od jego żony.

- Chcę, umierając, mieć pewność, że zostanę pochowana w ziemi, jak wszyscy porządni ludzie - ciągnęła dalej. - A jedynym sposobem, by tę pewność uzyskać, jest udać się w inne strony i błagać o litość, by pochowano mnie żywą.

- Nie musisz nikogo o to błagać - powiedział bardzo spokojnie stary Jakub. - Ja sam cię zaprowadzę.

- W takim razie idziemy - powiedziała - ponieważ umrę bardzo szybko.

Stary Jakub przypatrzył się jej uważnie. Tylko jej oczy zachowały młodość. Kości w stawach stały się węzlaste i wyglądała jak spękana ziemia, zresztą, jakkolwiek było, zawsze tak wyglądała.

- Dobrze wyglądasz - powiedział - jak nigdy.

- W nocy - westchnęła - poczułam zapach róż.

- Nie przejmuj się - uspokajał ją stary Jakub. - To nam, biedakom, często się zdarza.

- Nic podobnego - powiedziała. - Zawsze modliłam się o to, by wiadomość o mojej śmierci przekazano mi dość wcześnie, abym mogła umrzeć daleko od tego morza. Zapach róż w tej wsi może być tylko znakiem danym nam od Boga.

Staremu Jakubowi nic innego do głowy nie przyszło, jak tylko poprosić o odrobinę czasu na uporządkowanie wszystkich spraw.

Słyszał, że ludzie umierają nie wtedy, gdy muszą, ale kiedy chcą, i był poważnie zaniepokojony tymi objawami u swojej żony. Zadał sobie nawet pytanie, czy w chwili kiedy nadejdzie ten czas, starczy mu odwagi, by pochować ją żywą.

O dziewiątej otworzył lokal, w którym przedtem mieścił się sklep. W drzwiach postawił dwa krzesła, stolik, na nim warcaby i przez cały ranek grał z przypadkowymi partnerami. Ze swojego miejsca widział zniszczoną wieś, domy bez drzwi, z pozostałościami dawnych, spłowiałych od słońca kolorów, i kawałeczek morza na końcu uliczki.

Przed obiadem, jak zwykle, zagrał z don Maximo Gomezem. Stary Jakub nie mógł wyobrazić sobie bardziej ludzkiego przeciwnika jak ten człowiek, który bez żadnego szwanku przeżył dwie wojny domowe i dopiero w trzeciej stracił jedno oko. Po umyślnym przegraniu pierwszej partii zatrzymał go na następną.

- Proszę mi powiedzieć, don Maximo, taką rzecz - zapytał wtedy. - Czy byłby pan zdolny pochować żywcem własną żonę?

- Pewnie - powiedział don Maximo Gómez. - Proszę mi wierzyć, że nawet ręka by mi nie drgnęła.

Stary Jakub, zdziwiony, zamilkł. Później, dając się ograbić ze swoich najlepszych pionków, westchnął:

- Bo zanoszą się na to, że Petra umrze.

Don Maximo Gomez nie okazał zdziwienia. "W takim razie - powiedział - nie ma pan potrzeby chować jej żywej". Zagarnął dwa pionki i wymienił na damę. Następnie utkwiał w swym przeciwniku oko zwilgotniałe rzewnym smutkiem.

- A co jej jest?

W nocy - wytłumaczył stary Jakub - poczuła zapach róż.

- W takim razie umrze połowa wsi - powiedział don Maximo Gómez. - Dziś rano o niczym innym się nie mówiło.

Stary Jakub musiał się sporo natrudzić, by nie obrażając go znowu przegrać. Schował stolik i krzesła, zamknął sklep i zaczął szukać kogoś, kto czuł zapach róż. Ostatecznie tylko Tobiasz był tego pewien. Poprosił go więc o tę grzeczność, by wstąpił do niego niby przypadkiem i wszystko opowiedział jego żonie.

Tobiasz dotrzymał słowa. O czwartej, ubrany jakby przychodził ze specjalną wizytą, pojawił się w korytarzu, gdzie kobieta spędziła całe popołudnie, szykując staremu Jakubowi żałobny garnitur wdowca.

Wszedł tak cicho, że Petra aż podskoczyła.

- Boże święty - krzyknęła - myślałam, że to archanioł Gabriel.

- No więc nie - powiedział Tobiasz. - To ja, i przychodzę, żeby coś pani opowiedzieć.

Poprawiła okulary i wróciła do swojej roboty.

- Już nawet wiem, co - powiedziała.

- Chyba jednak nie - powiedział Tobiasz.

- Ze w nocy czułeś zapach róż.

- A skąd pani o tym wie? - zapytał zmartwiony Tobiasz.

- W moim wieku - powiedziała kobieta - ma się tyle czasu na myślenie, że w końcu zaczyna się być jasnowidzem.

Stary Jakub, który w sąsiednim pokoju przyłożył ucho do ściany, zawstydzony wyprostował się.

- No i jak ci się zdaje, kobieto? - krzyknął przez ścianę. Obrócił się i wszedł do jadalni. - A więc to nie tak, jak myślałaś.

- To są oszustwa tego chłopca - odpowiedziała nie unosząc głowy. - On nic nie czuł.

- To było gdzieś tak koło jedenastej - powiedział Tobiasz. - Wtedy przeganiałem kraby.

Kobieta skończyła łątać kołnierzyk.

- Oszustwa - powtórzyła. - Wszyscy wiedzą, że jesteś oszustem.

Przegryzła nitkę i znad okularów popatrzyła na Tobiasza.

- Nie rozumiem jednak, po co zadałeś sobie tyle trudu i wysmarowałaś włosy wazeliną, i buty wyczyściłaś, i wszystko tylko po to, żeby mi ubliżyć.

Od tej pory Tobiasz zaczął obserwować morze. Wieształ w przedsionku hamak i całą noc spędzał na czekaniu, zadziwiony tymi wszystkimi rzeczami, które dzieją się na świecie, podczas gdy ludzie śpią. Przez wiele nocy słyszał rozpaczliwe chrobotanie krabów, próbujących wspiąć się po palach. Wreszcie po wielu nocach zrezygnowały, zmęczone własnym uporem. Poznał sposób spania Klotyldy. Odkrył, że jej chrapanie, brzmiące z początku ni-

czym fujarka, w miarę jak ocieplało się, przechodziło w ostry dźwięk, by ostatecznie w lipcowej drzemce przemienić się w jedną długą nutę.

Z początku Tobiasz obserwował morze tak, jak robią to ci, którzy znają je dobrze, ze wzrokiem utkwionym w jeden stały punkcik na horyzoncie. Widział, jak zmieniało kolor. I widział, jak gąsło, pienieło się od brudu, wyrzucało nie strawione resztki, które potężne deszcze przewracały w jego burzliwych wnętrznościach. Z wolna uczył się czuwać nad nim tak jak ci, którzy znają je jeszcze lepiej, nie patrząc na nie, ale nie mogąc zapomnieć go nawet we śnie.

W sierpniu umarła żona starego Jakuba. Swit zastał ją w łóżku martwą i musiano wrzucić ją do morza, jak wszystkich, bez kwiatów. Tobiasz nadal czekał. I tak to czekanie weszło mu w krew, że nie potrafił żyć już inaczej. Pewnej nocy, gdy podrzemywał w hamaku, poczuł nagle, że coś w powietrzu się zmieniło. Był to podmuch gwałtowny, taki jak wtedy, gdy japoński statek wyrzucił przy wejściu do portu ładunek zgniłej cebuli. Następnie zapach zgęstniał i nie rozwiął się aż do świtu. Gdy tylko poczuł, że chcąc ów zapach pokazać, może go uchwycić w ręce, Tobiasz wyskoczył z hamaka i wszedł do pokoju Klotyldy. Potrząsnął nią parę razy.

- Jest - powiedział.

Aby wstać, Klotylda musiała, niczym pajęczynę, odsunąć zapach palcami. Następnie znowu opadła w ciepłą pościel.

- A niech go - powiedziała.

Tobiasz skoczył do drzwi, stanął na środku ulicy i zaczął krzyczeć. Krzyczał z całych sił, oddychał głęboko i znów zaczynał krzyczeć, potem zamilkł i odetchnął jeszcze głębiej, a zapach ciągle tkwił w morzu. Ale nikt nie odpowiedział. Wtedy zaczął chodzić od domu do domu, nawet do tych bezpańskich, waląc w drzwi, aż jego wrzaski i walenie zmieszały się z ujadaniem psów i zbudził wszystkich.

Wielu nie czuło zapachu. Ale inni, szczególnie starcy, zeszli na plażę, by tam się nim rozkoszować. Był to zapach gęsty, nie pozostawiający miejsca na jakikolwiek inny zapach z przeszłości. Nie-

którzy, wyczerpani tą zbyt mocną dawką, wrócili do domów. Większość jednak została na plaży, by sen dośnić do końca. O świcie zapach był tak czysty, że żal go było wdychać.

Tobiasz spał prawie cały dzień. Klotylda dopadła go w czasie popołudniowej drzemki i resztę popołudnia spędzili igrając w łóżku, nie domknawszy drzwi. Najpierw robili to jak liszki, następnie jak króliki, a na koniec jak żółwie, aż świat cały posmutniał i znów się ściemniło. W powietrzu drgały jeszcze ślady róż. Do pokoju dochodziły odgłosy muzyki.

- To u Catarina - powiedziała Klotylda. - Chyba ktoś przyszedł.

Przyszło trzech mężczyzn i jedna kobieta. Catarino pomyślał, że później mogą nadejść inni, i spróbował naprawić patefon. Jako że nie potrafił, poprosił o tę przysługę Pancha Aparecido, który robił wszystko, bo nigdy nie miał nic do roboty, a oprócz tego miał skrzynię pełną narzędzi i inteligentne ręce.

Sklep Catarina mieścił się w stojącym na wprost morza odosobnionym drewnianym budynku. W sklepie tym była duża sala, pełna krzeseł i stolików, a w głębi było wiele pokoi. Trzech mężczyzn i kobieta siedzieli na ladzie i obserwowali w milczeniu pracę Pancha Aparecido, popijając i ziewając na zmianę.

Dopiero po wielu próbach patefon zaczął działać bez zarzutu. Słyszając odległą, ale wyraźną muzykę, ludzie przestali rozmawiać. Jedni na drugich popatrzyli i przez pewien czas nie mieli sobie nic do powiedzenia, właśnie wtedy bowiem zrozumieli, jak bardzo zestarzelili się od czasu, gdy słuchali po raz ostatni muzyki.

Po dziewiątej Tobiasz spostrzegł, że nikt nie śpi. Wszyscy siedzieli w drzwiach i słuchali starych płyt Catarina z tym samym naiwnym fatalizmem, z jakim obserwuje się zaćmienie. Każda płyta przypominała im kogoś zmarłego, smak jedzenia po dłuższej chorobie lub coś, co mieli wiele lat temu zrobić następnego dnia, a przez zapomnienie nie zrobili.

Muzyka umilkła koło jedenastej. Wielu ułożyło się do snu, myśląc, że będzie padać, nad morzem zawisła bowiem ciemna chmura. Ale chmura opadła i unosząc się przez jakiś czas na falach, w końcu zanurzyła się. W górze pozostały tylko gwiazdy. W chwilę

później wiatr znad wsi podążył ku morzu, a wracając przyniósł zapach róż.

- Już panu mówiłem, Jakubie - powiedział don Maximo Gómez.

- Znowu go tutaj mamy. Jestem pewien, że teraz co noc będziemy go czuć.

- Broń nas Panie Boże - powiedział stary Jakub. - Ten zapach to jedyna rzecz w moim życiu, która nadeszła zbyt późno.

Grali w pustym sklepie w warcaby, nie zwracając uwagi na muzykę. Ich wspomnienia były tak odległe, że nie istniały żadne płyty zdolne ożywić ich pamięć.

- Co do mnie, to nie bardzo w to wszystko wierzę - powiedział don Maximo Gómez. - Po tylu latach obżerania się ziemią, marzeń tylu kobiet o ogródeczku, w którym mogłyby hodować kwiaty, nic dziwnego, że człowiek w końcu odczuwa takie rzeczy i nawet wierzy, że to wszystko prawda.

- Ale przecież czujemy to własnymi nosami - powiedział stary Jakub.

- No i co z tego - powiedział don Maximo Gómez. - Podczas wojny, kiedy rewolucja już była pokonana, tak bardzo marzyliśmy o generale, że w końcu pojawił się nam książę Marlborough z krwi i kości. Widziałem go na własne oczy, Jakubie.

Było już po dwunastej. Stary Jakub, gdy został sam, zamknął sklep i przeniósł światło do sypialni. Przez okno odbijające się od lśniącego tła morza widział skałę, z której ciskano zmarłych.

- Petra - zawołał cicho.

Nie mogła go słyszeć. W tej właśnie chwili płynęła prawie na powierzchni w słonecznym południu Zatoki Bengalskiej. Uniosła głowę, by poprzez wodę ujrzeć - jak przez oświetlone okno wystawowe - olbrzymi transatlantyk. Ale nie mogła zobaczyć męża, do którego na drugim końcu świata zaczęły znowu docierać dźwięki z patefonu Catarina.

- Wyobraź sobie - powiedział stary Jakub. - Zaledwie sześć miesięcy temu myśleli, że zwariowałaś, a teraz sami czczą ten zapach, który przyniósł twoją śmierć.



Zgasił światło i położył się. Zaczął powolutku płakać tym pozabawionym wdzięku płaczem starych ludzi, ale zasnął bardzo szybko.

- Uciekłbym z tej wsi, gdybym mógł - chlipnął przez sen. - Poszedłbym sobie do jasnej cholery, gdybym miał ze dwadzieścia pesos.

Od tej nocy i przez wiele tygodni zapach wciąż nadlatywał z nad morza. Przesiały nim deski wszystkich mieszkań, żywność i woda zdatna do picia i nie było już takiego miejsca, gdzie by się go nie czuło. Wielu przestraszyło się, wywłachawszy go we własnym gównie. Mężczyźni i kobieta, którzy przyszli do sklepu Catarina, odeszli w piątek, ale już w sobotę wrócili z całym tłumem. W niedzielę przybyło jeszcze więcej ludzi. Niczym mrówki rozpełzli się po całej wsi w poszukiwaniu jedzenia i noclegu, tak że na ulicy nie można się było przecisnąć.

Przybyło ich jeszcze więcej. Kobiety, które odeszły wówczas, gdy wieś obumarła, też wróciły do sklepu Catarina. Były i grubsze, i bardziej umalowane i przyniosły ze sobą modne płyty, które nic nikomu nie przypominały. Przybyli także niektórzy z dawnych mieszkańców. Odeszli, by w innych stronach nadzieć się forszą, a teraz, trąbiąc na prawo i lewo o swoich bogactwach, wracali w tych samych łachmanach, które odchodząc mieli na sobie. Przybyły orkiestry i loterie, i wróżki, i rewolwerowcy, i ludzie, którzy z owiniętymi wokół szyi wężami sprzedawali eliksir życia wiecznego. Przybywali tak przez wiele, wiele tygodni, nawet wtedy gdy pierwsze deszcze się zaczęły, a morze wzburzyło się i zapach zniknął.

Jednym z ostatnich był ksiądz. Chodził po wszystkich kątach, odżywiając się bułką maczaną w filiżance kawy z mlekiem, i powolutku zaczął zakazywać tego wszystkiego, co pojawiło się przed nim: loterii i nowej muzyki, i tańców, i nawet nowego zwyczaju spania na plaży. A pewnego wieczoru, w domu Melchiora, wygłosił kazanie o zapachu morza.

- Niebu składajcie dzięki, moje dzieci - powiedział - albowiem jest to zapach Boga samego.

Ktoś mu przerwał.

- Skąd ojciec może o tym wiedzieć, jeżeli go jeszcze nie poczuł?

- Pismo Święte mówi wyraźnie o tym zapachu. Jesteśmy we wsi wybranej.

Tobiasz chodził jak lunatyk z jednego miejsca na drugie pośród tego całego jarmarku. Przyprowadził Klotyldę, żeby poznała pieniądze. Wyobrażali sobie, że obstawiają olbrzymie sumy w ruletce, później wszystko podliczali i czuli się niesamowicie bogaci tymi pieniędzmi, które mogli wygrać. Pewnej nocy ujrzeli jednak, i to nie tylko oni, ale i cały tłum zgromadzony we wsi, więcej pieniędzy, niż mogło się to im w głowach pomieścić.

Było to tej nocy, kiedy przybył pan Herbert. Przybył nagle, na środku ulicy postawił stół, a na stole dwa wielkie kufry wypełnione po brzegi banknotami. Tyle było pieniędzy, że z początku nikt ich nie zauważył, nie mogli bowiem uwierzyć, że była to prawda. Ale że pan Herbert zaczął wydzwaniać dzwoneczkiem, ludzie uwierzyli w końcu i chcąc go wysłuchać, stanęli wokół niego.

- Jestem najbogatszym człowiekiem na ziemi - powiedział. - Mam tyle pieniędzy, że nie wiem już, gdzie je podziąć. A ponieważ do tego wszystkiego mam tak duże serce, że nie mieści mi się ono w piersi, powziąłem decyzję, by świat cały objechać i wszystkie problemy, które gnębią rodzaj ludzki, rozwiązać.

Był wielki i rumiany. Mówił głośno i bez przerwy machał mizernymi ciepłymi rączkami, które wyglądały jak zawsze świeżo ogolone. Mówił tak przez kwadrans i odpoczął. Później znowu potrząsnął dzwoneczkiem i znowu zaczął mówić. W połowie przemówienia ktoś w tłumie machnął kapeluszem i przerwał mu.

- No dobra, mister, nie gadaj tyle, tylko zacznij już pan rozdawać tę forszę.

- O, co to, to nie - odpowiedział pan Herbert. - Rozdawać pieniądze ot tak sobie to nie tylko że niesprawiedliwe, ale i bez sensu.

Wzrokiem odszukał tego, kto mu przerwał, i dał znak, by się przybliżył. Tłum rozstąpił się.

- Ale za to - ciągnął pan Herbert - nasz niecierpliwy przyjaciel na pewno pozwoli nam wyjaśnić najbardziej sprawiedliwy sposób podziału bogactwa.

Wyciągnął rękę i pomógł mu wejść.

- Jak się nazywasz?

- Patricio.

- Bardzo dobrze, Patricio - powiedział pan Herbert. - Jak wszyscy, na pewno od dłuższego czasu masz jakiś problem, którego nie możesz rozwiązać.

Patricio zdjął kapelusz i przytaknął.

- A co to za problem?

- No więc ja mam taki problem - powiedział Patricio - że nie mam forsy.

- A ile jej potrzebujesz?

- Czterdzieści osiem pesos.

Okrzyk zwycięski wydarł się z piersi pana Herberta. "Czterdzieści osiem pesos!" - powtórzył. A tłum zawtórował mu oklaskami.

- No więc, bardzo dobrze, Patricio - ciągnął pan Herbert. - Teraz powiedz nam taką rzecz: co umiesz robić?

- Wiele rzeczy.

- Zdecyduj się na jedną - powiedział pan Herbert. - Na tę, którą robisz najlepiej.

- Dobrze - powiedział Patricio. - Umiem robić tak jak ptaszki.

I znowu klaszcząc, pan Herbert zwrócił się do tłumy.

- W takim razie, panie i panowie, nasz przyjaciel Patricio, który w sposób wyśmienity naśladuje ptaki, będzie teraz naśladować czterdzieści osiem przeróżnych ptaków i w ten sposób rozwiąże wielki problem swego życia.

I wtedy Patricio pośród milczenia zadziwionego tłumy zaczął naśladować ptaki. Gwizdał, to znów czasem wydobywał z gardła głosy wszystkich znanych ptaków i do brakującej liczby dodał takie, których nikt nie był w stanie rozpoznać. Na koniec pan Herbert poprosił o oklaski i wręczył mu czterdzieści osiem pesos.

- A teraz - powiedział - proszę się zgłaszać kolejno. Aż do dnia jutrzejszego i do tej samej godziny jestem tu po to, aby rozwiązywać wszelkie problemy.

Stary Jakub dzięki rozmowom ludzi przechodzących przed jego domem wiedział o całym tym rozgardiaszu. Po każdej następnej wiadomości serce mu rosło i rosło, aż poczuł że mu pęka.

- Co pan myśli o tym jankesie? - zapytał.

Don Maximo Gómez wzruszył ramionami.

- To musi być jakiś filantrop.

- Gdybym to ja umiał coś robić - powiedział stary Jakub - to mógłbym teraz rozwiązać swój problemik. To jest niewielki problem: dwadzieścia pesos.

- Pan bardzo dobrze gra w warcaby - powiedział don Maximo Gómez.

Stary Jakub zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Ale kiedy został sam, zawinął szachownicę i pudło z warcabami w gazetę i poszedł wyzwać pana Herberta. Czekał na swoją kolej aż do północy. A pan Herbert w końcu kazał załadować kufry i pożegnał się do następnego dnia.

Ale nie poszedł spać. Razem z ludźmi niosącymi kufry zjawił się w sklepie Catarina, a tłum podążył za nim ze swoimi problemami. Zaczął je powoli rozwiązywać i rozwiązał ich tyle, że w końcu w sklepie zostały tylko kobiety i niektórzy mężczyźni już bez problemów. W głębi samotna kobieta bardzo powoli wachlowała się jakimś kartonem.

- A ty? - krzyknął do niej pan Herbert. - Jaki jest twój problem?

Kobieta przestała się wachlować.

- Pan mnie tu, mister, nie pchaj w tę swoją zabawę - krzyknęła na całą salę. - Ja nie mam żadnych problemów, a kurwą jestem dla przyjemności pańskich jaj.

Pan Herbert wzruszył ramionami. Nadal stojąc przy otwartych kufrach i oczekując następnych problemów, popijał mrożone piwo. Pocił się. W chwilę później jakaś kobieta oddzieliła się od towarzystwa siedzącego przy stoliku i powiedziała mu coś bardzo cicho. Miała problem wielkości pięciuset pesos.

- Jaka jest twoja stawka? - zapytał ją pan Herbert.

- Pięć.

- Wyobrażasz to sobie? - powiedział pan Herbert. - To stu mężczyzn.

- Nic nie szkodzi - odpowiedziała. - Jeśli zdołam uzbierać tyle pieniędzy, będzie to ostatnia setka mężczyzn w moim życiu.

Przypatrzył się jej uważnie. Była bardzo młoda, o delikatnych drobnych kościach, ale jej oczy wyrażały niezłomną wolę.

- Może być - powiedział pan Herbert. - Idź do pokoju, tam będę ci ich posyłał, każdego z pięcioma pesos.

Stanął przy wejściowych drzwiach i potrząsnął dzwoneczkiem. O siódmej rano Tobiasz zastał sklep Catarina otwarty. Wszystkie światła były zgaszone. Pan Herbert prawie śpiąc, wzdęty od piwa, pilnował wchodzących do pokoju dziewczyny mężczyzn.

Tobiasz również wszedł. Dziewczyna знаła go, więc zdziwiła się na jego widok.

- Ty też?

- Powiedzieli mi, żebyś wszedł - powiedział Tobiasz. - Dali mi pięć pesos i powiedzieli: pospiesz się.

Ściągnęła z łóżka przesiąknięte potem prześcieradło i poprosiła Tobiasza, by złapał je z drugiej strony. Było ciężkie jak cała bela płótna. Skręcając prześcieradło z dwóch stron wyżełi je, aż odzyskało swą normalną wagę. Obrócili materac, pot spłynął. Tobiasz robił wszystko byle jak. Nim wyszedł, położył pięć pesos na wznoszącym się przy łóżku stosie pieniędzy.

- Przywołaj tu, ilu tylko możesz - zażądał pan Herbert - może skończymy z tym do południa.

Dziewczyna uchyliła drzwi i poprosiła o mrożone piwo. Czekają jeszcze wielu mężczyzn.

- Ilu brakuje? - zapytała.

- Sześćdziesięciu trzech - odpowiedział pan Herbert.

Stary Jakub przez cały dzień nie odstępował go ze swoimi warcabami. O zmierzchu przyszła i na niego kolej, wyjawił swój problem i pan Herbert zgodził się. Na środku ulicy postawił dwa krzesła, na dużym stole mały stoliczek i stary Jakub rozpoczął grę. Było to pierwsze i ostatnie posunięcie, które zdołał przemyśleć. Przegrał.

- Czterdzieści pesos - powiedział pan Herbert - i daję panu dwa pionki forów.

Znowu wygrał. Jego ręce ledwo dotykały warcabów. Grał z zamkniętymi oczami, przewidując posunięcia przeciwnika, i ciągle wygrywał. Tłum znudził się oglądaniem ich gry. Kiedy stary Jakub postanowił w końcu poddać się, winien był pięć tysięcy siedemset czterdzieści dwa pesos i dwadzieścia trzy centavos.

Nie przeraził się. Zapisał całą sumę na kartce i schował ją do kieszeni. Następnie złożył szachownicę, warcaby włożył do pudełka i wszystko owinął gazetą.

- Proszę mną rozporządzać, jak pan chce - powiedział - ale warcaby proszę mi zostawić. Przyrzekam, że przez całą resztę życia będę tylko grał, aby zebrać te pieniądze.

Pan Herbert popatrzył na zegarek.

- Bardzo mi przykro - powiedział. - Termin wygasa za dwadzieścia minut.

Począł, póki nie przekonał się, że przeciwnik nie może znaleźć żadnego wyjścia.

- Czy nic innego pan nie ma?

- Honor.

- No nie, chcę powiedzieć - wytłumaczył pan Herbert - coś, co zmienia kolor, kiedy pociągnie się toto pędzlem wysmarowanym farbą.

- Dom - powiedział stary Jakub, jakby rozwiązał jakąś zagadkę.

- Nic nie jest wart, ale zawsze to dom.

W ten sposób pan Herbert został właścicielem domu starego Jakuba. Został również właścicielem innych domów i innych rzeczy należących do tych, którzy nie potrafili wywiązać się ze swych zobowiązań, ale zarządził cały tydzień pełen muzyki, ogni sztucznych i linoskokczków i sam ogłosił się wodzirejem tej zabawy.

Pamiętny był ten tydzień. Pan Hebert mówił o cudownej przyszłości wsi i nawet narysował wizję tej przyszłości z olbrzymimi, szklanymi gmachami i tanecznymi parkietami na dachach. Rysunek pokazał tłumom. Popatrzyli zdziwieni, próbując w kolorach namalowanych przez pana Herberta odszukać siebie pomiędzy przechodniami, byli tam jednak tak dobrze ubrani, że nie potrafili samych siebie rozpoznać. Aż rozbolały ich i tak już sfatygowane serca. Śmiech ich ogarniał na myśl o tym, że w październiku zbie-

rało im się na płacz, i tak długo żyli w oparach nadziei, póki pan Herbert dzwoneczkiem nie potrząsnął i końca całej zabawy nie ogłosił. Dopiero wtedy odpoczął.

- Jak pan tak dalej będzie żył, to w końcu pan umrze - powiedział stary Jakub.

- Mam tyle pieniędzy - odpowiedział pan Herbert - że nie widzę żadnego powodu, dla którego miałbym umierać.

Padł na łóżko. Spał dzień jeden i drugi, chrapiąc niczym lew, i tyle dni minęło, że ludzie zmęczeni się czekaniem na niego. Zaczęli w końcu z głodu wygrzebywać kraby. Nowe płyty Catarina tak się zestarzały, że nikt nie mógł już ich słuchać, łązy przy tym nie uroniwszy, i sklep trzeba było zamknąć. Upłynęło już wiele czasu od dnia, kiedy zasnął Herbert, gdy do drzwi starego Jakuba zapukał ksiądz. Dom był zamknięty od środka. Im więcej powietrza zużywał oddech śpiącego, tym bardziej przedmioty traciły na wadze, a niektóre już zaczęły unosić się w powietrzu.

- Chcę z nim porozmawiać - powiedział ksiądz.

- Trzeba poczekać - powiedział stary Jakub.

- Nie mam zbyt wiele czasu.

- Proszę usiąść, ojczy, i poczekać - upierał się stary Jakub. - A tymczasem proszę ze mną porozmawiać. Od dawna nic nowego nie wiem o świecie.

- Ludzie zaczynają uciekać - powiedział ojciec. - Niedługo wieś będzie taka jak dawniej. To jedyna nowość.

- Wrócą - powiedział stary Jakub - jak tylko morze zacznie znowu pachnieć różami.

- Ale tymczasem trzeba podtrzymywać złudzenia tych, co zostali - powiedział ksiądz. - Trzeba szybko zbudować kościół.

- To o tym przyszedł ojciec porozmawiać z panem Herbertem - powiedział stary Jakub.

- Otóż to - powiedział ojciec. - Jankesi są bardzo litościwi.

- W takim razie proszę, ojczy, poczekać - powiedział stary Jakub - może się obudzi.

Zagrali w warcaby. Była to bardzo długa i trudna partia i trwała wiele dni, ale pan Herbert nie obudził się.

Ojcu z rozpaczy wszystko się pomieszało. Zaczął wszędzie chodzić z miedzianym talerzykiem, błagając o datki na kościół, ale niewiele uzbierał. Im więcej błagał, tym przezroczywszy się stawał i kości jakimś szumem zaczęły mu się wypełniać, a pewnej niedzieli wzniósł się na dwie piędzi nad ziemię, ale nikt się o tym nie dowiedział. Wtedy zapakował do jednej walizki ubranie, a do drugiej uzbierane pieniądze i pożegnał się na zawsze.

- Zapach nie wróci - powiedział tym, którzy starali się go powstrzymać. - Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, a prawda jest taka, że wieś w grzech śmiertelny popadła.

Kiedy pan Herbert obudził się, wieś była taka jak przedtem. Od deszczu gniły śmiecie, które tłum porozrzucił po ulicach, a ziemia znowu była jałowa i twarda jak cegła.

- Długo spałem - ziewnął pan Herbert.

- Wieki całe - powiedział stary Jakub.

- Umieram z głodu.

- Wszyscy umierają - powiedział stary Jakub. - Nie ma pan innego wyjścia, jak tylko iść na plażę i odgrzebywać kraby.

Tobiasz napotkał go ryjącego w piasku, z ustami pełnymi piany, i zdziwił się, że zgłodniaли bogacze tak bardzo są podobni do biednych. Pan Herbert nie znalazł wystarczającej ilości krabów. Wieczorem zaprosił Tobiasza, by razem z nim poszukał w głębi morza czegoś do jedzenia.

- Słuchaj pan - uprzedził go Tobiasz. - Tylko zmarli wiedzą, co jest tam głęboko.

- Uczeni również - powiedział pan Herbert. - Jeszcze niżej morza rozbitków leżą żółwie o przepysznym mięsie. Proszę rozebrać się i-idiemy.

I poszli. Najpierw popłynęli prosto, a później w dół, bardzo głęboko, aż do miejsca, gdzie skończyło się światło słoneczne, a później morskie światło i wszystko widoczne było wyłącznie dzięki własnemu świeceniu. Przepłynęli obok zatopionego miasteczka, w którym mężczyźni i kobiety konno objeżdżali budy z muzyką. Dzień był przepiękny, tak jak wielobarwne kwiaty na balkonach.



- Zatonęło jakieś niedzieli, gdzieś tak koło jedenastej rano - powiedział pan Herbert. - To musiał być kataklizm.

Tobiasz zбочył w stronę miasteczka, ale pan Herbert dał mu znak, by płynął za nim aż do dna.

- Tam rosna róże - powiedział Tobiasz. - Chcę, żeby Klotylda je poznała.

- Wrócisz innym razem - powiedział pan Herbert. - Teraz umieram z głodu.

Płynął niczym ośmiornica, odbijając się długimi, dostojnymi ruchami ramion. Tobiasz, który nie lada wysiłków musiał dokładać, by zupełnie go z oczu nie stracić, pomyślał, że tak widać płyną bogacze. Powoli pozostawiali za sobą morze wielkich katastrof i wpłynęli w morze zmarłych.

Było ich tylu, że Tobiasz nie bardzo wierzył, iżby mógł tak dużo ludzi ujrzeć na świecie. Zmarli płynęli bez ruchu, na różnych poziomach, twarzami zwróceni ku górze, a wszyscy mieli na twarzach wyraz istot zapomnianych.

- To bardzo dawno zmarli - powiedział pan Herbert. - Całych wieków potrzebowali, by dojść do takiego stanu spoczynku.

Głębiej, w wodach niedawno zmarłych, pan Herbert zatrzymał się. Tobiasz dopłynął do niego w chwili, gdy obok przepływała młoda kobieta. Płynęła na boku, z otwartymi oczami, za nią ciągnął cały nurt kwiatów.

Pan Herbert przyłożył do ust wskazujący palec i trwał tak, dopóki nie przepłynęły ostatnie kwiaty.

- To najpiękniejsza kobieta, jaką w moim życiu widziałem - powiedział.

- To żona starego Jakuba - powiedział Tobiasz. - Jest z pięćdziesiąt lat młodsza, ale to ona. Na pewno.

- Dużo musiała się napodróżować - powiedział pan Herbert. - Ciągnie za sobą kwiaty z mórz całego świata.

Dopłynęli do dna. Pan Herbert wiele razy okręcił się nad dnem, podobnym do rzeźbionej skały. Tobiasz płynął za nim. Gdy tylko przyzwyczał się do mroku panującego w głębinach, zauważył, że leżały tu żółwie. Były ich całe tysiące, rozciągnięte na dnie i tak nieruchome, że zdawały się skamieniałe.

- Są żywe - powiedział pan Herbert - ale śpią już miliony lat.

Odwrócił jednego. Lekkim ruchem popchnął go w górę, a śpiące zwierzę wymknęło mu się z rąk i zaczęło dryfować ku górze. Tobiasz przepuścił je. Popatrzył ku powierzchni i zobaczył całe morze do góry nogami.

- To chyba sen - powiedział.

- Dla twojego dobra - powiedział mu pan Herbert - lepiej nikomu o tym nie mów. Wyobraź sobie tylko, jaki by zapanował bałagan na świecie, gdyby ludzie się o tym wszystkim dowiedzieli.

Była już prawie północ, kiedy wrócili do wsi. Obudzili Klotyldę, aby nastawiła wody. Pan Herbert podciął żółwiowi gardło, ale musieli pogonić w trójkę, by dobić serce, które, gdy zaczęli ćwiartować żółwia, podskakując wytoczyło się na podwórze. Jedli, jedli, aż w końcu powietrza już zaczerpnąć nie mogli.

- No dobrze, Tobiaszu - powiedział wtedy pan Herbert. - Trzeba rzeczywistości spojrzeć prosto w oczy.

- Oczywiście.

- A rzeczywistość jest taka - ciągnął dalej pan Herbert - że zapach już nigdy nie wróci.

- Wróci.

- Nie wróci - wtrąciła się Klotylda - a między innymi dlatego, że go nigdy nie było. To ty wmówiłeś to wszystkim.

- Sama go czułaś - powiedział Tobiasz.

- Tamtej nocy byłam ogłupiała - powiedziała Klotylda. - Ale teraz z tym morzem nie jestem niczego pewna.

- A więc odchodzę - powiedział pan Herbert. I dodał zwracając się do obojga: - Państwo również powinniście odejść. Za wiele rzeczy jest do zrobienia na świecie, by można było sobie ot tak zostać i głodować w tej wsi.

I odszedł. Tobiasz został na podwórzu, licząc gwiazdy aż po horyzont, i odkrył, że od zeszłego grudnia przybyły trzy. Klotylda zawołała go z pokoju, ale nie zwrócił na nią uwagi.

- Chodź tutaj, ty dzikusie - napierała się Klotylda. - Już wieki całe nie robiliśmy jak króliki.

Tobiasz poczekał jeszcze dłuższą chwilę. Kiedy w końcu wszedł, już spała. Nie dobudził się jej całkowicie, a i sam był już tak zmęczony, że obojgu wszystko się pomieszało i w końcu mogli tylko jak liszki.

- Jesteś otumaniony - powiedziała rozwścieczona Klotylda. - Spróbuj myśleć o czymś innym.

- Myślę o czym innym.

Chciała wiedzieć, o czym, a on postanowił opowiedzieć jej, ale pod warunkiem, że nikomu tego nie powtórzy. Klotylda przyrzekała.

- Na dnie morza - powiedział Tobiasz - znajduje się miasteczko z białymi domkami i milionami kwiatów na balkonach.

Klotylda złapała się za głowę.

- Ojej, Tobiaszu - krzyknęła. - Ojej, Tobiaszu, na miłość boską, tylko nie zaczynaj od nowa.

Tobiasz nic więcej nie powiedział. Odsunął się na brzeg łóżka i spróbował zasnąć. Udało mu się to dopiero o świcie, kiedy zmienił się wiatr i kraby zostawiły go w spokoju.

## **Najpiękniejszy topielec świata**

Te dzieci, które pierwsze ujrzały ową tajemniczą, ciemną, morzem zbliżającą się górę, początkowo łudziły się, iż jest to okręt nieprzyjacielski. Później zauważyły, że nie ma on ani flag, ani masztów, pomyślały więc, że może będzie to wieloryb. Kiedy jednak osiadł na plaży i ściągnęły z niego oplatające go gąszcze sargassów, nitki meduz, resztki ławic i wraków, wtedy dopiero odkryły, że był to topielec.

Bawiły się nim przez całe popołudnie to grzebiąc go, to odgrzebiując z piasku, gdy przypadkiem ktoś je zauważył i zaalarmował całą wieś. Mężczyźni, którzy na ramionach donieśli topielca do najbliższej chałupy, stwierdzili, że waży on więcej niż jakikolwiek do tej pory znany im zmarły, prawie tyle co koń, i powiedzieli sobie, że widać zbyt długo dryfował i woda zdążyła wsiąknąć mu w kości. A kiedy ułożyli go na ziemi, zauważyli, że większy jest też od jakiegokolwiek mężczyzny, bo ledwie mieścił się w chałupie, pomyśleli jednak, że widać umiejętność wzrastania po śmierci le-

ży w naturze pewnych topielców. Pachniał morzem i tylko po kształcie można było przypuszczać, że były to zwłoki istoty ludzkiej, jego skóra bowiem pokryta była ogromnym pancerzem remora i błota.

Nie musieli oczyszczać mu twarzy, by upewnić się, że jest to nietutejszy zmarły. Wieś liczyła zaledwie dwadzieścia drewnianych, porozrzucanych po pustynnym cypelku chałup, z kamiennymi podwórzami pozbawionymi kwiatów. Ziemia była tak jałowa, że matki wciąż żyły w strachu, że wiatr porwie ich dzieci, a tych niewielu, którzy z upływem lat zmarli, zrzucano ze skalistej skarpy. Morze było jednak łagodne, hojne, a wszyscy mężczyźni mieścili się w siedmiu łodziach, tak więc gdy znaleźli topielca, starczyło im popatrzeć po sobie, by stwierdzić, że wszyscy są obecni.

Tej nocy nie wypłynęli w morze. Podczas gdy mężczyźni sprawdzali w sąsiednich osadach, czy przypadkiem kogoś nie brakuje, kobiety strzegły topielca. Wiązkami ostrych traw starły z niego błoto, z włosów wyplątały mu algi, a resztki ryb zeskrobały nożami. W miarę jak to robiły, zauważyły, że obrastająca go roślinność pochodzi z dalekich oceanów i z wód głębokich, a ubranie jego jest postrzępione, jakby przepływał pomiędzy labiryntami koralowych raf. Zauważyły również, że z dumą obnosi swoją śmierć: ani nie wydawał się samotny jak topielec morski, ani też nie miał obrzydliwego, nędznego wyglądu topielca rzecznego. Jednak dopiero gdy skończyły go czyścić, mogły w pełni zrozumieć, jakiego rodzaju był to mężczyzna, i wówczas dech zaparło im w piersiach. Nie tylko że był tym najwyższym, tym najsilniejszym, najbardziej męskim ze wszystkich mężczyzn, których kiedykolwiek widziały, ale im bardziej mu się przyglądały, tym bardziej cały ten ogrom w głowach im się nie mógł pomieścić.

W całej wsi nie znalazły ani łóżka odpowiednio dużego, by ułożyć go w nim, ani wystarczająco dużego stołu, by rozpocząć przyzwoite czuwanie przy zmarłym. Nie pasowały na niego żadne odświętne spodnie najwyższych mężczyzn, żadne koszule niedzielne najtęższych ani buty najroślejszych. Zachwycone jego niezwykłymi rozmiarami i urodą, postanowiły uszyć mu spodnie z ża-

głowego płótna i lnianą koszulę, by nadal mógł z godnością obnosić swoją śmierć. Gdy tak szyły, siedząc wokół niego, i zerkwały na nieboszczyka między jednym ścięciem a drugim, wydawało im się, że jeszcze nigdy wiatr nie był taki natrętny, a morze tak pożądlive, jak właśnie tej nocy, i przypuszczały, że zmiany te musiały mieć coś wspólnego ze zmarłym. Myślały, że gdyby mieszkał on we wsi, jego dom miałby szersze drzwi, wyższy sufit i solidniejszą podłogę, a łóżko jego miałoby piękną, mistrzowską oprawę z żelaznymi sworzniami, a jego żona byłaby najszczęśliwszą z kobiet. I myślały, że miałby wszędzie taki posłuch, że miast łowić, starczyłoby mu skrzykiwać ryby, i tyle uporu wkładałby w tę swoją pracę, iż spod najtwardszych kamieni wytrysłyby źródła, a skały zdołałby obsiać kwiatami. W skrytości porównywały go ze swoimi mężami, myśląc, że w całym swoim życiu nie byłiby w stanie dokonać tylu rzeczy, ile on w ciągu jednej nocy, i w głąb swego serca zaczęły ich w końcu odsuwać, widząc w nich najbrzydsze, najnędniesze istoty na ziemi. I błąkały się tak w labiryntach wyobraźni, gdy najstarsza z kobiet, która właśnie dlatego, że najstarsza, przyglądała się topielcowi nie tyle z namiętnością, ile z litością, westchnęła;

- Taką ma twarz, jakby mu było Stefan.

Była to prawda. Większości starczyło jeszcze raz popatrzeć, by zrozumieć, że inaczej nie mógł mieć na imię. Najbardziej uparte, to znaczy najmłodsze, łudziły się jeszcze, że kiedy będzie już leżeć między kwiatami w ubraniu i w lakierkach, mógłby mieć na imię Lautaro. Próżne to jednak były złudzenia. Płótna zabrakło, spodnie, źle skrojone i jeszcze gorzej uszyte, okazały się za ciasne, a ukryte siły jego serca spowodowały, że guziki przy koszuli odskoczyły. Po północy świst wiatru nieco ucichł, a morze zapadło w środową drzemkę. Cisza skończyła się wraz z ostatnimi wątpliwościami: to był Stefan. Kobiety - i te, które ubrały go, i te, które go uczesały, i te, które obcięły mu paznokcie, i te, które ogołiły brodę - nie mogły opanować odruchu współczucia, kiedy musiały poddać się i zostawić go rozciągniętego na ziemi. Wtedy to właśnie zrozumiały, jak bardzo musiał być nieszczęśliwy z tym swoim niezwykłym ciałem, jeśli mu zawadzało nawet po śmierci.

Zobaczyły go, jak skazany jest na wchodzenie bokiem przez drzwi, jak rozbija sobie głowę o stropy, jak wiecznie musi sterczeć podczas wizyt, nie wiedząc, co począć ze swymi delikatnymi, różowymi rękami wolu morskiego, gdy tymczasem pani domu, szukając gorączkowo najsolidniejszego krzesła, umierając ze strachu, prosi, proszę, Stefanie, bądź łaskaw, o tutaj siadaj, a on, oparty o ścianę, uśmiechając się, ależ proszę się o mnie nie martwić, tak mi dobrze, z odciskami na piętach i na plecach od ciągłego powtarzania się tego samego podczas każdej wizyty, proszę się tak-nie przejmować, tak mi dobrze, tylko z obawy przed rozwaleniem krzesła i może nawet nie wiedząc do końca swoich dni, że ci, którzy tak prosili, ależ nie odchodź, Stefanie, poczekaj, aż się kawa zaparzy, że ci sami po jego wyjściu wzdychali, no, już poszedł sobie ten piękny półgłówek, całe szczęście, poszedł sobie ten przystojny idiota. O tym właśnie myślały czuwające przy trupie kobiety, nieco przed świtem. Później, gdy zakryły mu twarz chustką, by światło nie raziło go, ujrzały go tak na zawsze nieżywego, tak bezbronego, tak podobnego do swoich mężów, że pierwsze szczeliny łez otworzyły się w ich sercach. Jedna z najmłodszych zaczęła płakać. Inne, jedna drugą zachęcając, od westchnień przeszły do lamentów i im więcej łkały, tym więcej im się chciało płakać, bo topielec coraz bardziej stawał się Stefanem, a w końcu zaczęły tak płakać, że stał się najsamotniejszym mężczyzną na świecie, najłagodniejszym, najusłużniejszym, ten biedny Stefan. Więc gdy wrócili mężczyźni z wiadomością, że topielec nie pochodził również z sąsiedniej wsi, poczuły, że w szczeliny łez zakrada się radość.

- Bogu niech będą dzięki - westchnęły. - Jest nasz.

Mężczyźni pomyśleli, że cały ten lament wypływa z kobiecej lekkomyślności. Zmęczeni nocnymi, zawiłymi poszukiwaniami, pragnęli jedynie pozbyć się kłopotliwego intruza, zanim wzejdzie palące słońce tego suchego, bezwietrznego dnia. Naprędce z resztek żagli i masztów zrobili nosze, podmocowali je mieczem, by wytrzymały ciężar ciała aż do skał. Chcieli przywiązać do nóg kotwicę ze statku handlowego, by bez przeszkód zanurzył się w najgłębszych morzach, gdzie ryby są ślepe, a nurkowie umierają z tę-

sknoty, tak by złe prądy znów nie wyrzuciły go na brzeg, jak to bywało z innymi ciałami. Im bardziej się jednak spieszyli, tym więcej rzeczy kobiety wymyślały, byle zyskać nieco czasu. Chodziły jak wystraszone kury, wydziobując z kufrów morskie talizmany, to jedne przeszkadzały, ponieważ chciały zmarłemu nałożyć szkaplerze od dobrego wiatru, to znów inne, aby przypiąć mu bransoletę dobrego kierunku, i w końcu od tych idź stąd, kobieto, stań gdzieś, gdzie nie będziesz przeszkadzać, no popatrz, o mało co przez ciebie nie wpadłem na trupa, mężczyznom wątroba spuchła od tej kobiecej przezorności i podejrzliwi zaczęli sarkać, po jaką cholere tyle tego zelastwa i świecidełek jak z głównego ołtarza, i to dla jakiegoś tam przybłedy, nawet gdyby nie wiadomo, ile miał na sobie tych wszystkich gwoździ i garnków, i tak zeżrą go rekiny, ale one nadal wpychały swoje tandetne relikwie, znosząc je i znosząc, obijając się jedna o drugą, podczas gdy w westchnieniach wymykało im się to, co nie mogło znaleźć ujścia w łzach, tak że mężczyźni w końcu zaczęli psioczyć, że od kiedy to tutaj tyle hałasu o wyrzuconego przez morze trupa, o bezpańskiego topielca, gównianego zdechlaka. Jedna z kobiet, srodze dotknięta takim brakiem szacunku i czułości, zdjęła z twarzy zmarłego chustkę, a wtedy mężczyznom dech zaparło w piersiach.

To był Stefan. Nie trzeba było tego powtarzać, żeby go od razu poznali. Gdyby im powiedziano sir Walter Raleigh, to może nawet i na nich zrobiłby wrażenie ten jego cudzoziemski wygląd, ten zarzucony na ramiona guakamajański szlafrok, ten jego arkabuz do zabijania kanibali, ale Stefan mógł być tylko jeden jedyny na świecie, i tam właśnie leżał, rzucony jak ryba, bez butów, w niemowlęcych portkach i z tymi paznokciami twardymi jak skała, które obciąć można było jedynie nożem. Wystarczyło zerwać mu z twarzy chustkę, by zauważyć, że jest zawstydzony, że to nie jego wina, że jest taki duży, taki ciężki i taki przystojny, i gdyby wiedział, że coś takiego może się stać, to poszukałby innego, cichszego miejsca, -żeby się utopić, poważnie, sam bym sobie uwiesił na szyi kotwicę z galeonu i wahałbym się, jak ten, który nie szuka grobu wśród skał, by teraz nie zawadzać tym środowym trupem, jak to państwo mówicie, by nie przeszkadzać nikomu tym gów-

nianym zdechlakiem, który ze mną nie ma nic wspólnego. Tyle było szczerości w jego zachowaniu, że najpodejrzliwsi z mężczyzn, ci, których niepokoiły te krótkie, morskie noce, zaczęli bać się, że ich żony, zmęczone snami o nich, zaczną śnić o topielcach, więc nawet ci i jeszcze bardziej zatwardziali wzruszyli się aż do szpiku kości prostodusznością Stefana.

Tak więc doszło do tego, że uczcili go najwspanialszymi uroczystościami pogrzebowymi, jakie tylko dla topielca-podrzutka można sobie wyobrazić. Jedne z kobiet udały się do sąsiednich wsi po kwiaty i wróciły z tamtejszymi kobietami, które nie wierzyły w to, co im opowiedziano, i same, gdy ujrzały zmarłego, wróciły po jeszcze więcej kwiatów, i po jeszcze więcej, i jeszcze więcej, aż zebrało się tyle kwiatów i tyle ludzi, że ledwo można było się przecisnąć. W ostatniej chwili serca im się ścisnęły na myśl, że zwracają go morzu tak osieroconego, i wybrali mu spośród najlepszych matkę i ojca, a reszta została jego braćmi, wujkami i kuzynami, tak że poprzez niego wszyscy mieszkańcy wsi raptem spowinowacili się między sobą. Niektórzy z marynarzy, słysząc z daleka lament i płacz wielki, stracili pewność kierunku, w którym płynęli, a nawet słyszano o takim jednym, który powołując się na stare opowieści o syrenach, kazał przywiązać się do masztu. Podczas gdy wyklócano się o przywilej przeniesienia go na ramionach poprzez strome urwiska skał, mężczyźni i kobiety po raz pierwszy uświadomili sobie pustkę swoich ulic, spiekotę swoich podwórek, ciasnotę snów wobec blasku i piękności swojego topielca. Zrzucili go bez kotwicy, by mógł wrócić, jeśli zechce i kiedy tylko zechce, i wszyscy wstrzymali oddech na to mgnienie wieków, gdy ciało zawisło nad przepaścią. Nie musieli wcale spojrzeć na siebie, by zrozumieć, że czegoś w nich zabrakło i że zawsze będzie brakować. Zrozumieli jednak również, że teraz wszystko będzie inne, że drzwi do ich mieszkań będą szersze, że sufity będą wyższe, podłogi mocniejsze, aby pamięć o Stefanie, nie uderzając o stropy, mogła wszędzie wchodzić, by nikt nie mógł już szeptać, umarł już ten olbrzym przygłupek, jaka szkoda, już umarł ten przystojny idiota, ponieważ oni pomalują ściany na wesołe kolory, aby uwiecznić pamięć o Stefanie, i krzyż sobie



nadwerężą, dokopując się w kamieniach źródeł i sadząc na skałach kwiaty, aby o świcie tych lat szczęśliwych pasażerowie olbrzymich statków budzili się na pełnym morzu odurzeni zapachem ogrodów, a kapitan musiał zejść ze swojego alkazaru w galowym mundurze, ze swoim astrolabium, swoją gwiazdą polarną, z rzędami wojennych odznaczeń i, wskazując na cypel róż na widnokręgu Morza Karaibskiego, powiedzieć w czternastu językach, proszę tam spojrzeć, tam gdzie wiatr jest teraz tak łagodny, że zasypia pod łózkami, tam gdzie słońce lśni tak, iż słoneczniki nie wiedzą, w którą obracać się stronę, o, tam właśnie jest wieś Stefana.

### **Śmierć wierniejsza niż miłość**

Kiedy senator Onesimo Sanchez poznał kobietę swego życia, brakowało mu do śmierci sześciu miesięcy i jedenastu dni. Poznał ją w Rosal del Virrey, iluzorycznej wiosce, która nocą służyła statkom przemytniczym za port, w pełnym słońcu natomiast wydawała się najbardziej nijakim skrawkiem pustyni nad jałowym, prowadzącym donikąd morzem, i tak od wszystkiego dalekim, że nikomu nawet przez myśl by nie przeszło, iż może tu mieszkać osoba zdolna komukolwiek złamać życie. Nawet jej nazwa zdawała się być żartem, albowiem jedyną różę, którą w tej wsi widziano, przywiózł sam senator Onesimo Sanchez właśnie tego dnia, kiedy poznał Laurę Farina.

Był to nieunikniony etap w przeprowadzanej co cztery lata kampanii wyborczej. Cały ten cyrk przyjechał z rana. Nieco później samochody z wynajętymi Indianami, których obwożono po wsiach celem robienia tłoku podczas spontanicznych manifestacji miejscowej ludności. Nieco przed godziną jedenastą, witany przez święte przybocznych wieśniaków muzyką i salwami sztucznych ogni, nadjechał samochód ministerialny o kolorze truskawkowego kompotu. Senator Onesimo Sanchez w klimatyzowanym samochodzie czuł się spokojny, poza czasem, ale ledwie otworzył drzwiczki, wstrząsnął nim ognisty powiew, jego jedwabna koszula stała się jedną siną plamą i poczuł się nagle wiele, wiele lat starszy i bardziej samotny niż kiedykolwiek. W rzeczywistości ukończył

czterdziesty drugi rok, jak również studia w Getyndze, gdzie ze wszystkimi honorami uzyskał tytuł inżyniera metalurgii, jednocześnie zaś stale, choć bez większego szczęścia, czytał źle przetłumaczonych klasyków rzymskich. Był również mężem pogodnej Niemki, z którą miał pięcioro dzieci, i wszyscy w tym stadle byli szczęśliwi, a on najszczęśliwszy ze wszystkich, póki nie oznajmiono mu nagle, trzy miesiące temu, że w święta Bożego Narodzenia umrze na zawsze.

Podczas gdy dobiegały końca przygotowania do manifestacji, senator zdołał na godzinę pozostać w pokoju, który zarezerwowano mu dla wypoczynku. Zanim, się położył, umieścił w wodzie zdanej do picia prawdziwą różę, którą zdołał zachować przy życiu mimo długiej podróży przez pustynię, następnie posilił się płatkami dietetycznymi, które woził ze sobą stale, aby uniknąć i tak zawsze niezmiennie go oczekującej koźlej pieczeni, i przed ustaloną godziną połknął kilka pastylek, by ulga nadeszła nieco wcześniej niż ból. Włączył w pobliżu hamaka elektryczny wentylator i nago położył się na piętnaście minut w półcieniu róży, usilnie starając się zająć umysł jakąkolwiek rozrywką, by podczas drzemki nie myśleć o śmierci. Nikt oprócz lekarzy nie wiedział, że jest skazany na konkretny termin, postanowił bowiem sam odcierpieć swoją tajemnicę, w niczym nie zmieniając dotychczasowego trybu życia, kierując się nie tyle dumą, ile wstydlivością.

O trzeciej po południu, gdy ponownie ukazał się oczom publiczności, czuł, że wypoczęty, czysty, w lnianych spodniach, kwiecistej koszuli, podtrzymywany na duchu pigułkami, w pełni nad sobą panuje. Śmierć drażyła go jednak bardziej podstępnie, niż przypuszczał, wchodząc bowiem na trybunę poczuł zgoła nieoczekiwaną pogardę dla tych, którzy rozpychali się na lewo i prawo, byle dostąpić owego zaszczytu i uścisnąć dłoń senatorską, i nie ogarnęła go, tak jak w latach poprzednich, litość nad tym tabunem bosych Indian, ledwo wytrzymujących saletrzany żar spękanego placyku. Nieomal wściekły, ruchem ręki przerwał oklaski i zaczął mówić, stojąc nieruchomo, z oczami utkwionymi w parujące od upału morze głów. Jego powolny, cichy głos był monotony jak stojąca woda, a na wyuczone, tyle już razy przeżute przemó-

wienie zdobył się nie dlatego, iż chciał powiedzieć prawdę, ale by przeciwstawić się pewnemu fatalistycznemu zdaniu z księgi czwartej Marka Aureliusza.

- Jesteśmy tu po to, aby pokonać przyrodę - zaczął, wbrew swemu przekonaniu. - Nie będziemy już ojczyźnianymi podrzutkami, sierotami bożymi w tym królestwie suszy i sloty, wygnaniami na naszej własnej ziemi. Będziemy inni, panie i panowie, będziemy wielcy, będziemy szczęśliwi.

To były stałe powiedzonka jego błazeńskiego repertuaru. Podczas przemówienia senatorska świta całymi garściami rzucała w powietrze papierowe ptaszki, a owe sztuczne istoty przelatowały, nagle ożywione, nad drewnianą trybuną, i odfruwały nad pełne morze. Inni w tym samym czasie wyciągali z wozów teatralne drzewa, obrośnięte filcowymi liśćmi, i obsadzali nimi za plecami tłumy saletrzanym gruntem. Wzniesli w końcu kartonową fasadę udającą rząd murowanych domków, w których lśniły wstawione szyby, i zakryli nią nędzne chałupy z prawdziwego życia.

Senator dwoma łacińskimi cytatami przedłużył przemówienie, by dać nieco więcej czasu na rozpoczęcie mającej teraz nastąpić farsy. Przyrzekł maszyny sprowadzające deszcz i małe przenośne aparaciki hodujące bydło, i olejki szczęścia, po których warzywa rosną bujnie na saletrzanej ziemi, i wiszące ogrody bratków w oknach. A kiedy spostrzegł, że jego świat fikcji jest już ustawiony, wskazał go wyciągniętą ręką.

- Tacy będziemy, panie i panowie - krzyknął. - Proszę spojrzeć. Tacy będziemy.

Publiczność odwróciła się. Transatlantyk z barwnie wymalowanego papieru przepływał za domami, wyższy od całego sztucznego miasta. I tylko senator spostrzegł, że od tylokrotnego montowania i rozmontowywania, przenoszenia z jednego miejsca na drugie, również i kartonowe miasteczko zostało zżarte przez deszcz, że było równie nędzne, smutne, kurzem pokryte co Rosal del Virrey.

Nelson Farina po raz pierwszy od lat dwudziestu nie wyszedł na powitanie senatora. Wyciągnięty na hamaku wysłuchał całego przemówienia pośród resztek snu w chłodnym, gałęzistym cieniu

domu z nie heblowanych desek, zbudowanego tymi samymi aptekarskimi dłońmi, którymi poćwiartował swoją pierwszą żonę. Uciekł z więzienia w Cayena i statkiem wiozącym ładunek Bogu ducha winnych papug przyplłynął do Rosal del Virrey z piękną, pogańską Murzynką napotkaną w Paramaribo, z którą miał córkę. Wkrótce potem żona umarła śmiercią naturalną, nie doczekawszy tego szczęścia co poprzednia, której poćwiartowane szczątki użyźniły jej własny kalafiorowy ogródek, pochowano ją bowiem w całości i pod własnym holenderskim nazwiskiem na miejscowym cmentarzu. Córka po niej odziedziczyła kolor skóry i sylwetkę, ale oczy żółte i wiecznie zdumione po ojcu, który miał powody przypuszczać, że wychowuje najpiękniejszą na świecie kobietę.

Już od dnia, gdy podczas pierwszej kampanii wyborczej poznał senatora Onesimo Sancheza, Nelson Farina prosił go o pomoc w zdobyciu fałszywego dowodu osobistego, który uwolniłby go od wymiaru sprawiedliwości. Senator, miły, acz nieustępliwy, ciągle odmawiał. Nelson Farina przez wiele lat nie rezygnował i zawsze, gdy tylko znalazł ku temu sposobność, powtarzał swą prośbę, różnie ją zresztą motywując. Ale odpowiedzi, które otrzymywał, brzmiały wciąż jednakowo. Tym razem więc pozostał w hamaku, skazując się na gnicie żywcem w tej ognistej jaskini piratów. Gdy usłyszał końcowe oklaski, wyciągnął szyję i przez paliki ogrodzenia ujrzał kulisy farsy: podpory gmachów, szkielety drzew, ukrytych prestidigitatorów. Splunął z odrazą.

- Merde - powiedział -c'est le Blacaman de lapolitique.

Jak to było w jego zwyczaju, wygłosivszy przemówienie senator udał się uliczkami wsi na spacer przy akompaniamencie muzyki i petard w otoczeniu wywodzących swe żale mieszkańców. Senator słuchał ich z uprzejmym wyrazem twarzy, odnajdując wciąż nowe sposoby dodania im otuchy, nie obdarzając zresztą nikogo zbyt ryzykownymi względami. Jakaś kobieta, która wdrapała się ze swoimi dziećmi na dach jednej z chałup, zdołała poprzez wrzawę i wybuchy petard dokrzyczeć się do senatora:

- Ja o zbyt wiele nie proszę, panie senatorze - krzyknęła - tylko o osła, na którym mogłabym przewozić wodę ze Studni Wisielców.

Senator przypatrzył się sześciorgu wymorusanym dzieciakom.

- A co robi twój mąż? - spytał.

- Poszedł szukać szczęścia na wyspie Aruba - odpowiedziała kobieta pogodnie - no i znalazł sobie jakąś cudzoziemkę, z tych, co to sobie dziury w zębach zatykają diamentami.

Odpowiedź wywołała salwę śmiechu.

- Dobrze - zdecydował senator - będziesz miała swego osła.

Nieco później jeden z jego pomocników przyprowadził jej osła, na którego grzbiecie wymalowano trwałą farbą jedno z haseł wyborczych, tak aby nikt nie zapomniał, że to dar senatorski.

W czasie krótkiego ulicznego przemarszu miał senator i inne, nieco mniej wspaniałomyślne gesty, a poza tym nakarmił łyżką chorego, który kazał sobie wystawić łóżko przed dom, aby być świadkiem jego przemarszu. Dochodząc do ostatniego skrzyżowania, senator ujrzał pomiędzy palikami podwórza rozciągniętego w hamaku Nelsona Farina, który wydał mu się mizerny i jakby poszarzały, niemniej przywitał się z nim oschle.

- Jak się pan czuje?

Nelson Farina odwrócił się w hamaku i zatopił senatora w smutnym bursztynie swego wzroku.

- Moi, vous savez - odpowiedział.

Jego córka, słysząc rozmowę, wyszła na podwórze. Miała na sobie dość pospolity i podniszczony szlafrok, głowę roziskrzoną kolorowymi świecidełkami, twarz wysmarowaną kremem, jednak nawet tak niedbale ubrana sprawiała wrażenie, że piękniejszej od niej nie było na świecie. I senatora zatkało.

- Psiakrew - westchnął pełen zdumienia - ze też Boga trzymają się takie cholerne pomysły.

Tej nocy Nelson Farina ubrał córkę w najpiękniejszą suknię i posłał do senatora. Dwóch uzbrojonych w karabiny strażników, którym od upału opadały głowy, kazało poczekać jej na jedynym w przedpokoju krześle.

Senator znajdował się w sąsiednim pokoju razem z osobistościami Rosal del Virrey, które wezwał celem wyśpiewania im prawd przemilczanych przez niego w przemówieniu. Zebrani byli tak łudząco podobni do tych, którzy zawsze i we wszystkich pustynnych wsiach przychodzili do niego, że nawet sam senator miał już dość tych wciąż i noc w noc powtarzających się zebrań. Koszulę zalaną potem próbował wysuszyć na sobie w ciepłym wirze elektrycznego wentylatora, brzęczącego w sennym pokoju niczym bąk.

- My oczywiście na papierowe ptaszki nie dajemy się łapać - powiedział. - Wiemy wszyscy, tak panowie, jak i ja, że z dniem kiedy wyrosną tu drzewa i zakwitną kwiaty, tu, w tym kozim sra-czu, z dniem kiedy w kałużach pławić się tu będą ryby zamiast robaczywego świństwa, z tym dniem ani panowie, ani ja nie mamy tu nic do roboty. Rozumiemy się?

Nikt nie odpowiedział. Przemawiając, senator wyrwał obrazek z kalendarza i palcami złożył papierowego motyla. Puścił go bezmyślnie w płynący od wentylatora nurt, a motyl przefrunął przez pokój i wyleciał przez uchylone drzwi. Senator kontynuował z wyższością, jaką dawała mu jego zmowa ze śmiercią.

- Tak więc - powiedział - nie muszę panom powtarzać tego, co panowie i tak wystarczająco dobrze wiedzą: że mój ponowny wybór jest dla panów i tak lepszym interesem niż dla mnie, ponieważ ja tej wiecznie zgniłej wody i indiańskiego potu mam już wyżej uszu, a panowie na odwrót, żyjecie z tego.

Laura Farina ujrzała wyfruwającego motyla. Zauważyła go jedynie ona, gdyż strażnicy w przedpokoju, obejmując karabiny, zasnęli na ławach. Zatoczywszy wiele kręgów, motyl z kalendarzowego obrazka rozłożył się, przylepił do ściany i znieruchomiał. Laura Farina spróbowała oderwać go paznokciami. Jeden z wartowników, przebudziwszy się na odgłos oklasków dochodzących z drugiego pokoju, spostrzegł jej bezowocne próby.

- Nie ma co odrywać - powiedział sennie. - On jest wymalowany na ścianie.

Laura Farina wracała właśnie w stronę krzesła, kiedy mężczyźni zaczęli wychodzić z zebrania. Senator, trzymając rękę na klam-

ce, stanął w drzwiach i gdy tylko pokój opustoszał, spostrzegł Laurę Farina.

- Co tu robisz?

- Cest de la part de mon pere - odpowiedziała.

Senator zrozumiał. Rzucił okiem na drzemającą wartę, następnie spojrzał na Laurę Farina, której nieprawdopodobna uroda silniejsza była od jego bólu, i wtedy postanowił, by śmierć zdecydowała za niego.

- Wejdz - powiedział.

Laura Farina stanęła w drzwiach oczarowana: w powietrzu fruwało tysiące banknotów, trzepocących jak motyle. Senator wyłączył jednak wentylator, banknotom zabrakło powietrza i opadły na wszystkie znajdujące się w pokoju przedmioty.

- No i widzisz - zaśmiał się. - Nawet gówno lata.

Laura Farina usiadła jak przykładna uczennica w szkolnej ławie. Skórę miała gładką, napiętą, tej barwy i tej słonecznej gęstości co nafta, jej włosy były grzywą żrebicy, a jej ogromne oczy były jaśniejsze od światła. Senator podążył śladem jej wzroku i na końcu odnalazł różę przysypaną saletrą.

- To róża - powiedział.

- Tak - powiedziała z niepewną miną - widziałam różę w Riohacha.

Senator, rozpinając koszulę i mówiąc o różach, usiadł na polowym łóżku. Na boku, w miejscu, gdzie jak przypuszczał, znajdowało się serce, miał piracki tatuaż, serce przebite strzałą. Rzucił na podłogę przemoczoną koszulę i poprosił Laurę Farina, aby pomogła mu zdjąć buty. Przykucnęła. Senator w zamyśleniu wciąż patrzył na nią i gdy rosznurowywała mu buty, zadał sobie pytanie, dla kogo z nich dwojga spotkanie to okaże się pechowe.

- Jesteś jeszcze dzieckiem - powiedział.

- Nie bardzo - odpowiedziała. - Skończę dziewiętnaście w kwietniu.

Senator zainteresował się.

- Którego?

- Jedenastego - odpowiedziała.

I senator poczuł się lepiej. "Jesteśmy Baranem", powiedział. I dodał, uśmiechając się:

- To znak samotności.

Laura Farina, nie wiedząc, co zrobić z butami, nie zwróciła na niego uwagi. Senator ze swej strony nie bardzo wiedział, co zrobić z Laurą Farina, nie był bowiem przyzwyczajony do nieprzewidywanych miłości, zresztą dobrze wiedział, że źródłem ich jest grzech. Byle tylko zyskać na czasie i móc wszystko przemyśleć, kolanami uwięził Laurę Farina, objął ją w talii i położył się na plecach, i wtedy poczuł, że pod suknią jest naga, bowiem ciało jej zapachniało dzikim zwierzęciem, a serce jej było wystraszone i skóra oszołomiona lodowatym potem.

- Nikt nas nie kocha - westchnął.

Laura Farina chciała coś powiedzieć, ale powietrza starczało jej tylko na oddech. Aby jej pomóc, ułożył ją przy boku, zgasił światło, a pokój zanurzył się w półmroku róży. Zdała się na łaskę swego losu. Senator powoli ją pogłaskał, zaczął szukać, ledwie jej dotykając, ale tam gdzie spodziewał się ją znaleźć, ręka natrafiła na żelazną przeszkodę.

- Co tam masz?

- Kłódkę - odpowiedziała.

- Idiotyzm - powiedział rozwścieczony senator i zapytał o to, o czym sam aż nadto dobrze wiedział. - Gdzie jest klucz?

Laura Farina odetchnęła z ulgą.

- Mój tatuś go ma - odpowiedziała. - I kazał panu powiedzieć, żeby przez posłańca wysłał mu pan pisemną zgodę na uregulowanie jego sytuacji.

Senator zeszywniał. "Skurwysyńskie Francuzisko", zasyczał, oburzony. Później dla odprężenia zamknął oczy i znalazł się sam z sobą w ciemnościach. Pamiętaj - przypomniał sobie - że czy to będziesz ty, czy ktokolwiek inny, niedługo pomrzecie, a w czas niedługi choćby i nazwisko po was nie zostanie. Poczekał, aż minęły mu dreszcze.

- Powiedz mi taką rzecz - zapytał. - Co o mnie mówią?

- Najprawdziwszą prawdę?

- Najprawdziwszą prawdę.



- No dobrze - odważyła się Laura Farina - mówią, że jest pan gorszy niż tamci, bo jest pan inny.

Senator nie pogniewał się. Milczał długo, z przymkniętymi oczami, a kiedy znów uniósł powieki, zdawał się powracać ze swoich najtajniejszych zakamarków.

- Co za cholera - zdecydował - powiedz skurwielowi, twojemu ojcu, że załatwię jego sprawę.

- Jak pan chce, to sama pójdę po klucz - powiedziała Laura Farina. Senator zatrzymał ją.

- Zapomnij o kluczu - powiedział - i spróbuj na chwilę zasnąć przy mnie. Dobrze być z kimś, gdy jest się samotnym.

I wtedy, z oczami utkwionymi w róży, ułożyła go w swoich ramionach. Senator objął ją w tali. Twarz ukrył pod jej ramieniem dzikiego zwierzęcia i poddał się trwodze. W sześć miesięcy i jedenaście dni później miał umrzeć w tej samej pozycji, zdruzgotany, odepchnięty z powodu skandalu publicznego z Laurą Farina, płacząc z wściekłości, że umiera bez niej.

### **Ostatnia podróż statku-widma**

Teraz pokażę wam, kim jestem, powiedział do siebie swoim nowym, tubalnym głosem mężczyzna, w wiele lat potem, gdy po raz pierwszy zobaczył bezmierny, bezgłośny, mroczny transatlantyk, który pewnej nocy minął miasteczko niczym ogromny, bezludny pałac, dłuższy od całego miasteczka, o wiele wyższy od jego kościelnej wieży, i w ciemnościach płynął dalej ku kolonialnemu miastu po drugiej stronie zatoki, obwarowanemu przed piratami, ze starym, niewolniczym portem i latarnią morską, której ponure snopy światła co piętnaście sekund przemieniały miasteczko w księżycowy obóz o świecących domach i ulicach z wulkanicznych pustkowi, i choć był wówczas dzieckiem, bez tego tubalnego, męskiego głosu, ale za to z pozwoleniem matki na przysłuchiwanie się do późna na plaży nocnym harfom wiatru, pamiętał nadal, jak gdyby miał go stale przed oczyma, że transatlantyk zniknął, gdy światło latarni padało na jego burtę, i pojawiał się znowu, kiedy minął go snop światła, i w ten sposób był to pulsujący statek, który pojawiał się i zniknął, póki nie wpłynął do zatoki, gdzie niczym

lunatyk zaczął szukać boi wskazujących portowy szlak, aż widać coś zepsuło się w igłach busoli, bowiem zaczął dryfować ku rafom, wpadł na nie, rozleciał się na drobne kawałki i zatonął bez jakiegokolwiek odgłosu, chociaż podobne zdarzenie powinno spowodować olbrzymi szcęk żelastwa i taką eksplozję maszyn, że zmroziłoby ze strachu najmocniej śpiące smoki w prehistorycznej puszczy, która zaczynała się przy ostatnich ulicach miasta, a kończyła się na drugim krańcu świata, tak iż nawet sam myślał, że to wszystko widać mu się śniło, a tym bardziej nazajutrz, gdy zobaczył promieniujące wody zatoki i barwny rozgardiasz murzyńskich ruder na wzgórzach portu, i łodzie przemytników z Gujany, ładowane niewinnymi papugami, których żołądki pełne były diamentów, i pomyślał, widać zasnąłem licząc gwiazdy, i przyśnił mi się ten olbrzymi statek, jasne, a był tak o tym święcie przekonany, że nikomu nic nie powiedział i nie pamiętał już nawet tego przywidzenia, kiedy nocą, następnego marca, zamiast na poszukiwane przez niego ławice delfinów natrafił na ów urojony, ciemny, pulsujący transatlantyk, który znowu, jak i za pierwszym razem, płynął w tym samym błędnym kierunku, tym razem był jednak tak pewien swojej przytomności, iż natychmiast poleciał opowiedzieć o wszystkim matce, a ona przez trzy tygodnie zalewała się z rozczarowania łzami, bo mózg zaczyna ci już gnić od tego twojego wiecznego życia na opak, w dzień śpisz, a po nocach włóczysz się jak ludzie żyjący w grzechu, a że musiała wybrać się w tych dniach do miasta, by znaleźć coś wygodnego do siedzenia i w ten sposób spokojnie poświęcić się myślom o zmarłym mężu, bowiem w jej dotychczasowym bujaku w ciągu tych jedenastu lat wdowieństwa zniszczyły się już bieguny, więc skorzystała z nadarzącej się okazji i poprosiła przewoźnika, aby popłynął między rafami, a syn mógł zobaczyć to, co i tak widział już na pełnym morzu, igraszki miłosne płaszczyk na gąbczastych posłaniach, różowe pagrusy i błękitne korwiny, rzucające się w studnie najświeższych wód, nawet błakające się włosy topielców z jakiegoś rozbitego kolonialnego statku, ale ni śladu zatopionych transatlantyków, ni cholery żadnej, jednak syn tak się uparł, że matka przyrzekła towarzyszyć mu następnego marca przy nocnym czuwaniu,

na pewno nie wiedząc, że jedyną już jej pewnością w przyszłości miało być wyściełane krzesło z czasów Francisa Drake'a, zakupione przez nią na licytacji Turków, na którym tej samej nocy, chcąc odpocząć, usiadła, wzdychając, o mój biedny Holofernesie, gdybyś wiedział, jak dobrze się o tobie myśli, siedząc na tym pluszu i pośród tych brokatów niczym na królewskim katafalku, ale im więcej wzywała zmarłego. męża, tym bardziej krew jej bulgotała w sercu, przemieniając się w gęstą czekoladę, jakby nie siedziała, a biegła, cała dygocząc i z pełnym ziemi oddechem, aż wrócił nad ranem i zastał matkę w fotelu, ciepłą jeszcze, ale już w połowie zgniłą jakby od ukąszenia żmii, tak samo jak cztery następne kobiety, zanim mordercze krzesło nie zostało rzucone w morze, bardzo daleko, by nikomu już nie mogło zaszkodzić, tak je bowiem zużyto w ciągu wieków, że wyniszczono w nim całą umiejętność niesienia wycieczki, i tak musiał przyzwyczaić się do swej nędznej sieroczej codzienności, wytykany przez wszystkich palcami jako syn tej wdowy, która przywlokła do miasteczka ten tron nieszczęścia, żyjąc nie tyle z ludzkiego współczucia, ile z ryb kradzionych to z jednej, to z drugiej łodzi, i im mocniejszy stawał się jego głos, tym słabsza była jego pamięć o przywidzeniach sprzed lat, póki kolejnej marcowej nocy, gdy niechcący rzucał okiem na morze i wówczas nagle, o Boże, jest ten nieludzki, azbestowy wieloryb, bydlę ryczące, i chodźcie go zobaczyć, krzyczała oszalała, no chodźcie go zobaczyć, wzniesając taki tumult pełen kobiecego jazgotu i paniki, że nawet najstarsi ludzie przypomnieli sobie raptem wrzaski swoich pradziadków i wleźli pod łóżka, myśląc, że oto wrócił William Dampier, ale ci, którzy rzucili się na ulicę, nie raczyli nawet zadać sobie tyle trudu, by spojrzeć na nieprawdopodobną machinę, która w tej właśnie chwili znów zbaczała z kursu i rozbijała się w swojej corocznej katastrofie, za to o mało co go nie zatłukli, bijąc gdzie i jak popadnie, i porzucał go tak skręcającego się, że właśnie wtedy powiedział do siebie, plując z wściekłości, no teraz pokażę wam, kim jestem, ale miał się na baczności i z nikim nie dzielił się swoim postanowieniem, lecz niezłomnie podniecał je w sobie przez cały rok, teraz pokażę wam, kim jestem, oczekując następnego wieczoru obja-

wień, by zrobić, co zrobił już, ukradł łódź, przepłynął zatokę i przez całe popołudnie zaczął oczekiwać swojej wielkiej chwili w zaułkach portu niewolników, w ludzkim tyglu Karaibów, ale tak pochłonięty swoją przygodą, że nie zatrzymał się nawet przy sklepach Hindusów, aby popatrzeć na wyrzeźbionych z jednego słoniowego kłosa mandarynów, ani nie wyśmiewał się z holenderskich Murzynów, siedzących w swych inwalidzkich wózkach, ani nie przestraszył się, jak zazwyczaj, miedzianoskórych Malajów, którzy świat cały objechali, zwabieni chimera jakiejś tajemniczej spekulacji, w której sprzedawano ciała czarnych jak węgiel Brazylijek, ponieważ z niczego nie zdawał sobie sprawy, póki noc nie zwała mu się na głowę z całym ciężarem gwiazd, a puszcza nie zapachniała słodko gardeniami i zgniłymi salamandrami, i już wiosłował w skradzionej łodzi ku wejściu do zatoki, ze zgaszoną lampą, by nie wzbudzić ciekawości straży, co piętnaście sekund przemieniany w zjawę zielonym trzepotem skrzydła latarni morskiej i w ciemnościach wracający do swej ludzkiej postaci, wiedząc, że znajduje się już blisko boi wskazujących szlak portowy, i nie tylko coraz wyraźniej widział jego natrętne światła, ale i oddech wody stawał się coraz smutniejszy, i tak wiosłował, pogrążony w myślach, że nie wiedział nawet, skąd doszedł go przerażający oddech rekina ani dlaczego noc stała się gęsta, jakby nagle wszystkie gwiazdy umarły, a to płynął już transatlantyk niepojętych rozmiarów, Jezu, większy niż cokolwiek wielkiego na świecie i ciemniejszy niż cokolwiek ciemnego na ziemi i na wodzie, trzysta tysięcy ton pachnące rekinem, sunące tak blisko łodzi, iż mógł ujrzeć wszystkie nity tej stalowej otchłani pozbawionej odrobiny światła w bezmiernych. lukach, najdrobniejszego oddechu maszyny i jakiegokolwiek duszy, dźwigając za sobą własne puste niebo i własne martwe powietrze, swój wstrzymany czas, błędzące morze pełne zatopionych zwierząt, i to wszystko zniknęło w świetle latarni i na chwilę Morze Karaibskie znowu stało się przejrzyste, noc nocą marcową, powietrze codziennym powietrzem pelikanów, tak że pozostał między bojami sam, nie wiedząc, co robić, oszołomiony, pytając sam siebie, czy aby rzeczywiście nie śni na jawie, i to nie tylko teraz, ale i poprzednio, ledwo jednak skończył zadawać so-

bie pytanie, gdy tajemnicze zdmuchnięcie zgasiło boje, od pierwszej po ostatnią, a gdy blask morskiej latarni minął, transatlantyk ukazał się ponownie, już z błędnie wskazującymi busolami, może nawet nie wiedząc, w którym miejscu oceanu się znajduje, szukając na oślep niewidocznego kanału, a w rzeczywistości dryfując w stronę podwodnych skał, i aż go przytłoczyło własne odkrycie, że zdmuchnięcie boi było tym ostatecznym kluczem do całego zaklęcia, i zapalił na łodzi lampę, małe czerwone światło, które nie mogło zwrócić w wartowniczych wieżyczkach niczyjej uwagi, a dla pilota musiało być niczym wschodzące słońce, bowiem dzięki niemu transatlantyk skorygował swój kurs i wpłynął manewrem cudownego zmartwychwstania do olbrzymiego kanału, i wówczas, wszystkie naraz, zapaliły się światła, kotły zaczęły sapać, jego własne niebo rozpalilo się gwiazdami, trupy zwierząt poszły na dno i słycać było szcęk talerzy, czuć było z kuchni zapach sosu z laurowych liści, z księżycowego pokładu dochodziły dźwięki trąbek orkiestry, z mroku kajut tętno zakochanych na pełnym morzu, tyle w' nim było wcześniejszej jednak wściekłości, iż nie dał się oszołomić wrażeniem ani zastraszyć cudem, tylko powiedział sobie, jeszcze bardziej zdecydowany niż przedtem, że teraz pokażę wam, kim, do jasnej cholery, jestem, teraz pokażę, i zamiast odpłynąć odrobinę na bok, by owa olbrzymia machina nie przygniotła go, zaczął wiosłować przed nim, bo teraz pokażę wam, kim jestem, i prowadził statek swoją lampą, aż upewnił się, że statek jest mu posłuszny, i ponownie zmusił go do zmiany kursu na molo, i wyprowadził z niewidocznego kanału niczym za uzdę, ni-by morskie jagnię, skierował w stronę światła leżącego we śnie miasteczka ten żywy, niezniszczalny statek, poprzez latarniane snopy, które teraz nie czyniły go niewidzialnym, lecz co piętnaście sekund obracały w aluminium, a tam już można było rozpoznać kościelne krzyże, nędzę domów, złudzenie, a transatlantyk nadal płynął za nim z wszystkim, co na swoim pokładzie dźwigał, ze śpiącym na lewym boku kapitanem, z wołami w śniegu swoich spiżarni, z samotnym chorym w swoim lazarecie, z osieroconą wodą w cysternach, z nieodczarowanym pilotem, który widać pomylił wystające skały z mołem, bo w tej samej chwili wybuchł po-

tworny ryk syren, i raz, a on przemoczony do suchej nitki spadającym na niego wodospadem pary, i jeszcze raz, i mało co, a obca łódź znalazłaby się w niebezpieczeństwie, i jeszcze raz, było już jednak za późno, bowiem tuż, tuż widać było muszle na brzegu, kamienie ulicy, drzwi niedowiarków całe oświetlone blaskiem równie przerażonego transatlantyku, miasteczko, a on sam ledwo zdążył odskoczyć, by przepuścić całą tę katastrofę, wrzeszcząc wśród olbrzymiego tumultu, i tu go macie, skurwysyny, na sekundę, nim ogromny stalowy kadłub zaczął ćwiartować ziemię i rozległ się czyściuteńki brzęk dziewięćdziesięciu tysięcy pięciuset kieliszków do szampana, które jeden za drugim, od dziobu po rufę, rozbiły się, i wówczas stała się światłość, i nie była to już marcowa północ, a popołudnie rozżarzonej środy, i z satysfakcją mógł zobaczyć niedowiarków gapiących się z rozdziawionymi gębami na ten największy na tym i na tamtym świecie, tkwiący na mieliźnie, na wprost kościoła, transatlantyk, bielszy od wszystkich białości i dwadzieścia razy większy niż sama wieża, i tak jakby z siedemdziesiąt i siedem razy dłuższy od samego miasteczka, z wrytą żelaznymi literami nazwą halalcsillag, ze spływającymi, starymi i bezsilnymi wodami wszystkich mórz śmierci.

### **Blacaman Dobry - sprzedawca cudów**

Już pierwszej niedzieli, gdy ujrzałem go na własne oczy w porcie Santa Mana del Darien, wydał mi się mułem żywcem ściągniętym z cyrku, te aksamitne szelecзки, naszpikowane złotymi nitkami, te pierścioneczki z kolorowych kamyków na wszystkich palcach i ten warkocz dzwoneczków, dzwoneczków, i to jego stanie na stole pośród słoików przeróżnych maści i ziół niosących ulgę, które własnoręcznie preparował i sprzedawał, drąc się wniebogłosy po miasteczkach Karaibów, tyle że wówczas nie usiłował wcale tej nędznej masie Indian czegokolwiek sprzedać, błagał tylko o sprowadzeniu mu najjadowitszej żmii, by na własnej osobie ukazać owo cudowne wprost działanie odtrutki, dzieło rąk własnych, proszę, panowie, na wszelakie ukąszenia węży, żmij, pajaków, stonóg i przeróżnego rodzaju jadowitych ssaków. Ktoś, zauroczony widać jego szaleńczą decyzją, zdobył, nie wiadomo jak i skąd, i przy-

niósł w słoju mapanę, jedną z najstraszliwszych żmij, z tych, co to wpierw jadem oddech dławia, on zaś z taką ochotą rzucił się do słoja, że wszystkim nam wydało się, że ją połknie, ale gad tylko poczuł odrobinę swobody, wyskoczył ze słoja i uciał go w szyję, tak że z miejsca odjęło mu wszelką ochotę do krasomówstwa, i ledwo zdążył zażyć odtrutkę, cały ten kram tandety zwałił się w tłum, a jego grosza złamanego niewarte ciało poczęło tarzać się po ziemi, jakby w środku nic nie było, ani przez chwilę jednak nie przestał szczerzyć w uśmiechu swoich złotych zębów. A wrzask musiał być nielichy, skoro pancernik z północy, zakotwiczony od jakichś dwudziestu lat w porcie z wizytą przyjaźni, ogłosił kwarentannę, chcąc zapobiec przedostaniu się jadu na pokład, a ludzie świętujący Niedzielę Palmową wyskoczyli w połowie mszy ze swoimi poświęconymi palmami, nikt bowiem nie chciał stracić tego widowiska z ukąszonym, który zaczynał już puchnąć śmiertelnym powietrzem i był już ze dwa razy grubszy niż w rzeczywistości, ustami rzucała mu się żółta piana i sapał wszystkimi porami, ale ciągle się śmiał, i to od ucha do ucha, a z takim animuszem i z taką werwą, że wszystkie dzwoneczki obdzwaniały jego ciało. Od wzdęcia pękły mu przy sztylpach sznurowadła i szwy, palce mu zsiniały od ucisku pierścieni, zsiniał jak solona dziczyzna i tylko począł już tchnienia przedśmiertelne wydawać, tak że każdy, kto choć raz w życiu był świadkiem takiego ukąszenia, wiedział, że niewiele z niego zostanie i trzeba będzie zebrać te resztki łopatą i wrzucić do worka, ale wszyscy również byli pewni, że nawet w stanie rozkładu nie przestanie się śmiać. Było to tak niewiarygodne, że cała piechota morska wdrapała się na okrętowe mostki, by we wszystkich kolorach sfotografować go swymi dalekosiężnymi aparatami, jednak wychodzące po mszy kobiety pokrzyżowały im plany, gdyż nakryły dogorywającego święconymi palmami, jedne dlatego, iż nie bardzo im było w smak, by morska piechota bezcześciła śmiertelnie ugodzone ciało piekielnymi machinami adwentystów, drugie, gdyż strach im było patrzeć na tego heretyka, który zdolny był konając skonać ze śmiechu, a jeszcze inne, aby tym sposobem jego duszę oczyścić z trucizny. Wszyscy mieli go za nieboszczyka, kiedy nagle, jednym ruchem, zrzucił z siebie

wielkanocne palmy i jeszcze w pół ogłupiały i osłabiony dość przykrymi chwilami, sam, bez niczyjej pomocy ustawił stół i wdrapał się znowu na niego niczym krab i zaczął drzeć się, że odtrutka ta nie jest niczym innym jak tylko ręką boską w słoiczku, co wszyscy, i to na własne oczy, mogliśmy stwierdzić, choć cena jej wynosi śmieszne wprost grosze, bo nie dla zysku, lecz dla dobra całej ludzkości ją wynalazł, no i, powiedział, panie i panowie, proszę się tak nie tłoczyć, bo starczyć starczy dla wszystkich, proszę się tak nie pchać.

Oczywiście zaczęli się pchać i dobrze zrobili, bo w końcu nie dla wszystkich starczyło. I nawet sam admirał z pancernika wziął ze sobą słoiczek, całkowicie przekonany, że odtrutka jest również skuteczna na zatruty ołów anarchistów, a reszta załogi nie zadowolila się obfotografowaniem go we wszystkich kolorach, jak stoi na stole, skoro już nie mogli sfotografować jego trupa, ale kazali mu jeszcze składać autografy, póki ze zmęczenia nie zdrętwiała mu ręka. Była prawie noc i w porcie pozostaliśmy już tylko my, najmniej przekonani, gdy wzrokiem poszukał kogoś o możliwie najgłępszym wyrazie twarzy, by pomógł mu zapakować wszystkie słoiki i, oczywiście, ja wpadłem mu w oko. Było to jakby oko przeznaczenia, i to nie tylko mojego, ale i jego, od tej bowiem chwili minął już cały wiek, a obaj nadal ją pamiętamy, jakby wydarzyło się to w zeszłą niedzielę. W każdym razie gdy pakowaliśmy cyrkową aptekę w kufer z purpurowymi obiciami, który zdawał się raczej trumną jakiegoś erudyty, wówczas właśnie musiał we mnie dostrzec jakieś wewnętrzne światełko, którego przedtem nie zauważył, bo ze złością zapytał mnie, kto ty jesteś, a ja odpowiedziałem, że jestem mojego ojca i matki mojej jedyną sierotą, którego jeszcze tatuś nie odumarł, a on jeszcze głośniejszym głosem niż przy ukąszeniu zarechotał i zapytał, co robisz w życiu, a ja odpowiedziałem, że nic, tylko żyję, bo cała reszta nic nie jest warta, a on rycząc ze śmiechu jeszcze raz zapytał, którą to z wszystkich nauk na świecie najbardziej chciałbym poznać, a ja ten jeden jedyny raz poważnie odpowiedziałem, że chciałbym być jasnowidzem, a on, jakby głośno myśląc, powiedział, że niewiele mi do tego brakuje, bo już mam rzecz do wyuczenia najłatwiejszą, to znaczy mój głupi



wyraz twarzy. Tej samej nocy porozmawiał z moim ojcem i za parę groszy i talię kart do przepowiadania cudzołóstwa kupił mnie na zawsze.

I taki był Blacaman Zły, bo tym Dobrym jestem ja. Był tak zdolny, że przekonał pewnego astronoma, iż łuty tonie innego jak tylko stado niewidzialnych słoni, ale kiedy szczęście odwracało się od niego, stawał się serdecznie brutalny. W czasach swojej największej chwały był balsamistą wicekrólów, a mówią, że preparował im twarze tak pełne władczej godności, iż przez wiele lat kierowali rządami lepiej niż za życia i że nikt nie miał odwagi ich pogrzebać, póki nie wrócił, by nadać ich twarzom wyraz śmierci, ale cała sława i dobre imię poszły w niepamięć, z chwilą gdy skombinował szachy, które miały tę właściwość, że nie można było zakończyć raz rozpoczętej gry, co doprowadziło do obłędu pewnego kapelana i spowodowało dwa znamienite samobójstwa, i tak podupadał z tłumacza snów, urodzinowego hipnotyzera, wyrwizęba leczącego zamawianiem, aż stał się jarmarcznym znachorem, i w tym czasie, gdy się poznaliśmy, nawet piraci patrzyli na niego krzywym okiem. I tak jak popadło, wędrowaliśmy z naszym kramikiem szachrajstwa, żyliśmy w ciągłym strachu, próbując sprzedawać czopki-niewidki, które pomagały przemytnikom w ucieczkach, krople tajemne, które ochrzczone małżonki wlewały do zupy, by trwogę przed Bogiem wzbudzić w sercach swoich holenderskich mężów, i wszystko to, co państwo z własnej a nie-przymuszonej woli zechcą kupić, panie i panowie, nie jest to bowiem żaden przymus, ale dobra rada, gdyż szczęście też nie jest żadnym przymusem. Jednak żeby nie wiem jak śmiali się z jego pomysłów, z trudem przychodziło nam zaspokajać głód i ostatnią deską ratunku było moje powołanie jasnowidza. Przebrawszy się przedtem za Japończyka i skuwając okrętowym łańcuchem, zamykał mnie w tym grobowym kufrze, bym próbował przewidzieć wszystko, co tylko jestem w stanie, podczas gdy on wybebeszał nerwowo całą gramatykę w poszukiwaniu najlepszych wyrażen, które by wszystkich przekonały do jego nowej nauki, i oto tutaj go państwo mają, panie i panowie, owe stworzonko świetlikami Ezechiela zadręczone, a ten pan, na którego twarzy rysuje się wyraz

niedowierzania, zobaczymy zaraz, czy odważy się zapytać o datę swojej śmierci, ale ja nigdy nie umiałem nawet podać dzisiejszej daty, więc usunął mnie ze stanowiska jasnowidza, bo ta senność od obżarstwa drażni twoje wróżbiarskie gruczoły, i rozbił mi głowę jednym uderzeniem pokrywy, chcąc w ten sposób odmienić swój zły los, zdecydowany oddać mnie ojcu za zwrotem kosztów. W tym samym jednak czasie zachciało mu się szukać praktycznego zastosowania elektryczności wytwarzanej przez cierpienie i zaczął fabrykować maszynę do szycia, której działanie polegałoby na podłączeniu jej do baniek stawianych na obolałych częściach ciała. A że noce całe spędzałem pojękując po laniu, które spuszczał mi, byle tylko swoje nieszczęście oddalić, musiał zostawić mnie przy sobie, by na moim ciele wypróbować swoje wiekopomne odkrycie, i tym to sposobem ostateczny upadek nieco się od nas oddalał, a humor poprawiał mu się, aż maszyna zaczęła tak znakomicie funkcjonować, że nie tylko szyła lepiej od zakonnicy, ale jeszcze potrafiła haftować ptaszki i gwiazdeczki w zależności od natężenia ' i miejsca bólu. Właśnie wtedy, gdy byliśmy całkowicie przekonani, że odnieśliśmy zwycięstwo nad złym losem, dosięgła nas wiadomość, iż dowódca pancernika, chcąc w Filadelfii powtórzyć próbę z odtrutką, na oczach własnego sztabu przemienił się w admiralską marmoladę.

Przez dłuższy czas uśmiech nie pojawiał się na jego ustach. Umykaliśmy indiańskimi ścieżkami i im bardziej czuliśmy się zagubieni, tym wyraźniej dochodziły nas wieści, że morska piechota pod pretekstem walki z żółtą febrą wtargnęła do kraju i kroczyła zwycięsko, skracając' o głowę każdego oszusta, zawodowca czy amatora, którego napotkała po drodze, i to nie tylko mieszkańców kraju podejrzanych z dziada pradziada, na wszelki wypadek, ale i Chińczyków dla rozrywki, Murzynów z przyzwyczajenia i Hinduśców za umiejętność zaklinania węży, a następnie zrównali wszystko z fauną i florą i z czym się dało z królestwa minerałów, bowiem poinstruowali ich wysoce uczeni specjaliści od spraw tutejszych, że Karaibowie mają moc odmieniania natury, by w butelkę nabijać jankesów. I nie bardzo mogłem pojąć, skąd u nich taka wściekłość ani skąd tyle u nas strachu, póki zbawczego schronie-

nia nie znaleźliśmy w wiecznych wiatrach Guajiry, dopiero tam bowiem na tyle odzyskał odwagę, by wyznać mi, iż jego odtrutka nie była niczym innym jak tylko pospolitym rabarbarem wymieszanym z terpentyną i że zapłacił parę groszy zaufanemu człowiekowi, żeby przyniósł mu mapanę bez jadu. Zaszliśmy się w ruinach jakiejś kolonialnej misji, łudząc się nadzieją, że przejdą tędy przemytnicy, którzy byli jedynymi ludźmi godnymi zaufania i jedynymi, którzy mieli odwagę przebywać pod rtęciowym słońcem owych saletrzaných pustkowi. Naszym pożywieniem były początkowo salamandry, które wędziliśmy w kwiatkach rosnących wśród ruin, i jeszcze na tyle starczyło nam beztroski, że śmieliśmy się, próbując przełknąć jego ugotowane sztylpy, ale w końcu zjedliśmy nawet wodne pajęczyny ze źródła i dopiero wtedy zrozumieliśmy, jak bardzo brakuje nam ludzi. Nie znałem wtedy żadnego środka przeciw śmierci, więc po prostu w oczekiwaniu na nią położyłem się na najmniej zbolącej części ciała, podczas gdy on majaczył, wspominając kobietę tak wiotką, że westchnąwszy mogła przejść przez ścianę, ale i to zmyślane wspomnienie było sztuczką jego sprytu, by wykpić się śmierci miłosnymi żałami. Jednak w godzinę, która powinna być godziną naszej śmierci, przybliżył się do mnie, żywszy niż kiedykolwiek, i całą noc czuwał nad moją agonią, tak intensywnie rozmyślając, iż do tej pory nie wiem, czy to wiatr gwizdał między ruinami, czy jego myśli, i przed świtem powiedział mi swoim dawnym głosem i ze zdecydowaniem z tamtej epoki, że teraz zna prawdę i że to ja zwichnąłem jego szczęście, a więc trzymaj dobrze portki, żebyś ich nie zgubił ze strachu, bo tak jak zwichnąłeś mi szczęście, tak mi je wyprostujesz.

Wtedy to zacząłem tracić tę odrobinę serdeczności, przywiązania, którym go dotąd darzyłem. Ostatnie szmaty zdarł ze mnie, drutem kolczastym owinął, kamienie saletry wtarł mi w czule miejsca, wlał we mnie solanki i powiesił za kostki u nóg, aby przemacerować mnie na słońcu, i krzyczał jeszcze, że to umartwienie to zbyt mało, by przebłagać jego prześladowców. Na koniec wrzucił mnie, bym gnił w swojej własnej wszawej nędzy, do więziennego lochu, w którym kolonialni misjonarze nawracali heretyków, i z przewrotnością brzuchomówcy, którą jeszcze zacho-

wał, zaczął naśladować głosy zwierząt jadalnych, szum dojrzałych buraków i szmer źródełek, by torturować mnie złudzeniem, że w raju umieram z nędzy. Gdy przemytnicy w końcu zaopatrzyli go w żywność, ' schodził do lochu, dając mi byle co do jedzenia, abym nie przestał umierać, lecz następnie kazał sobie s płacać tę litość, wyrywając mi paznokcie obcęgami i ścierając żarnami zęby, i tylko pocieszałem się myślą, że może życia mi starczy i szczęścia, by zemścić się za taką podłość jeszcze gorszymi torturami. Sam się dziwiłem, że mogę wytrzymać smród własnego gnicia, a on jeszcze rzucał na mnie resztki swego pożywienia i ciskał po kątach szczątki jaszczurek i zgniłych krogulców, by powietrze w lochu do końca się zatruiło. Nie wiem, ile minęło czasu do dnia, gdy przyniósł mi zwłoki zdechłego królika, aby pokazać mi, że woli go wyrzucić, by zgnił, niż mnie pożywić, ale i wtedy starczyło mi opanowania, została mi tylko uraza, złapałem więc królika za uszy i rzuciłem o ścianę, łudząc się, że to on się rozbije, nie zwierzę, i właśnie wtedy stało się coś niby we śnie, bo królik nie tylko zmarł, twychwstał z trwożliwym piskiem, ale przeleciał w powietrzu i wrócił do moich rąk.

I tak zaczęło się moje wielkie życie. Od tej pory chodzę po świecie, odejmując bagienną gorączkę za dwa pesos, przywracając ślepym wzrok za cztery pięćdziesiąt, odwadniając cierpiących na puchlinę za osiemnaście, uzupełniając kalekom braki za dwadzieścia pesos, jeśli są kalekami od urodzenia, za dwadzieścia dwa, jeśli kalectwo spowodowane jest wypadkiem lub bójką, za dwadzieścia pięć, jeśli przyczyną jest wojna, trzęsienie ziemi, inwazja piechoty morskiej czy każdy inny rodzaj plagi społecznej, hurtem lecząc normalnie chorych według specjalnej taryfy, wariatów w zależności od bzika, dzieci za połowę ceny, a głupców za darmo, no i zobaczymy, kto się odważy powiedzieć, że nie jestem filantropem, panie i panowie, a teraz tak, panie dowódco dwudziestej floty, proszę rozkazać swoim chłopcom zburzyć barykady, by zboleła ludzkość mogła tędy przejść, trędowaci na lewo, epileptycy na prawo, paralitycy tam, gdzie nie będą zawadzać, a tam z tyłu mniej potrzebujący, i tylko łaskawie proszę się tak nie tłoczyć, bo później nie ponoszę odpowiedzialności, jeśli popłaczą się choroby

i wyleczę nie z tej, na którą cierpią, i niech bucha muzyka aż do stopienia się blachy, i niech strzelają rakiety aż do spalenia aniołów, i wódka niech się leje aż do zapicia idei, i niech krokiem marszowym nadchodzą markietanki, maruderzy, marszałkowie, reporterzy, i to wszystko na mój rachunek, panie i panowie, bo tu skończyła się zła sława Blacamanów, a zaczęła powszechna wędrówka ludów. W ten to właśnie sposób usypiam ich poselskimi metodami, na wypadek gdyby mi się nie udała diagnoza i niektórych pozostawiłbym w gorszym, niż byli, stanie. Jedyne, czego nie robię, to wskrzeszanie zmarłych, ponieważ ledwo otworzą oczy, tłuką z wściekłością burzyciela ich spokoju, a w końcu jeśli nie popełniają samobójstwa, umierają z rozczarowania. Początkowo prześladował mnie orszak uczonych, którzy chcieli wy badać legalność moich praktyk, a kiedy zostali już przekonani, zagrozili mi piekłem Szymona Maga i poradzili pędzić żywot pokutniczy, aby zostać świętym, ale odpowiedziałem im, nic nie ujmując ich czci, że właśnie od tego zacząłem. Prawdą jest, że zostając świętym po śmierci, nic na tym nie zyskuję, jestem bowiem artystą i jedyne, czego pragnę, to żyć, aby nadal nabijać się z wszystkich w sześciocyndrowym rozgruchotanym kabriolecie, odkupionym od konsula morskiej piechoty, razem z szoferem z Trynidadu, niegdyś barytonem pirackiej opery w Nowym Orleanie, w moich koszulach z prawdziwego jedwabiu, z moimi wschodnimi pachnidłami, moimi topazowymi zębami, w moim kapelusiku słomkowym, w moich dwukolorowych getrach, śpiąc bez budzika, tańcząc z królowymi piękności, które porzucam, wprowadziwszy je niemal w trans moim krasomówstwem ze słownika, tak by nie zdrżała mi nawet muszka, jeśli w pewną popielcową środę uwiędną moje zdolności, bo żeby nadal wieść ten żywot ministra, wystarczy mi aż nadto moja twarz głupca i niezliczoność sklepów, które mam stąd aż po kraniec zmierzchu, gdzie ci sami turyści, co kazali sobie płacić za admirala, skamlą teraz o portret z moim gryzmołem, o almanach moich miłosnych wierszy, o medal z moim profilem, o strzępy moich ubrań, i to bez chwalebne go, lecz spędzającego sen z powiek wznoszenia się, dzień i noc, na marmurowym koniu, obsranym przez gołębie, jak przystoi ojcom ojczyzny.

Szkoda, że Blacaman, ten Zły, nie może sam powtórzyć tej historii, aby państwo mogli zobaczyć, że nic tu nie zmyślono. Gdy ostatnim razem widziano go na tym świecie, pogubił nawet ostatnie fastrygi swojej dawnej świetności i duszę miał rozwichrzoną i kości ze względu na surowość pustyni w nie najlepszym porządku, ale została mu jeszcze dobra para dzwoneczków, by ponownie ukazać się w porcie Santa Maria del Darien z owym odwiecznym kufrem grobowym, z tą różnicą, iż nie próbował już sprzedaży jakiegokolwiek odtrutki, ale błagał popękany ze wzruszenia głosem o rozstrzelanie przez morską piechotę na oczach publiczności, aby na własnej skórze zademonstrować wskrzeszające możliwości swej nadnaturalnej istoty, panie i panowie, i chociaż państwo mają aż nadto prawo, aby mi nie wierzyć, znosząc przez tyle czasu moje złe nawyki oszusta i fałszerza, przysięgam jednak na kości mojej matki, że dzisiejsza próba nie jest niczym z innego świata, ale pokorną prawdą, a jeśli jakowaś wątpliwość powstanie, proszę zwrócić uwagę, że teraz nie śmieję się, jak kiedyś, ale ledwie płacz powstrzymuję. Musiał być mocno pewien, bo rozpiął koszulę, w oczach kręciły mu się łzy i walił siarczyście w serce, aby wskazać najlepsze miejsce dla śmierci, jednak morska piechota nie odważyła się strzelać, obawiając się, że świątecznym tłumom da się ona poznać ze złej strony. Ktoś, kto widać nie zapomniał blakamanii z innej epoki, zdobył, nikt nie wie skąd, i przyniósł w puszcze korzenie trędownika, zdolne wyrzucić na powierzchnię wszystkie ryby Karaibów, a ten otworzył puszkę z taką ochotą, jakby naprawdę chciał je zjeść, i naprawdę zjadł, panie i panowie, tylko proszę się nie wzruszać i proszę nie wznosić modlitw za mój wieczny spoczynek, bo śmierć ta jest tylko małą wizytą. I honoru mu wtedy na tyle starczyło, że nie wpadł w operowe rżenie, ale zszedł ze stołu jak krab, z pewnymi obawami poszukał na ziemi najwygodniejszego miejsca, położył się i stamtąd spojrzął na mnie jak na własną matkę, i wydał ostatnie tchnienie w objęciu własnych ramion, jeszcze powstrzymując męskie łzy, poskręcany przez tętec wieczności na prawo i lewo. Oczywiście był to jedyny wypadek, gdy zawiodła mnie wiedza. Włożyłem go w ten kufer o charakterystycznych rozmiarach, w którym zmieścił się w całości,

kazałem odprawić mszę żałobną, która kosztowała mnie pięćdziesiąt dublonów, tych poczwórnych, ponieważ celebrujący ubrany był w złoto i poza tym siedziało jeszcze trzech biskupów, kazałem zbudować mu imperatorskie mauzoleum na wzgórzu, wystawionym na najlepszą morską pogodę, z kaplicą tylko dla niego i żelaznym nagrobkiem, gdzie dużymi, gotyckimi literami napisane jest, że tu spoczywa zmarły Blacaman, źle Złym nazwany, ten, który kpił z piechoty, a padł ofiarą nauki, i gdy uznałem, że dość już tych honorów, by oddać sprawiedliwość jego zaletom, zacząłem odbijać sobie jego bezeceństwo i wtedy wskrzesiłem go wewnątrz opancerzonego grobu i tam ' pozostawiłem, tarzającego się w trwodze. To było na wiele lat przedtem, jak Santa Maria del Darien została połknięta przez termity, ale mauzoleum tkwi nadal nie tknięte na wzgórzu, w cieniu smoków, które wznoszą się, aby zasnąć w atlantyckich wiatrach, i zawsze gdy przebywam w tych stronach, zawożę mu samochód wypełniony różami i serce z żalu mi pęka na myśl o jego cnotach, ale następnie przykładam ucho do płyty nagrobnej, aby lepiej wysłuchać jego płaczu pośród szczątków zniszczonego kufra, a jeśli przypadkiem znowu umiera, to wskrzeszam go, łaska tej kary polega bowiem na tym, żeby żył w swoim grobie, póki ja żyję, czyli wiecznie.

### **Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry i jej niegodziwej babki**

Erendira kąpała babcię, kiedy zaczął wiać wiatr jej nieszczęścia. Olbrzymią rezydencją z księżycowego betonu, zabłąkaną w samotności pustyni, przy pierwszym podmuchu zatrzęsło aż po fundamenty. Erendira i babcia były już przyzwyczajone do niebezpieczeństw tej niepohamowanej przyrody i w łazience ozdobionej powtarzającymi się rysunkami paw i frywolnymi mozaikami rzymskich łaźni ledwie odczuły gwałtowność wiatru.

Babcia, naga i olbrzymia, wyglądała w marmurowej wannie jak piękny, biały wieloryb. Wnuczka, która dopiero co skończyła czternaście lat, była mizerna, o delikatnych kościach i zbyt cicha i mało ruchliwa jak na swój wiek. Z ostrożnością, która miała w sobie coś z uświęconego porządku, obmywała babcię wodą, w której

zaparzyła oczyszczające krew kwiaty i liście o miłym zapachu, a te przywierały do jędrnych pleców, metalicznych, rozpuszczonych włosów, do potężnych ramion, bezlitośnie a sprośnie wytatuowanych przez okrutnych marynarzy.

- W nocy śniło mi się, że oczekuję listu - powiedziała babcia.

Erendira, która mówiła tylko wtedy, kiedy było to nieuniknione, zapytała:

- A jaki to był we śnie dzień?

- Czwartek.

- W takim razie to był list ze złymi wiadomościami - powiedziała Erendira - ale on nigdy do nas nie dojdzie.

Po kąpieli zaprowadziła babcię do sypialni. Babcia była tak 'gruba, że mogła chodzić tylko wsparta o ramię wnuczki lub opierając się na lasce podobnej do biskupiego pastorału, ale nawet w najtrudniejszych do zniesienia dolegliwościach zachowywała opanowanie godne swej dawnej świetności. W alkowie umeblowanej z przesadną elegancją i odrobinę wariacko, zresztą jak cały dom, Erendira potrzebowała następnych dwóch godzin, aby ustroić babcię. Rozczesała jej włosy, jeden po drugim, wyperfumowała, uczesała, ubrała w suknię w podzwrotnikowe kwiaty, upudrowała twarz talkiem, usta pociągnęła karminem, policzki różem, powieki piżmem, a paznokcie emalią z masy perłowej, a kiedy uczyniła babcię piękną niczym lalkę o rozmiarach większych od normalnego ludzkiego ciała, zaprowadziła ją do sztucznego ogrodu, w którym pełno było oszałamiających zapachem kwiatów, takich samych jak na sukni, usadowiła na fotelu, który miał tronowe podstawy i pochodzenie, i opuściła ją, zasłuchaną w dźwięki ulatujące z gramofonowej tuby.

Podczas gdy babcia żeglowała po grzędawiskach przeszłości, Erendira zajęła się zamiataniem ciemnego, pstrokatego domu, pełnego rozszalałych mebli i posągów wymyślonych cesarów, i kryształowych pajaków, i aniołów z alabastru; było w nim pianino ze złotą politurą i wiele zegarów o najmniej spodziewanych kształtach i wymiarach. Na podwórzu stała cysterna do magazynowania wody przynoszonej z dalekich źródeł na plecach Indianina raz na parę lat, a na jednej z obręczy cysterny miał swoje miej-



sce rachityczny struś, jedyne upierzone zwierzę, które mogło przeżyć tortury tego przewrotnego klimatu. Dom stał z dala od wszystkiego, w samym sercu pustyni, nieopodal wsi o nędznych, sprazonych uliczkach, na których kozy popełniały samobójstwo z rozpaczy, kiedy wiał wiatr nieszczęścia.

Ten niepojęty przytułek został zbudowany przez męża babci, legendarnego przemytnika, który miał na imię Amadis, z którym miała syna, który też miał na imię Amadis, a który z kolei był ojcem Erendiry. Nikt nie znał ani początków, ani dziejów tej rodziny. Najbardziej znana wersja w języku Indian mówiła, że Amadis, ojciec, porwał swoją piękną żonę z burdelu na Antylach, gdzie nożem zabił człowieka, i przeniósł ją na zawsze w bezkarność pustyni. Kiedy Amadisowie zmarli, jeden z melancholijnej gorączki, a drugi podziurawiony przez rywali w czasie bójki, kobieta pogrzebała ciała na podwórzu, zwolniła czternaście bosonogich służących i nadal zaspokajała swoje sny o wielkości w mroku tajemniczego domu dzięki swojej bękarciej wnuczce, którą chowała od dnia jej narodzin.

Na samo nakręcenie i nastawienie zegarów Erendira potrzebowała sześciu godzin. W dniu kiedy zaczęło się jej nieszczęście, nie musiała tego robić, bowiem zegary były już nakręcone, musiała jednak wykąpać i ubrać babcię, wyszorować podłogi na wszystkich piętrach, ugotować obiad i przetrzeć szkła. Do jedenastej, kiedy już zmieniła wodę w wiadrze strusia i podlała pustynne zieliska na przylegających do siebie grobach Amadisów, musiała opierać się wściekłości wiatru, którą trudno było wytrzymać, ale nie przeczuła złowrogich znaków, że jest to wiatr jej nieszczęścia. O dwunastej czyściła ostatnie kielichy do szampana, kiedy poczuła zapach świeżego rosołu i cudu musiała dokonać, aby dobiec do kuchni i nie zostawić za sobą stosu stłuczonego szkła weneckiego.

Ledwo zdążyła odstawić garnek, w którym już zaczynało kipieć. Następnie wstawiła przygotowane już wcześniej duszone mięso i skorzystała z okazji, by usiąść i odpocząć chwilę na ławeczce w kuchni. Zamknęła oczy, otworzyła je bez śladu zmęczenia i zaczęła przelewać zupę do wazy. < Pracowała śpiąc.

Babcia usiadła na końcu bankietowego stołu, na którym stały srebrne świeczniki i zastawa na dwanaście osób. Potrząsnęła dzwoneczkiem i w tej samej chwili pojawiła się Erendira z dymiącą wazą. W chwili kiedy wnuczka nalewała zupę, babcia zauważyła jej lunatyczny stan i przesunęła ręką przed jej oczyma, jakby przecierając niewidzialną szybę. Dziewczynka nie spostrzegła ręki. Babcia nie odrywała do niej wzroku, a kiedy Erendira odwróciła się, by wrócić do kuchni, krzyknęła:

- Erendira!

Dziewczynka, gwałtownie przebudzona, upuściła wazę na dywan.

- To nic takiego, córko - powiedziała jej babcia z pewną czułością. - Zasnęłaś idąc.

- To przyzwyczajenie ciała - wytłumaczyła się Erendira.

Jeszcze oszołomiona snem zebrała resztki wazy i spróbowała wytrzeć plamę na dywanie.

- Zostaw to - wyperswadowała jej babcia - zmyjesz ją wieczorem.

W ten sposób obok normalnych wieczornych zajęć Erendira musiała jeszcze oczyścić dywan w jadalni, a korzystając ze sposobności uprała też brudne ubrania odłożone na poniedziałek, tymczasem wiatr kręcił się wokół domu, szukając szczeliny, by dostać się do środka. Miała tyle roboty, że nie zauważyła, kiedy noc spadła na nią, a gdy rozłożyła w jadalni dywan, wybiła godzina spoczynku.

Babcia cały wieczór brzdąkała na pianinie, falsetem podśpiewując piosenki swojej młodości, i jeszcze na jej powiekach rysowały się smugi piżma zmieszanego ze łzami. Ale wyciągając się na łóżku w muślinowej koszuli, otrząsnęła się już z goryczy miłych wspomnień.

- Wykorzystaj ranek i oczyść dywan w salonie - powiedziała Erendirze - który od czasu wrzawy nie widział słońca.

- Tak, babciu - odpowiedziała dziewczynka.

Wzięła wachlarz z piór i zaczęła wachlować nieubłaganą matronę, która zapadając w sen, recytowała jej kodeks nocnych porużeń.

- Zanim położysz się, wyprasuj wszystko, żebyś mogła zasnąć ze spokojnym sumieniem.

- Tak, babciu.

- Przejrzyj dobrze bieliźniarki, w wietrzne noce mole są najżarłoczniejsze.

- Tak, babciu.

- A w wolnym czasie, jaki ci zostanie, wyniesiesz na podwórze kwiaty, niech pooddychają.

- Tak, babciu.

- I dasz strusiovi karmę.

Zasnęła już, ale polecenia wydawała nadal, to właśnie po niej wnuczka przejęła zaletę dalszego życia we śnie. Erendira wyszła cicho z pokoju i wykonała ostatnie nocne zajęcia, ciągle odpowiadając babci.

- Grobom dasz się napić.

- Tak, babciu.

- Zanim położysz się spać, wszystko zostawisz w należyтым porządku, bo przedmioty cierpią, jeżeli nocą nie stoją na swoim miejscu.

- Tak, babciu.

- A jeśli przyjdą Amadisowie, to uprzedź ich, aby nie wchodzili - powiedziała babcia - bo bandziory Porfiri Galana tylko czekają, żeby ich zabić.

Erendira więcej nie odpowiadała, wiedziała bowiem, że babcia zaczyna już błąkać się w majakach, ale wszystkie polecenia, co do jednego, wykonała. Po sprawdzeniu, czy ' wszystkie okna są zamknięte, zgasła światła, wzięła świecznik z jadalni i oświetliła nim sobie drogę do sypialni, podczas gdy przerwy między jednym a następnym uderzeniem wiatru wypełniały się spokojnym i ogromnym oddechem babci.

Jej pokój, też luksusowy, chociaż nie aż tak jak babciny, wypełniały lalki z gałganków i zwierzątka ze sznurka, pozostałości po nie tak odległym dzieciństwie. Pokonana przez barbarzyńskie, całodzienne zajęcia, Erendira już nie miała sił rozebrać się, zdołała tylko odstawić na nocny stolik świecznik i położyła się. W

chwilę później wiatr jej nieszczęścia wtargnął do pokoju, niczym sfera psów, i rzucił świecznikiem o firanki.

O świcie, kiedy wiatr w końcu ustał, zaczęły spadać pojedyncze i olbrzymie krople deszczu, które ugasiły dogorywające pogorzeli-sko i rozwiały dymiące popioły domu. Ludzie ze wsi, w większo-ści Indianie, próbowali ratować pozostałości po katastrofie: zwę-glone zwłoki strusia, szkielet złoconego pianina, popiersie jakiejś rzeźby. Babcia z nieprzeniknionym przygnębieniem przyglądała się temu, co pozostało po jej bogactwie. Erendira, która siedziała między grobami Amadisów, przestała już płakać. Kiedy babcia przekonała się, że niewiele rzeczy ocalało, popatrzyła ze szczerym żalem na wnuczkę:

- Moja biedna dziewczynko - westchnęła. - Życia ci nie starczy, żeby spłacić mi te straty.

Zacząła jej spłacać tego samego dnia, w łomocie deszczu, kiedy babcia zaprowadziła ją do chudego, przedwcześnie owdowiałego sklepikarza, który na pustyni był bardzo znany, bo dobrze płacił za dziewczice. W obecności nieulekłej babci wdowiec obejrzał Eren-dirę z naukową surowością: rozważył siłę jej mięśni, rozmiary biustu, bioder. Nie powiedział ani słowa, póki nie ocenił, ile jest warta.

- Jest jeszcze bardzo niedojrzała - powiedział wtedy - piersiątko ma jak suczka.

Następnie kazał jej wejść na wagę, aby jej wartość oszacować cyframi. Erendira ważyła 42 kilogramy.

- Nie jest warta więcej niż sto pesos - powiedział wdowiec.

Babcia oburzyła się.

- Sto pesos za całkowicie świeżą istotę! - prawie krzyknęła. - Człowieku, to jest brak szacunku dla dziewictwa.

- Do stu pięćdziesięciu - powiedział wdowiec.

- Dziewczynka spowodowała szkód na więcej niż milion pesos - powiedziała babcia. - Przy takim załatwianiu spraw potrzebowa-łyby dwieście lat życia, żeby mi wszystko spłacić.

- Na szczęście - powiedział wdowiec - jedyną jej zaletą jest wiek.

Burza groziła rozniesieniem domu, a na suficie było tyle zacieków, że w sklepie padało nieomal jak na zewnątrz. Babcia poczuła się samotna na tym świecie pełnym nieszczęść.

- Niech pan przynajmniej podniesie do trzystu - powiedziała.

- Dwieście pięćdziesiąt.

W końcu zgodzili się na dwieście dwadzieścia pesos gotówką i jeszcze trochę żywności. Babcia kazała wtedy Erendirze pójść za wdowcem, on zaś wziął dziewczynkę za rękę i zaprowadził do pokoiku za sklepem, tak jakby odprowadzał ją do szkoły.

- Czekam tutaj na ciebie - powiedziała babcia.

- Tak, babciu - odpowiedziała Erendira.

Pokoik za sklepem był niczym szopa z czterema ceglano- 'lanymi filarkami, sufitem ze zgniłych palm i murkiem z nie wypalanej cegły o wysokości jednego metra, przez który wpadały do środka strumienie deszczu. Na murku stały donice z kaktusami i innymi kwiatami jałowej pustyni. Rozwieszony między dwoma filarkami trzepotał niczym żagiel dryfującej łodzi spłowiały hamak. Poprzez gwizd burzy i strumienie wody słychać było dalekie krzyki, odległe wycie zwierząt, głosy rozbitków.

Kiedy Erendira i wdowiec weszli do szopy, musieli trzymać się jedno drugiego, aby nie ścięło ich z nóg uderzenie deszczu, który przemoczył ich do suchej nitki. Nie słyszeli własnych głosów, a ich ruchy były widoczne jedynie dzięki błyskawicom. Przy pierwszej próbie wdowca Erendira coś niezrozumiale krzyknęła i spróbowała uciec. Wdowiec odpowiedział jej bezgłośnie, wykręcił jej rękę i zawłókł w stronę hamaka. Opierała się, drapiąc go po twarzy, znowu krzyknęła w ciszy, a on odpowiedział jej uroczystym uderzeniem w twarz, po którym uniosła się nad ziemią i popłynęła przez chwilę w powietrzu z długimi włosami meduzy falującymi w pustce. Objął ją w pasie, nim zdążyła stanąć z powrotem na ziemi, przewalił na hamak brutalnym uderzeniem i unieruchomił kolanami. Erendira wówczas poddała się przerażeniu, straciła przytomność i tak została, jak gdyby zafascynowana księżycowymi frędzlami jakiejś ryby, która przepłynęła powietrzem burzy, podczas gdy wdowiec darł na niej ubranie, powoli, miarowo, jak-

by wyrywał trawę, odrzucając długie kolorowe paski, które niczym serpentyny wiły się, oddalały z wiatrem.

Kiedy we wsi nie było już żadnego mężczyzny, który mógłby cokolwiek zapłacić za miłość Erendiry, babcia zabrała ją ze sobą w ciężarówce ku drogom przemytników. Podróżowały na odkrytej platformie wśród worków ryżu, puszek masła i nie spalonego dobytku, wezłowania z wicekrólewskiego łóża, anioła wojny, przypalonego tronu i innego bezużytecznego śmiecia. W kufrze, na którym grubym pędzlem namalowane były dwa krzyże, zabrały kości Amadisów.

Babcia pod postrzępionym parasolem chroniła się przed wiecznym słońcem, torturowana własnym potem i kurzem oddychała z trudnością, ale i w tym nieszczęśliwym stanie potrafiła zachować opanowanie i dostojeństwo. Za stosem puszek i worków ryżu Erendira opłacała podróż i transport mebli, kochając się za dwadzieścia pesos z pomocnikiem kierowcy. Początkowo broniła się tak samo jak przed wdowcem. Metoda pomocnika była jednak spokojna, mądra, i w końcu oswoił ją łagodnością. Kiedy więc pod koniec śmiertelnie męczącego dnia dojechali do pierwszej wsi, Erendira i pomocnik po udanej miłości odpoczywali osłonięci stertą bagażu. Kierowca krzyknął do babci:

- Od tego miejsca wszystko już jest światem.

Babcia z niedowierzaniem popatrzyła na nędzne i opustoszałe uliczki wsi, trochę większej, ale równie smutnej jak ta, którą opuściły.

- Coś nie bardzo - powiedziała.

- To terytorium misji - powiedział kierowca.

- Mnie nie interesuje dobroczynność, tylko przemyt - powiedziała babcia.

Podsluchując zza ładunku rozmowę, Erendira wierała palcem w worku z ryżem. Nagle znalazła nitkę, pociągnęła za nią i wyciągnęła długi naszyjnik z najprawdziwszych pereł. Trzymając go w palcach jak zdechłego węża, patrzyła z przerażeniem, podczas gdy kierowca odpowiadał jej babci:

- Niech pani przestanie śnić na jawie. Przemytnicy nie istnieją.

- Jak to nie - powiedziała babcia. - I mnie pan' to mówi!

- Proszę ich poszukać, to pani zobaczy - zakpił ubawiony kierowca.. - Cały świat o nich mówi, ale nikt ich nie widział.

Pomocnik zauważył, że Erendira wyciągnęła naszyjnik, gwałtownie wyrwał jej sznur i z powrotem wsunął do worka z ryżem. Babcia, która mimo ubóstwa wsi postanowiła tu wysiąść, zawołała wnuczkę, by pomogła jej. Erendira pożegnała się z pomocnikiem szybkim, ale spontanicznym i szczerym pocałunkiem.

Babcia, siedząc pośrodku ulicy na tronie, czekała, aż skończą wyładowywać bagaże. Ostatni był kufer z resztkami Amadisów.

- Ciężkie to jak trup - zaśmiał się kierowca.

- Nawet dwa - powiedziała babcia. - Traktuj więc ich z szacunkiem.

- Założę się, że to rzeźby z kości słoniowej - uśmiechnął się kierowca.

Postawił kufer z kośćmi byle jak pomiędzy nadpalonymi meblami i wyciągnął do babci otwartą dłoń.

- Pięćdziesiąt pesos - powiedział.

- Twój niewolnik już kazał sobie dobrze zapłacić.

Kierowca, zaskoczony, spojrzał na pomocnika, ten potwierdził. Wrócił do kabiny, gdzie podróżowała kobieta w żałobie z dzieckiem na rękach, które od upału płakało. Pomocnik, bardzo pewny siebie, powiedział wtedy do babci:

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to Erendira jedzie ze mną.

Dziewczynka, wystraszona, wtrąciła się.

- Ja nic nie mówiłam!

- Ja mówię, bo to mój pomysł - powiedział pomocnik.

Babcia popatrzyła na niego badawczo, bez wywyższania się, chcąc tylko ocenić jego prawdziwą wartość.

- Z mojej strony nie ma żadnych przeszkód - rzekła - jeśli zapłacisz mi tyle, ile przez jej nieuwagę straciłam. To znaczy osiemset siedemdziesiąt dwa tysiące trzysta piętnaście pesos, minus czterysta dwadzieścia, które już mi spłaciła, to jest osiemset siedemdziesiąt jeden tysięcy osiemset dziewięćdziesiąt pięć.

Samochód ruszył.

- Proszę mi wierzyć, że dałbym tę całą kupę forsy, gdybym ją tylko miał - powiedział z powagą pomocnik. - Dziewczynka jest tego warta.

Babci spodobało się zdecydowanie chłopca.

- Wróć więc, kiedy będziesz miał tyle, synu - odpowiedziała mu przyjaźnie - ale teraz jedź już, bo jeśli zaczniemy się rozliczać, to jeszcze jesteś mi winien dziesięć pesos.

Pomocnik wskoczył na platformę oddalającego się już samochodu. Stamtąd pomachał Erendirze na pożegnanie, ale ona była tak wystraszona, że nie odpowiedziała.

Na tymże nasłonecznionym pustkowiu, gdzie zostawił je samochód, Erendira i babcia rozbiły zaimprovizowany szałasik z blachy i resztek azjatyckich dywanów. Położyły na ziemi dwie maty i spały tak dobrze, jak u siebie w domu, póki słońce nie wypaliło w dachu dziury i nie zaczęło przypalać im twarzy.

Tego dnia w przeciwieństwie do poprzednich to babcia zadbała o wygląd Erendiry. Nałożyła jej makijaż grobowej piękności, który był modny za jej młodych lat, a dzieło uwieńczyła sztucznymi rzęsami i organdynową kokardą, która wyglądała na głowie jak motyl.

- Wydajesz się sobie obrzydliwa - przyznała - ale tak jest lepiej: mężczyźni, jeśli chodzi o kobiety, są tępi.

Obydwie na długo przed ujrzeniem mułów rozpoznały już ślady ich kopyt na skorupie pustyni. Na rozkaz babci Erendira ułożyła się na macie, tak jak zrobiłaby to adeptka teatralna w chwili podniesienia kurtyny. Babcia wsparta na pastorałe opuściła szałas i usiadła na tronie, oczekując nadejścia mułów.

Zbliżał się listonosz. Nie miał więcej jak dwadzieścia lat, choć wskutek swojej pracy wyglądał na nieco starszego, i na sobie miał mundur koloru khaki, sztylpy, korkowy hełm i wojskowy pistolet wsunięty za ładownicę. Siedząc na tym mule prowadził za uzdę drugiego, który, nieco chudszy, objuczony był workami pocztowymi.

Przejeżdżając obok pozdrowił babcię ręką i pojechał dalej. Babcia jednak dała mu znak, by rzucił okiem na szałas. Mężczy-



zna zatrzymał się i zobaczył leżącą na macie Erendirę w pośmiertnym makijażu, w sukni z fioletowymi lamówkami.

- Podoba ci się? - zapytała babcia.

Listonosz do tej chwili nie rozumiał, co takiego mu proponowano.

- Jak na czczo, nie jest zła - uśmiechnął się.

- Pięćdziesiąt pesos - powiedziała babcia.

- Kobieto, chyba ma to ze złota! - powiedział. - Tyle kosztuje mnie miesięczne wyżywienie.

- Nie bądź dusigroszem - powiedziała babcia. - Poczta lotnicza ma pensję lepszą od księdza.

- Ja jestem poczta krajowa - powiedział mężczyzna. - Poczta lotnicza to ten, który jeździ samochodem.

- Bądź co bądź, miłość jest tak samo ważna jak jedzenie - powiedziała babcia.

- Ale nie żywi.

Babcia zrozumiała, że człowiekowi, który żyje złudnymi nadziejami i targuje się, zbywa na czasie.

- Ile masz? - zapytała go.

Listonosz zsiadł z muła, wyjął z kieszeni parę zgniecionych banknotów i pokazał je babci. Chwyła je wszystkie zaborczą dłońią niczym piłkę.

- Daję ci zniżkę - powiedziała - ale pod jednym warunkiem: rozgłosisz to na wszystkie strony.

- Nawet na drugi koniec świata - odpowiedział listonosz. - Od tego jestem.

Erendira, która dotąd nie mogła mrugać, zdjęła teraz sztuczne rzęsy i odsunęła się na bok maty, aby zrobić miejsce przypadkowemu narzeczonemu. Ledwie wszedł do szałas, babcia energicznie zasunęła kotarę.

Była to korzystna umowa. Mężczyźni, poruszeni wieściami rozgłaszanymi przez listonosza, nadchodzili z najdalszych stron, aby poznać ostatnią nowość, jaką była Erendira. Za nimi nadciągnęły loterie i garkuchnie, a na koniec fotograf na rowerze, który naprzeciwko szałas zainstalował na trójnogu aparat z żałobnym rękawem a jako tło parawan z jeziorem kalekich łabędzi.

Babcia na tronie, wachlując się, zdawała się nie brać udziału w wywołanym przez siebie jarmarku. Interesowało ją jedynie utrzymanie porządku wśród stojących w kolejce klientów i dokładnie wyliczone pieniądze, które musieli wpłacać z góry, przed wejściem. Z początku była tak drobiazgowa, że odrzuciła dobrego klienta, bo zabrakło mu pięciu pesos. Z upływem miesięcy zaczęła jednak przyswajać sobie nauczki surowej rzeczywistości i w końcu wyraziła zgodę, by opłatę uzupełniali medalikami świętych, rodzinnymi relikwiami, małżeńskimi obrączkami i wszystkim, co było zdolne wykazać, iż przy nadgryzieniu jest złotem, choćby się i nie świeciło.

Pod koniec długiego pobytu w tej wsi babcia uzbierała taką sumę, że starczyło na zakup osła, i wyruszyły przez pustynię na poszukiwanie innych, bardziej sprzyjających miejsc, by babcia mogła odzyskać swój dług. Jechała na byle jak i szybko skleconym siodełku, a od nieruchomego słońca chroniła ją parasolka z połamanymi prętami, którą Erendira trzymała nad jej głową. Za nimi szło czterech indiańskich tragarzy z obozowym ekwipunkiem: matami do spania, odrestaurowanym tronem, alabastrowym aniołem i kufrem z resztkami Amadisów. Fotograf jechał na rowerze śladami karawany, nie doganiając ich jednak, jakby jechał na inny jarmark.

Minęło sześć miesięcy od pożaru, kiedy babcia mogła już wyobrazić sobie ostateczny obraz całego interesu.

- Jeśli wszystko będzie szło tak nadal - powiedziała Erendirze - spłacisz mi dług za osiem lat, siedem miesięcy i jedenaście dni.

Jeszcze raz przeliczyła swoje rachuby, zamknąwszy oczy, i żując ziarna, które wyjmowała z kieszeni, gdzie trzymała również pieniądze, dodała:

- Oczywiście nie licząc pensji, wyżywienia Indian i innych pomniejszych wydatków.

Erendira, która szła równo z osłem, przygnębiona upałem i kurzem, nic nie powiedziała na owe rachunki babci, ale z całych sił powstrzymywała łzy.

- Nie czuję kości - powiedziała.

- Spróbuj zasnąć.

- Tak, babciu.

Zamknęła oczy, odetchnęła rozżarzone powietrzem i szła dalej, już śpiąc.

W chmurze kurzu na horyzoncie ukazała się, wpędzając kozy w panikę, ciężarówka wypełniona klatkami, a rozlegający się z niej wrzask ptaków był kubłem zimnej wody w sennym upale San Miguel del Desierto. Przy kierownicy siedział korpulentny holenderski farmer o zrogowaciałej od deszczu skórze i wąsie koloru wieiórki, odziedziczonym widać po którymś z pradziadków. Jego syn Ulises, złotoskóry młodzieniec o morskich oczach pełnych osamotnienia i wyglądzie lękliwego anioła, jechał na drugim siedzeniu. Holender zwrócił uwagę na namiot, od którego odchodziła kolejka wszystkich żołnierzy z miejscowego garnizonu. Siedzieli na ziemi, pijąc z tej samej butelki, którą przekazywali sobie od ust do ust, mieli na głowach gałęzie migdałowca, jakby maskowali się przed jakąś bitwą. Holender zapytał w swoim języku:

- Co mogą tu, u diabła, sprzedawać?

- Kobiety - odpowiedział mu syn z prostotą. - Nazywa się Erendira.

- Skąd wiesz o tym?

- Wszyscy na pustyni o tym wiedzą - odpowiedział Ulises.

Holender zajechał przed miejscowy hotelik. Ulises zatrzymał się jeszcze na chwilę w samochodzie, zręcznymi palcami otworzył portfel z dokumentami, który ojciec zostawił na siedzeniu, i wyjął plik banknotów, włożył kilka do kieszeni i zostawił wszystko tak, jak było. Tej nocy, gdy jego ojciec już spał, wyszedł przez okno i poszedł, żeby stanąć w kolejce przed namiotem Erendiry.

Zabawa trwała w najlepsze. Pijani rekruci tańczyli sami, aby nie tracić darmowej muzyki, a fotograf robił nocne zdjęcia przy błyskach magnezji. Babcia, pilnując interesu, liczyła na podółku pieniądze i układała w koszu na równe kupki. Wtedy nie było więcej jak dwudziestu żołnierzy, ale popołudniowa kolejka powiększyła się o cywilnych klientów. Ulises był ostatni.

Teraz kolej przypadała na żołnierza o ponurym wyglądzie. Babcia nie tylko zamknęła mu przejście, ale uniknęła również kontaktu z jego pieniędzmi.

- Nie, synu - powiedziała mu - ty nie wejdiesz za żadne złote góry. Masz złe oczy.

Żołnierz, który nie był z tych stron, zdziwił się.

- Co jest?

- Przynosisz nieszczęście - powiedziała babcia. - Wystarczy tylko spojrzeć ci w twarz.

Odsunęła go, nie dotykając ręką, i przepuściła następnego żołnierza.

- Wchodź, ty paradny kochanku - powiedziała mu już zadowolona. - I nie zwlekaj, bo ojczyzna cię potrzebuje.

Żołnierz wszedł, ale szybko wrócił, bo Erendira chciała rozmawiać z babcią. Ta uwiesiła sobie na ramieniu kosz i weszła do namiotu, w którym było ciasno, ale porządnie i czysto. W głębi na płóciennym łóżku Erendira nie mogła powstrzymać dreszczów, wyglądała okropnie, ociekała potem żołnierzy.

- Babciu - zapłakała. - Umieram.

Babcia dotknęła jej czoła i stwierdziwszy, że nie ma gorączki, próbowała ją pocieszyć.

- Brakuje już tylko dziesięciu żołnierzy - powiedziała.

Erendira zaczęła płakać, piszcząc jak wystraszone zwierzątko. Babcia zrozumiała wtedy, że przekroczyła granice okrucieństwa, i głaszcząc wnuczkę po głowie, uspokajała ją.

- Po prostu jesteś osłabiona - powiedziała. - No już, nie płacz, wykąp się w szalwiowym wywarze, żeby odświeżyć sobie krew.

Wyszła z namiotu, w chwili gdy Erendira zaczęła już się uspokajać, i czekającemu żołnierzowi zwróciła pieniądze. "Na dziś koniec - powiedziała mu. - Wróc jutro, a dam ci pierwszeństwo". Następnie krzyknęła do oczekujących w kolejce:

- Skończyło się, chłopcy. Żegnam was do jutra, do dziewiątej.

Żołnierze i cywile odeszli, głośno pomstując. Babcia stawiała im odważnie czoło, groźnie wymachując niebezpiecznym pastorałem.

- Bluźniercy! Sodomici! - krzyczała. - Co sobie myślicie, że to dziecko jest ze stali? Chciałabym widzieć was w jej skórze. Zboczeńcy! Gówniane wypierdki!

Mężczyźni odpowiadali jej jeszcze gorszymi wyzwiskami, ale ona zwięcisko opanowała sytuację i stanęła na straży z pastorałem, póki nie zabrali garkuchni i nie rozmontowali loteryjnych kramików. Już miała wracać do namiotu, kiedy zobaczyła Ulisesa w całej okazałości, samego w opustoszałym i ciemnym miejscu, gdzie przedtem rozciągała się kolejka mężczyzn. Wokół niego panowała nierzeczywista atmosfera, w półmroku zdawał się być widzialny tylko dzięki blaskowi swojej urody.

- A ty - powiedziała babcia - gdzie zostawiłeś skrzydła?

- To mój dziadek miał skrzydła - odpowiedział z całą swoją prostotą Ulises - ale nikt w to nie wierzy.

Babcia, oczarowana, popatrzyła na niego uważnie. "Ale ja wierzę - powiedziała. - Przyjdź jutro ze skrzydłami". Weszła do namiotu, zostawiając na swoim miejscu płonącego z pożądania Ulisesa.

Erendira po kąpieli poczuła się lepiej. Włożyła na siebie krótką haftowaną koszulkę i suszyła sobie włosy przed spaniem, ale jeszcze z wysiłkiem powstrzymywała łzy. Babcia spała.

Z tyłu, zza łóżka Erendiry, Ulises bardzo wolno wychylił głowę. Dziewczyna zobaczyła pożądliwe i przezroczyście oczy, ale nim się odezwała, wytarła sobie ręcznikiem twarz, aby stwierdzić, że nie jest to przywidzenie. Kiedy Ulises mrugnął po raz pierwszy, Erendira cichutko zapy-' tała go:

- Kim ty jesteś?

Ulises wychylił się do ramion. "Nazywam się Ulises" - powiedział. Pokazał jej skradzione banknoty i dodał:

- Przynoszę pieniądze.

Erendira położyła ręce na łóżku, zbliżyła swoją twarz do twarzy Ulisesa i zaczęła z nim rozmowę jak w przedszkolnej zabawie.

- Trzeba było stanąć w kolejce - powiedziała mu.

- Czekałem całą noc - odrzekł Ulises.

- No więc teraz musisz poczekać aż do jutra - powiedziała Erendira. - Czuję się, jakby udzielono mnie po nerkach.

W tej chwili babcia zaczęła mówić przez sen.

- To będzie ze dwadzieścia lat temu, kiedy po raz ostatni padał deszcz - powiedziała. - Była tak okropna burza, że deszcz nad-szedł wymieszany z morską wodą, o świcie dom pełen był ryb i ślimaków, a twój dziadek Amadis, niech spoczywa w pokoju, zobaczył świetlistą raję płynącą w powietrzu.

Ulises ukrył się za łóżkiem. Erendira, ubawiona, uśmiechnęła się.

- Uspokój się - powiedziała mu. - Zawsze, kiedy śpi, zachowuje się jak wariatka, ale nawet trzęsienie ziemi nie jest w stanie jej obudzić.

Ulises znowu się wychylił, Erendira popatrzyła na niego figlarnie, nawet trochę pieszczotliwie, i podniosła z maty wygniecione prześcieradło.

- Chodź - powiedziała mu - pomożesz mi zmienić prześcieradło.

Ulises wyszedł wtedy zza łóżka i chwycił prześcieradło za drugi koniec. Prześcieradło było o wiele większe od maty, więc złożenie go zajęło im sporo czasu. Po każdym kolejnym złożeniu Ulises był coraz bliżej Erendiry.

- Szalałem, żeby cię zobaczyć - powiedział nagle. - Wszyscy mówią, że jesteś bardzo piękna, i to jest prawda.

- Ale umrę - powiedziała Erendira.

- Moja mama mówi, że ci, którzy umierają na pustyni, idą nie do nieba, tylko do morza - powiedział Ulises.

Erendira odłożyła na bok brudne prześcieradło i pokryła matę drugim, czystym i wyprasowanym.

- Nie znam morza - powiedziała.

- To tak jak pustynia, ale z wodą - powiedział Ulises.

- W takim razie nie można po nim chodzić.

- Mój tata znał takiego, który mógł - powiedział Ulises - ale to było dawno temu.

Erendira była oczarowana, ale chciała spać.

- Jak przyjdiesz jutro bardzo wcześnie, to możesz stanąć pierwszy - powiedziała.

- O świcie jadę z moim tatusiem - powiedział Ulises.

- I nie będziecie już wracać tędy?

- Kto wie, kiedy - odparł Ulises. - Teraz przejechaliśmy tędy zupełnie przypadkiem, bo zagubiliśmy się w drodze do granicy.

Erendira w zamyśleniu spojrzała na śpiącą babcię.

- Dobrze - zdecydowała - daj mi pieniądze.

Ulises dał. Erendira położyła się na łóżku, ale on stał na swoim miejscu, cały dygocąc: w ostatniej chwili opuściła go odwaga. Erendira chwyciła go za rękę, żeby się pospieszył, i dopiero wtedy poczuła jego zakłopotanie. Znała ten strach.

- To po raz pierwszy? - zapytała.

Ulises nie odpowiedział, ale uśmiechnął się rozpaczliwie. Erendira stała się inna.

- Oddychaj powoli - powiedziała. - To tak zawsze na początku, a później nawet nie poczujesz.

Ułożyła Ulisesa przy sobie i podczas gdy go rozbierała, uspokajała go matczyną pieśczęcią.

- Więc jak masz na imię?

- Ulises.

- To cudzoziemskie imię - powiedziała Erendira.

- Nie, żeglarskie.

Erendira odkryła mu tors, całowała nieśmiało, obwąchiwała.

- Wydajesz się cały ze złota - powiedziała - ale pachniesz kwiatami.

- Chyba raczej pomarańczami - powiedział Ulises.

Już spokojniejszy, uśmiechnął się uśmiechem współwinowajcy.

- Wozimy ze sobą dużo ptaków, żeby odwracać uwagę - dodał - ale naprawdę to przez granicę przemycamy pomarańcze.

- Pomarańczy się nie przemyca - powiedziała Erendira.

- Te się przemyca - powiedział Ulises. - Każda z nich kosztuje pięćdziesiąt tysięcy pesos.

Erendira po raz pierwszy od dłuższego czasu zaśmiała się.

- Co mi się w tobie najbardziej podoba - powiedziała - to powaga, z jaką wymyślasz głupstwa.

Stała się swobodna i gadatliwa, jakby niewinność Ulisesa nie tylko odmieniła jej nastrój, ale i charakter. Babcia, w tak niewielkiej odległości od fatalnego przeznaczenia, wciąż mówiła przez sen.

- W tych czasach, na początku marca, przynieśli ciebie do domu - mówiła. - Wyglądałaś jak jaszczurka owinięta w pieluchy. Amadis, twój ojciec, który był młody i piękny, był tak zadowolony tego popołudnia, że rozkazał sprowadzić ze dwadzieścia wozów wypełnionych kwiatami i szedł, krzycząc i rzucając kwiaty po ulicy, aż cała wieś ozłociła się kwiatami jak morze.

Majaczyła przez wiele godzin, na cały głos i z uporczywą namiętnością. Ale Ulises nie słyszał jej, bo Erendira kochała go z taką szczerością, że pokochała go raz jeszcze za połowę swojej ceny i babcia jeszcze majaczyła, a Erendira kochała go nadal, już za darmo, do samego świtu.

Grupka misjonarzy z wzniesionymi krucyfikami stanęła, ramię przy ramieniu, pośrodku pustyni. Wiatr, tak dziki jak tamten zwiastujący nieszczęście, trzepotał ich zgrzebnymi habitami i szorstkimi brodami, ledwo pozwalając im utrzymać się na nogach. Za nimi stała misja, kolonialne wzgórze z maleńką dzwonnica nad surowymi i wybielonymi murami.

Najmłodszy z nich, przewodzący grupie, wskazał palcem naturalną szczelinę w szklistej glince.

- Nie przestępujcie tej linii - krzyknął.

Czterej indiańscy tragarze, którzy nieśli babcię w zbitym z desek palankinie, usłyszawszy krzyk, zatrzymali się. Babcia, choć w palankinie było jej niezbyt wygodnie i od pustynnego kurzu i potu straciła nieco animuszu, nadal trzymała się dumnie. Erendira szła na własnych nogach. Za palankinem posuwał się rząd ośmiu indiańskich tragarzy, a na końcu fotograf na rowerze.

- Pustynia nie należy do nikogo - powiedziała babcia.

- Należy do Boga - odrzekł misjonarz - i gwałćcie jego święte prawa waszym nieczystym kupczeniem.

Tu babcia, rozpoznawszy hiszpański styl i dykcję misjonarza, zręcznie uniknęła czołowego zderzenia, aby nie zranić się waląc głową o mur jego nieustępliwości. Na powrót stała się sobą.

- Nie rozumiem twoich tajemnic, synu.

Misjonarz wskazał Erendirę.

- To dziecko jest niepełnoletnie.

- Ale jest moją wnuczką.



- Tym gorzej - odrzekł misjonarz. - Oddaj ją po dobroci pod naszą opiekę, inaczej będziemy musieli uciec się do innych środków. Babcia nie oczekiwała, że dojdzie aż do tego.

- No, już dobrze - ustąpiła wystraszona. - Ale wcześniej czy później przejdę tę linię, zobaczysz.

W trzy dni po spotkaniu z misjonarzami babcia i Erendira spały w sąsiadującej z klasztorem wsi, gdy tajemnicze, ciche, pełzające jak zwiadowczy patrol postacie wśliznęły się do namiotu. Było to sześć indiańskich nowicjuszek, silnych i młodych, w płóciennych habitach, które bieleły w blasku księżyca. Bezszelestnie, nie budząc jej, okryły Erendirę moskitierą, uniosły i uprowadziły niczym wielką i słabą rybę złowioną w księżycową sieć.

Babcia uciekała się do wszystkich możliwych sposobów, byle tylko uwolnić wnuczkę spod opieki misjonarzy. Dopiero gdy wyczerpała wszystkie, od najbardziej prawych po najbardziej pokrętne, odwołała się do władzy cywilnej, którą pełnił wojskowy. Odnalazła go na podwórzu, jak z obnażonym torsem strzelał z karabinu do ciemnej i jedynej na rozżarzonego niebie chmury. Próbował podziurawić chmurę, aby spadł deszcz, strzelał zawzięcie i nadaremnie, ale przerywał od czasu do czasu, by wysłuchać babci.

- Nic nie mogę zrobić - powiedział wysłuchawszy jej. - Ojczul-kowie, zgodnie z konkordatem, mają prawo do opieki nad dziewczyną, póki nie będzie pełnoletnia. Albo wyjdzie za mąż.

- Więc po co trzymają pana jako burmistrza? - zapytała babcia.

- Żebym sprowadził deszcz - odpowiedział burmistrz.

Widząc jednak, że chmura znalazła się poza jego zasięgiem, przerwał spełnianie obowiązków i zaopiekował się całkowicie babcią.

- Pani potrzebuje osoby odpowiedniego autorytetu, która za panią poręczy - powiedział jej. - Kogoś, kto zagwarantuje jej moralność i dobre obyczaje w liście podpisanym osobiście. Nie zna pani senatora Onesimo Sancheza?

Siedząc w pełnym słońcu, na stołku zbyt wąskim dla jej kosmicznych pośladek, babcia w zaciętrzewieniu, uroczyście odpowiedziała:

- Jestem biedną osamotnioną kobietą w bezmiarze pustyni.

Burmistrz z litością spojrział na nią prawym, wykrzywionym od upału okiem.

- W takim razie nie ma co tracić czasu - powiedział. - Cholera ją wzięła.

Nie wzięła jej, oczywiście. Babcia rozbiła namiot na wprost klasztoru i usiadła, by rozważyć wszystko, niczym samotny wojownik trzymający w stanie oblężenia ufortyfikowane miasto. Wędrowny fotograf, który znał ją bardzo dobrze, załadował swój sprzęt objazdowy na bagażnik i zaczął zbierać się do odejścia, gdy tylko ujrzał, że zasiadła w pełnym słońcu z utkwionym w klasztor wzrokiem.

- Zobaczymy, kto się pierwszy zmęczy - powiedziała babcia - oni czy ja.

- Oni są tutaj już trzysta lat i jeszcze wytrzymują - powiedział fotograf. - Ja odchodzę.

Dopiero wtedy babcia zauważyła załadowany rower.

- Dokąd odchodzisz?

- Gdzie mnie wiatr poniesie - powiedział fotograf. - Świat jest wielki. - I odszedł.

Babcia westchnęła.

- Nie tak bardzo, jak myślisz, niewdzięczniku.

Mimo gniewu nie odwróciła głowy, aby nie odrywać wzroku od klasztoru. Nie odrywała go przez wiele dni mineralnego upału, wiele nocy zabłąkanych wiatrów i rozmyślań, w tym czasie nikt jednak nie wyszedł z klasztoru. Indianie zbili przy namiocie daszek z palm i tam zawiesili swoje hamaki, ale babcia czuwała do późna, kiwając się na tronie i raz po raz wyjmując z kieszeni ziarna, które żuła z niezrównanym lenistwem leżącego wołu.

Pewnej nocy przejechał obok niej powoli sznur ciężarówek z opuszczonymi plandekami, jedynym ich oświetleniem były girlandy kolorowych latarek, które nadawały im widmowy rozmiar lunatycznych ołtarzy. Babcia rozpoznała je natychmiast, bo były takie same jak ciężarówki Amadisów. Ostatni z konwoju został w tyle, zatrzymał się i z szoferki wysiadł mężczyzna, by poprawić coś na platformie. Wydawał się sobowtórem Amadisów, w czapce

z podniesionym daszkiem, w wysokich butach, dwiema skrzyżowanymi na piersi ładownicami, wojskowym karabinem i dwoma pistoletami. Ulegając nieprzepartej pokusie, babcia zawołała go.

- Nie wiesz, kim jestem? - zapytała.

Mężczyzna oświetlił ją bezlitośnie latarką. Przez chwilę popatrzył na zniszczoną czuwaniem twarz, oczy przygaszone zmęczeniem, uwiędłe włosy kobiety, która jeszcze w swoim wieku, w złym stanie i z tym surowym światłem na twarzy mogła powiedzieć, że kiedyś była najpiękniejsza na świecie. Kiedy przeegzaminował ją na tyle, aby upewnić się, że nigdy jej nie widział, zgasił latarkę.

- Jedyne, co wiem z całą pewnością - powiedział - to że pani nie jest Matką Boską Nieustającej Pomocy.

- Wprost przeciwnie - powiedziała słodkim głosem babcia. - Jestem damą.

Mężczyzna, raczej instynktownie, sięgnął po pistolet.

- Jaką damą?

- Od Amadisa Wielkiego.

- W takim razie pani nie jest z tego świata - powiedział w napięciu. - Czego pani chce?

- Żebyście pomogli mi odzyskać moją wnuczkę, wnuczkę Amadisa, która jest uwięziona w tym klasztorze.

Mężczyzna przewyciężył strach.

- To nie ten adres - powiedział. - Jeśli pani myśli, że możemy wtrącać się w boskie sprawy, to pani nie jest tą, za którą się podaje, i nawet nie znała pani Amadisów ani nie ma pani najmniejszego pojęcia, co to jest, do jasnej cholery, szmugiel.

Tej nocy babcia spała jeszcze mniej niż poprzedniej. Okryta wełnianym kocem spędziła ją, żując ziarna. Powietrze nocne mąciło jej pamięć, a tłumione majaki dręczyły ją, choć przewyciężała senność i przyciskała ręką serce, by nie zadusiło jej wspomnienie domu nad morzem z wielkimi kolorowymi kwiatami, gdzie była szczęśliwa, i tak spędziła noc, póki nie odezwał się klasztorny dzwon i nie zapaliły się w oknach pierwsze światła, a pustynia me nasyciła się zapachem ciepłego chleba w godzinie pierwszej porannej mszy. Dopiero wtedy poddała się zmęczeniu, łudząc się,

że Erendira już wstała i szuka sposobu ucieczki, aby do niej wrócić.

Erendira za to, od chwili gdy wprowadzono ją do klasztoru, ani jednej nocy nie spędziła bezsennie. Sekatorem obcięto jej włosy, pozostawiając głowę jak szczotkę, nałożono szorstki, płócienny, więźniarski habit, dano kubeł gaszonego wapna i miotłę, by wybielała stopnie schodów za każdym razem, gdy ktoś na nie stąpnie. Ciężka to była praca, bowiem nieustannie trwało wchodzenie i schodzenie zabłoconych misjonarzy i nowicjuszek niosących różne ciężary, ale Erendira po tamtych dniach śmiertelnej galery łóżka odczuła swoją pracę niczym niedzielę. Zresztą o zmierzchu nie ona jedna była zmęczona, bowiem klasztor poświęcił się nie tyle walce z diabłem, ile walce z pustynią. Erendira widziała indiańskie nowicjuszki, jak ujarzmiały krowy uderzeniem w kark, by wydoić je w oborze, jak całymi dniami skakały po deskach, by wycisnąć sery, jak opiekowały się kozami przy złym porodzie. Widziała je, jak pociły się, zmęczone niczym tragarze, jak czerpały wodę z cysterny, polewały z wysiłkiem zwariowany ogród, który inne nowicjuszki spulchniały motykami, by zasadzić warzywa na krzemieniu pustyni. Widziała ziemskie piekło piekarni i prasowalni. Widziała zakonnicę, jak goniła przez podwórze za dziką świnią, zobaczyła, jak chwyciwszy świnię za uszy pośliznęła się razem z nią i tarzała w błocie, nie puszczając zwierzęcia, aż przybiegły dwie nowicjuszki w skórzanych fartuchach, pomogły jej ujarzmić świnię, a jedna z nich poderżnęła zwierzęciu gardło rzeźniczym nożem i wszystkie zostały obryzgane krwią i błotem. Widziała w pawilonie oddzielonym od szpitala zakonnice chore na gruźlicę w swych śmiertelnych koszulach, jak w oczekiwaniu ostatniego boskiego rozkazu wyszywały na tarasach małżeńskie prześcieradła, podczas gdy mężczyźni z misji głosili na pustyni kazania. Erendira żyła w półcieniu, odkrywając inne kształty piękna i trwogi, których nigdy nie mogła sobie wyobrazić w wąskim świetle łóżka, jednak nowicjuszki, ani najwulgarniejsze, ani te, które potrafiły najlepiej przekonywać, nie zdołały od niej wyciągnąć słowa od chwili, kiedy zabrano ją do klasztoru. Pewnego ranka, gdy dolewała wody do kubła w wapnem, usłyszała muzykę

na strunach, która zdawała się światłem jaśniejszym od światła pustyni. Oczarowana cudem, wsunęła się do ogromnej, pustej sali o gołych ścianach i dużych oknach, przez które wdzierła się i zatrzaśnięta pozostawała oślepiająca, czerwcową jasność, a w środku sali zobaczyła piękną zakonnice, której przedtem nie widziała, grającą na klawicymbale oratorium wielkanocne. Póki nie zabrzmiał dzwon wzywający na obiad, Erendira, wstrzymując oddech, nie odważywszy się mrugnąć, słuchała muzyki. Po obiedzie, bieląc szczotką schody, czekała, aż wszystkie nowicjuszki skończą z wchodzeniem i schodzeniem, a gdy już została sama i nikt nie mógł jej usłyszeć, wtedy odezwała się po raz pierwszy od dnia, kiedy przyszła do klasztoru.

- Jestem szczęśliwa - powiedziała.

W ten sposób rozwiały się nadzieje babci, że Erendira ucieknie, by do niej wrócić, mimo to nadal podtrzymywała swoje granitowe oblężenie, nie podejmując aż do Zielonych Świątek żadnej decyzji. W tym okresie misjonarze przeczesywali pustynię w pogoni za ciężarnymi konkubinami, aby wydać je za mąż. Rozklekotaną ciężarówką, w obstawie czterech dobrze uzbrojonych mężczyzn i z kufrem wypełnionym tandetnymi błyskotkami, docierali do najbardziej zapomnianych osad. Najtrudniej w tym polowaniu na Indian było przekonać kobiety, które broniły się przed bożą łaską prostym argumentem, że mężczyźni czują się upoważnieni, by wymagać od prawowitych żon cięższej pracy niż od konkubin, a sami ani się ruszali z hamaka. Trzeba je było zwodzić kłamstwami, rozcieńczać wolę boską w syropie ich własnego języka, aby im się wydała mniej gorzka, ale i najbardziej uparte dały się w końcu przekonać mosiężnymi kolczykami. Za to mężczyźni, gdy już kobiety wyraziły zgodę, wyrzucali kolbami z hamaków i związanych wieźli na platformach, by ożenić ich siłą.

Babcia przez wiele dni widziała jadące w stronę klasztoru ciężarówki pełne brzemiennych Indianek, ale/ nie wyczuła swojej szansy. Wyczuła ją dopiero w niedzielę Zielonych Świątek, kiedy usłyszała huk petard, bicie dzwonów i zobaczyła biedny, rozweselony tłum, który szedł świętować, i zobaczyła wśród tłumu kobiety w ciąży przystrojone w welony i wianki, prowadzone pod rękę

przez mężów z przypadku, by zalegalizować dawne związki w zbiorowym ślubie.

Pośród ostatnich szedł w pochodzie chłopiec o niewinnym sercu, z indiańskimi, obciętymi pod garnek włosami, ubrany w łachmany, który niósł w ręku świecę paschalną z jedwabną kokardką. Babcia zawołała go.

- Powiedz mi jedną rzecz, synu - zapytała swoim najśłodszy glosem. - Co będziesz robić na tej zabawie?

Chłopiec, trzymając świecę, czuł się onieśmielony i sporo wysiłku kosztowało go zamknięcie ust z powodu oślich zębów.

- Bo przyjmę od ojczulków pierwszą komunię - powiedział.

- Ile ci zapłacili?

- Pięć pesos.

Babcia wyjęła z kieszeni zwitek banknotów, a chłopiec popatrzył na nie zdziwiony.

- Dam ci dwadzieścia - powiedziała babcia. - Ale nie za komunię, tylko za ślub.

- A z kim?

- Z moją wnuczką.

Erendira wzięła ślub na dziedzińcu klasztoru w habicie i w koronkowej mentykę, którą podarowały jej nowicjuszki. Nie wiedziała nawet, jak nazywa się jej mąż zakupiony przez babcie. Zniosła z niepewną nadzieją torturę klęczenia na saletrzanej ziemi, kozi smród dwustu brzemiennych narzeczonych, karę epistoły świętego Pawła, dukanej po łacinie pod nieruchomym słońcem, misjonarze bowiem nie znaleźli sposobu, aby uniknąć pułapki nie przewidzianego ślubu, ale przyrzekli Erendirze raz jeszcze postarać się, by została w klasztorze. Jednak pod koniec ceremonii, w obecności apostolskiego prefekta, wojskowego burmistrza, który strzelał do chmur, swojego dopiero co poślubionego małżonka i nieczulej babci, Erendira znowu znalazła się pod urokiem, który panował nad nią od urodzenia. Kiedy zapytano ją, jakie jest jej wolne, ostateczne i prawdziwe życzenie, nie pojawiło się na jej ustach nawet westchnienie wahania.

- Chcę odejść - powiedziała. I dodała, wskazując męża: - Ale nie z nim, tylko z moją babcią.

Ulises stracił całe popołudnie próbując ukraść pomarańczę z plantacji swego ojca, ten bowiem, kiedy przycinali razem chore drzewka, nie spuszczał z niego oczu, a matka pilnowała syna z werandy domu. Zrezygnował ze swego zamiaru, przynajmniej na dziś, i niechętnie pomagał ojcu, póki nie skończyli przycinać ostatnich drzewek.

Rozległa plantacja była cicha, ukryta, a drewniany dom z mosiężnym dachem miał miedzianą siatkę w oknach i dużą werandę wspartą na palach z dzikimi roślinami o odurzających kwiatach. Matka Ulisesa leżała na wiedeńskim bujaku z przyłożonymi do skroni wędzonymi liśćmi, które miały odjąć ból głowy, a jej spojrzenie pełnokrwistej Indianki podążało za każdym ruchem syna, niczym snop niewidzialnego światła, aż do najtajniejszych zakątków sadu. Była bardzo piękna, o wiele młodsza od męża, i nie tylko chodziła nadal w stroju swego szczepu, ale znała też najdawniejsze sekrety indiańskiej krwi.

Kiedy Ulises, trzymając sekator, wrócił do domu, matka poprosiła go o lekarstwo, które stało na pobliskim stole. Butelka i szklanka, ledwie ich dotknął, zmieniły kolor. Później dotknął dla żartu szklanego dzbanka, który stał na stole obok innych szklanek, i ten też stał się niebieski. Matka, zażywając lekarstwo, obserwowała syna, a kiedy upewniła się, że nie jest to przywidzenie spowodowane bólem głowy, zapytała go w swoim języku:

- Od kiedy ci się to zdarza?

- Od czasu gdy wróciliśmy z pustyni - odpowiedział Ulises też w jej języku. - Ale tylko ze szkłem.

Aby pokazać to, dotknął szklanek jedną po drugiej i wszystkie zmieniły kolor.

- Takie rzeczy zdarzają się tylko zakochanym - powiedziała matka. - Kto to?

Ulises nie odpowiedział. Jego ojciec, który nie znał języka Indian, przechodził w tym momencie przez werandę, niosąc kilka pomarańcz.

- O czym rozmawiacie? - zapytał Ulisesa po holendersku.

- O niczym specjalnym - odpowiedział Ulises.

Matka Ulisesa nie знаła holenderskiego. Kiedy jej mąż wszedł do domu, zapytała syna w swoim języku:

- Co ci powiedział?

- Nic specjalnego - odpowiedział Ulises.

Kiedy ojciec wszedł do domu, Ulises stracił go z oczu, ale zobaczył go ponownie przez okno w środku oficyny. Matka poczekała, aż zostanie sama z Ulisem, i wtedy zaczęła napierać:

- Powiedz, kto to jest.

- Nikt - powiedział Ulises.

Odpowiadał w roztargnieniu, śledził bowiem ruchy ojca wewnątrz biura. Widział, jak kładł pomarańcze na kasie, żeby ułożyć klucz szyfru. Podczas gdy on obserwował ojca, matka obserwowała jego.

- Od dłuższego czasu nie jesz chleba - stwierdziła.

- Nie smakuje mi.

Twarz matki nabrała nagle niezwyklej przenikliwości. "Kłamiesz - powiedziała. - To dlatego, że jesteś chory z miłości, a ci, którzy cierpią na nią, nie mogą jeść chleba". Jej głos, a także oczy, przeszły od prośby do groźby.

- Lepiej mi powiedz, kto to jest - powiedziała - albo zmuszę cię do oczyszczającej kąpieli.

W oficynie Holender otworzył kasę, włożył pomarańcze do środka i zamknął pancerne drzwi. Ulises odszedł wtedy od okna i niecierpliwie odpowiedział matce:

- Powiedziałem ci już, że nikt. Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj taty.

Holender ukazał się w drzwiach oficyny, zapalając żeglarską fajkę, z rozprutą Biblią pod pachą. Zona zapytała go po hiszpańsku:

- Kogo poznaliście na pustyni?

- Nikogo - odpowiedział jej mąż, odrobinę zamyślony. - Jeśli mi nie wierzysz, zapytaj Ulisesa.

Usiadł w głębi werandy, pykając z fajki, póki jej nie wypalił do końca. Otworzył na chybił trafił Biblię i recytował wyrwane fragmenty przez prawie dwie godziny w potoczystym, płynnym języku holenderskim.



O północy Ulises tak pochłonięty był myślami, że nie mógł zasnąć. Przewracał się w hamaku przez następną godzinę, próbując przezwyciężyć ból wspomnień, aż w końcu cierpienie dodało mu siły, której potrzebował, by podjąć decyzję. Nałożył wówczas spodnie farmerskie, koszulę w szkocką kratę, buty do konnej jazdy, wyskoczył przez okno i uciekł z domu w ciężarówce załadowanej ptakami. Przejeżdżając obok plantacji, zerwał trzy dojrzałe pomarańcze, których nie udało mu się ukraść po południu. t

Przez pozostałą część nocy jechał pustynią, a od świtu pytał po miasteczkach i wsiach o miejsce pobytu Erendiry, ale nikt nie potrafił mu go wskazać. Poinformowano go w końcu, że znajdowała się w elekcyjnym orszaku senatora Onesimo Sancheza i że senator tego dnia powinien być w Nueva Castilla. Spotkał go nie tam, ale w następnym miasteczku, i już Erendiry nie było w orszaku, bowiem babci udało się w końcu uzyskać od senatora list potwierdzający jego własnym piśmem i podpisem niezachwianą obyczajność babci, która dokumentem tym otwierała najszczelniej pozamykane drzwi pustyni. Na trzeci dzień spotkał listonosza poczty krajowej i ten wskazał mu miejsce, którego Ulises szukał.

- Idą w stronę morza - powiedział. - I pospiesz się, bo ta cholerna starucha chce przepłynąć na wyspę Aruba.

Pojechawszy w tamtą stronę, Ulises rozpoznał pod koniec dnia szeroką, zniszczoną płachtę, którą babcia odkupiła od bankrutującego cyrku. Wędrowny fotograf wrócił do niej, przekonany, że w rezultacie świat nie jest taki duży, jak myślał, i zainstalował w pobliżu namiotu swoje sielankowe tła. Orkiestra dęta czarowała klientów Erendiry smutnym walcem.

Ulises poczekał na swą kolej, a gdy wszedł, jego uwagę przyciągnął porządek i czystość panujące wewnątrz namiotu. Łóżko babci odzyskało swój wicekrólewski przepych, statua anioła stała na swoim miejscu przy grobowym kufrze Amadisów, podobnie jak tombakowa wanna na lwich łapach. Erendira, leżąc na swym nowym łożu obitym markizetą, naga i spokojna, promieniowała w czystym świetle wewnątrz namiotu jakimś dziecięcym blaskiem. Spała z otwartymi oczyma.

Ulises zatrzymał się przy niej z pomarańczami w dłoni i stwierdził, że patrzyła na niego nie widząc go. Przesunął wtedy ręką przed jej oczyma i zawołał ją imieniem, którym nazywał ją w myślach.

- Aridnere.

Erendira obudziła się. W obecności Ulisesa poczuła się naga, krzyknęła głucho i zakryła się prześcieradłem.

- Nie patrz na mnie - powiedziała. - Strasznie wyglądam.

- Jesteś cała pomarańczowa - powiedział Ulises. Ułożył owoce na wysokości jej oczu, aby mogła porównać. - Patrz.

Erendira odsłoniła oczy i stwierdziła, że rzeczywiście pomarańcze mają jej kolor.

- Nie chcę, żebyś teraz zostawał - powiedziała.

- Wszedłem tylko, żeby ci to pokazać - powiedział Ulises. - Przypatrz się.

Naciął paznokciami jedną z pomarańcz, przepołowił palcami i ukazał Erendirze środek: w głębi owocu tkwił prawdziwy diament.

- To są pomarańcze, które wozimy przez granicę - powiedział.

- Ale to są prawdziwe pomarańcze! - wykrzyknęła Erendira.

- Jasne - uśmiechnął się Ulises. - To mój ojciec je sadzi.

Erendira nie mogła w to uwierzyć. Odsłoniła twarz, wzięła diament i zadziwiona przyjrzała mu się.

- Z takimi trzema możemy wybrać się dookoła świata - powiedział Ulises.

Erendira zwróciła mu diament z wyrazem zniechęcenia.

- Do tego mam samochód - powiedział. - I jeszcze... Patrz!

Wyjął zza koszuli staroświecki pistolet.

- Nie mogę odejść wcześniej niż za dziesięć lat - powiedziała Erendira.

- Pójdiesz - powiedział Ulises. - Tej nocy, kiedy biały wieloryb zaśnie, ja będę na zewnątrz pohukiwał jak sowa.

Zaczął tak dobrze naśladować pohukiwanie sowy, że oczy Erendiry uśmiechnęły się po raz pierwszy.

- To moja babcia - powiedziała.

- Sowa?

- Wieloryb.

Oboje zaśmieli się z pomyłki, ale Erendira urwała nagle.

- Nikt nie może dokądkolwiek odejść bez pozwolenia swojej babci.

- Nie trzeba jej nic mówić

- I tak się o wszystkim dowie - powiedziała Erendira. - Jej się śnią różne rzeczy.

- Kiedy zaczniesz śnić, że odchodzisz, będziemy już za granicą. Przejdziemy jak przemytnicy...

Ściskając pistolet, z opanowaniem filmowego awanturnika zaczął naśladować strzały, aby swoją odwagą podnieść Erendirę na duchu. Nie powiedziała ani tak, ani nie, ale jej oczy westchnęły i pocałowała Ulisesa na pożegnanie. Ulises, wzruszony, szepnął:

- Jutro zobaczysz płynące statki.

Tej nocy, nieco po siódmej, kiedy Erendira czesała babcię, znów zawiał wiatr jej nieszczęścia. W ciepłe namiotu stali, czekając na wypłatę, indiańscy tragarze i dyrygent orkiestry dętej. Babcia skończyła liczyć banknoty w skrzynce, którą miała pod ręką, a sprawdzwszy rachunki w zeszycie, zapłaciła najstarszemu z Indian.

- Masz tu - powiedziała - dwadzieścia pesos za tydzień, minus osiem za jedzenie, minus trzy za wodę, minus pięćdziesiąt centavos, skromnie licząc, za nowe koszule, to osiem pięćdziesiąt. Przelicz je dobrze.

Najstarszy z Indian przeliczył pieniądze i wszyscy, ukłoniwszy się, odeszli.

- Dziękujemy ci, pani.

Następnym był dyrygent orkiestry. Babcia sprawdziła rachunki w zeszycie i zwróciła się do fotografa, który próbował naprawić miech aparatu łatami z gutaperki.

- No to jak w końcu? - powiedziała. - Płacisz czy nie, jedną czwartą za muzykę?

Fotograf nawet nie uniósł głowy, by jej odpowiedzieć.

- Muzyka nie wychodzi na zdjęciach.

- Ale budzi w ludziach chęć fotografowania się - odpowiedziała babcia.

- Wprost przeciwnie - powiedział fotograf. - Przypomina zmarłych i później wychodzą na zdjęciach z zamkniętymi oczami.

Dyrygent dętej orkiestry wtrącił się.

- To, co zamyka im oczy, to nie muzyka - powiedział - to błyski magnezji.

- To muzyka - upierał się fotograf.

Babcia przerwała kłótnię. "Nie bądź uparty - powiedziała do fotografa. - Zobacz, jak dobrze wiecie się senatorowi Onesimo Sanchezowi i to dzięki muzykantom, których wozi ze sobą".

- W takim razie albo płacisz część, która przypada na ciebie, albo sam ciągniesz wózek swojego przeznaczenia. To niesprawiedliwe, aby ta biedna istota dźwigała cały ciężar wydatków.

- Ciągnę wózek - powiedział fotograf. - Ostatecznie jestem artystą.

Babcia wzruszyła ramionami i zajęła się muzykiem. Dała mu plik banknotów, tyle, ile wynosiły cyfry zapisane w zeszycie.

- Dwieście pięćdziesiąt cztery kawałki - powiedziała - po pięćdziesiąt centavos każdy, plus trzydzieści dwa za niedziele i dni świąteczne, po siedemdziesiąt każdy, sto pięćdziesiąt sześć pesos i dwadzieścia centavos.

Muzyk nie wziął pieniędzy.

- To sto osiemdziesiąt dwa i czterdzieści - powiedział. - Walce są droższe.

- A to dlaczego?

- Bo są smutniejsze - powiedział muzyk.

Babcia zmusiła go, by wziął pieniądze.

- Więc w tym tygodniu zagrasz nam dwa wesołe kawałki za każdy walc, który jestem ci winna, i jesteśmy kwita.

Muzyk nie zrozumiał logiki babci, ale rozplątując poplątane, zgodził się z wyliczeniem.

W tej chwili zatrwożony wiatr omal nie rozszarpał namiotu, a w ciszy, którą pozostawił po sobie, dało się słyszeć na zewnątrz dźwięczne i posępne pohukiwanie sowy.

Erendira nie wiedziała, co zrobić, by ukryć swój niepokój. Zamknęła kufer z pieniędzmi, schowała go pod łóżko, babcia jednak wyczuła drżenie jej ręki, kiedy oddawała klucz. "Nie bój się - po-

wiedziała. - W wietrzne noce sowy zawsze pohukują". Nie potwierdziła jednak swego przekonania, gdy zobaczyła, jak fotograf wychodzi z aparatem na barkach.

- Jeśli chcesz, to zostań do jutra - powiedziała. - Tej nocy śmierć krąży spuszczone z łańcucha.

Fotograf też usłyszał pohukiwanie sowy, ale zdania nie zmienił.

- Zostań, synu - nalegała babcia - choćby ze względu na sentyment, jakim cię darzę.

- Ale nie zapłacę za muzykę - powiedział fotograf.

- Ach, nie - powiedziała babcia. - Co to, to nie.

- No i sama pani widzi - powiedział fotograf. - Pani nikogo nie kocha.

Babcia zbladła z wściekłości.

- W takim razie zmykaj stąd - powiedziała. - Bękartcie.

Czuła się tak znieważona, że przeklinała go jeszcze wtedy, gdy Erendira pomagała ułożyć ją do snu. "Taki synu - zrzędziła. - Co ten bękart może wiedzieć o cudzym sercu". Erendira oszołomiona niepewnością nie zważała na babcię, bowiem jej uwagę przyciągała sowa upartym naleganiem w przerwach wiatru. Babcia, kładąc się, odprawiła ten sam rytuał, który rygorystycznie był przestrzegany w ich starym domu, a gdy wnuczka wachlowała ją, opanowała gniew i znowu zaczęła swoją starą śpiewkę.

- Wstaniesz wcześniej - powiedziała wtedy - przygotujesz mi kąpiel, zanim przyjdą klienci.

- Tak, babciu.

- W wolnym czasie upierzesz brudną bieliznę Indian i w ten sposób będziemy miały jeszcze coś do odliczenia w nadchodzącym tygodniu.

- Tak, babciu - powiedziała Erendira.

- Będiesz spała powoli, żeby się nie zmęczyć, bo jutro jest czwartek, najdłuższy dzień tygodnia.

- Tak, babciu.

- I dasz karmę strusiovi.

- Tak, babciu.

Odłożyła wachlarz u wezglowia i zapaliła dwie ołtarzowe świece przed kufrem jej zmarłych. Już śpiąc, wydała opóźnione polecenia:

- Nie zapomnij zapalić świec Amadisów.

- Tak, babciu.

Erendira wiedziała już, że babcia się nie obudzi, bo zaczęła mąjaczyć. Słyszała wycie wiatru wokół namiotu, ale i tym razem nie poznała wiatru swego nieszczęścia. Zanurzyła się w noc, sowa znowu odezwała się, i jej instynkt wolności wziął w końcu górę nad urokiem babci.

Nie odeszła jeszcze od namiotu na pięć kroków, gdy spotkała fotografa, który przywiązywał swoje aparaty do bagażnika roweru. Jego porozumiewawczy uśmiech uspokoił ją.

- O niczym nie wiem - powiedział fotograf - nic nie widziałem i za muzykę też nie zapłacę.

Odszedł, pozdrawiając ją zwyczajnym słowem bożym. Erendira pobiegła wtedy ku pustyni, raz na zawsze zdecydowana, i zagubiła się w ciemnościach wiatru, gdzie pohukiwała sowa.

Tym razem babcia odwołała się natychmiast do władz cywilnych. Komendant miejscowego posterunku wyskoczył z hamaka o szóstej nad ranem, kiedy przed oczyma machnęła mu listem senatora. Ojciec Ulisesa czekał w drzwiach.

- I jak pani chce, żebym to przeczytał! - krzyknął komendant. - Ja nie umiem czytać.

- To list rekomendujący od senatora Onesimo Sancheza - powiedziała babcia.

Bez zbędnych pytań komendant odwiesił karabin, który miał w pobliżu hamaka, i zaczął swym podwładnym wrzaskliwie wydawać rozkazy. W pięć minut później wszyscy siedzieli w środku wojskowego samochodu, lecąc ku granicy pod wiatr, który zacieierał ślady uciekinierów. Na przednim siedzeniu, przy kierowcy, jechał komendant. Z tyłu Holender z babcią, a na każdym błotniku jeden uzbrojony agent.

W pobliżu wsi zatrzymali karawanę ciężarówek przykrytych nieprzemakalnymi plandekami. Mężczyźni, którzy jechali ukryci w ciężarówkach, odsunęli plandeki i wycelowali karabiny maszy-

nowe i strzelby w samochód. Komendant zapytał kierowcy pierwszego wozu, w jakiej odległości spotkał ciężarówkę załadowaną ptakami.

Szofer ruszył, nim odpowiedział.

- Nie jesteśmy donosicielami - oburzył się - jesteśmy przemysłnikami.

Komendant ujrzał przesuwające się przed jego oczami osmalone lufy karabinów maszynowych, uniósł ręce i uśmiechnął się.

- Mieście przynajmniej na tyle wstydu, by nie jeździć w biały dzień - krzyknął.

Ostatnia ciężarówka miała z tyłu napis: "Myślę o tobie, Erendiro".

Im bardziej posuwali się na północ, tym wiatr stawał się suchszy, słońce wraz z wiatrem coraz dziksze, a od upału i kurzu wewnątrz zamkniętego samochodu coraz trudniej było oddychać.

Babcia pierwsza rozpoznała fotografa: pedałowal w tym samym kierunku, w jakim oni lecieli, chroniąc się przed słońcem tylko chusteczką związaną na głowie.

- Tam jest - wskazała go - on był współnikiem. Bękart.

Komendant rozkazał jednemu z agentów na błotnikach, by ten zaopiekował się fotografem.

- Złap go i będziesz tu na nas czekać - powiedział. - Zaraz wracamy.

Agent zeskoczył i dwa razy krzyknął do fotografa, by stanął. Fotograf, ogłuszony wiejącym z przeciwka wiatrem, nie usłyszał go. Kiedy samochód wyprzedził fotografa, babcia dała mu tajemniczy znak, ale on wziął to za pozdrowienie i pomachał jej ręką. Nie usłyszał strzału. Przekoziółkował w powietrzu i martwy spadł na rower z głową rozbitą przez kulę, o której nigdy nie dowiedział się, skąd nadleciała.

Przed południem zaczęli dostrzegać pióra. Płynęły z wiatrem, a były to pióra młodych ptaków, które Holender poznał, bo należały do jego ptaków oskubanych przez wiatr. Kierowca zmienił nieco kierunek, wcisnął gaz do dechy i nim upłynęło pół godziny, rozpoznali na widnokręgu ciężarówkę.

Kiedy Ulises ujrzał samochód wojskowy w lusterku, próbował oddalić się, ale silnik już nie wytrzymał. Podróżowali niewyspani, zmęczeni i spragnieni. Erendira, która podrzemywała z głową na ramieniu Ulisesa, obudziła się, wystraszona. Zobaczyła dościgający ich samochód i z naiwną determinacją chwyciła za pistolet.

- Nie nadaje się - powiedział Ulises. - To był pistolet Francisa Drake'a.

Walnęła nim parę razy i wyrzuciła przez okno. Patrol wyprzedził zgruchotany samochód wypełniony ptakami, oskubanymi przez wiatr. Ostro wziął zakręt i zamknął im drogę.

Poznałem je w epoce ich największej świetności, chociaż szczegółów ich życia dowiedziałem się dopiero wiele lat później, kiedy Rafael Escalona w jednej ze swoich piosenek ujawnił okrutne rozwiązanie dramatu, a mnie wydało się, że warto opowiedzieć ich dzieje. Zajmowałem się wtedy w prowincji Riohacha sprzedażą encyklopedii i książek medycznych. Alvaro Cepeda Samudio, który włączył się też w tych stronach, sprzedając urządzenia chłodnicze do mrożenia piwa, wziął mnie ze sobą samochodem w podróż po pustynnych wsiach, chcąc opowiedzieć mi już nawet nie wiem co, i tyle gadaliśmy o wszystkim i o niczym, i tyle wypiliśmy piwa, że nie wiedząc już ani kiedy, ani któredy, przejechaliśmy całą pustynię i dojechaliśmy do granicy. Stał tam namiot objazdowej miłości obwieszony hasłami: "Erendira jest lepsza". "Idź i wracaj, bracie, Erendira czeka na cię". "Żywot niemiły bez Erendiry". Nie kończąca się falująca kolejka mężczyzn różnych ras i stanów zdawała się węzłem o ludzkim kręgosłupie, który sennie prześlizgiwał się płacami, podwórzami, wielobarwnymi bazarami, hałaśliwymi targowiskami, i wylewał się z ulic tego wrzaskliwego miasta wędrownych handlarzy. Każda ulica była publiczną spekulacją, każdy dom stołówką, każde drzwi schronieniem dla wyjętych spod prawa. Liczne i nie do odróżnienia orkiestry i wykrzykiwane ogłoszenia tworzyły w niesamowitym upale jeden wulkan paniki.

Pośród tłumu ludzi bez ojczyzny i życiowych spryciarzy znajdował się Blacaman Dobry, który wdrapywał się na stół i prosił o



prawdziwego jadowitego węża, aby na własnej osobie wypróbować odtrutkę swojego pomysłu. Była kobieta zamieniona w pająka za nieposłuszeństwo wobec swoich rodziców, która za pięćdziesiąt centavos pozwalała dotykać się, żeby mogli namacalnie sprawdzić, że nie ma tu żadnego oszustwa, i odpowiadając na stawiane jej pytania mówiła o swoim nieszczęściu. Był wysłannik życia wiecznego, głoszący nieuniknione nadejście straszego, gwiazdnego nietoperza, którego pałacy oddech siarczany ma odwrócić porządek natury i na powierzchnię wydobyć tajemnice morza.

Jedyną oazą spokoju była dzielnica domów publicznych, gdzie dochodziły tylko iskierki miejskiej wrzawy. Kobiety przybyłe z czterech kwadrantów róży wiatru ziewały z nudów w opuszczonych salonach dansingowych. Przespały sjętę na krzesłach, nikt ich nie budził, by się z nimi kochać, i czekały na kosmicznego nietoperza pod krzyżami wentylatorów przyśrubowanych do bezchmurnego nieba. Nagle jedna z nich wstała i podeszła do wychodzącego na ulicę i obsadzonego bratkami ganku. W dole przesuwiał się wąż adoratorów Erendiry.

- No, zobaczymy - krzyknęła do nich kobieta. - Co ona ma takiego, czego my nie mamy.

- List senatora - odkrzyknął ktoś.

Zwabione krzykiem i śmiechem wyszły na ganek następne kobiety.

- To już tak od wielu dni ciągnie się taka kolejka - powiedziała jedna z nich. - Wyobraź sobie, pięćdziesiąt pesos każdy.

Ta, która wyszła pierwsza, zdecydowała:

- Idę zobaczyć, co to niemowlę ma cennego.

- Ja też - powiedziała inna. - Lepsze to niż za darmo wygrzewać krzesła.

W drodze przyłączyły się następne kobiety, a kiedy doszły do namiotu Erendiry, była to już jedna wrzaskliwa maskarada. Weszły nie zapowiedziane, poduszkami wygoniły mężczyznę, który w najlepsze odbierał w naturze uiszczoną z góry zapłatę, uniosły łóżko Erendiry i niczym na feretronie wyciągnęły ją na ulicę.

- To jest zamach! - krzyczała babcia. - Zgraja wyrzutków! Bandytki! - I później do mężczyzn w kolejce: - A wy co, mięczaki, co

z waszymi jajami, że pozwalacie na taki rozbój przeciw biednej bezbronnej istocie. Pedały!

Krzyczała, póki jej głosu starczyło, na lewo i prawo święcąc pastorałem tych, którzy znaleźli się w jego zasięgu, wściekłość jej była jednak niesłyszalną wysepką pośród wrzasków i szyderczych gwizdów.

Erendira nie mogła uciec przed tą torturą, uniemożliwił jej to psi łańcuch, którym babcia po próbie ucieczki przykuła ją do wezgłowia. Nie zrobiono jej jednak żadnej krzywdy. Wystawiono ją na jej ołtarzu z markizety na najruchliwszych ulicach niczym w alegorycznym misterium pokutnicy łańcuchem więzionej, a w końcu ustawiono na rozżarzonego katafalku rynku. Erendira, zwinęta w kłębek, chowała twarz, ale nie płakała i tak leżała w promieniach bezlitosnego słońca, gryząc ze wstydu i wściekłości łańcuch swego psiego życia, aż ktoś w końcu zlitował się nad nią i przykrył koszulą.

Jedynie wtedy widziałem je, ale dowiedziałem się później, że przebywały w tym przygranicznym mieście pod osłoną sił porządkowych, póki babci nie zaczęły pęcznieć kufry i że wtedy opuściły pustynię, udając się w stronę morza. Nigdy w tym królestwie nędzary nie widziano tyle bogactwa. Woły ciągnęły sznur powozów, na których gromadziły się tandetne kopie z nadszarpniętego przez pożar posagu, i nie tylko imperialne popiersia i dziwne zegarki, ale i okazyjne pianino, i nakręcany patefon z tęsknymi melodiami. Zaprząg Indian zajmował się bagażem, a orkiestra po miasteczkach obwieszczała ich triumfalny wjazd.

Babcia podróżowała w palankinie, w cieniu baldachimu przystrojonego w papierowe girlandy, żując ziarna przechowywane w kieszeni. Jej potężne rozmiary powiększyły się jeszcze, gdyż nosiła pod bluzką kamizelkę z płótna żaglowego, w którą wkładała sztaby złota, tak jak wkłada się naboje do ładownicy. Przy niej Erendira, krzykliwie ubrana, obwieszona cekinami, ciągle jednak z psim łańcuchem u nogi.

- Nie masz na co narzekać - powiedziała jej babcia, gdy wyjeżdżały z przygranicznego miasta. - Królowa mogłaby ci pozazdro-

ścić strojów, masz luksusowe łóżko, własną orkiestrę i czternastu tylko tobie usługujących Indian. Nie wydaje ci się to wspaniałe?

- Tak, babciu.

- Kiedy cię opuszczę - ciągnęła babcia - nie zostaniesz zdana na łaskę i niełaskę mężczyzn, bo wolna i szczęśliwa będziesz mieć swój własny pałac w bardzo ważnym mieście.

Była to nowa i nieoczekiwana wizja przyszłości. Nie mówiła już za to o pierwotnym długu, którego detale zanikały gdzieś, a spłaty wzrastały, im bardziej zawiłe stawały się koszty przedsiębiorstwa. Mimo to Erendira nie wydała z siebie nawet westchnienia, które mogłoby rozjaśnić jej umysł. Cicho poddawała się męce łóżka w saletrzanych kałużach, w drzemce nawodnych osad, w księżycowych kraterach kopalni talku, podczas gdy babcia opiewała jej wizję przyszłości, jakby odczytywała ją z kart. Pewnego popołudnia, wychodząc z wąskiej gardzieli wąwozu, poczuły powiew onegdajszych laurów i usłyszały strzępki rozmów z Jamajki, i poczuły w sobie chęć życia i wielkie wzruszenie w sercu: doszły właśnie do morza.

- Tu je masz - powiedziała babcia, wreszcie wdychając krystaliczne światło Morza Karaibskiego po spędzeniu połowy życia na pustyni. - Nie podoba ci się?

- Tak, babciu.

Tam rozbiły namiot. Babcia całą noc mówiła, ale nie przez sen, mieszając niekiedy swoje tęsknoty za czasem minionym z wizjami przyszłości. Spała dłużej niż zazwyczaj i obudziła się uspokojona szumem morza. Kiedy jednak Erendira kąpała ją, zaczęła znowu wróżyć jej przyszłość, a było to jasnowidzenie tak gorączkowe, że zdawało się majaczeniem po bezsennej nocy.

- Będiesz wielką panią - powiedziała. - Damą z rodowodem, szanowaną przez twoje podopieczne, uszczęśliwianą i poważaną przez najwyższe władze. Kapitanowie statków będą ci przysyłać pocztówki z portów całego świata.

Erendira nie słuchała jej. Ciepła, pachnąca majerankiem woda wlewała się do wanny kanalikiem zasilanym z zewnątrz. Erendira czerpała ją tykwą, prawie nie oddychając, jedną ręką wylewała na babcie wodę, drugą mydliła.

- O prestiżu twojego pałacu będą mówić wszyscy, od Antyli po królestwo Holandii - mówiła babcia. - A pałac musi być ważniejszy od pałacu prezydenckiego, bo w nim będzie się dyskutować o sprawach rządowych i naprawiać los narodu.

Woda nagle przestała napływać. Erendira wyszła z namiotu, aby zobaczyć, co się stało, i zobaczyła, że Indianin, który miał wlewać wodę do kanaliku, rąbie w kuchni drzewo.

- Skończyła się - powiedział Indianin. - Trzeba ostudzić więcej wody.

Erendira podeszła do pieca, na którym stał wielki garnek z wonnymi liśćmi. Owinęła sobie ręce szmatą i spróbowała, czy może bez pomocy Indianina unieść garnek.

- Idź - powiedziała. - Ja naleję wody.

Poczekala, aż Indianin wyjdzie z kuchni. Wtedy zdjęła z ognia garnek z wrzątkiem, z wysiłkiem uniosła go na wysokość kanału i już miała wlać śmiertelnej wody, gdy babcia krzyknęła wewnątrz namiotu:

- Erendira!

Tak jakby ją widziała. Wnuczka, przestraszona tym krzykiem, w ostatniej chwili zlitowała się.

- Już idę, babciu - powiedziała. - Studzę wodę.

Tej nocy rozmyślała do późna, podczas gdy babcia, spiąc w kamizelce ze złota, śpiewała. Erendira ze swego łóżka patrzyła na nią uporczywie oczyma, które w ciemnościach świeciły jak oczy kota. Później położyła się jak topielica z rękoma na piersi, z otwartymi oczami, i zawołała całą siłą swego wewnętrznego głosu:

- Ulises.

Ulises obudził się gwałtownie w swym domu, w pomarańczowym ogrodzie. Usłyszał głos Erendiry tak wyraziście, że poszukał jej w cieniach pokoju. Po chwili namysłu zebrał w tobołek swoje ubranie i buty i opuścił sypialnię. Przeszedł werandę, kiedy zaskoczył go głos ojca:

- Dokąd idziesz?

Ulises zobaczył go oświetlonego niebieskim blaskiem księżyca.

- W świat - odpowiedział.

- Tym razem nie będę cię zatrzymywał - powiedział Holender. - Ale uprzedzam cię: gdziekolwiek pójdziesz, będzie za tobą szła klątwa twojego ojca.

- Niech będzie - odrzekł Ulises.

Zaskoczony, a nawet odrobinę dumny z odpowiedzi syna, Holender podążył za nim wzrokiem przez pomarańczowy ogród zatopiony w świetle księżyca i w oczach jego zaczął pojawiać się uśmiech. Zona stanęła za nim z wdziękiem pięknej Indianki. Holender odezwał się, kiedy Ulises zamknął bramę:

- Wróci - powiedział - skopany przez życie, szybciej, niż przypuszczasz.

- Jesteś bardzo okrutny - westchnęła. - Nigdy nie wróci.

Tym razem Ulises nie musiał nikogo pytać o miejsce. pobytu Erendiry. Przebył pustynię, ukrywając się w przejeżdżających ciężarówkach, kradnąc, aby jeść i spać, i wiele razy kradnąc tylko dla ryzyka, aż odnalazł namiot nad morzem, skąd widać było szklane gmachy oświetlonego miasta, w którym rozlegały się pożegnalne syreny statków odpływających w nocy ku wyspie Aruba. Erendira spała przykuta łańcuchem do wezgłowia i w tej samej pozycji topielicy znoszonej prądem, w której go zawołała. Ulises patrzył na nią długo, nie budząc jej, ale patrzył z takim napięciem, że Erendira obudziła się. Wtedy pocałowali się w ciemnościach, oddali powolnym pieszczotom, nadzy, z milczącą czułością i skrywanym szczęściem, które bardziej niż kiedykolwiek podobne było do miłości.

W drugim końcu namiotu śpiąca babcia przewróciła się potężnie z boku na bok i zaczęła majaczyć.

- To było w tym czasie, kiedy przyplłynął grecki statek - powiedziała. - To była załoga wariatów, którzy uszczęśliwiali kobiety i nie płacili im pieniędzmi, tylko gąbkami, żywymi gąbkami, które później człapały po mieszkaniu, wyjąc jak chorzy w szpitalu i doprowadzając dzieci do płaczu, aby wypić ich łzy.

Uniosła się na łóżku, jak gdyby wynurzała się spod ziemi, i usiadła.

- To właśnie wtedy przyszedł on, mój Boże - krzyknęła - silniejszy, większy i jeszcze bardziej męski niż Amadis.

Ulises, który do tej pory nie zwrócił uwagi na majaczenie, próbował schować się, gdy zobaczył babcię siedzącą na łóżku. Erendira uspokoiła go.

- Leż spokojnie - powiedziała. - Zawsze gdy dochodzi do tego miejsca, siada na łóżku, ale nie budzi się.

Ulises położył głowę na jej ramieniu.

- Tej nocy śpiewałam z marynarzami i pomyślałam, że to trzęsienie ziemi - ciągnęła babcia. - Wszyscy chyba pomyśleli to samo, bo uciekli, krzycząc, konając ze śmiechu, i został tylko on pod daszkiem. Pamiętam, jakby to było wczoraj, że śpiewałam piosenkę, którą wszyscy śpiewali w tych czasach. Nawet papugi na podwórzach śpiewały.

Bez ładu i składu, jak tylko możliwe jest śpiewanie przez sen, zaśpiewała wiersze swojej goryczy:

*Panie, Panie, zwróć mi mą dawną niewinność.*

*By raz jeszcze, od początku zakosztować z nim miłości*

Dopiero wtedy Ulises zainteresował się wspomnieniami babci.

- Tam był on - mówiła - z papugą na ramieniu, z muszkietem do zabijania ludożerców, tak jak przybył Guatarral do Gujany, i ja poczułam jego powiew śmierci, kiedy stanął naprzeciw mnie i powiedział mi: tysiąc razy okrążyłem świat i widziałem wszystkie kobiety z wszystkich krajów, mam więc prawo powiedzieć ci, że jesteś najdumniejszą i najbardziej oddaną, najpiękniejszą na ziemi.

Położyła się znowu i załkała w poduszkę. Ulises i Erendira leżeli przez dłuższy czas w milczeniu, kołysani w półmroku ogromnym oddechem śpiącej staruszki. Nagle Erendira zapytała bez najmniejszego drżenia w głosie:

- Odważyłbyś się ją zabić?

Zaskoczony Ulises nie wiedział, co odpowiedzieć.

- Kto wie - powiedział. - A ty się odważysz?

- Ja nie mogę - powiedziała Erendira - bo to jest moja babcia.

Wtedy Ulises jeszcze raz popatrzył na olbrzymie śpiące ciało, jakby mierząc, ile w nim mieści się życia, i zdecydował:

- Dla ciebie jestem zdolny do wszystkiego.

Ulises kupił funt trucizny na szczury, wymieszał ją ze śmietaną i malinową marmoladą, rozlał ten śmiertelny krem do ciasta, z którego przedtem usunął prawdziwe nadzienie. Następnie na wierzchu rozlał krem jeszcze bardziej ubity, rozsmarowując łyżką, aż nie pozostał ślad przewrotnego manewru, i pułapkę ozdobił siedemdziesięcioma dwoma różowymi świeczkami.

Babcia, gdy ujrzała wkraczającego do namiotu Ulisesa ze świątecznym ciastem, wyprostowała, się wymachując groźnym pastorałem.

- Bezwstydniku! - krzyknęła. - Jeszcze śmiesz postawić nogę w tym domu!

Ulises skrył się za swoją anielską twarzą.

- Przychodzę prosić o przebaczenie - powiedział - dziś, w dniu pani urodzin.

Rozbrojona jego zręcznym kłamstwem babcia kazała zastawić stół jak na weselne przyjęcie. Usadziła Ulisesa po swojej prawej stronie, podczas gdy Erendira usługiwała im, i po zgaszeniu świeczek jednym niszczącym dmuchnięciem ukroiła na równe porcje ciasto. Poczęstowała Ulisesa.

- Człowiek, który potrafi zyskać przebaczenie, zasługuje już w połowie na niebo - powiedziała. - Zostawiam ci pierwszą porcję, która jest porcją szczęścia.

- Nie lubię słodczy - odpowiedział. - Smacznego.

Babcia poczęstowała drugą porcją Erendirę. Erendira zaniósła ją do kuchni i wyrzuciła do śmietnika

Babcia sama zjadła resztę. Wkładała sobie do ust całe kęsy i nie gryząc połykała, stękając z zadowolenia, patrząc na Ulisesa z otchłani swojej rozkoszy. Kiedy na jej talerzu nie zostało już nic, zjadła również porcję, którą wzgardził Ulises. Podczas gdy połykała ostatni kawałek, palcami zbierała i wkładała do ust okruchy z obrusa.

Zjadła porcję arszeniku, zdolną wytępić całe pokolenie szczurów. Zagrała mimo to na pianinie, śpiewała do północy, położyła się uszczęśliwiona i zdołała zasnąć normalnie. Jedynym nowym znakiem był kamienisty zgrzyt w jej oddechu.

Erendira i Ulises czuwali z drugiego łóżka i czekali tylko na ostatni oddech. Ale głos, jak zawsze, gdy zaczęła majaczyć, był ciągle pełen życia.

- Oszalałam przez niego, mój Boże, oszalałam! - krzychała. - Zamykałam drzwi od sypialni dwiema zasuwami, żeby nie wszedł, zastawiałam drzwi toaletką i stołem, i krzesłami na stole, ale starczyło, że raz uderzył pierścieniem, a barykada rozpadała się, krzesła same spadały ze stołu, stół i toaletka same się odsuwały, zasuwki same się otwierały

Erendira i Ulises patrzyli na nią ze wzrastającym zdumieniem, w miarę jak majaczenie stawało się coraz większe i dramatyczniejsze, a głos przybierał tony coraz intymniejsze.

- Czułam, że umieram, pocąc się ze strachu, błagając w środku, żeby drzwi puściły nie puszczając, żeby wszedł nie wchodząc, żeby nigdy nie odchodził, ale żeby i nigdy nie wracał, żebym nie musiała go zabić.

Przez wiele godzin wspominała swój dramat, nie pomijając najdrobniejszego szczegółu, jakby we śnie przeżywała go na nowo. Na krótko przed świtem przewróciła się na łóżku gwałtownym ruchem szukającym wygody i głos załamał się nieomal w płacz.

- Uprzedziłam go, a on się zaśmiał - krzychała - jeszcze raz uprzedziłam i znowu się zaśmiał, aż wytrzeszczył swoje przerażone oczy, mówiąc, och, królowo, och, królowo, a głos wydobył mu się nie ustami, tylko poderżniętym gardłem.

Ulises, przerażony straszliwymi wspomnieniami babci, złapał za rękę Erendirę.

- Stara zbrodniarka! - krzyknął.

Erendira nie zwróciła na niego uwagi, bo w tej chwili właśnie zaczęło świtać. Zegary wybiły piątą.

- Idź - powiedziała Erendira. - Zaraz się obudzi.

- Jest bardziej żywa niż słoń - wykrzyknął Ulises. - To niemożliwe.

Erendira przeszła go zabójczym spojrzeniem.

- Po prostu - powiedziała - ty do niczego się nie nadajesz, nawet nie potrafisz zabić.



Ulisesem tak wstrząsnęło okrucieństwo wymówki, że uciekł z namiotu. Podczas gdy świtało i budziło się powietrze ptaków, Erendira patrzyła na śpiącą babcię ze skrytą nienawiścią, wściekła i rozczarowana. Wtedy babcia otworzyła oczy i popatrzyła na nią z łagodnym uśmiechem.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece, córko.

Jedyną widoczną zmianą był z początku bałagan w codziennych zajęciach. Była środa, ale babcia chciała ubrać się w niedzielny strój, zdecydowała, by Erendira nie przyjmowała żadnego klienta przed jedenastą, i poprosiła, by pomalowała jej paznokcie na purpurowo i ułożyła fryzurę na kształt biskupiej mitry.

- Nigdy jeszcze nie miałam tak wielkiej ochoty, by mnie sportretowano - wyznała.

Erendira zaczęła ją czesać, ale po przesunięciu grzebienia między zębami zostało pasmo włosów. Wystraszona, pokazała je babci. Ta popatrzyła na nie badawczo, pociągnęła palcami następne pasmo i w dłoni został jej kosmyk włosów. Rzuciła je na podłogę i spróbowała raz jeszcze, i wyrwała sobie jeszcze większy kosmyk. Zaczęła wtedy wyrywać włosy całymi garściami, krztusząc się ze śmiechu, ciskając włosy w powietrze z niepojętą radością, aż głowa została jak łysy kokos.

Erendira nie miała od Ulisesa wiadomości i dopiero po dwóch tygodniach usłyszała spoza namiotu pohukiwanie sowy. Babcia zaczęła grać na pianinie i była tak pochłonięta swoimi smutnymi wspomnieniami, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co się wokół niej dzieje. Miała na głowie perukę z błyszczących piór.

Erendira, słysząc pohukiwanie, wyszła i dopiero wtedy wykryła wychodzący z pudła pianina lont bomby, który wydłużał się aż do zarośli i gubił w mroku. Pobiegnęła do miejsca, gdzie stał Ulises, schowała się przy nim między zaroślami i oboje ujrzeli ze ściśniętym sercem, że niebieski płomyk przemykający lontem przebył mroczną przestrzeń i zniknął w namiocie.

- Zakryj sobie uszy - powiedział Ulises.

Oboje zakryli uszy, choć niepotrzebnie, bo eksplozji nie było. Namiot rozświetlił się od środka jasnością pożaru, nastąpił milczący wybuch, wszystko zniknęło w dymnej trąbie wilgotnego

prochu. Kiedy Erendira, wierząc, że babcia nie żyje, odważyła się wejść do namiotu, ujrzała ją w przypalonej peruce, rozszarpanej koszuli, żywszą niż kiedykolwiek i próbującą kocem ugasić ogień.

Ulises uciekł pod osłoną wrzasku Indian, którzy nie wiedzieli, co robić, zdezorientowani sprzecznymi rozkazami babci. Gdy opanowali w końcu pożar i rozwiali dym, stanęli oko w oko z wizją rozbitego statku.

- To sprawka jakiegoś złośliwca - powiedziała babcia. - Pianina tak sobie nie wybuchają.

Zacząła snuć wszelkiego rodzaju domysły, aby ustalić przyczyny kolejnej katastrofy, ale wykręty Erendiry i jej nieustraszona postawa w końcu zmyliły ją. W zachowaniu wnuczki nie znalazła żadnej skazy, nie pamiętała również o istnieniu Ulisesa. Nie spała aż do świtu, snując przypuszczenia i obliczając straty. Spała mało i źle. Nazajutrz, kiedy Erendira zdjęła jej kamizelkę ze sztab złota, na ramionach odkryła pęcherze, pierś przypaloną do żywego mięsa. "Rozumiem, dlaczego cały czas wierciłam się przez sen - powiedziała babcia, gdy Erendira okładała ją kompresami z białek. - A do tego miałam dziwny sen". Z wysiłkiem skupiła się, by wywołać obraz w pamięci tak wyraziście jak we śnie.

- To był paw w białym hamaku - powiedziała.

Erendira zdziwiła się, ale szybko przybrała swój normalny wyraz twarzy.

- To dobry znak - skłamała. - Pawie w snach to zwierzęta długowieczności.

- Niech Bóg cię wysłucha - powiedziała babcia - bo znowu jesteśmy jak na początku. Trzeba zacząć od nowa.

Erendira nie przeraziła się. Wyszła z namiotu z miednicą do kompresu, pozostawiając babcię z piersią zatopioną w białku i czaszką zaklajstrowaną musztardą. Pod palmowym daszkiem służącym za kuchnię wbijała do miski następne białka, kiedy zobaczyła oczy Ulisesa ukazujące się zza paleniska, tak jak ujrzała je po raz pierwszy wychylające się zza łóżka. Nie była zaskoczona, tylko zmęczonym głosem powiedziała mu:

- Jedyne, co osiągnąłeś, to zwiększenie mojego długu.

W oczach Ulisesa pojawił się niepokój. Stał bez ruchu i w milczeniu patrzył na Erendirę, która z niewzruszoną twarzą, z absolutną pogardą, jakby on w ogóle nie istniał, rozbijała jajka. Po chwili oczy poruszyły się, prześliznęły po kuchennych przedmiotach, wiszących garnkach, warkoczach czosnku, talerzach, nożu do ćwiartowania. Ulises, wciąż nic nie mówiąc, wstał, wszedł pod daszek i zdjął nóż zawieszony na ścianie.

Erendira nie odwróciła się, ale w chwili gdy Ulises opuszczał kuchnię, powiedziała mu bardzo cicho:

- Uważaj, bo miała ostrzeżenie o śmierci. Śnił jej się paw w białym hamaku.

Babcia, widząc wchodzącego z nożem Ulisesa, wstała z najwyższym wysiłkiem, nie podpierając się pastorałem, i uniosła ręce.

- Chłopcze! - krzyknęła. - Oszalałeś.

Ulises rzucił się na nią i zadał celny cios w obnażoną pierś. Babcia zawyła, padła na niego, usiłując zadusić go swymi potężnymi łapskami niedźwiedzia.

- Ty skurwysynie - zacharczała. - Zbyt późno widzę, że masz twarz zdradzieckiego anioła.

Nie mogła powiedzieć nic więcej, bo Ulises zdołał uwolnić rękę z nożem i zadać następny cios w żebra. Babcia zawyła z głębi wnętrza i z jeszcze większą siłą ścisnęła napastnika. Ulises zadał trzeci cios, bezlitośnie, i strumień krwi trysnął pod wysokim ciśnieniem, obryzgując mu twarz: była to oleista, lśniąca i zielona krew, taka sama jak miętowy miód.

Erendira, trzymając miskę w rękach, ukazała się w drzwiach i obserwowała walkę ze zbrodniczą obojętnością.

Wielka, bryłowata, charcząca z bólu i wściekłości babcia uczepiła się Ulisesa. Jej ręce, nogi, nawet łysa czaszka były zielone od krwi. Sapanie olbrzymiego miecha, zakłócanie pierwszymi oznakami agonii, wypełniało całe pomieszczenie. Ulises zdołał raz jeszcze uwolnić uzbrojoną rękę, jednym cięciem rozpruł brzuch i buchnęła na niego eksplozja krwi, zatapiając go aż po stopy w zielonej mazi. Babcia spróbowała chwycić powietrze, którego już jej brakowało do życia, i upadła twarzą do ziemi. Ulises uwolnił się

od bezsilnych rąk i pozwoliwszy sobie na chwilę spoczynku, zadał ogromnemu ciału cios ostateczny.

Erendira postawiła wówczas miskę na stole, pochyliła się nad babcią, przyjrzała się jej, nie dotykając, i kiedy przekonała się, że babcia już nie żyje, jej twarz nabrała nagle wyrazu dojrzałości dorosłej osoby, którego nie dało jej dwadzieścia lat nieszczęścia. Szybkimi, precyzyjnymi ruchami zdjęła kamizelkę ze złota i wyszła z namiotu.

Ulises wycieńczony walką siedział przy zwłokach i im bardziej próbował' oczyścić sobie twarz, tym bardziej rozmazywał na sobie tę zieloną, żywą substancję, która zdawała się wypływać z jego palców. Dopiero kiedy ujrzał Erendirę wychodzącą z kamizelką ze złota, uświadomił sobie swój stan.

Zaczął wołać ją krzykiem, ale nie uzyskał żadnej odpowiedzi. Przyczołgał się do wejścia namiotu i zobaczył, że Erendira zaczęła biec brzegiem morza w kierunku przeciwnym od miasta. Ostatkiem sił spróbował pobiec za nią, wołając ją już nie rozdierającym krzykiem kochanka, lecz syna, ale pokonało go ogromne zmęczenie, które odczuwał po zabiciu kobiety bez niczyjej pomocy. Indianie babci doścignęli go na plaży, gdy upadłszy twarzą na ziemię, płakał w samotności i strachu.

Erendira nie słyszała go. Biegła pod wiatr szybciej od jelenia i żaden głos tego świata nie mógł jej powstrzymać. Przebiegła, nie odwracając głowy, przez ukrop pary saletrzanych kałuż, przez krater talku, drzemkę nadwodnych osad, aż skończyły się nauki przyrodnicze morza i zaczęła się pustynia, ale nadal biegła z kamizelką ze złota poza suche wiatry i nigdy nie kończące się zmierzchy i nigdy już nie nadeszła o niej najdrobniejsza wiadomość ani nie znaleziono najmniejszego śladu jej nieszczęścia.

## Spis treści

**Dialog lustra** - przekład Zofia Chądzyńska

Trzecia rezygnacja

Drugie żebro śmierci

Ewa w środku kora

Gorycz dla trzech lunatyków

Dialog lustra

Oczy niebieskiego psa

Kobieta, która przychodziła o szóstej

Nabo, Murzyn, który kazał czekać na siebie aniołom

Ktoś rozrzuca te róże

Noc sępów

Monolog Izabeli patrzącej na deszcz w Macondo - przekład

Carlos Marroddn Casas

Tubal-Kain wykuwa gwiazdę

Nataniel składa wizytę

Mężczyzna przychodzi w deszczu

**W tym mieście nie ma złodziei** - przekład Zofia Chądzyńska

Wtorkowe popołudnie

Dzień jak inne

W tym mieście nie ma złodziei

Cudowny wieczór Baltazara

Wdowa Montiel

Dzień po sobocie

Sztuczne róże

Śmierć i pogrzeb Mamy Grande

**Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry i jej niegodziwej babki** - przekład Carlos Marroddn Casas

Bardzo stary pan z olbrzymimi skrzydłami

Morze utraconego czasu

Najpiękniejszy topielec świata

Śmierć wierniejsza niż miłość

Ostatnia podróż statku-widma

Blacaman Dobry - sprzedawca cudów

Niewiarygodna i smutna historia niewinnej Erendiry jej niegodziwej babki